



BONNIE
LEON

SKRZYDŁA
NADZIEI

Z SERII NIEBO NAD ALASKĄ

Bonnie Leon

Skrzydła nadziei

Tom II z serii Niebo nad Alaską

Tłumaczenie Beata Hrycak-Domke

Dedykuję Gayle Ranney – kobiecie,
która podążała za swoim marzeniem.

Kate zjechała z drogi swoim plymouthem coupe i zatrzymała się przed domem Townsów, serdecznych przyjaciół. Była im wdzięczna za zaproszenie na święta Bożego Narodzenia. A mimo to, gdy gasiła silnik, wyrwało się jej z piersi westchnienie. W Bear Creek, w towarzystwie Paula, byłoby o wiele weselej, ale polarna temperatura zatrzymała ją w Anchorage. Doskonale wiedziała, że na Alasce nie można liczyć na pogodę.

Przez kilka minut siedziała w aucie, próbując okiełznać myśli. Kalendarz pokazywał dwudziesty piąty dzień grudnia, jednak bez Paula nie czuło się świątecznego nastroju. Miało to być ich pierwsze wspólne Boże Narodzenie. Planowali uczcić je choinką, prezentami i uroczystą kolacją. A może nawet wycieczką psim zaprzęgiem w górę Bear Creek. Kate wyobrażała sobie romantyczny wieczór: siedzieliby przytuleni, popijając gorącą czekoladę i wpatrując się w skrzące się alaskijskie niebo. Rozmawialiby o wspólnej przyszłości, a przy odrobinie szczęścia podziwialiby razem piękno tańczącej na niebie zorzy polarnej.

Może Sidney pozwoli jej skorzystać z radia w kantorku i skontaktować się z mieszkającym nad potokiem Patrickiem. Paul na pewno u niego będzie. Czy zadzwonienie do niego nie wyglądałoby na zbyt śmiałe?

Może uda nam się uczcić razem Nowy Rok. To niemal równie mile jak wspólne spędzenie świąt. Według prognoz jest powód do radości – są widoki na to, że w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym kraj znacznie pomalutko dźwigać się z wyniszczającego go kryzysu.

Powędrowała myślami do rodziny mieszkającej w stanie Waszyngton. Będą obchodzić święta w Yakimie z przyjaciółmi. Wciąż dźwięczała jej w uszach zawołana melancholia w radosnym z pozoru głosie matki podczas porannej rozmowy. Kate za nimi tęskniła.

Wyciągnęła rękę i poklepała po głowie Angel, swojego psa.

– Gotowa na przyjęcie?

Suczka, mieszaniec ras husky i malamute, odpowiedziała merdaniem ogona i cichym szczeknięciem.

– No to idziemy.

Kate wysiadła z samochodu, Angel wyskoczyła za nią. Ściskając w rękę torbę z prezentami, ostrożnie stąpała po oblodzonej ścieżce wiodącej pod frontowe drzwi. Zapukała i czekała. Helen zapowiedziała, że będzie u nich Mike Conlin. Kate poczuła się nieswojo na myśl o spędzeniu z nim wieczoru. Zaprzyjaźnili się od razu, już od pierwszego spotkania latem tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, gdy po raz pierwszy zjawiała się w Anchorage. To on wprowadził ją w tajniki życia na Alasce i pilotowania samolotu na tym terytorium. Ale odkąd dwa miesiące temu odrzuciła jego oświadczenia, stał się chłodny i powściągliwy. Brakowało jej ich dawnego koleżeństwa. Wiedziała, że

jego towarzystwo będzie dla niej niezręczne. Gdyby tak mogła być z Paulem...

Otworzyła się drzwi i Albert Towns przywitał Kate z szerokim uśmiechem na ustach.

– Już zaczynaliśmy się obawiać, że nie dotrzesz.

Przeczesał dłonią przeredzające się włosy. Przyciągnął ją do siebie i zamknął w ramionach.

Radość mężczyzny była zaraźliwa, więc Kate poczuła, jak i ją zaczyna ogarniać świąteczny nastrój. Traktowała go bardziej jak ojca niż gospodarza domu.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Angel! Miło cię widzieć, piesku. – Albert zanurzył rękę w gęstej sierści.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko jej obecności. Nie miałam serca zostawić jej samej w święta.

– Zawsze jest u nas mile widziana.

Do Alberta dołączyła Helen, której jasnoniebieskie oczy skrzyły się świąteczną radością.

– Kate, moja droga! Wejdz. Na dworze jest lodowato. – Wprowadziła kobietę do środka. – Słuchałaś dzisiaj rano przemówienia prezydenta Roosevelta?

– Nie. Nie miałam okazji. Dzwonili do mnie rodzice.

– Co u nich?

– Wszystko dobrze.

I rzeczywiście miewali się dobrze, choć Kate wiedziała, że święta bez niej zostały w rodzinnym domu pustką. Zawsze był to szczególny czas dla rodziny. Gdyby tylko istniał sposób na spędzenie tych dni razem. Może kiedyś zdola przekonać rodziców, że Alaska to doskonale miejsce do życia.

– Pozdrów ich ode mnie przy najbliższej okazji. – Helen położyła dłoń na plecach Kate. – Wielka szkoda, że nie słyszałaś przemówienia prezydenta. Wprost uwielbiam jego płomienne mowy. Dzisiejsza była wyjątkowo inspirująca, niosła pokrzepienie w tych ciężkich czasach. I bardzo ładnie z jego strony, że wygłosił mowę do narodu w świąteczny poranek.

– Coś mi się zdaje, że już ją kiedyś słyszałem – rzekł Albert tonem zaprawionym sarkazmem. Zamknął drzwi. – Myślę, że to było nagranie. Kate, pozwól, powieszę twoją kurtkę.

Kate postawiła torbę, ściągnęła rękawiczki i wcisnęła je do kieszeni parki, a następnie podała ją Albertowi. Poprawiając palcami krótkie kasztanowe włosy, by nadać splaszczonej pod kapturem fryzurze nieco objętości, weszła do przytulnego saloniku. Powitało ją ciepło oraz przemieszane aromaty słodkich bułeczek i pieczonego mięsa.

– Bajecznie pachnie.

– Zasluga mojej Helen – odparł Albert, otaczając żonę ramieniem.

Siedzący na sofie Mike wstał. O dziwo, miał na ustach uśmiech, powrócił też jego swobodny sposób bycia.

– Dzień dobry, Kate. Miło cię widzieć.

– Cześć.

Kate postarała się o serdeczny wyraz twarzy. Angel podreptała do Mike'a,

żeby się przywitać.

– Cześć, psinko.

Potar mosił psa i ruszył w stronę Kate. Zesztywniała, nie wiedząc, czego się spodziewać. Mike zatrzymał się na wyciągnięcie ramienia.

– Obawialiśmy się, że będziemy musieli zjeść bez ciebie. – Uściskał ją. – Dobrze cię widzieć.

– Ja także się cieszę, że jestem tu z wami. Będzie wesoło. – Opuściła spięte ramiona i odetchnęła z ulgą, zdziwiona zmianą w zachowaniu Mike'a, a zarazem dziękując w duchu, że owa zmiana nastąpiła. – Przegapienie obiadu u Helen byłoby prawdziwą tragedią. – Kate uświadomiła sobie, jak wielką przyjemność znajduje w towarzystwie tych ludzi. Byli dla niej kimś więcej niż przyjaciółmi. Byli rodziną. Przybyła na Alaskę ledwie półtora roku temu, a już tak wiele ich ze sobą łączyło. – Muszę zająć się kilkoma rzeczami. – Z kpiarskim uśmiechem na twarzy podniosła torbę z prezentami. – Zostawiłam pakowanie na ostatnią chwilę. – Zerknęła na małą choinkę w kącie, a potem wróciła się do Helen. – Położyć pod drzewkiem?

Mike sięgnął po torbę.

– Ja to zrobię.

Kate cofnęła rękę.

– O nie, nic z tego.

– Masz coś dla mnie? – Uniósł brew i wyszczerzył zęby.

– Poczekaj, to zobaczysz.

Lekkim krokiem podeszła do choinki. Zastanawiała się, co teraz robi Paul. Czy też ma świąteczne drzewko? Wątpiła. Może w przyszłym roku ustawią wspólne... jeśli będą małżeństwem. Na tę myśl przeszedł ją przyjemny dreszcz. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

Niewysoką jodłę zdobiły lśniące szklane bombki i własnoręcznie przygotowane ozdoby. Przyglądając się jej, wyobrażała sobie choinkę, która z pewnością stała w salonie rodziców. Zawsze ustawiali dużą, dostojną sosnę. Dotknęła uśmiechniętego bałwanka.

– Helen, sama robiłaś ozdoby?

– Niektóre. Sporo z nich jest dziełem Muriel. – Rozejrzała się po pokoju. – Pewnie zastaniesz ją w kuchni.

Kate wyjęła z torby paczuski i dołożyła je do innych, ukrytych pod gałęziami. Wyprostowała się i wyjrzała przez okno.

– Znow zaczął sypać śnieg.

– Co to za święta bez śniegu. – Helen stała przy frontowym oknie z rękami wciśniętymi w kieszenie fartucha. – Pod białą pierzynką wszystko wygląda jak nowe.

Córka państwa Townsów, Muriel, weszła do pokoju wraz ze swoim mężem Terrencem.

– Cześć, Kate.

Muriel zdmuchnęła z czoła wilgotne kosmyki blond włosów i wytarła ręce w fartuch.

– Jakże się cieszę, że do nas dotarłaś. Mama upichciła wspaniałe potrawy.

Helen uśmiechnęła się do córki. Jej oczy jaśniały bardziej niż zwykle.

– Napracowałaś się tak samo jak ja.

Pani Towns podeszła do córki, objęła ją ramieniem i przytuliła.

– Gotuje lepiej ode mnie. – Rozpromieniła się i mówiła dalej: – Wiem, że miałam z tym poczekać, ale zwyczajnie nie potrafię. – Zerknęła na córkę. – Mamy nowinę.

Muriel popatrzyła na matkę z ukosa i się uśmiechnęła, a wtedy na jej prawym policzku pojawił się dołeczek.

– No dobrze, mów.

Helen odczekała chwilę, a potem wypaliła:

– Zostanę babcią!

– Dziecko? Cudownie! – powiedziała Kate. – Ogromnie się cieszę. – Natychmiast pomyślała o sobie i Paulu. Byłby dobrym ojcem.

Muriel położyła rękę na brzuchu.

– To dopiero początek. – Popatrzyła na męża. – Jestem bardzo zadowolona, że przeprowadziliśmy się z powrotem na Alaskę. Kiedy urodzi się maleństwo, będę blisko rodziców.

Mama znów ją uściskała.

– Gratulacje – rzekł Mike tonem bynajmniej nie radosnym. Zerknął ukradkiem na Kate.

O czym wtedy myślał? Że powinni się pobrać i założyć rodzinę? Kate przeniosła wzrok na Muriel. Córka państwa Townsów zawsze pragnęła być żoną i matką. Kate cieszyła się jej szczęściem.

Terrence uśmiechnął się, a potem poprawił na nosie okulary w drucianej oprawie.

– Rodzina to wielka odpowiedzialność. Ale zawsze mieliśmy nadzieję, że urodzą się nam dzieci.

Muriel przytuliła się do męża, on zaś otoczył ramieniem jej szczupłe plecy. Niebieskie oczy kobiety, jakże podobne do oczu matki, błyszczały z radości.

A gdyby to Kate i Paul ogłosili taką nowinę? Kate błędziła myślami, zastanawiając się, jak by się wtedy czuła. Nigdy dotąd nie zaprzętała sobie głowy takimi rzeczami. Kariera zawsze była u niej na pierwszym miejscu. Z trudem odepchnęła od siebie te rozmyślenia. Przecież Paul wcale nie poprosił jej o rękę, przynajmniej na razie. Poza tym nie widzieli się od czasu, kiedy kilka tygodni temu wyznali sobie miłość.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Mike'a. Mimo że zachowywał się serdecznie, Kate dostrzegала jego smutek. Miał nadzieję, że będzie dzielił z nią życie. Kochał ją, ona jednak widziała w nim jedynie dobrego przyjaciela.

W Kate rozbłysła iskierka strachu. Czy w ogóle może się coś wydarzyć między nią a Paul'em? Od prawie sześciu lat nie miał żony. Kate wiedziała też, że gryzie go coś z przeszłości. Nie powiedział jej, o co chodzi. Czy ta dawna zadra mogłaby wpłynąć na ich związek? Była pierwszą kobietą, którą zainteresował się od śmierci Susan. Czy to możliwe, że pożałował swojego miłosego wyznania? *Nie*, odpowiedziała sobie w myślach Kate. Kiedy ostatnio rozmawiali przez radio, był tak samo podekscytowany wspólnymi świętami

jak ona.

Coś jednak mogło się zmienić. Zdawała sobie z tego sprawę. W końcu sama zerwała zaręczyny z Richardem, wieloletnim przyjacielem z Yakimy. Najpierw byli po prostu kumplami, a potem gdzieś po drodze się w sobie zakochali. Tyle że on marzył o zwykłym życiu u boku zwykłej żony. Zaś Kate pragnęła więcej.

Gdy odwołała ślub zaledwie na tydzień przed uroczystością i poleciała na Alaskę, bała się, że Richard nigdy jej tego nie wybaczy. Na szczęście czas wyleczył rany. Dawny wybranek serca przysłał kartkę świąteczną wraz z długim, swobodnym w tonie listem. Jego przyjaźń dodawała jej teraz otuchy. Napisze do niego przy pierwszej sposobności.

Wszystko wyglądało jak należy. Miała Paula. Pasują do siebie, a kiedyś wezmą ślub. Była tego pewna.

– Mam nadzieję, że burczy wam w brzuchach – powiedziała Helen. Podeszła do drzwi dzielących salon i kuchnię. – Kolacja gotowa. – Stała w progu z rozpostartymi ramionami, jakby zagarniała stado owiec do dużej jadalni przy kuchni.

Albert postawił na stole półmisek ze złocistobrązowym indykiem. Helen i Muriel porozstawiały naczynia z resztą potraw. Kate usadowiła się na krześle, Mike zajął miejsce obok. Angel badała nosem niosące się od stołu smakowite aromaty.

– To nie dla ciebie, psinko – rzekła Kate kategorycznym tonem. – Leżeć.

Pies poczłapał do kąta pomiędzy kuchnią a wyjściem na podwórze i umościł się na kolorowym, plecionym dywaniku.

Mike szturchnął Kate.

– Powinnaś poprosić Helen i Muriel o kilka przepisów. Mogłabyś je na mnie wypróbować.

Mike sprawiał wrażenie aż nadto serdecznego. Czyżby próbował wskrzesić ich dawną zażyłość?

– Wiesz, że żadna ze mnie kucharka – odparła, myśląc sobie w duchu, że powinna nauczyć się gotować. Może nadejdzie czas, kiedy przyda jej się umiejętności przyrządzenia świątecznego posiłku. – Zresztą i tak w moim ciasnym mieszkanku nie ma miejsca na gotowanie. – Popatrzyła na Helen i Alberta, od których wynajmowała pokój. – Ale i tak je uwielbiam. Jest takie przytulne.

– I malutkie – przyznał Albert. – Oczywiście zrozumiemy, gdybyś chciała przeprowadzić się gdzie indziej.

– Miło się tam mieszka. – Oparła rękę o stół. – Mam nadzieję, że kiedyś kupię własne cztery ściany. Ponieważ jednak mój samolot spoczywa na dnie jeziora...

– Wciąż trudno mi uwierzyć, że rozbiłaś się wtedy nad jeziorem – wtrąciła Muriel. – I przetrwałaś tyle dni w kompletnej głuszy.

Kate wróciła w myślach do wypadku, w którym o mało nie stracili z Neną życia. Nie ocalałyby, gdyby nie wytrwałość Mike'a i Paula. Nigdy nie zapomni ulgi i radości, które poczuła na widok tych dwóch wylaniających się z lasu.

– To było straszne, ale jakoś się udało – odparła z uśmiechem. – Moje

oszczędności pójdą na nowy samolot. Gdy wrócę do latania, podreperuję stan konta.

– Pokój jest twój tak długo, jak długo będziesz go potrzebować – zapewniła Helen.

– Dziękuję. Zostanę tu jeszcze trochę. Mam na oku samolot, bellankę pacemaker, niemal taką samą jak ta, którą rozbiłam, tyle że o dwa lata młodszą.

– Dziś nie czas na zawracanie sobie głowy lataniem – powiedział Mike. – Nawet Sidney wziął wolne.

– Doprawdy? – Helen postawiła na stole galaretkę owocową. – Gdzie się podziewa?

– W Kenai. Nie mógł się doczekać spotkania z rodzicami i gromadką siostrzenic i bratanków. – Mike pochylił się nad stołem. – W głębi serca jest bardzo rodzinny. Powinien założyć własną rodzinę. – Zmierzył wzrokiem Kate. – Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego pozostał kawalerem.

– Uwielbia latać i zarządzać lotniskiem – rzekła Kate, biorąc do ręki widelec. – Pracuje ciężiej od nas, a ten rodzaj pracy jest szalenie wymagający, przez co nie ma się zbyt wiele czasu dla rodziny. – Spojrzała na Muriel. Gdy zdecydowała się być pilotką, uważała, że jest to zajęcie warte każdego poświęcenia. Teraz nie była już tego taka pewna. Gdyby została panią Anderson, musiałaby zrewidować część swoich poglądów dotyczących latania.

Helen rozłożyła serwetkę na kolanach. Obok niej siedział Albert.

– Myślę, że można pogodzić pracę z rodziną. Prowadzimy sklep od wielu lat i ta sztuka całkiem nieźle się nam udała. – Uśmiechnęła się do córki.

Muriel strząsnęła z ramion jasne włosy.

– Pamiętam, jak po drodze ze szkoły zaglądałam do sklepu. Uwielbiałam pomagać.

– Bardziej niż praca interesowało cię opróżnianie słoja z cukierkami. Podobnie było z twoimi koleżankami – zauważył Albert z szerokim uśmiechem.

– To nieprawda. – Muriel uśmiechnęła się z wyższością. – No dobrze, niecała prawda. Przyznaję się bez bicia, że opychałam się ciastkami z kremem.

– Ponieważ oboje pracowaliśmy, był to dla nas niemały wysiłek. – Albert ujął dłoń żony i złożył na niej pocałunek. – Ale poradziliśmy sobie i dobrze się nam żyje.

– Los nam sprzyjał – dodała Helen. – Utrzymanie sklepu w tych okropnych czasach kryzysu to dar od Boga. Cierpi tak wielu ludzi, tak wielu jest bez pracy, straciło dach nad głową. Straszne.

Albert rozejrzał się po zgromadzonych przy stole.

– Podziękujmy Panu za posiłek oraz błogosławieństwa, którymi nas obdarzył.

Wszyscy chwycili się za ręce. Dłoń Muriel wydawała się drobniutka w rękę Kate. Dłoń Mike'a była ciepła i twarda. Kate poczuła jej uścisk. Ten nagły przejaw uczuć wprowił ją w zakłopotanie.

– Ojciec Niebieski – zaczął Albert. – Dziękujemy Ci za przyjaciół i rodzinę. I

talerza. – W dniu twoich narodzin myślałam, że wydepcze dziurę w podłodze. – Parsknęła śmiechem. – Ale dobry był z niego ojciec.

– Dobrze mieć lekarza opiekującego się ludźmi żyjącymi poza miastem. – Muriel zamoczyła ściereczkę w zlewie i ją wyżyła. – Myślę, że Paul okazuje wielkie serce.

Helen zanurzyła talerz w wodzie, oplukała go i podała Kate.

– Wielka szkoda, że nie mógł dzisiaj do nas dołączyć. – Zwróciła się do Kate. – Jak mu się podoba praca lekarza na odludziu?

– Jest podekscytowany. Ale ponieważ od dawna nie leczył, trochę zjadają go nerwy.

– Dlaczego porzucił praktykę w San Francisco? – zapytała Muriel.

Kate poczuła, jak ściska się jej żołądek. Sama zadawała sobie to pytanie, lecz ten temat był zakazany.

– Nie wiem – odparła z największą nonszalancją, na jaką potrafiła się zdobyć. – On o tym nie mówi, a ja nie chcę być wścibską.

– Tak się cieszę z waszego związku. Uważam, że to cudowne, że na siebie trafiliście. Kiedy poznałam Terrence'a, od razu wiedziałam, że jest mi przeznaczony – rzekła Muriel.

Kate się uśmiechnęła.

– Ja z kolei jestem pewna, że Paul jest dla mnie tym jedynym. Jeszcze się nie oświadczył, ale mam nadzieję, że to zrobi. Gdy planowaliśmy spędzić razem święta, napomknął o naszej przyszłości.

– Złożę się, że pewnie wkrótce poprosi cię o rękę – wtrąciła Helen.

Kate przetrzała ściereczką talerz.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Będziesz miała latający szpital. Co ty na to? – zapytała Muriel, zbierając serwetki.

– Czuję dreszczyk emocji. Praca z Paulem zapowiada się wspaniale. Tak bardzo potrzeba tu lekarza. Myślę, że mi się spodoba.

Helen zanurzyła filizankę w mydlinach, a potem zerknęła w stronę saloniku.

– Cieszę się, że Mike dzisiaj przyszedł. Nie był sobą od czasu... odkąd wy dwoje...

– Wiem. Ale teraz wydaje się być w formie. Może nadal będziemy przyjaciółmi.

– Jestem przekonana, że on też na to liczy. Zachowuje się dziś dość swobodnie.

Mike przekroczył próg kuchni.

– Skończyłyście?

Helen odwiązała fartuch.

– Prawie.

– To dobrze. Czas rozpakować prezenty. Zdaje mi się, że pod choinką coś na mnie czeka. – Puścił oko do Kate.

Co go naszło? Odkąd odrzuciła jego oświadczenia, chodził z nosem spuszczonym na kwintę, a teraz, ni z tego, ni z owego znów był dawnym

czarującym Mikiem? Może pogodził się z losem i był gotów ruszyć naprzód. Na myśl o tym poczuła pewną ulgę. Mógłby dalej się boczyć, ale to do niego niepodobne. Mike jest dobrym człowiekiem i przy odrobinie szczęścia odnowią łączącą ich przyjaźń.

Ponieważ kuchnia lśniła już czystością, kobiety dołączyły do siedzących w salonie mężczyzn.

– Tak sobie pomyślałam, że chętnie pośpiewałabym kolędy – oznajmiła Helen. Usadowała się na otomanie obok męża i poklepała go po udzie.

– Co powiecie na „Dzwonki śań”? – zapytał Albert.

Kate skinęła głową, przypomniawszy sobie własną wersję tej piosenki, którą wymyśliła w zeszłym roku, rozwżąc do wiasek świąteczne paczki. Zastanawiała się, czyby nie nauczyć pozostałych. Mieliby ubaw po pachy. Zanim zdążyła otworzyć usta, Albert zaintonował:

– „Poprzez białe drogi, z mrozem za pan brat...”.

Gdy skończyli śpiewać, Mike zapytał:

– Może teraz tę nową, która właśnie się ukazała? „Winter Wonderland”?

– Ciągłe leci w radiu – zauważyła Muriel. – Uwielbiam ją.

Wkrótce wszyscy nucili nową melodię. Potem Helen nalegała na prawdziwą kolędę, a po niej nadszedł czas na otwarcie prezentów. Albert wręczył każdej osobie po dwie paczuszki, wyjaśniając, że to podarki od niego i Helen. W jednej była puszka z domowymi słodyczami, a w drugiej robiony na drutach szalik.

Kate owinęła szyję szalikiem w kolorze głębokiej zieleni, a później skosztowała krówki.

– Bardzo dziękuję. Wiecie, jak lubię cukierki, a szalik jest przepiękny.

– Żałuję, że nie mogliśmy pozwolić sobie na więcej, jednakże przy słabym utargu w sklepie... No cóż, wiecie, jak jest.

– Sądziłem, że już wychodzimy z kryzysu – powiedział Terrence. – Ale zdaje się, że pograżamy się w nim z powrotem.

– Wszystko się ułoży. – Helen oparła się o Alberta i do niego uśmiechnęła. Jej miłość do męża była oczywista, nawet po tak wielu wspólnych latach.

Następne były prezenty od Kate. Udało się jej kupić od Joego Turchika kilka filigranowych rzeźb z kości słoniowej. Proponował, że je Kate podaruje, ale wskutek nalegań zgodził się w końcu przyjąć symboliczną zapłatę. Rozdała podarki i patrzyła, jak wszyscy je rozpakowują.

Helen pokazała foczą mamę z malutką foczką u boku.

– Och, jakie śliczne. Gdzie to zdobyłaś?

– Pamiętasz Turchików? Nena mi towarzyszyła, kiedy rozbił się samolot.

– Tak, oczywiście. Bardzo mili ludzie. – Helen przesunęła opuszkę palca po wyrzeźbionej focze.

– To dzieło Joego Turchika.

– Jest rdzennym mieszkańcem Alaski? – zapytał Terrence, przyglądając się pulchnemu morsowi.

– Tak. Eskimosem – wyjaśnił Mike, odpakowując figurkę Eskimosa dzierżącego włócznię.

– Zatrzymuję się u nich za każdym razem, gdy ląduję w Kotzebue. To serdeczni przyjaciele. Choć wątpię, by po tamtej katastrofie Nena jeszcze kiedyś zechciała wsiąść ze mną do samolotu.

– To prawdziwy cud, że obie ocalałyście – rzekła Muriel.

– Proszę, przekaz Joemu, że bardzo podobają się nam jego rzeźby i podziękuj mu w naszym imieniu. – Helen oglądała kościane foki. – Napiszę do niego list, doręczysz mu przy okazji kolejnego lotu na północ.

Rozpakowano resztę prezentów. Z wyjątkiem jednego. Ten ostatni był od Mike'a dla Kate. Malutka paczuszka. Kate nie domyślała się, co jest w środku. Wszyscy obserwowali, jak ostrożnie odwija ozdobny papier.

– Wiem, że nie pakowałeś tego własnoręcznie. O wiele za ładnie – droczyła się.

– Właśnie że pakowałem. – Popatrzył na nią z czułością. – Dla najlepszych tylko to, co najlepsze.

Kate trzymała w dłoniach małe puzderko. Nagle zdjął ją strach. A jeśli Mike postanowił zrobić coś głupiego? Gdy podnosiła wieczko, lekko drżały jej dłonie.

Zajrzała do środka i się rozpromieniła.

– Och, Mike! – Wyjęła maleńki złoty samolot zawieszony na złotym łańcuszku. Na boku miniaturowej maszyny był wygrawerowany czerwony napis: „Nieustraszona Kate”. – Jest piękny. – Podniosła wisiorek do światła, a do oczu napłynęły jej łzy. – To mój samolot.

Mike uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Pomyślałem, że spodoba ci się coś, co będzie ci go przypominało.

– Przecudny. Skąd go masz?

– Nie tylko ty masz konszachty z artystami. – Mężczyzna puścił oko. – Pomogę ci założyć.

Kate zawiesiła łańcuszek na szyi i pozwoliła Mike'owi go zapiąć. Jego dłoń dotknęła jej karku.

Zignorowawszy ten gest, kobieta podziwiała swój filigranowy samolot, a potem opuściła go na dekolot.

– Dziękuję. To naprawdę cudowny prezent. – Chciała uściskać Mike'a, ale nie śmiała. Zamiast tego popatrzyła w jego spokojne niebieskie oczy i rzekła: – Zawsze będę go hołubić.

Na dźwięk silnika samolotu puls Paula przyspieszył jak szalony. Mężczyzna wyszedł na ganek i zaczął lustrować niebo w nadziei, że to Kate. Tęsknił za nią i nie mógł oderwać od niej myśli. A potem zauważył maszynę. Nową, czerwoną bellankę pacemaker.

– Kate – wyszeptał.

Pobiegł ścieżką, jednak kiedy dostrzegł wysiadającą z samolotu Kate, nagle opuściła go pewność siebie. Nie widział jej od tamtego dnia w Anchorage, gdy wyznał, co do niej czuje. Jak powinien się przywitać? Czego ona od niego oczekuje? Czy powinien ją pocałować, czy tylko uściskać z atencją? A jeśli zmieniła co do niego zdanie?

Kate do niego pomachała, on zaś odwzajemnił gest. Angel galopowała w jego stronę. Zadowolony z tego Paul ukląkł w śniegu i złapał psa, który wpadł mu w ramiona. Ze śmiechem uchylał się przed mokrymi pocałunkami zwierzęcia i porządnie wytarł mu grzbiet.

– Jesteś w szampańskim nastroju – powiedział do Angel, jeszcze raz ją przytulając.

Wstał z kolan i ruszył w kierunku Kate. Stała szczupła i wysoka jak trzcina porastająca latem brzegi potoku. Serce waliło mu jak młotem, a ciało drżało z niecierpliwości. Dziewczyna odgarnęła z twarzy krótkie włosy i uśmiechnęła się do niego. Brązowe oczy patrzyły przyjaźnie i wyczekująco. Paula przepelniła miłość. Natychmiast pozbył się wątpliwości co do tego, jak ją przywitać.

Przyspieszył kroku, a gdy znalazł się przy Kate, przyciągnął ją w ramiona.

– Tęskniłem za tobą.

Wtulił twarz w jej włosy i wdychał zapach szamponu marki Breck.

Kobieta objęła go ramionami i przyłgnęła do niego tak, jakby nie zamierzała go już nigdy wypuścić.

– Nie widziałam cię całe wieki.

Długą chwilę trwali w uścisku. Kate podniosła wzrok.

– Marzyłam o tym spotkaniu. Minęło zbyt wiele czasu.

Pocałował ją. Długo, niespiesznie. Kiedy się od siebie oderwali, Kate uśmiechnęła się i ponownie do niego przywarła.

– Bałam się, że to wszystko było tylko wytworem mojej wyobraźni i że nie czeka mnie nic prócz „część” i rozmowy o sprawach zawodowych. Jakże się cieszę, że się myliłam. – Znów go przytuliła.

– Żadnych rozmów zawodowych, przynajmniej dzisiaj. – Paul przycisnął ją do piersi i delikatnie oparł brodę o czubek jej głowy. – Gdy obudziłem się rano i ujrzałem słońce, miałem nadzieję, że cię dziś zobaczę.

– Wystartowałam skoro świt. Myślałam tylko o tobie. Tak bardzo tęskniłam za tobą w Boże Narodzenie.

– Cóż, przed nami Nowy Rok – rzekł Paul i szeroko się uśmiechnął. – Powitamy go razem.

Mężczyzna przeniósł uwagę na samolot Kate i uważnie mu się przyglądał.

– A więc to jest twoja nowa maszyna. Wyrzalista. Czerwona, tak jak poprzednia.

– Mój ulubiony kolor. – Popatrzyła na bellankę. – Mam szczęście, że udało mi się ją zdobyć. Jest dwa lata młodsza od poprzedniej. No i ma radio.

– Bardzo mnie to cieszy. – Paul nadal lustrował samolot. – A gdzie napis „Nieustraszona Kate”? – Wyszczerył zęby w uśmiechu, przypominając sobie, jak ukochana wypisała tę nazwę ozdobnymi literami na kadłubie starej bellanki.

– Tym razem bez napisu. Uznałam, że raz wystarczy. – Dotknęła zawieszonoego na szyi filigranowego złotego samolotu.

– Co to?

– To? – Wzięła do ręki wisiorek. – To kopia mojej bellanki, tej, którą zrobiłam. Dostałam ją od Mike’a na święta.

Paul poczuł ukłucie zazdrości.

– Miło z jego strony. Nie wiedziałem, że się spotkaliście.

– Albert i Helen zaprosili go na świąteczny obiad.

Kate wzięła Paula pod rękę i przywarła do jego ramienia.

– Myślałam o tobie.

– To dobrze.

Cmoknął ją w czoło.



Po kolacji złożonej z pieczonego kurczaka Paul i Kate przenieśli się na ganek, a tam wpatrywali w nocne niebo. W oddali zawył wilk, ale tym razem Paul nie poczuł się samotny. Nie był już sam.

Kate wypila łyk gorącej czekolady.

– Właśnie tak to sobie wyobrażałam. My dwoje, czyste ciemne niebo i gorąca czekolada. – Uśmiechnęła się do niego, a on ją pocałował. – To najlepsze, co mogło mi się w życiu przytrafić. Szkoda tylko, że nie możemy częściej przeżywać takich wspólnych chwil. Od jutra powrót do pracy.

– Tak. – Paul poczuł w środku ukłucie trwogi, jakby ktoś wbił mu w serce kolec. A jeśli nie ma wystarczających umiejętności? A jeśli ktoś umrze... przez niego?

Weź się w garść. Jesteś gotów. Te powtarzane w duchu słowa wcale go nie przekonały co do tego, czy aby na pewno ma odpowiednie kwalifikacje i jest gotów podjąć się pracy lekarza na takim odludziu.

– Jestem ogromnie podekscytowana. Kocham latać i kocham ciebie. Stworzymy doskonały zespół. – Ścisnęła go za ramię.

– Ja też cię kocham.

Zadanie, którego się podjęli, nagle przybrało realny kształt. Związane z nim niebezpieczeństwa także były realne. Kochał tę kobietę. Była pierwszą osobą, którą pokochał od śmierci Susan. Przed oczami przemknął mu obraz zmarłej

zony. Była drobniutka, miała jasne włosy i niebieskie oczy, w niczym nie przypominała Kate. Strach podniósł swój ohydny leb niczym hydra, grożąc atakiem. A jeśli straci też Kate? Wspólne latanie zwiększy liczbę godzin spędzanych przez nią w powietrzu. Ciaśniej otoczył ją ramieniem.

– Och, byłabym zapomniala... – Kate nagle rzuciła się ku drzwiom. Po chwili zjawiła się z małą paczuszką w dłoni. – Mam coś dla ciebie.

– Dla mnie?

Uśmiechnęła się szeroko i wręczyła mu pudełeczko.

– Taki drobiazg, ale pomyślałam, że może ci się spodobać.

Paul odwinął papier i zdjął wieczko.

– A cóż to takiego? – Chłonął wzrokiem wyrzeźbionego w kości sloniowej psa, który wyglądał jak Buck i ciągnął sanie. – Gdzie to wyszukałaś?

– Dzieło Joego Turchika. Poprosiłabym go o wyrzeźbienie wszystkich psów, jednak zabrakłoby czasu. Uznałam więc, że gdybyś musiał wybrać jednego, byłby to Buck.

– Piękne. – Paul przesunął palcem po wypolerowanej figurce. – Dziękuję. – Przytulił do siebie Kate, a potem z lekkim uśmiechem oznajmił: – Ja też mam coś dla ciebie.

Kate weszła za nim do środka. Wyjął z biblioteczki niewielkie pudełeczko. Było owinięte czerwonym świątecznym papierem i przewiązane wstążką. Wręczył jej prezent.

Ostrożnie rozwiązała kokardę i zdjęła ozdobny papier. Spojrzała na Paula błyszczącymi z emocji oczami. Drżały jej dłonie. Podniosła wieczko, odkrywając ułożony na bibulce naszyjnik z pereł.

Patrzyła na niego, nie mówiąc ani słowa. Może się jej nie podoba? Jest zbyt kobiecy?

– Zaryzykowałem – rzekł Paul, wzruszając ramionami. – Jeśli chcesz, mogę go zwrócić i kupić coś innego.

– Ależ nie. Bardzo mi się podoba! – Kate wyjęła biżuterię z pudełeczka. – Jest piękny.

– Kiedy byłem ostatni raz w Anchorage, zauważyłem go na wystawie w drodze powrotnej do domu. Pomyślałem, że może przypaść ci do gustu.

– Podoba mi się. Ogromnie. – Kate przyglądała się wspaniałemu sznurowi pereł. – Pomożesz mi go założyć?

– Nie będzie pasował do tego, który masz na szyi.

Paul zastanawiał się, który naszyjnik woli Kate. Ten od Mike'a miał szczególne znaczenie.

Kate szybko rozpięła podarowany jej przez Mike'a łańcuszek, a następnie odwróciła się plecami do Paula, żeby zapiął jej naszyjnik z pereł.

– Na pewno wydałeś mnóstwo pieniędzy.

– Dla ciebie żadna kwota nie jest za wysoka.

Musnęła ustami jej szyję. Zwróciła ku niemu twarz, dotykając palcami pereł.

– Cudowny prezent.

– Cieszę się, że tak uważasz.

Pocałował ją. Wezbrała w nim miłość do tej kobiety, miłość tak wielka, że o

mało nie rozsadziła mu serca. Starał się wyciszyć emocje. Ubóstwiał Kate, ale to uczucie przypominało mu zarazem o możliwości utraty ukochanej. A tego by nie zniósł.

– Lepiej połóżmy się spać – zasugerowała Kate. – Czeka nas długi dzień.

– Pójdę po latarnię. Odprowadzę cię do Warrenów. Sassa przygotowała dla ciebie posłanie.



Rano następnego dnia wyruszyli w stronę zamrożonego potoku. Paul osłaniał dłonią oczy, wpatrywał się w lazurowe niebo i próbował uspokoić nerwy kilkoma głębokimi, powolnymi oddechami. Miał niezbędne umiejętności i był gotów do pracy, ale co będzie, jeśli coś sknoci? Odwrócił się do Kate i z największą pewnością, na jaką potrafił się zdobyć, powiedział:

– Dobry dzień na lot.

– Wprost idealny.

Mężczyzna przeniósł uwagę na swój drewniany dom, nad którym w nieskazitelnym przejrzystym powietrzu snuł się dym z komina.

– Nie przeszkadzałyby ci, gdybym zabrał ze sobą kilka skór? Miałem nadzieję, że sprzedam je w karnawale.

– Ależ skąd. Jest miejsce.

Paul umieścił w samolocie torbę oraz plecak.

– Zaraz wracam – rzekł i podążył ścieżką w stronę chaty.

– Pomogę ci – zaproponowała Kate, dołączając do niego.

Wrócili do samolotu z naręczem futer.

– W tym roku kiepsko ze skórami – stwierdził Paul.

– Wydaje się, że jest ich całkiem sporo.

– Nie bardzo. W zeszłym roku miałem cztery razy tyle. – Wzruszył ramionami. – Mniejsza z tym. Od teraz i tak nie będzie zbyt dużo czasu na zakładanie potrzasków.

– Czy to problem... mam na myśli finanse?

– Nie. Żaden problem.

Liczył na to, że nie będzie drążyła tego tematu. Odziedziczył spadek, a także odłożył pieniądze, kiedy pracował w San Francisco, dzięki czemu posiadał więcej niż inni. Mimo to krępowała go rozmowa o sprawach majątkowych. Doprowadziłaby bowiem do dalszych pytań, na które nie był gotowy.

Upychał futra w samolocie, podczas gdy Kate uruchamiała korbą śmigło. Następnie wsiadła do kokpitu i zapaliła silnik. Angel zajęła swoje miejsce z przodu.

– Wybacz, piesku, ale nie dzisiaj.

Kate ściągnęła pupila z fotela. Suczka podreptała cicho na tył samolotu i umościła się na stercie koców. Z zawiedzionym wyrazem pyska położyła głowę na dużych łapach.

Paul zgiął się wpół, żeby zmieścić się na siedzeniu, i rzucił okiem na Angel.

– Nie jest zadowolona.

– Nie przejmuj się nią. Nie dzieje się jej żadna krzywda. Kiedy woź pasażerów, tam jest jej miejsce. Zwyczajnie się dąsa. – Kate omiałała wzrokiem lśniący, biały krajobraz. – Wspaniały dzień na nowy początek.

– Bez wątplenia. – Paul czuł się spięty. Czy na pewno jest gotów?

– Wszystko w porządku? – zapytała Kate.

Pokiwał głową, ale żołądek podjeżdżał mu do gardła. Zgadając się na leczenie ludzi zamieszkujących dzikie ostępy, dał się ponieść chwili. Czyżby lekkomyślnie przyjął propozycję ukochanej?

– Denerwujesz się? – Kate zwiększyła obroty silnika.

– Tak, trochę.

– Dasz sobie radę – zapewniła i pochyliła się, by go pocałować. – I to znakomicie. Przecież widziałam cię przy pracy, pamiętasz?

W Paulu rozgorzała iskierka radości.

– Dziękuję. Będę potrzebował nieco czasu, by się wdroić.

Kate ponownie skupiła się na pilotażu.

– Kto oczyścił lądowisko?

– Patrick i ja. Doszliśmy do wniosku, że skoro będziesz miała tu dodatkowe przystanki, musimy zagwarantować, że bezpiecznie posadzisz maszynę.

– Dobra robota. Dziękuję.

Umilkli oboje. Słychać było tylko warkot silnika. Samolot oderwał się od ziemi, zostawiając w dole spowity białą świat.

– To na pewno nie za duży kłopot, żebyś leciała po mnie taki kawał drogi?

– Nie zamierzam kłamać. Byłoby łatwiej, gdybyś mieszkał w Anchorage. Ale cieszę się, że zgodziłeś się to robić, mam więc motywację, by tu po ciebie przylatywać. Kocham to miejsce.

– Obiecałem, że spróbuję. Zobaczymy, jak pójdzie.

– No tak... – Umilkła, choć wydawało się, że ma ochotę coś dodać.

– Tak uzgodniliśmy, pamiętaj.

– Tak. Ustaliliśmy, że na razie tylko się przymierzamy.

Kate patrzyła prosto przed siebie, przygryzając dolną wargę. Paul wiedział, że oczekiwała od niego czegoś więcej, jednak nie czuł się jeszcze na siłach. Nie praktykował od czasu śmierci żony, czyli od niemal sześciu lat. Gdyby Susan nie umarła z jego winy, może czułby się inaczej, ale nie miał, niestety, wątpliwości, że żyłaby do dziś, jeśliby poważniej potraktował jej stan zdrowia.

– Nie będzie nas mniej więcej przez tydzień. Kto zaopiekuje się psami?

– Synowie Patricka. Ze względu na to, że Douglas jest najstarszy i najbardziej odpowiedzialny, to jemu powierzyłem ten obowiązek.

– To dobre dzieci. A są jakieś wieści od Lily? Wiem, że Sassa za nią tęskni. Musi być im wyjątkowo ciężko, ponieważ to ich jedyna córka.

– Tak. Bardzo przeżywają jej wyjazd, zwłaszcza Sassa. Choć Patrick mówił, że regularnie do nich pisuje. Znalazła pracę oraz mieszkanie w Seattle i postanowiła tam zostać. Myślę, że mogła też znaleźć sobie mężczyznę.

– I co na to Sassa?

– Wiedziała, że to kiedyś musi się zdarzyć. Lily jest urocza, przyjemnie na nią patrzeć. Przypuszczam, że Sassa się z tym pogodziła, chociaż z pewnością

wolałaby, żeby jej córka zakochała się w Alaskijczyku. Byłaby bliżej domu.

– Rozpoczęła całkiem nowe życie. Seattle to duże miasto, zupełnie nie przypomina Bear Creek. Trochę jak dla ciebie przeprowadzka tutaj z San Francisco.

Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie.

Paul zacisnął zęby. Wiedział, że Kate próbuje wyłowić jakieś informacje. Nie mógł zdradzić jej całej przeszłości, jeszcze nie teraz.

– Pewnie tak.

– Myślisz, że Lily kiedyś wróci?

– Trudno powiedzieć. – Skrzyżował ramiona na piersi. – Ale z moich obserwacji wynika, że Alaskijczyk na zawsze pozostaje w duszy Alaskijczykiem. Ma to we krwi.

– Teraz już to wiem. Kiedy wyjeżdżałam z Yakimy, mamie było ciężko. Natomiast tato rozumiał. Prawdę mówiąc, wręcz zachęcał mnie do realizacji mojego marzenia. Mama wołała, żebym nie ruszała się z miejsca, jednak myślę, że już jest jej łatwiej. Szczególnie po letnich odwiedzinach.

– Od twojej przeprowadzki minęły niemalże dwa lata, prawda?

– Miną w lipcu.

– W takim razie założę się, że nie wrócisz już do Stanów. To terytorium albo daje ci w kość w pierwszym roku pobytu, albo wciąga cię na dobre.

Baza Susitna stała spokojnie nad brzegiem rzeki, otoczona z drugiej strony lasem drzew o bezlistnych konarach. Nad chatami snuły się dymy. Paulowi zdawało się, że dostrzegł Charliego Agnaka na nabrzeżu przed sklepem. I rzeczywiście, mężczyzna zadarł głowę i pomachał, gdy mijali go w drodze na północ.

– Tu jest teraz mój dom – rzekła Kate. – Ale tęsknię za rodziną.

Paul poczuł znajomy ucisk w sercu. Nie odrywał wzroku od krajobrazu.

– Nie sądzę, by dało się tak całkiem otrząsnąć z tęsknoty za ludźmi, których kochamy. – Poruszył łopatkami, próbując rozluźnić napięte mięśnie. – Jaki jest porządek dnia?

– Pierwszy przystanek niedaleko stąd. Chata osadnika.

– Co się tam dzieje?

– Zachorował jeden z synów Kennedych. Sidney nie mówił, co mu dolega.

Kate wylądowała pośrodku rozległej polaci bieli. Wśród śnieżnych zasp, bezlistnej brzozy i karłowatych świerków stała niewielka chata. Zanim Kate zatrzymała samolot, otworzyły się drzwi i z wnętrza domu wypadł czarny pies, prawie pod szyję brodząc w śniegu. Kate podeszła do drzwi bellanki i je otworzyła.

– Cześć, Max – zawołała.

Angel wyskoczyła i puściła się pędem w stronę psa. Zwierzęta niemal się ze sobą zderzyły. Obwąchały się nawzajem, a potem odbiegły wielkimi susami, podskubując się i koziołkując podczas harców na białej łące.

– Angel wszędzie ma przyjaciół – skonstatował Paul.

– Dobrze, że dogaduje się z innymi psami. W przeciwnym razie musiałabym ciągle zostawiać ją w samolocie. Tutaj wszyscy mają psy. – Kate

wzięła Paula za rękę. – Dziękuję, że mi ją podarowałeś.

Paul delikatnie ścisnął jej dłoń.

– Nita miała dobry miot, ale kiedy wziąłem Angel na rękę, od razu wiedziałem, że będzie idealnym szczeniakiem dla ciebie.

– Miałaś rację. – Przesłała mu uśmiech, a później zaczęła przedzierać się przez śnieg w stronę chaty.

Paul ruszył za nią. Ziąb szczypał go w policzki, a także kłuł w płuca. Chciał otoczyć Kate ramieniem, jednak się pohamował. Nie wiedział, jak zareagowałaby na publiczne okazywanie uczuć.

– Jack nie jest tak przyjazny jak Max, ale nie robi krzywdy – wyjaśniła Kate, patrząc na Paula.

– Jack?

– Drugi pies Kennedych. Jest już staruszkciem, mimo to nie ma zamiaru schodzić z posterunku. Nadal stróżuje.

– Mam nadzieję, że nie będzie niezadowolony z mojej wizyty.

– Owszem, będzie. – Kobieta uśmiechnęła się szeroko i czule ścisnęła Paula za ramię.

Na ganku stał mężczyzna o bujnych rudych włosach i takiej samej kędzierzawej brodzie. Ręce wcisnął w kieszenie ogrodniczek.

– Uszanowanko.

– Witaj – zawołała Kate.

Jack odepchnął od desek ganku swój sędziwy korpus i ze zjezoną sierścią rzucił się do drzwi, ujadając.

– Już dobrze, spokój – powiedział mężczyzna, kładąc psu rękę na głowie.

Kate zbliżyła się do schodów.

– Przywiozłam doktora.

Mężczyzna zszedł po stopniach. Jack nie odstępował go na krok, jeżąc się i nieufnie lypiąc na przybyszy.

– Chciałabym przedstawić Paula Andersona, naszego nowego lekarza.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Miło mi poznać. Jestem Bill Kennedy. Cieszę się, że doktor obejrzy mojego chłopaka.

Paul uściśnął wielkie łapsko osadnika.

– Bardzo mi przyjemnie.

– Wejdźcie – zaprosił Bill. – Za zimno, żeby sterczeć na dworze.

Paul zrobił krok naprzód, ale Jack zawarczał i zatarasował mu drogę.

– Już wystarczy, Jack – zakomenderował Bill.

– Pilnuje rodziny.

Paul uznał, że pies tylko udaje groźnego, więc ukląkł i zdjął rękawicę, a potem wyciągnął do niego gołą rękę, odwracając wewnętrzną część dłoni do góry. Pies starannie ją obwąchał. Paul ostrożnie dotknął głowy psa i pogłaskał gęstą sierść. Zwierzę się uspokoiło i podeszło bliżej, podsuwając leb i ocierając się zmierzwionym bokiem o nogę mężczyzny.

– Wygląda na to, że zostałeś zaakceptowany – rzekł ze śmiechem Bill. – Jack cię nie zapomni. Wejdź.

Po dokonaniu prezentacji synowie Kennedych odeszli na bok. Wizyta lekarza wyraźnie nie wzbudziła ich entuzjazmu.

– Chodźcie, chodźcie. Nie ma się czego bać. – Bill zwrócił się do Paula. – Carl ma problem ze zdrowiem. Od ponad tygodnia boli go ucho.

Paul osłuchiwał serce i płuca chłopca. Wsadził mu termometr do ust, a następnie zbadał uszy.

– W prawym uchu rzeczywiście jest infekcja. – Popatrzył na matkę chłopca, Iris. – Zdarzało mu się to wcześniej?

– Tak. W zasadzie dość regularnie. Cztery, pięć razy do roku.

Paul wyjął termometr i odczytał temperaturę:

– Trzydzieści osiem i trzy kreski. Nie jest źle. – Schował termometr do futerału. – Można by się zastanowić nad usunięciem migdałków. Ten zabieg zazwyczaj rozwiązuje problem.

Iris pobladła.

– Dość radykalne rozwiązanie jak na chore ucho.

– Rutynowe postępowanie. Powtarzające się stany zapalne mogą uszkodzić słuch. Poza tym... nie chcę straszyć, ale czasem infekcje zagnieżdżają się w wyrostku sutkowatym, o, tutaj. – Dotknął Carla za uchem. – Jeśli do tego dojdzie, robi się poważny problem.

– Naprawdę? – Palce Iris skubały kołnierzyk sukienki. Zerknęła na męża. – Musimy to przedyskutować.

Paul uśmiechnął się i sięgnął do torby lekarskiej.

– A tymczasem proszę trzy razy dziennie wkrapiać do ucha dwie krople tego oleju. – Podał Iris lekarstwo. – Przykładanie do ucha termoforu złagodzi ból. Jest w domu aspiryna?

– Tak. Zawsze mam trochę pod ręką.

– To dobrze. – Paul zamknął torbę. – Podawajcie mu jedną tabletkę co cztery, sześć godzin. Zbiję gorączkę i zmniejszy ból. – Potar mosił włosy na czubku głowy Carla. – Za kilka dni chłopak będzie zdrow jak ryba.

– Bardzo dziękujemy za pomoc, doktorze – rzekł Bill. – Nie mamy zbyt dużo pieniędzy, ale miałem nadzieję, że przyjmie doktor kilka skór. To był dobry rok na kuny.

– W tym sezonie moje sidła zwykle świeciły pustkami. Będę wdzięczny za skóry.

Kate i Paul opuścili gospodarstwo Kennedych i ruszyli do obozu górników. Kilku wymagających pomocy lekarskiej mężczyźn stłoczono w niewielkim pomieszczeniu na tyłach sklepu wielobranżowego. Cuchnęło tam potem i niedomytymi ciałami.

Paul przedstawił się i przystąpił do pracy. Po diagnozie udzielał górnikom medycznej pomocy oraz porad co do dalszego postępowania, przepisując leczenie rozmaitych dolegliwości górników. Czas płynął niepostrzeżenie, póki nie podniósł głowy i nie ujrzał przyglądającej mu się w progę Kate.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– Dostarczyłam pocztę i zaopatrzenie.

– Mogłabyś mi pomóc?

– Yyy... oczywiście – odparła.

– Jeden z mężczyzn paskudnie rozciął sobie rękę podczas patroszenia ryb. Gdy tylko zdjąłem bandaże, zaczęła krwawić – wyjaśnił. – Mogłabyś odsącać krew, kiedy będę zszywał skórę? – Podał jej kilka gazików.

– Dobrze – zgodziła się, zerkając na skaleczoną rękę i natychmiast odwracając głowę od ziejącej rany.

– Musisz wiedzieć, co robisz – powiedział Paul.

– Jestem pilotką, a nie pielęgniarką.

Paul mruknął z rozbawieniem i zaczął dokładnie oczyszczać ranę. Następnie przystąpił do zakładania szwów. Kate dzielnie usuwała sączącą się krew, choć raz po raz uciekała wzrokiem.

Gdy ponownie wzbili się w powietrze, Paul odetchnął i rozsiadł się wygodnie na fotelu.

– Jestem wykończony.

– Nie wiedziałam, że leczenie to taka ciężka praca – zauważyła Kate.

– Czasem tak. – Otworzył jedno oko i lynął nim na towarzyszkę. – Dobrze się spisałaś. Gdybyś postanowiła zerwać kiedyś z lataniem...

– Przykro mi, to nie moja bajka. Mam nadzieję, że nie będziesz zbyt często potrzebował mojej pomocy. Kilka razy o mało nie zwymiotowałam. Zwłaszcza przy tym mężczyźnie z zakażonym palcem u nogi. Nie sądziłam, że palec może tak obrzydliwie wyglądać.

Paul zachichotał.

– Rzeczywiście był szkaradny.

Kate chwyciła dłoń Paula i delikatnie ją ścisnęła.

– Jesteś dobrym lekarzem. Jeśli będę kiedyś w potrzebie, wiem, kogo wezwać.

Puścił do niej oko.

– Dzięki. – Popatrzył na zamarznąłą tundrę w dole. – W sumie miło wrócić do pracy.

Jedynie, co pamiętał ze swej kariery lekarskiej, to uczucie kompletnej porażki. Czuł się jak morderca. Nie spodziewał się, że ten dzień przyniesie mu satysfakcję. Był zadowolony, pomagając pacjentom.

– Zapłacono ci w obozie?

– Dwóch mi zapłaciło. Górnikom chyba nie najlepiej się powodzi. Zresztą nie robię tego dla pieniędzy. – Spojrzał na nią. – A jak tobie płacą za czas spędzony za sterami?

– Kiedy ty zajmowałeś się pacjentami, doręczyłam i odebrałam kilka paczek. Tym razem nie mam dodatkowych pasażerów, ale w nadchodzących tygodniach będzie ich pod dostatkiem.

Oboje zatrzymali się na nocleg w zajeździe w McGrath. Po kolacji, na którą zjedli gulasz z karibu podany ze świeżo upieczonym chlebem, Paul odprowadził Kate do jej pokoju.

– Do zobaczenia rano.

Nie bardzo wiedział, jak pożegnać się na dobranoc. Nie chciał zszargać Kate reputacji, choć nie miał ochoty odejść bez pocałunku.

– Ależ miałam dzisiaj ubaw. Śmierdzące nogi i inne atrakcje. – Przynuszyła się do Paula. – Jestem z ciebie dumna.

– Rutynowa robota – odparł, ale jej podziw poprawił mu samopoczucie.

Kate delikatnie cmoknęła go w policzek, a potem otoczyła jego szyję ramieniem i przyciągnęła mężczyznę do siebie.

– Tak się cieszę, że razem pracujemy. – Przycisnęła usta do jego ust.

Wybuchła namiętność. Paul przycisnął kobietę do piersi i odwzajemnił pocałunek. Pragnął więcej, jednak się wycofał.

– Czas powiedzieć sobie dobranoc.

– Dobrze – rzekła Kate bez tchu. – Do zobaczenia rano.

Na jej ustach błąkał się łagodny uśmiech.

– Do jutra – zdołał wykrztusić Paul.

Przez kilka kolejnych dni Kate i Paul przenosili się z wioski do wioski. Pod koniec czwartego dnia podróży lecieli wzdłuż wybrzeża Morza Beringa. Paul koniecznie chciał odwiedzić Kotzebue. Nie widział się z Joem i Neną od czasu wypadku Kate. Był ciekaw, jak Nena daje sobie radę.

Patrzył na bezkresny, zmrożony krajobraz.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego... Całe kilometry... niczego.

– Lodu i wiatru. Od czasu do czasu można dostrzec watahę wilków albo niedźwiedzia. Osady są rozproszone. Głównym ośrodkiem jest Nome. Mają tam lekarza, ale i tak będziemy czasem zaglądać w to miejsce, żeby podrzucić pasażerów i zaopatrzenie albo zabrać ludzi i towary.

Mężczyzna powrócił do obserwacji skutego lodem oceanu.

– Trudno sobie wyobrazić, że taki ogrom wody może zamarać.

Kate spojrzała na lodową pokrywę.

– Zawsze czuję się tu taka mała.

– Raczej mikroskopijna.

– Za to nigdy nie doskwiera mi samotność. To niezwykła kraina, ogromna, bezkresna. Patrząc na to dzieło stworzenia, czuję obecność Boga. I wiem, że On widzi, jak tędy przelatuję. – Uśmiechnęła się.

– Tak myślisz? Chciałbym mieć twoją wiarę. Niektóre wydarzenia w życiu potrafią mocno nią zachwiać.

Kate obrzuciła go badawczym spojrzeniem, ale nic nie odpowiedziała. Zerknęła na zegarek.

– Zbliżamy się do Kotzebue. To dobrze. Przed wpół do czwartej zapadnie zmrok.

Paul nie chciał nawet myśleć o zawodzie, jakiego doznał ze strony Boga. Siłą woli odepchnął od siebie wspomnienie Susan oraz wszystkiego, co wydarzyło się w San Francisco, i pozwolił oczom błądzić po górskim grzbiecie przecinającym połacie białego lodu.

– Góry i ziemia zlewają się ze sobą – powiedział, obserwując arktyczne pustkowia. – Zdumiewające. – Odwrócił się do Kate. – Dziękuję za pokazanie mi Alaski. Przez tyle czasu siedziałem zaszyty w lesie i nie zdawałem sobie

sprawy, że jest tu tyle do zobaczenia.

– Za rok będziesz doskonale znał te ziemie... i żyjących tu ludzi. – Usta Kate wygięły się w łagodnym uśmiechu, gdy chłonęła wzrokiem rozciągający się na północ biały przestwór. – Kocham Alaskę.

Zwróciła oczy na morze.

– Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżywa w tej chwili Amelia Earhart [1]. To musi być niesamowita przygoda. Przelatuje nad miejscami, których nie osiągnął jeszcze ludzki wzrok. Chciałabym czegoś takiego doświadczyć.

– Chciałabys oblecieć świat dookoła? – zapytał Paul, kręcąc głową.

– Tak. Wyobrażasz to sobie?

– To by była przygoda. – Paul zachichotał. – Ale ona musi być lekko stuknięta, nie uważasz? Kobieta i nawigator, zdani tylko na siebie, przemierzający tysiące kilometrów nad nieznanym terytorium, zmagający się z wszelkimi możliwymi warunkami pogodowymi. Nie wspominając już o zawodności samolotów.

– Ma najlepsze wyposażenie, a w dodatku jest w kontakcie z personelem naziemnym. – Kate błyszczały oczy, zdawała się nie zważać na niebezpieczeństwa. – Pomyśl tylko: lot nad Indiami, Australią i...

– Niech ci nic szalonego nie przychodzi do głowy. – Paula ścisnęło w dołku. Czasami Kate sprawiała wrażenie osoby całkowicie wyzutej ze zdrowego rozsądku. A mimo to kochał w niej właśnie tę odwagę i ducha przygody.

– Nie przyjdzie. Zresztą i tak nie byłoby mnie stać na taką eskapadę. Ale marzę o poznaniu kiedyś tej kobiety.

Nim dotarli do Kotzebue, słońce, jakby wyprane z wszelkich barw, spoczywało na linii horyzontu. Rozpalono już ognie i rozstawiono je wzdłuż lądowiska.

Gdy tylko koła samolotu dotknęły ziemi, Joe Turchik już spieszył na powitanie. Paul otworzył drzwi, Angel dała susa na ziemię, a tuż za nią Kate. Joe się uśmiechnął. Migdałowe oczy niemal zniknęły w okrągłej, ogorzalej twarzy.

– Cieszę się, że cię widzę.

– Dobrze, że znów tu jestem – rzekła Kate. Odwróciła się do Paula. – Pamiętasz Paula? Był w szpitalu, kiedy Nena leżała tam po wypadku.

– Pamiętam. Pomogłeś uratować moją Nenę. Dziękuję. – Joe uściśnił Paulowi dłoń. – Witaj w Kotzebue.

– Cieszę się, że mogłem tu przyjechać. – Paul patrzył na wioskę położoną pośród lodów Arktyki. Przenikliwy wiatr targał rąbkiem kaptura i szczypał w policzki. Mężczyzna ciaśniej otulił się kapturem. – Przeraziłwicie tu zimno.

– Eh, wy, przybysze z południa – powiedział ze śmiechem Joe.

We troje, wspólnymi siłami, zabezpieczyli bellankę Kate. Spuścili olej, przykryli silnik, mocno przywiązali maszynę i dopiero wtedy ruszyli do wioski. Wiatr podnosił z zamrożonej ziemi drobinki lodu, które wirowały, tworząc w gasnącym świetle dnia skrzącą się mgłę.

Podczas tej podniebnej podróży Paul nabral jeszcze większego podziwu dla

Kate. Była zupełnie wyjątkową kobietą. Chwycił ją za ramię i zatrzymał. Joe szedł dalej przed siebie.

– Kate.

Jak wyrazić to, co czuje?

– Tak?

Patrzyła na niego ze zdziwioną miną.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała... że nie rozumiałem. – Głośno odetchnął. – Przez cały czas... nie pojmowałem... dlaczego podejmujesz takie ryzyko, dlaczego prowadzisz takie życie, jaki wpływ wywierasz na innych. Jestem z ciebie ogromnie dumny. – Zerknął na plecy Joego i szybko cmoknął Kate. – Jesteś niesamowita.

– Wcale nie. – Łzy cisnęły się jej do oczu. Pokręciła głową. – Daleko mi do tego.

– Nieprawda – zaprotestował. – Nie pozwól, by przeszłość stanęła ci na drodze.

– Nie pozwalam. Dlaczego robisz to ty?

Wiatr i ziąb zagnały Paula do domu Turchików, podzielonego na część sklepową i mieszkalną. Wnętrze było niewielkie, wręcz przegrzane, zagracone prowiantem i meblami, pachnące gotowanym mięsem.

Troje malców pognąło do Kate na leb na szyję i obsypało ją uściskami. Najmłodsze z nich, dziewczynka, przywarło do jej nóg. Paul zastanawiał się, czy kiedykolwiek widział piękniejsze dzieci. Proste czarne włosy okalały okrągłe, śniade buzie.

Kate objęła całą trójkę na raz.

– Och, ależ się za wami stęskniłam.

Angel wcisnęła się między dzieci. Zanurzyły ręce w sierści psa, a mniejszy z dwóch chłopców objął go ramionami za szyję.

– Cześć, Angel. Jesteś najfajniejszym psem na świecie.

Wyższy zadarł głowę i uśmiechnął się do Kate.

– Cieszymy się, że przyjechałaś.

– Ja też się cieszę – odparła i jeszcze raz go uściskała.

Tulący się do suczki chłopczyk oznajmił:

– Mam coś dla ciebie. – Podbiegł do stołu, wziął do ręki kartkę papieru i pędem wrócił do Kate. – To obrazek z kwiatami i górami. Tak jak wyglądają latem. – Pokazał swoje dzieło i dotknął rysunku. – A to jest słońce.

– Jaki świetny rysunek, Nick – pochwaliła Kate, przyjmując prezent. – Miło sobie przypomnieć, jak jest tu pięknie, kiedy słońce mocniej przygrzewa.

Chłopiec uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Latem często świeci u nas słońce.

Mala dziewczynka podniosła ramiona, domagając się tym samym wzięcia na ręce. Kate podniosła ją i posadziła sobie na biodrze.

– Mary, przysięgam, że od naszego ostatniego spotkania przybrałaś z pięć kilogramów.

– Zmiata wszystko z talerza, pewnie wkrótce przerośnie braci – rzekła Nena, która wyglądała jak kopia dziewczynki, tylko starsza.

– Oby tak dalej. – Kate położyła dłoń na głowie starszego z chłopców. – Peter, jak ty urosłeś. – Krępy chłopak wyprostował się jak struna, chcąc dodać sobie centymetrów.

Kate rozejrzała się po wnętrzu. Choć wypełniały je sklepowe towary, Nenie udało się stworzyć domowy klimat.

– Dobrze być tu u was.

Nena otoczyła ramionami Kate i Mary.

– Jesteśmy wdzięczni losowi, że mogliśmy cię poznać. – Następnie zwróciła się z uśmiechem do Paula. – Miło znów cię widzieć.

– Świetnie wyglądasz. – Ściągając rękawice, Paul przyglądał się zdrowej, brązowej twarzy. – Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Żadnych bólów i zawrotów głowy?

- Żadnych. Zupelnie nic - odparła. - Miewam drobne problemy z utrzymaniem równowagi, ale jest coraz lepiej. - Pokazała w uśmiechu białe zęby. - Dziękujemy, że przyjechałeś. Wielu mieszkańców wioski chciałoby się z tobą zobaczyć.

- Świetnie. No i cieszę się, że jesteś w dobrej kondycji. Lekarze nie byli pewni, czy się wykaraskasz. - Paul poczuł gulę w gardle na wspomnienie Joego czuwającego przy łóżku Neny. Nie różniło się wiele od czuwania, które stało się kiedyś jego udziałem, z tą różnicą, że tamto nie miało szczęśliwego zakończenia.

- Muszę podziękować Bogu i dobrym lekarzom. - Nena podniosła wzrok. - On był przy mnie, tak samo jak Kate. Nie przeżyłabym, gdyby nie wyciągnęła mnie z wraku i się mną nie zaopiekowała. - Jeszcze raz uściśniła Kate.

- Nigdy bym cię nie opuściła - wyznała Kate. - Przeżyliśmy prawdziwą przygodę. - Objęła Nene jedną ręką.

- Dziękujemy Bogu i ludziom - powiedział Joe, a zwróciwszy się do Paula, dodał: - Zaś mieszkańcy Kotzebue są przeschęśliwi, że mogą zasięgnąć porady lekarza.

- Mam nadzieję, że się na coś przydam. - Paula nie odstępował strach. A jeśli sprawi zawód?

- To moje dzieci. - Joe ruchem głowy wskazał jednego z chłopców. - Nick ma pięć lat. - Uśmiechnął się do Paula. Najwyższy z trójki stał u boku ojca. Joe położył mu dłoń na ramieniu. - Peter siedem. - Na koniec odwrócił się do Kate trzymającej w ramionach małą dziewczynkę. - A Mary dwa.

Nena podeszła do kuchennego pieca.

- Ugotowałam gulasz z karibu. Mam nadzieję, że będzie wam smakował. - Uchyliła pokrywkę, z rondla buchnęła para. Zamieszała potrawę drewnianą łyżką.

Joe przeszedł do pokoju i opadł na krzesło.

- Siadaj, Paul.

Wziął fajkę i tytoń ze zrobionego z pustej beczki stołu i przekazał je swemu gościowi.

- Dziękuję. - Mężczyzna nabił fajkę, uciskając tytoń kciukiem. Joe podał ogień, Paul pociągnął, aż w powietrzu uniósł się dym. Kilka razy pyknął, po czym oddał fajkę gospodarzowi. - Dobra - powiedział, chociaż smakowała tanim tytoń.

- Nie za bardzo - odparł Joe. - Ale ujdzie. - Nabił kolejną, ścisnął w zębach ustnik i zaczął wciągać powietrze przez cybuch. - Byleś już kiedyś w Kotzebue? - Wygodniej usadowił się na krześle.

- Nie. Jest tu zupełnie inaczej niż w moich stronach nad Bear Creek. Ale Kotzebue sprawia wrażenie przyjemnego małego miasteczka. - Nie do końca była to prawda. Sklepów jak na lekarstwo, domy i rozmaite warsztaty były ciasne i wymagały remontu, jednak Paul nie zamierzał szczerzyć komplementów. Rozumiał, jak ważne jest dla mieszkańców ich najbliższe

otoczenie.

– Większość ludzi tu nie dociera. – Joe skrzyżował nogi. – Podoba ci się nad Bear Creek?

– Tak. Drewna w bród, mam tam przytulną chatę i miłych sąsiadów. Ryby biorą, polowania też się udają.

Joe pokiwał głową i skupił się na paleniu. Paul poszukiwał w myślach tematu do dalszej rozmowy. W końcu zapytał:

– Dużo polujesz?

– Pewnie. Na fok i niedźwiedzie. Czasem na karibu lub losie. Latem w rzekach roi się od ryb. – Mocno pociągnął fajkę i nie patrząc na Paula, zapytał:

– Chciałbyś złowić dorsza?

– O tej porze roku? Tutaj?

– Znajdują się pod lodem. Wystarczy wyrąbać przerębę i już są twoje. – Uśmiechnął się. – Mogę cię nauczyć, jeżeli chcesz.

– Tak, chętnie.

Z kuchni, gdzie Kate i Nena kończyły przygotowania do kolacji, niosły się chichoty. Paul więc wpadł w pułapkę wspomnień, przywołując obraz Susan i jej siostry. Stały tak samo, bok przy boku, wspólnie gawędząc i gotując. Ból, który ścisnął serce, zaczął dławić gardło. Czy kiedykolwiek uwolni się od tej tęsknoty?

– Myślę, że jutro zgłosi się do ciebie wiele osób. – Słowa Joego wyrwały Paula z zadumy.

– Tak? Ilu się spodziewasz?

Joe wzruszył ramionami.

– Prawie całego miasteczka. Nawet jeśli nic im nie dolega, przyjdą cię poznać i sprawdzić, czy jesteś dobrym lekarzem. – Joemu śmiały się oczy.

– Już nie mogę się doczekać.

– Niektórzy są nieufni wobec osób z zewnątrz. – Mężczyzna wyjął fajkę z ust. – Przyzwyczaili się do Alexa Toognaka, naszego znachora. Jest mądry i wiele potrafi.

– Może nas sobie przedstawiś. – Paul szanował tradycyjne praktyki, wierząc, że jest miejsce zarówno dla nowoczesnej medycyny, jak i uświęconych tradycją metod leczenia. Wiedział, że gdyby jego poglądy dotarły do innych lekarzy, zostalby wyśmiany, nie mógł jednak odmówić skuteczności naturalnym sposobom uzdrawiania. – Joe, może gdybyś rozpuścił wieści, że nie jestem tu obcy, byłoby łatwiej. Mieszkam na Alasce od prawie pięciu lat.

Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Każdy, kto nie mieszka w Arktyce, uchodzi za przybysza z zewnątrz.

Paul parsknął śmiechem. *Tu rzeczywiście można poczuć się jak na krańcu świata.*



Po kolacji rodzina zgromadziła się w pokoju od frontu. Joe obiecał opowiedzieć dzieciom jakąś historię.

Kate usiadła na podłodze obok krzesła Paula. Zauważył porozumiewawcze

spojrzenie, które wymieniły między sobą kobiety, i kątem oka dostrzegł, jak Nena tłumii chichot. Kate musiała jej o nich powiedzieć. Poczul, jak w środku rozchodzą się przyjemne ciepło. Delikatnie ścisnął jej ramię. Oparła się o jego nogę. Spodobał mu się ten gest.

Migotały płomienie świec oraz lampionów, rzucając na ściany chybottliwe cienie. Dzieci wyczekiwały z płonącymi oczami.

– Opowiedz nam o tym wielkim wielorybie – poprosił Peter.

– Nie. Ja chcę o niedźwiedziu, co ukrywa się w śniegu – zażyczył sobie Nick.

Joe usiadł z chłopcami na podłodze. Milczał przez długą chwilę, a potem rzekł:

– Dzisiaj opowiem wam coś nowego. O ptakach, które ocaliły ludzkie życie.

– Ptaki uratowały człowieka? – zdziwił się Peter. – Jak to możliwe?

– Z Bożą pomocą wszystko jest możliwe – odparł z uśmiechem Joe.

– No, opowiadaj – niemal wykrzyknął zniecierpliwiony Nick.

– Biblia mówi, że dawno temu żył mężczyzna imieniem Elias. Był prorokiem jedyne go prawdziwego Boga.

Chłopcy nie spuszcza li wzroku z twarzy ojca. Leżąca w ramionach matki Mary wydawała się senna.

Paul dał się uwieść pomysłowi wieczornej gawędy, ale historia biblijna go nie interesowała. Żałował, że nie może się jakoś grzecznie wymówić.

– W krainie zamieszkiwanej przez Eliasza od bardzo dawna nie padał deszcz, ale on zapowiedział ludziom, że tak się stanie.

– Dlaczego zatrzymał deszcz? – zapytał Peter.

– Nie on go powstrzymał. Zrobił to Bóg. Elias uprzedził tylko króla, że nadsięga susza.

Peter pokiwał głową, jednak wydawał się zbity z tropu.

– Nie zawsze pojmujemy, dlaczego Bóg coś czyni, lecz On ma stałe rację.

Gdy Joe skończył opowieść, Peter zapytał:

– Jak to się stało, że ptak nakarmił człowieka?

– Dzięki potędze Boga, który może uczynić wszystko.

Joe uśmiechnął się do syna, marszcząc kąciki oczu.

Usłyszawszy tę odpowiedź, Paul z trudem powstrzymał grymas. *Cóż było słusznego w odebraniu mi żony i syna? Czemu miało to służyć?*

Nena wstała.

– Czas kłaść się do łózek.

Dzieci uściskały wszystkich na dobranoc, a Nena zagoniła je do pokoju na tyłach domu. Wróciła po kilku minutach z naręczem koców.

– Kate, pościeliłiśmy ci w pokoju razem z dziećmi. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Ależ skąd.

– Mamy cienki materac, na którym możesz się przespać – zwróciła się do Paula. – Joe zaraz go przyniesie.

– Doskonale. – Paul wstał. – Trzeba się wyspać. Zapowiada się pracowity dzień.

Kate uonościła się pod kocami przy wtórze cichego pochrapywania dzieci, błędząc myślami wokół kilku ostatnich dni. Praca z Paulem dawała jej satysfakcję. Im dłużej go obserwowała, tym bardziej wzrastał w niej podziw. Miał wysokie kwalifikacje. Ona zaś zwykle chętnie mu asystowała.

Umacniała się ich wzajemna więź. Mimo to Kate odnosiła wrażenie, że Paul coś przed nią zataja. Nie opowiadał o swoim życiu przed przyjazdem na Alaskę, a za każdym razem, gdy ten temat pojawiał się w rozmowie, z miejsca przeskakiwał na inny. Co ukrywa? Zapewne coś naprawdę okropnego, ponieważ najwyraźniej odebrało mu to wiarę. Paul miał coś za złe Bogu.

Przeturlała się na bok. Tak czy owak, nie mogła wyciągnąć z niego żadnych zwierzeń. Jednak w swoim czasie będzie musiał jej powiedzieć. Zасыpiając, szeptem pomodliła się za Paula.

Kate otworzyła oczy i rozejrzała się po słabo oświetlonym pokoju. Ziewnęła, przeciągnęła się, prostując ramiona nad głową. Dzieci już nie było. Wtedy przypomniała sobie, że wkrótce zaczną przychodzić do Paula pacjenci. Może nawet już są. Odrzuciła koce i usiadła. Będzie mu potrzebna.

Zanim znalazła się w kuchni, Nena zdążyła już przygotować śniadanie: naleśniki i jajka. Paul siedział przy stole i pałaszował.

Ktoś postawił szafkę między częścią kuchenną a pokojem dziennym. Kate domyśliła się, że ma posłużyć za parawan.

– Napijesz się kawy? – zapytała Nena.

– Tak, dziękuję – odparła i usiadła naprzeciwko Paula. – No więc? Gotów?

– Absolutnie – zapewnił z nieco przesadną gorliwością.

Kate zastanawiała się, czy Paul się denerwuje. Z pewnością od dawna nie przyjmował regularnie pacjentów.

Nena postawiła przed nią filiżankę.

– Nie ma mleka. Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Kate wypila lyczek. – Gdzie jest Joe?

– Pomaga koledze naprawić sanie. Głodna?

– Jak wilk. Śniadanie pachnie wyśmienicie. – Kate podniosła głowę i napotkała wzrok Paula. Czując się w obowiązku coś powiedzieć, zapytała: – Dobrze spałeś?

– Tak. – Odchylił się na oparcie krzesła. – A ty?

– Jak susel.

Paul nie przestawał się jej przypatrywać. Na jego twarzy podziw mieszał się z rozbawieniem. Kobietę przeszedł przyjemny dreszcz.

Nena postawiła przed nią talerz naleśników i jajek.

– Dziękuję, Neno. Niepotrzebnie robiłaś sobie tyle kłopotu.

– Ależ potrzebnie. Dziś przed wami ciężka praca. Trzeba zjeść solidny posiłek.

– Pachnie tak, że aż cieknie ślinka. – Kate posmarowała naleśniki masłem. – Ponieważ nie pomagałam przy śniadaniu, pozmywam chociaż naczynia.

– Nic z tego. Jesteś gościem, no i oboje musicie mieć siły. Paul mówił, że mu pomagasz.

Kate spojrzała na niego z drugiej strony stołu.

– A więc znów mam być pielęgniarką?

Nabił na widelec ostatni kęs naleśnika, zanurzył go w kałuży syropu i wsadził sobie do ust.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu. Doskonale sobie radzisz.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Ludzie już tu są.

Nena pospieszyła otworzyć. Przed wejściem stała kobieta z dwójką dzieci, kuląc się z zimna.

– Podobno przyjmuje tu lekarz?

– Tak. Wejździe.

Nena otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się do środka. Miała minę jak dziecko w wigilijny wieczór.

– Paul, twoi pierwsi pacjenci – oznajmiła.

Mężczyzna wstał.

– Chwileczkę. Wezmę tylko torbę.

Odnosił talerz do kuchni, wstawił do zlewu, a następnie pospieszył do pokoju, chwytając po drodze torbę lekarską.

Nena sprzątnęła ze stołu.

– Przepraszam, Kate. Będziesz musiała dokończyć śniadanie na stojąco.

– Nic nie szkodzi.

Kate zabrała talerz i kubek i stanęła przy zlewie. Dokończyła jajka, dopiła kawę, odstawiła naczynia na blat i rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia.

Paul postawił torbę na stole, otworzył ją, po czym zwrócił się do kobiety z dziećmi.

– Dzień dobry. Proszę usiąść – powiedział, wskazując głową krzesło.

Usłyszeli kolejne pukanie. Nena szybkim krokiem poszła otworzyć, szurając skórzanymi butami o podłogę. Kate kręciła się w pobliżu Paula, na wypadek gdyby jej potrzebował.

Nie minęło wiele czasu, a pokój szczerlnie wypełnił się pacjentami. Niektórzy wyglądali zdrowo, inni natomiast wydawali się naprawdę chorzy. Kate zachodziła w głowę, czy uda się przyjąć wszystkich w ciągu jednego dnia. Była zajęta zapisywaniem nazwisk oraz powodów wizyty. Najbardziej chorych przesunięto na początek kolejki. Chwilami Paul potrzebował jej pomocy przy uspokojeniu dziecka albo przytrzymaniu kompresu lub zszywaniu rany.

Gdy nastoletni chłopiec zszedł z krzesła dla pacjenta, Paul zwrócił się do siwowłosego mężczyzny, który człapał w jego stronę.

– Dzień dobry – przywitał go. – Czym mogę służyć?

Starszy mężczyzna podejrzliwie przyglądał się nowemu lekarzowi.

– Zawsze chodzę do Alexa Toognaka. On zna się na dawnych sposobach.

– Z pewnością bardzo dobrze leczy – odparł Paul. – Może pan udać się do niego, jeśli ma pan takie życzenie.

Pacjent spojrział na swoje ręce.

– Już byłem. Odesłał mnie tutaj.

Starszy człowiek usiadł na krześle. Paul przysunął sobie drugie i zajął

miejsce naprzeciwko mężczyzny.

– Nazywam się Paul Anderson. Miło mi pana poznać...

– George Chilligan.

– Jak mogę panu pomóc?

– Mam spory... – Zerknął w kierunku pokoju. Ściszywszy głos, kontynuował: – Ciągłe kapie mi z nosa. Zużywam dziennie dwie, trzy chustki. Nic na to nie działa.

Paul sięgnął do torby i wyjął latarkę.

– Muszę obejrzeć. – Odchylił głowę pacjenta w tył, poświecił latarką, zajrzał do nosa, a potem przycisnął szpatułką język i obejrzał jamę ustną oraz gardło. Na koniec obmacał szyję. – Żadnych objawów infekcji. – Rozmyślał przez chwilę. – Czym oświetla pan dom?

– Lampą oliwną.

– Na wielorybi tran?

George pokiwał głową.

– Mocno kopci?

– Czasami. Wszystkie kopcą.

– To może być przyczyną problemu. Jeśli będzie pan dbał o napełnianie lampy dużą ilością oleju i krótko przycinał knot, powinno być mniej dymu. Chciałbym także, by spróbował pan płukać nos słoną wodą. To powinno pomóc.

Mężczyzna patrzył na niego długą chwilę, aż wreszcie zapytał:

– Jak to się robi?

Gdy Paul wyjaśnił sposób postępowania, George odszedł bez słowa, nie mówiąc nawet „dziękuję”.

– Nie przejmuj się nim – rzekła Nena. – To dziwak.

– Nie przejmuję się – odparł Paul z szerokim uśmiechem. – Właściwie lubię ludzi, którzy są nieco szorstcy w obejściu. Dodają życiu smaku.

Pacjenci przewijali się przez cały dzień. Paul leczył zapalenie oskrzeli, dolegliwości żołądkowe, ból gardła, zakażenia skóry, a także wrywał zepsute zęby. Kate pamiętała ten zabieg aż za dobrze. Choć mieszkańcy chodzili zwykle do Alexa Toognaka, z zadowoleniem przyjęli prawdziwego lekarza. Większość dziękowała Paulowi przed wyjściem. Płacono pieniędzmi, futrami i tytoniem, a jedna z kobiet podarowała mu słoik bazyńowego dżemu.

Kate obserwowała jego wielkoduszność i szczerą troskę o pacjentów, a jej miłość rosła. Dlaczego Bóg postawił na jej drodze tak wspaniałego mężczyznę i dlaczego Paul ją pokochał? Nie знаła odpowiedzi, ale była wdzięczna za te dary.

Ostatni pacjent wyszedł, gdy Nena kończyła szykować kolację. Paul i Kate nie jedli nic od śniadania. Nie było na to czasu. Kate nagle uświadomiła sobie, że z głodu kiszki grają jej marsza.

– Zjecie zupę i buleczki? – zapytała Nena.

– Z wielką chęcią – odpowiedzieli jednocześnie. Popatrzyli na siebie i parsknęli śmiechem.

Wszyscy z wyjątkiem Petera usiedli do stołu.

– Gdzie Peter? – zapytała Kate.

– Powiedział, że nie jest głodny. Boli go brzuch. – Nena zerknęła na Paula. – Nie chciałam zwracać ci głowy bólem żołądka.

– Żaden kłopot. Obejrzą go. – Mężczyzna wstał. – Gdzie on jest?

– W łóżku.

Nena zaprowadziła go do dziecięcego pokoju. Chłopiec leżał na boku, był błydy i miał gorączkę. Kate zdjęła trwoga. Wcześniej Peter wydawał się zdrowy.

Paul klęknął przy łóżku.

– Nie za dobrze się czujesz, co?

Trzymając się za brzuch, chłopiec pokręcił głową.

– Powiesz mi, gdzie boli?

Peter dotknął nadbrzusza. Paul kiwnął głową i położył rękę na jego czole. Obejrzał się przez ramię na Nenę.

– Ma gorączkę. Prawdopodobnie jakiś wirus. Nie sądzę, by było się czym martwić.

Czoło Neny zmarszczyło się ze strapienia.

– Po obiedzie mówił, że źle się czuje. A teraz wygląda gorzej.

Paul powrócił do młodego pacjenta.

– Peter, mógłbyś przewrócić się na plecy?

Z cichym jękiem chłopiec wykonał polecenie. Patrząc na matkę wystraszoną wzrokiem. Paul ostrożnie zbadal mu brzuch.

– Czy tu boli?

Syn Neny pokręcił głową.

– A tu?

Mężczyzna delikatnie przycisnął dwa palce z prawej strony. Twarz Petera wykrzywił grymas.

– Au!

– Tutaj?

Przesunął rękę na lewą stronę i lekko ucisnął. Chłopiec zaprzeczył.

– Hmm. Ból jest najostrejszy w okolicy wyrostka robaczkowego. Nie można jednak definitywnie stwierdzić, czy to wyrostek. – Wyprostował się. – Będziemy go obserwować i zobaczymy, co dalej.

Nena została z synem, a reszta powróciła do stołu.

Gdy Kate zaspokoiliła głód, dopadło ją zmęczenie. Kleiły się jej oczy. Mimo tego Nick zdołał namówić ją na grę w Piotrusia. Paul i Joe gawędzili, a ona musiała stawić czoło nieustępliwości pięciolatka, który wyraźnie znał wiele karcianych gier.

Pokonana trzykrotnie przez Nicka, Kate udała się do swojej prowizorycznej sypialni. Joe urządził ją w pomieszczeniu, które wyglądało jak domowy składzik. Przepraszał, ale nie chciał, by choroba Petera zakłócała jej sen. Ułożwszy się wygodnie pod ciepłymi kocami, powoli zapadała w sen, rozmyślając o mieszkańcach Kotzebue. Miała za sobą udany dzień.

Jednym z najciekawszych momentów była wizyta kobiety w zaawansowanej ciąży. Paul pozwolił Kate użyć stetoskopu, by posłuchała bicia serca dziecka. Kiedy usłyszała stłumione uderzenia, zapłonęły jej oczy i

krzyknęła z radości. Uznała, że to prawdziwy cud. Zamknęła oczy i zastanawiała się, czy kiedykolwiek usłyszy bicie serduszka własnego dziecka.

Nie wiedziała, jak długo spała, gdy nagle Nena wyrwała ją ze snu.

– Kate – rzekła zdenerwowanym głosem. – Obudź się.

Kate podniosła się na łokciu, wciąż jeszcze półprzytomna.

– Co się stało?

– Paul cię potrzebuje.

– Mnie? Dlaczego? Coś się dzieje?

– Peter jest bardzo chory.

Kate natychmiast otrzeźwiała. Błyskawicznie się ubrała i poszła za Neną do kuchni. Peter leżał na stole. Był przerażony i wyglądał naprawdę marnie. Joe dołożył drewna do piecyka, choć i tak było nieznośnie gorąco.

– Co mu jest? – zapytała Kate.

Paul rozkładał na stole narzędzia chirurgiczne.

– Jestem całkowicie pewien, że to zapalenie wyrostka. – Odciągnął ukochaną na bok, z dała od uszu pacjenta, i wyjaśnił półszepem: – Jeśli pięknie, chłopak może umrzeć. Trzeba wyciąć.

Kate oberwało się coś w żołądku. Spojrzała na Petera, nie będąc w stanie wyobrazić sobie śmierci tego żywego jak srebro dziecka.

– Umiesz to zrobić?

– Tak. – Jego twarz przybrała posępny wyraz. – Ale nigdy nie operowałem w tak prymitywnych warunkach.

– Ja w ciebie wierzę – odparła, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Paul przeniósł wzrok na Nenę, a potem z powrotem na Kate.

– Ktoś musi mi asystować. Nena zajmie się znieczuleniem.

Serce Kate zaczęło bić jak szalone.

– Z trudem znoszę śmierdzące męskie nogi. Jak możesz ode mnie oczekiwać asysty przy operacji? Nie dam rady.

– Będziesz tylko pomagała. – Ciemne oczy Paula świdrowały Kate. – Potrzebuję cię. – Zerknął na Joego. – Poradzisz sobie lepiej niż Joe.

Nerwowo zaczerpnęła powietrza. Nie miała wyboru.

– Co mam robić?

Paul umył i osuszył ręce, a potem podszedł do stołu, na którym pod prześcieradłem leżał Peter. Pochylił się nad chłopcem i uśmiechnął. Kojącym głosem powiedział:

– Zanim się obejrzysz, będziesz jak nowy.

Kate nerwowo westchnęła i próbowała rozluźnić napięte mięśnie. Czy da sobie radę? Ukradkiem zerknęła na Joego. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się ze strapienia, oczy pociemniały. A potem spojrzenie Kate padło na małego Petera. Tak, poradzi sobie, zrobi wszystko, co trzeba.

– Co będziecie robić? – zapytał chłopiec drżącym głosem.

Paul położył mu dłoń na ramieniu.

– Mam zamiar wyjąć twój chory wyrostek. – Delikatnie ścisnął mu ramię. – Mama i tato są tu obok. Kate też.

– Jak zamierzasz to zrobić?

Paul nie odpowiedział od razu.

– Wiesz... mam takie lekarstwo. – Zdjął znad płomienia świecy zbiorniczek z eterem, który w ten sposób podgrzewał. – Ono sprawi, że zaśniesz, a kiedy się obudzisz, twój wyrostek już nie będzie. Poczujesz się dużo lepiej.

Peter popatrzył na matkę szeroko otwartymi ze strachu oczami, a potem na stojącego obok niej ojca. Nena delikatnie pogłaskała go po głowie.

– Tatusz i ja jesteśmy przy tobie. Doktor Anderson jest dobrym lekarzem.

Wycisnęła pocałunek na czole synka.

Paul wyłożył gazą maseczkę.

– Przyłożę ci ją do nosa. Oddychaj normalnie, a wkrótce zaśniesz.

Przykrył maseczką nos i usta chłopca, a następnie odmierzył dwie krople eteru i nasączył nimi gazę. Peterowi zamknęły się oczy.

Paul obserwował go przez chwilę, a później rzekł:

– Neno, trzymaj maseczkę przy nosie, a jeśli zauważysz, że Peter się rusza albo zachowuje tak, jakby miał się obudzić, dodaj jedną kroplę eteru. Nie więcej. – Uniósł brwi. – Daj znać, gdyby choć odrobinę siniąły mu usta albo skóra robiła się nienaturalnie biała. I kontroluj oddech, pilnuj, żeby za bardzo nie zwalniał.

– Będę obserwował – zapewnił Joe.

– Czy to niebezpieczne lekarstwo? – zapytała Nena.

– Jest skuteczne, jednak trzeba zachowywać ostrożność. – Dodał jej otuchy uśmiechem. – Wiem, co robię. Chłopak wyjdzie z tego bez szwanku.

Gdy kobieta wzięła eter i przyłożyła dłoń do maseczki, w jej oczach błysnęła strach. Ale ręka nawet nie zadrżała.

Paul zwrócił się do Kate.

– Ty będziesz musiała tamować nadmierne krwawienie. Poza tym jest tu gorąco, więc gdybyś ocierała mi pot z czoła i oczu, bardzo ułatwiłoby mi to

pracę.

Kate zdała sobie sprawę, że zaciska zęby. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek była tak przerażona.

– Jak się tamuje...

– Tym zaciskiem. – Paul pokazał przedmiot przypominający szczypcę z długą rączką. Włożył do nich grubą gazę i podał je Kate. – Weź więcej gazy opatrunkowej, jeśli okaże się potrzebna.

Chwyciła zacisk. Starła się opanować drżenie ręki, ale nie całkiem się jej udawało. Paul poklepał ją po dłoni.

– Jesteś do tego stworzona.

Uśmiechnął się, by podnieść ją na duchu, jednak dostrzegła w jego oczach niepokój. Czyżby i on się bał?

Paul zbadał Petera, podnosząc mu powieki i zaglądając w źrenice. Sięgnął po stetoskop, osłuchiwał serce, następnie odsunął prześcieradło i przyglądał się, jak faluje pierś. Nasączył gazę płynem z buteleczki i posmarował brzuch dziecka, pozostawiając na skórze czerwono-brązową plamę. Zerknąwszy na Nenę i Kate, zapytał:

– Gotowe?

Obie kobiety skinęły głowami, choć Kate wcale nie czuła się gotowa. Była przecież pilotką, nie pielęgniarką, i wiele by dała, żeby znajdować się w tej chwili zupełnie gdzie indziej.

Paul pieczołowicie wziął do ręki nożyk z małym uchwytem. Kate poczuła, jak napinają się jej wszystkie nerwy, lecz pomimo tego zmusiła się do patrzenia. Mężczyzna obmacał brzuch chłopca, po czym przycisnął ostrze do skóry. Ciało rozstępowało się, a z rany wyciekała krew.

Kate zrobiło się słabo. *Nie zemdlej. Nie zemdlej.* Tamponowała ranę, zaś Paul szerzej rozwarł nacięcie i szukał chorego wyrostka.

– Jest – powiedział. – Zdecydowanie spuchnięty od toksyn. Dobrze, że nie zwlekaliśmy.

Kate zupełnie zapomniała, że nie wiedziała, co robić. Paul cierpliwie udzielał dokładnych wskazówek, a jej niepewność i mdłości ustąpiły miejsca zainteresowaniu. Nigdy nie widziała wnętrza ludzkiego ciała.

Paul spojrzał na Nenę.

– Śpi głęboko?

– Tak. Jak długo jeszcze?

– Już kończę. – Odciał nabrzmiały wyrostek, wyjął go i wrzucił do miski. – Zrobione. Zanim się obejrzyście, będzie udawał wielkiego myśliwego i polował na brata.

Przystąpił do zszywania wewnętrznego nacięcia, a potem zaczął zszywać skórę. Założył ostatni szew i oznajmił z uśmiechem:

– Gotowe. Dobrze się spisaliście, moje panie. – Starł krew z rąk, sprawdził puls i oddech Petera. – Musi leżeć w ciepłe i spokoju. Jeszcze trochę pośpi. – Zwrócił się do Kate. – Jak tam?

Opadła na krzesło.

– W porządku. – Zamknęła na chwilę oczy, a później spojrzała na Paula. –

Ale cieszę się, że już po wszystkim.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Już ci mówiłem: „jesteś do tego stworzona”. Powinnaś zastanowić się, czyby nie zostać pielęgniarką.

– Dziękuję, zostaną przy lataniu.

Powiedziała to ironicznie, ale przepełniało ją szczęście. Zrobiła coś, czego nigdy się po sobie nie spodziewała, a dzięki czemu Peter wyzdrowieje.

Paul i Kate spędzili u Turchików jeszcze jeden dzień, póki Paul nie upewnił się, że ich syn wraca do zdrowia. Udzielił szczegółowych instrukcji co do opieki nad rekonwalescentem, a potem wsiedli do samolotu i odlecieli. Mieli jeszcze kilka dodatkowych postojów, na szczęście nie musieli już mierzyć się z żadnymi nagłymi wypadkami.

Dotarłszy do Anchorage, Kate cieszyła się, że jest z powrotem w domu.

– Zimowy festiwal trwa już pewnie w najlepsze – powiedział Paul i ścisnął towarzyszkę za kolano. – Dobrze nam zrobi trochę zabawy.

Kate kiwnęła głową, ale była wyczerpana i nawet uczestnictwo w festiwalu wydawało się zbyt dużym wysiłkiem. Praca z Paulem okazała się bardziej męcząca, niż się spodziewała. Pochłaniała mnóstwo energii i czasu. W dodatku Kate latała przez to mniej godzin, co uderzało ją po kieszeni. Wykończona, marzyła o własnym łóżku, musiała jednak wrócić na lotnisko i miała nadzieję, że Sidney uwzględnił ją w harmonogramie. Spojrzała na Paula. Liczył na spędzenie z nią odrobiny czasu, a perspektywa wspólnej rozrywki podczas festiwalu spychała myśl o pracy na dalszy plan. Może nie zawadziłoby wziąć parę dni wolnego.

Przy samolocie powitał ich Mike Conlin z tym swoim charakterystycznym, bezpretensjonalnym uśmiechem.

– Najwyższy czas.

Uściskał Kate jednym ramieniem, a drugą rękę wyciągnął w kierunku Paula.

– Jak poszło?

– Dobrze – odparła, zadowolona, że Mike znów zachowuje się jak dobry kumpel.

– Wyglądacie na sponiewieranych. Co powiecie na kubek kawy? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Helen podrzuciła rano świeżo upieczone ciasteczka.

Kate była tak zmęczona, że nie kusily jej nawet wypieki Helen.

– Dzięki, ale muszę zająć się jeszcze samolotem, a potem idę prosto do łóżka.

– Jak to? Nie masz siły na pączusie Sidneya? Są świeżutkie, zaledwie sprzed dwóch dni – rzekł z szerokim uśmiechem.

Kate uwielbiała pączki, jednak nie te, które zawsze zalegały w kantorku.

– Nie jestem zainteresowana.

Mike zachichotał.

– Pomogę wam przy samolocie. A, właśnie. Mamy nowego pilota. Przedstawię was.

– Sidney kogoś znalazł?

– Tak. Kolesia z Fairbanks.

– To dobrze. Może teraz Kate nie będzie musiała tak ciężko pracować. – Paul otoczył ją ramieniem. – Będziemy mieli trochę więcej czasu dla siebie.

Kate przytuliła się do Paula.

– Uwielbiam twoje towarzystwo, ale potrzebuję jak najwięcej lotów. Oszczędzam na własny dom.

– Cóż, będziemy musieli razem więcej pracować – odparł z uśmiechem.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Po zabezpieczeniu samolotu i spuszczeniu paliwa cała trójka udała się do kantorka. Gdy tylko Kate przestąpiła próg budynku, jej nos zaatakowały przemieszane zapachy za długo parzonej kawy oraz paliwa lotniczego. Rozejrzała się po biurze. Studiujący mapę Sidney podniósł głowę.

– Czołem.

– Cześć – odpowiedziała.

Kenny upychał do worka pączki. Obejrzał się przez ramię na Kate i Paula i rzucił:

– Halo! Już myślałem, że wyjechaliście na dobre.

Uśmiechnął się i zdmuchnął opadający na oczy kędzior włosów.

– Podróż mieliśmy udaną, ale cieszę się, że już wróciliśmy.

Wzrok Kate spoczął na wysokim, mocno zbudowanym mężczyźnie w czerwonej koszuli z flaneli. Miał gładko ogolone policzki i bujny wąs. Zrobiwszy kilka kroków w jej stronę, wyciągnął rękę.

– Ty na pewno jesteś Kate.

Miał silny uścisk dłoni.

– Tak. A ty...?

– Alan Weber, pilot.

Ton jego głosu brzmiał przyjaźnie, lecz Kate wywnioskowała z zachowania nowego pracownika, że jest nieśmiały.

– Cieszę się, że do nas dołączyłeś. Bardzo potrzebowaliśmy jeszcze jednego pilota.

– Jestem wdzięczny, że dostałem tę pracę. – Zwrócił się do Paula i podał mu rękę. – Ty, jak sądzę, jesteś lekarzem.

– Paul Anderson. Miło cię poznać.

Sidney odchylił się na krześle.

– Alan zjawił się w samą porę. Pod twoją nieobecność, Kate, brakowało mi pilota.

– Cieszę się, że trafiłem do tej załogi – powiedział Alan. – No, zresztą dobrze zakotwiczyć gdzieś bardziej na południu. W Fairbanks jest za zimno i za ciemno.

Mike klepnął go w plecy.

– Fajnie, że z nami jesteś. Sidney zajeżdżał nas na śmierć.

Kate rozmasowała obolały kark, po czym odwróciła się do Sidneya.

– A propos, zastanawiam się, czy miałbyś coś przeciw, gdybym wzięła sobie wolny dzień.

– Wolny dzień? Mam tu lot za lotem.

– Pomyślałam tylko...

Sidney parsknęła śmiechem.

– Masz wolne, młoda damo. Idź do domu, odpocznij parę dni, zabaw się na festiwalu.

– Dziękuję.

Kate chętnie rzuciłaby mu się na szyję, ale postanowiła nie wprawiać go w zakłopotanie.

Paul podrapał się po kilkudniowym zarostcie.

– Muszę wziąć kąpiel i się ogolić. Mogłbym się z tobą zabrać? – poprosił Kate.

Wzięła go pod ramię.

– Na to liczyłam.

Ruszyli w stronę drzwi.

– Hej, Kate! – zawołał Mike.

Zatrzymała się w progu i obejrzała za siebie, dostrzegając w jego oczach ból i tęsknotę. Puściła ramię Paula.

– Kiedy wybierasz się na zimowy festiwal? – zapytał.

– Może jutro.

Popatrzyła na Paula, czekając na potwierdzenie.

– Mnie pasuje – odparł. – Zabrałem trochę skór na sprzedaż. Równie dobrze mogę wystawić je jutro. Myślałem, że wybierzemy się tam razem.

– W takim razie spotkamy się pewnie na miejscu.

Z głosu Mike'a wyparował cały entuzjazm. Kate aż się skuliła na widok jego zranionego spojrzenia. Już zamierzała go zaprosić, by przyłączył się do niej i Paula, ale ugryzła się w język. Chciała pobyć z Paulem tylko we dwoje. I był to pierwszy dzień, który mogli poświęcić wyłącznie rozrywce.

– Okej. Do zobaczenia jutro.

Paul wziął Kate za rękę i poszli razem w stronę samochodu. Nie mogła się doczekać następnego dnia.

Podrzućwiwszy ukochanego pod hotel, z ulgą weszła do swojego mieszkania. Opadła na sofę, rozsznurowała i zdjęła buty. Poruszyła palcami, zastanawiając się, czyby od razu nie położyć się do łóżka. Zamiast tego nałala wody do wanny, rozebrała się i zanurzyła w parującej kąpieli.

Oparła głowę o wannę, zamknęła oczy i rozkoszowała się ciepłem. Przed oczami przesuwaly się jej wspomnienia ostatnich dwóch tygodni. Praca z Paulem wyglądała inaczej, niż się spodziewała. Chociaż spędzali ze sobą mnóstwo czasu, wciąż odnosiła wrażenie, że niewiele o nim wie. Był dobry, miły, miał doskonale kwalifikacje lekarskie, ale powód opuszczenia San Francisco nadal spowijała tajemnica. Bardzo chciała, by opowiedział jej o swoim życiu w mieście, i zachodziła w głowę, dlaczego utrzymywał przeszłość w sekrecie. Przymknęła powieki. A jeśli zrobił coś tak strasznego, że nie był w stanie o tym mówić?

Nie. Niemożliwe. Nie Paul.

Po długiej kąpieli włożyła piżamę, dołożyła drewno do ognia i wpakowała się

do łóżka. Dygotała w chłodnej pościeli. Podciągnęła pod brodę wełniane koce. Ogarnęło ją zmęczenie i wkrótce zasnęła.

Gdy z trudem otworzyła oczy, powitało ją przygaszone światło poranka. Spojrzała na okno. Było już późno. Przeturlała się na bok i rzuciła okiem na zegar na komodzie – dziesiąta. Wyprostowała nad głową ramiona, ziewnęła i przeciągnęła się, napawając luksusem wolnego dnia.

Przypomniała sobie o festiwalu i zaczęła się zastanawiać, kiedy Paul chciałby tam pójść. Nie uzgodnili godziny. Aromat piekących się ciastek sprawił, że pociekła jej ślinka, a głód ostatecznie skłonił ją do wstania.

Ogień trzaskał w piecyku, zaś Kate stała przy oknie i zachwycała się drobkami światła rozproszonego w kryształkach lodu na szybie. Nucila piosenkę „I'm in the Mood for Love”. Myśl o Paulu wywołała uśmiech na jej twarzy. Zapowiadał się dzień pełen wrażeń.

Ochlapała twarz wodą, umyła zęby, wyszczotkowała włosy i włożyła świeże ubranie. Poświęciła krótką chwilę na makijaż i udała się do sklepu na froncie.

Helen stała przy dużym oknie wychodzącym na ulicę. Odwróciła się na odgłos kroków.

– Dzień dobry. Już się obawiałam, że prześpisz cały dzień. – Otworzyła ramiona i przytuliła Kate do piersi. – Dobrze znów cię widzieć. Jak podróż?

– W porządku. Bez żadnych kłopotów. Paul jest doskonałym lekarzem.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Helen podeszła do stołu, na którym wyłożono śniadaniowe pyszności. – Napij się kawy?

– Z przyjemnością. – Kate wyjrzała na zatłoczoną ulicę. – W życiu nie spodziewałam się takich tłumów na zimowym festiwalu.

– Ściągają tu ludzi z całej Alaski. – Helen podała jej filiżankę kawy wraz ze słodką buleczką. – Upiekłam dziś rano.

– Czulałam ten aromat w moim pokoju. – Kate odgryzła kęs, delektując się smakiem jabłek i cynamonu. Wypiła łyk gorącego napoju. – Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem tak okropnie głodna. – Znów zatopiła zęby w buleccze.

– Wyborna – pochwaliła z pełnymi ustami.

Helen także nalala sobie kawy.

– Wybierasz się na festiwal?

– Mam odebrać Paula z hotelu, ale nie umówiliśmy się na konkretną godzinę. Będę musiała do niego zadzwonić. – Kate obserwowała, jak grupka dzieci biega tam i z powrotem z jednej strony ulicy na drugą, rzucając się śnieżkami.

– Rano dzwonił Mike – poinformowała Helen.

– Mike? Do mnie?

– Właściwie nie. Pytał, czy już wyszłaś na festyn.

– Hmm. Dziwne. – Kate dokończyła buleczkę i popiła kawę. – Wspominał wczoraj, że pewnie się tam spotkamy, jednak nie zapowiadał, że do nas dołączy.

– Czasem trudno stłumić w sobie uczucia... takie jak miłość. – Helen podeszła do stojącej przy oknie Kate. – Mike jest tylko człowiekiem, jak my wszyscy, i przypuszczam, że ma nadzieję na spotkanie.

– Wie, jak stoją sprawy między mną a Pauliem.

Helen wyrzła za okno.

– Przywyknie. Daj mu czas. – Podniosła do ust filizankę. – Jak ci się układało z Pauliem podczas wspólnej eskapady?

– Dobrze. Potrafimy ze sobą współpracować. Asystowałam nawet przy operacji.

– Naprawdę?

– Tak. Paul usunął wyrostek robaczkowy synowi Neny, Peterowi.

– Mój Boże! Czy Peter dobrze się czuje?

– Tak. Przynajmniej tak było, kiedy wyjeżdżaliśmy. – Kate wypila kolejny łyk. – Pomaganie przy prawdziwej operacji to niesamowite przeżycie. Na początku byłam tak przerażona, że nie mogłam opanować drżenia rąk, ale Paul zachowywał się bardzo kompetentnie i spokojnie, dokładnie instruował, co robić. Zanim się obejrzałam, strach gdzieś zniknął – westchnęła. – Jest wspaniałym mężczyzną. Teraz szalejemy za sobą bardziej niż przed tą kilkudniową podróżą, tyle że... nadal niewiele o nim wiem. A przynajmniej o jego przeszłości. Jest dość skryty.

– Niektórzy mężczyźni tacy są. W końcu się przed tobą otworzy.

– Tak myślisz?

– Oczywiście.

Kate ze strachu ścisnęło w dołku. A jeśli Paul nigdy nie zaufa jej na tyle, by wyjawic swoją przeszłość? Czy będzie mogła kochać człowieka, który nie potrafi powierzyć jej swoich tajemnic? Albo jeszcze gorzej, czy będzie w stanie zaufać mężczyźnie, który tę przeszłość przed nią ukrywa?

Helen objęła Kate ramieniem i delikatnie ją uściaskała.

– Nie zamartwiaj się.

Trzymając się kurczowo ramienia Paula, Kate ostrożnie stąpała po oblodzonym chodniku. Miała nadzieję, że nie natknie się na Mike'a. Wciąż jeszcze zachodziła w głowę, po co zadzwonił. Wiedział przecież, że ona i Paul są parą. Jaki sens miało zasięganie języka, o której Kate wybiera się na festiwal? Tak jakby próbował wtargnąć w ich wspólnie spędzany czas, to zaś zupełnie nie leżało w jego naturze. Mike taki nie był.

– Chyba nigdy nie widziałem w mieście takich tłumów – stwierdził Paul.

W Anchorage roilo się od ludzi, powietrze aż drżało od emocji. Sprzedawcy futer zachwalali jakość swoich towarów, kupujący starali się natomiast umniejszać ich wartość. Dobijano targów. Dzieciarnia lepiła bałwany i budowała forty, bombardując się nawzajem śnieżnymi pigułami zza murów lodowych twierdz. Niektórzy ścigali się na ciągniętych przez ujadające psy saniach, zatrzymując się od czasu do czasu w trakcie wyścigu, by wdać się w bitwę na śnieżki.

Na końcu ulicy tłum ogrzewał się przy ogromnym ognisku. Niedaleko ognia, wokół koca uszytego ze zwierzęcych skór, stała ramię w ramię grupa ludzi. Podrzucali w powietrze niedużego chłopca. Gdy frunął w górę,

wymachiwał ramionami i nogami, po czym opadał z powrotem na koc.

– Niezła zabawa. Przyłączmy się – zaproponował Paul, zmierzając w tamtą stronę.

Kate zauważyła Mike'a zbyt późno. Był jedną z osób trzymających koc. Obejrzał się przez ramię, a kiedy jego wzrok padł na Kate, ryknął:

– Chodźcie, chodźcie! Tutaj!

– Zapowiada się kupa śmiechu – przyznała Kate, pilnując, by Paul stanął między nią a Mikiem. Mocno chwyciła skórę w chwili, gdy chłopiec, rdzenny mieszkaniec tych ziem, pofrunął w górę. Wszyscy mu kibicowali. Spadł na koc i natychmiast znów został podrzucony w powietrze. Oparta o Paula Kate śmiała się, obserwując wygibasy dziecka.

– Chcesz spróbować? – zapytał Mike.

Kate odmówiła.

– Może wobec tego jazda psim zaprzęgiem?

– Brzmi zachęcająco – powiedziała, odwracając się do Paula. – Ale zamierzałeś, zdaje się, sprzedawać futra.

– Uznałem, że zaczekam z tym do jutra. Dzisiaj powinniśmy oddać się czystej rozrywce. Żadnej pracy.

– Jest tu kilku moich przyjaciół z sianami – rzekł Mike. – Powoziłaś kiedyś psim zaprzęgiem. Kate?

– Nie. – Poczula ciężar w żołądku. Nie chciała, żeby on ingerował w ich rozrywki. – Ale Paul mnie nauczył.

– Aha. Jasne – odparł Mike posępnym tonem. – Zna się na tym.

Paul wziął Kate za rękę.

– Głodna? Widziałem stragan z pieczonym mięsem.

– Niezły pomysł. Do zobaczenia – rzuciła Mike'owi na odchodnym.

Paul i Kate zjedli po pieczonym ziemniaku i kawałku pieczeni z losia, a potem oglądali mecz hokeja oraz rywalizację psów ciągnących obciążone sianie. Później przenieśli się na koniec ulicy, gdzie odbywały się wyścigi psich zaprzęgów. Kate nie pamiętała, kiedy ostatnio tak doskonale się bawiła. Nie była pewna, czy sprawiły to festiwalowe atrakcje, czy obecność Paula u jej boku.

– Hej, Paul, co słychać? – zawołał wysoki, sympatycznie wyglądający mężczyzna. Oddzielił się od grupki innych mężczyzn i ruszył w stronę Kate i Paula. – Dawno cię nie widziałem.

– Jake. Co za spotkanie! U mnie w porządku, po prostu rzadko bywam w mieście. Albo pracuję wokół domu, albo spędzam czas z Kate. – Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, jakby chciał jasno dać Jake'owi do zrozumienia, że są parą. Kate podobało się to uczucie przynależności do Paula.

Jake zwrócił na nią przyjazne, piwne oczy.

– A więc czym właściwie się zajmujesz, że wyciągasz Paula z miasta?

– Jestem pilotką, a ponieważ Paul pracuje w charakterze dojeżdżającego lekarza, zwykle to ja transportuję go z miejsca na miejsce.

Jake lekko uniósł brew.

– Zaimponowałaś mi. Nigdy dotąd nie spotkałem kobiety za sterami

samolotu i nie wiedziałem, Paul, że jesteś lekarzem. Ty to lubisz tajemnice.

Oj, lubi, pomyślała sobie Kate.

– Byłem lekarzem, kiedy mieszkałem w Kalifornii. Zarzuciłem praktykę po przeprowadzce na północ, ale dzięki drobnej zachęcie ze strony Kate postanowiłem wrócić do zawodu. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – I dosyć mi się spodobało.

– Znajdę cię, jeśli będę potrzebował lekarza – zapowiedział, po czym zwrócił się do Kate. – No to jak, prowadziłaś kiedyś zaprzęg?

– Nie, nigdy.

– A chcesz się przejechać?

– Pewnie. Wygląda mi to na świetną rozrywkę.

– Mam ekipę, która rwie się do drogi. Przewiozę cię.

Ruszył do swoich psów. Paul zaprowadził Kate do sań.

– Wskakuj.

Kate usiadła.

– I co mam robić?

Szczelniej otuliła twarz kapturem.

– Po prostu siedź. Ja zajmę się resztą. – Jake zachichotał, a następnie zapytał Paula: – Chcesz powozić?

– Jasne. Z przyjemnością zabiorę moją dziewczynę na przejażdżkę – rzekł i stanął na deskach.

Kate zrobiło się ciepło na sercu. *Moją dziewczynę*. Popatrzyła na niego i się uśmiechnęła.

– Ścigamy się? – zawołał inny mężczyzna, Billy Johnson.

– Nie, to ma być tylko dla frajdy.

– Co, boisz się, że wygram?

Paul zmrużył oczy i spojrzał na Kate. Skinęła głową. Potem zwrócił się z uśmiechem do Jake'a.

– No to jak? Warto stawiać na twoje psy?

– Jak najbardziej. To dobry zaprzęg. W zasadzie stawiam piątaką, że wygrasz.

Wyciągnął portfel z kieszeni i wyłowił pięciodolarowy banknot.

– Wysoko obstawiasz – skomentował Billy.

– No cóż... jeśli się boisz... – Jake wykonał gest, jakby miał zamiar schować pieniądze.

– Wcale się nie boję. – Billy także wyjął pięciodolarówkę i pomachał nią w powietrzu. Kilku innych mężczyzn przyłączyło się do zakładu.

– Jeżeli rywalizacja ma być fair, musisz dołożyć do sań obciążenie – powiedział Jake.

Billy rozejrzał się nerwowo. Jego wzrok padł na kobietę znacznie drobniejszą niż Kate.

– Hej, Sooz, przejedziesz się?

Filigranowa blondynka uśmiechnęła się.

– Pewnie.

Podbiegła w podskokach i usadowiła się na saniach.

– Gotowa? – zapytał Paul, zerkając na Kate.

– Chyba tak.

– Trzymaj się mocno. Nie chcę cię zgubić. – Popatrzył na Billy'ego. –
Możemy zaczynać.

Jake podniósł rękę w górę, a potem opuścił ją z krzykiem:

– Start!

Paul chwycił wodze i wrzasnął:

– Naprzód!

Psy rzuciły się przed siebie, Paul i Kate objęli prowadzenie. Billy wkrótce dogonił ich i wyprzedził. Wygrają czy przegrają – Kate było wszystko jedno. Podobało się jej, jak śnieg fruwa za płozami sań, a zimne powietrze smaga twarz.

Ostatecznie Paul i Kate przegrali, ale wykazali się niemałymi umiejętnościami. Paul i Billy uściśli sobie dłonie.

– Dobry wyścig.

Kate zeszła z sań.

– Ale frajda.

– Chcesz nauczyć się powozić? – zapytał Jake. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby Paul udzielił ci lekcji.

– Naprawdę?

Z ekscytacji w żyłach Kate zaczęła szybciej krążyć krew.

– Zgadzasz się? – zapytała.

– Jeśli masz ochotę, każda pora jest dobra. – Paul podszedł do niej i ją do siebie przyciągnął. – Jesteś pewna, że chcesz?

Kate wolałaby w tej chwili pozostać w jego ramionach, ale nie zamierzała się do tego przyznać, a już na pewno nie w obecności innych.

– Tak, jestem pewna. To chyba nie jest tak trudne jak pilotowanie samolotu.

Kate stanęła za saniami. Kątem oka dostrzegła Mike'a. Oddalał się ulicą, kuląc się w kurtce. Jego zwieszona ramiona wskazywały, że nie jest szczęśliwy. Kate poczuła ukłucie smutku.

– Możesz jechać na płozach albo biec z tyłu. – Paul wręczył jej wodze. – Służą do sterowania psami. Jeśli chcesz, żeby ruszyły, mówisz: „haik”, czyli naprzód, jeśli mają skręcić w prawo, mówisz: „gee”, a jeśli w lewo, to: „haw”. Jeżeli chcesz, by zwolniły, wystarczy powiedzieć: „wolno”, a zatrzymują się na komendę: „whoa”, czyli stój. – Położył jej dłoń na ramieniu. – Jasne?

– Chyba tak.

Kate stanęła na płozach, chwyciła jedną ręką wodze, drugą zaś trzymała się drążka. Paul ustawił się za jej plecami i pokazał, jak trzymać cugle. Był tak blisko, że czuła jego oddech. Odwróciła się i zajrzała mu w oczy. Miała ochotę go pocałować, ale nie śmiała. Nie na oczach wszystkich. Trwali przez chwilę w tym zawieszaniu, aż w końcu uznali, że nie obchodzi ich, czy ktoś patrzy, czy nie. Ich usta się ze sobą zetknęły. Ze strony gapiów rozległy się okrzyki i pogwizdywania. Paul odsunął się od Kate. Czując, jak płoną jej policzki, popatrzyła na znajome i nieznajome twarze. Uśmiechnęła się do Paula, potem zwróciła się przodem do sań i zawołała:

– Okej, jestem gotowa. *Haik!*

Psy ruszyły z kopyta, Kate straciła równowagę i upadła na siedzenie.

– *Whoa!* – wydała komendę, rada, że psy posłuchały i stanęły, zamiast gnać dalej samopas.

Paul ze śmiechem pomógł jej wstać.

– Nie przejmuj się. Początki zawsze są trudne.

Kate otrzepała spodnie ze śniegu i lodu.

– To nie jest śmieszne.

– Nie? – Uśmiechnął się szeroko, lecz po chwili spowaźniał. – Nic ci się nie stało, prawda?

– Nie. – Patrzyła na nieprzystającą chichotać grupkę ludzi.

– Może to nie najlepszy dzień na lekcję powożenia – rzekł Paul. – Nauczę cię z moimi psami nad strumieniem. – Pocałował ją w policzek.

– Dobry pomysł – odparła, rzucając gapiom zjadliwe spojrzenie. – Zresztą i tak wolałabym, żebyśmy byli tylko we dwoje.

Kate brnęła przez świeży śnieg w stronę kantorka. Podniosła wzrok, widząc przed sobą tuman białych płatków. „Maj na Alasce”, mruknęła, szczerzej otulając twarz kapturem. Przecież jest wiosna... czy ten śnieg naprawdę nie wie, kiedy padać? Kate była gotowa na lato.

Po co w ogóle zwracała sobie głowę przychodzeniem do pracy? W taki dzień miała większe szanse na dołączenie do Amelii Earhart, która szykowała się do okrążenia kuli ziemskiej, niż na zdobycie zlecenia. Wyobraziła sobie siebie w roli drugiego pilota obok Amelii – jakaż by to była niesamowita przygoda. Panna Earhart nie ogłosiła jeszcze oficjalnej daty swojej wielkiej wyprawy, ale krążyły słuchy, że podejmie próbę wraz z początkiem lata. Kate marzyła o zrobieniu czegoś równie niezwykłego.

Rzut oka na zaparkowane przed budynkiem samochody wystarczył, by wiedziała, że wszyscy dotarli na lotnisko. *Pewnie mają nadzieję na okno pogodowe.*

W drodze do biura towarzyszyły jej wycie wiatru i śnieżna zadymka. Weszła do środka, zatrzasnęła drzwi przed zamiecią i zsunęła kaptur. Przywitał ją dobrze znany zapach dymu drzewnego i zbyt długo parzonej kawy.

– Na dworze jest paskudnie – rzekła, zмирzając w stronę wiekowego piecyka, od którego buchało ciepło. – Myślicie, że są jakieś widoki na poprawę?

Nikt nie odpowiedział. Rozejrzała się po pomieszczeniu i dostrzegła wisielcze miny kolegów. Coś było na rzeczy.

Sidney siedział ze stopami opartymi o biurko i z papierosem w palcach, wyglądając przez okno. Kenny i Alan zajmowali miejsca naprzeciwko siebie. Kenny tasował karty. Mike zerknął na Kate, po czym chwycił szczapę drewna i dorzucił ją do ognia. Jedynie Jack wydawał się zadowolony. Opierał się o ścianę w głębi z uśmiechem wyższości na twarzy.

Kate z niepokoju zjeżyły się włosy na rękach.

– Co się dzieje?

Wszystkie oczy skupiły się na Sidneyu. Zamrugał, powoli i z jakąś determinacją, następnie spojrział na Kate, jakby dopiero ją zauważył. Czoło przecinały głębokie bruzdy, wyglądał tak, jakby postarzał się nagle o dziesięć lat. Zaciągnął się wypalonym do połowy papierosem. Popiół spadł na flanelową koszulę, jednak Sidney zdawał się tego nie dostrzegać.

– Sidney, co się stało?

Do oczu napłynęły mu łzy.

– Mój tato miał udar.

– Ojej! – Kate przycisnęła palce do ust. – Bardzo ci współczuję. Jak się miewa?

– Lekarz mówi, że przeżyje – odparł ponurym tonem. – Ale nie jest już

sobą.

– Co masz na myśli?

Sidney wbił wzrok w papierosa, wciągnął dym do płuc i powoli go wydmuchał.

– Nie mówi, nie chodzi, nie jest w stanie nic zrobić.

– Ale będzie lepiej, prawda?

– Mało prawdopodobne. – Wzruszył ramionami. – Chociaż nigdy nie wiadomo. Lekarz może się mylić. – Zdusił niedopalek w popielniczce. – Mama jest w nie najlepszej formie.

– Naprawdę współczuję.

Sidney opuścił stopy na podłogę i podszedł do okna. Z rękami wciśniętymi w kieszenie wpatrywał się w wirujące białe kryształki.

– Jak tylko wyklaruje się ta zafajdana pogoda, wyjeżdżam. Rodzina mnie potrzebuje.

Kate usiadła na krześle obok piecyka.

– Wiesz, jak długo cię nie będzie?

Odwrócił się, a jego zafrasowane spojrzenie spoczęło na Kate.

– Może to trochę potrwać.

Westchnął ciężko, ze świstem. Kate zastanawiała się, co chciał przez to powiedzieć, ale postanowiła nie pytać. Oparła łokcie o uda i położyła brodę na dłoniach, błędząc wzrokiem po zebranych w pokoju mężczyznach. Co się stanie z lotniskiem?

– Zaproponował mi przejęcie lotniska – rzekł Jack z lepkiem uśmiechem.

– Nieprawda. Nie zaproponowałem tego tobie.

W tej chwili Kate pomyślała, że naprawdę nie cierpi Jacka. Był pełen buty. Już od pierwszego dnia pracy na lotnisku sprawiał jej same kłopoty. Dokuczał jej, chociaż właściwie uprzykrzał życie praktycznie wszystkim z zespołu. A teraz, kiedy Sidneya dotknęła rodzinna tragedia, potrafił myśleć wyłącznie o czubku własnego nosa.

Sidney popatrzył na Kate.

– Jest na sprzedaż... każdy, kogo na nie stać, może je kupić. Chcesz złożyć ofertę? – Próbował się uśmiechnąć. – Potrzebne mi pieniądze. Znalezienie płatnego zajęcia zajmie mi trochę czasu... w Kenai brakuje pracy.

Pod Kate ugięły się nogi. Jack powiedział prawdę. Tylko on miał pieniądze, więc praktycznie rzecz biorąc, jedynie on mógł przejąć interes.

– Może ktoś z nas mógłby zarządzać lotniskiem do czasu twojego powrotu.

– Bardzo bym chciał, ale tato będzie potrzebował dodatkowej opieki, a to wymaga forsy. Mama nie ma nic. Wszyscy w rodzinie są teraz splukani.

Kate oszacowała w myślach stan swoich finansów. Ledwie wystarczą na przetrwanie zimy, a co dopiero na kupno lotniska. Każdy zaoszczędzony cent poszedł na zakup nowego samolotu. Rzuciła Mike'owi spojrzenie.

Wzruszył ramionami.

– Ja nie mam.

– Ktoś musi mieć.

– Ja – odparł Jack z wrednym uśmiechem.

Sidney założył kurtkę.

– Sądzę, że zostanę tu do jutra. Kate... Mike... – Wodził po twarzach zebranych. – Jeśli ktoś z was skombinuje forszę, dajcie znać. Albo może znacie kogoś, kto chciałby prowadzić ten interes. – Niechętnie przeniósł wzrok na Jacka. – W przeciwnym razie... lotnisko jest jego.

– Dobrze o nie zadbam. – Jack wypiął pierś. – Zrobię z niego pierwszorzędną bazę.

Żołądek Kate zrobił fikolka. Praca dla niego byłaby niezłą torturą. Oczywiście nie trzeba martwić się na zapas – Jack pewnie wyrzuci ją przy pierwszej lepszej okazji. Zmierzyła go wzrokiem. Nie można dopuścić, by lotnisko trafiło w jego łapska.

– Zobaczę, co da się zrobić – rzuciła.

Kenny'emu i Alanowi było wszystko jedno, kto przejmie lotnisko, odpowiedzialność spoczęła zatem na Kate i Mike'u. Resztę dnia spędzili na poszukiwaniach osoby, która albo pożyczyci im pieniądze, albo bezpośrednio odkupi lotnisko. Rozmawiali ze wszystkimi znajomymi, a także z kilkoma osobami, których nie znali. Nikt nie wyraził zainteresowania. Niektórzy nie chcieli podejmować ryzyka. Inni argumentowali, że jedno lotnisko w Anchorage to aż nadto. A osoby takie jak Albert i Helen bardzo chciały pomóc, ale nie miały na to środków.

Wszystko wskazywało na to, że Mike i Kate jako jedyni są zmotywowani do znalezienia nabywcy, postanowili zatem połączyć siły. Po burzy mózgów i intensywnych poszukiwaniach potencjalnego kupca Mike zaprosił Kate do siebie na posiłek.

Pora była późna. Kate padła na kanapę i obserwowała, jak jej kolega pilot miesza ciasto na gofry. Wiedziała, że powinna mu pomóc, jednak nie była w stanie się ruszyć.

– Mam trochę dżemu truskawkowego od Helen – powiedział Mike z uśmiechem, który ograniczał się do samych ust. Oczy się nie śmiały.

Kate kiwnęła głową, wciąż poszukując w myślach sposobu na uratowanie lotniska przed chciwymi łapami Jacka.

– Musi gdzieś być ktoś, komu zależy na lotnisku.

Mike otworzył rozgrzaną gofrownicę, po czym wysmarował ją smalcem i wlał do niej ciasto.

– Masz chęć na jajka? – zapytał, zamykając pokrywę.

– Nie, dziękuję. – Kate położyła stopy na niskim stoliku i skrzyżowała ramiona na piersi. – O kim jeszcze nie pomyśleliśmy?

– A Paul?

Kate zrobiła gwałtowny wdech.

– Wiem, że wystarcza mu na własne potrzeby, ale to nie jest zamożny człowiek. Jako lekarz zarabia prawie nic.

– Szkoda, że nie mamy więcej czasu.

Mike nalął kawę.

– Chcesz?

– Pewnie.

Podał jej kubek i wziął drugi dla siebie. Wyjął z kredensu dżem oraz syrop, a potem sięgnął po talerzyk z masłem.

– Dawno nie kontaktowałem się z braćmi. Może...

– Z braćmi? Nigdy o nich nie wspominałeś.

– Mieszkają w Chicago. Prowadzą razem bar. Gdy zniesiono prohibicję, natychmiast zaangażowali się w ten interes. Z tego, co słyszałem, radzą sobie całkiem nieźle. Ale wątpię, by pożyczyci parę groszy. Nigdy nie byliśmy sobie bliscy.

– Zadzwoń do nich. Zapytać nie zaszkodzi.

– Już późno. – Mike przyglądał się gofrownicy. Znad jej brzegów unosiła się para. – A u nich jest cztery godziny później.

– Jeśli pracują w barze, to pora jest w sam raz.

– Sam nie wiem... To ryzykowny pomysł. – Mężczyzna podniósł górną blachę i rzucił okiem na niedopieczone gofry. Zamknął pokrywę.

– Warto spróbować. Zrobię, co mogę, aby pomóc. – Kate podniosła się z kanapy. – Pracujesz tu od dawna. Znasz się na wszystkim. Dałbyś radę.

– Nie jestem pewien. Zarządzanie lotniskiem to spore wyzwanie, no i nie zostaloby mi zbyt wiele czasu na latanie.

– Nie możemy dopuścić do tego, by kupił je Jack – nie dawała za wygraną. – Życie stałoby się nie do zniesienia. I to nie tylko dla mnie, ale dla nas wszystkich. Wiesz, jaki on jest. Poniewieralby każdym z nas. I przy pierwszej sposobności obciąłby nam płace. – Energicznym krokiem wmaszerowała do kuchni. – Ja się nimi zajmę. – Zerknęła na gofry. – A ty dzwoń.

– No dobrze, niech ci będzie.

Mike podszedł do telefonu na ścianie i przerzucił kartki wiszącego obok notesu. Gdy zgłosiła się telefonistka, podał jej numer i czekał. Kate zamknęła oczy i odmówiła krótką modlitwę. *Proszę Cię, Boże, spraw, żeby się udało.*

– Halo? Mówi Mike Conlin. Czy mógłbym rozmawiać z Jerrym albo Robertem?

Czekał.

– Są w barze? – zapytała Kate.

– Wołają Jerry'ego.

Z drżącym sercem Kate jeszcze raz zajrzała do gofrów. Były gotowe. Podważyła je widelcem i przełożyła na talerz. Posmarowała blachę dodatkową warstwą smalcu, wlała kolejną porcję ciasta i zamknęła wieko.

– Cześć. Jerry? Tu Mike. – Czekał, aż brat skończy mówić. – Tak, u mnie w porządku. – Pokiwał głową. – Wiem. Szmata czasu. Zdaje się, że masz dzisiaj pełen bar gości. Mam dla ciebie propozycję. To dobry interes. – Umilkł, ale Kate słyszała głos po drugiej stronie linii. – Nie. To... naprawdę. Posłuchaj do końca. Ten gościu, dla którego latam, sprzedaje lotnisko... – Mike urwał. – Wiem, że krucho z pieniędzmi. – Pokiwał głową. – Tak, tutaj też.

Kate słyszała tubalny głos niosący się od słuchawki.

– Jasne. Nie ma problemu. Rozumiem. – Mike kiwał głową. – Okej. Będziemy w kontakcie. Do zobaczenia. Do widzenia.

Rozłączył się i popatrzył na Kate.

– Odmówił. Mówilem, że są marne szanse.

– Przynajmniej spróbowałeś.

Mężczyzna usiadł przy stole.

– Gdyby nie to, że jest tuż po zimie, miałbym parę groszy, może wystarczyłoby na odsunięcie decyzji w czasie.

Kate dosiadła się do Mike'a.

– Ja też bym coś wysuplała. – Wypiła łyk kawy. – A jak miewają się twoi bracia?

– W porządku... chyba. Jerry powiedział, że ledwo wiążą koniec z końcem, tak jak wszyscy. – Utkwił wzrok w swoim kubku. – Nie potrafię sobie wyobrazić pracy dla Jacka. Doprowadzi to miejsce do ruiny.

– Może nie. Jest w branży od dawna. Może sobie poradzi. Ale prawdopodobnie natychmiast mnie zwolni.

– Nie. Jesteś mu potrzebna. – Mike wypił duży łyk kawy.

Kate rozboleł żołądek na samą myśl o pracy dla Jacka. Zerknęła na gofrownicę. Nad pokrywą wił się dym.

– Gofry się palą!

Pobiegła do kuchni i otworzyła gofrownicę, nabiła na widelec nadwęglone gofry i zdjęła je z blachy.

– Nie potrafię nawet upiec przyzwoitego gofra.

– Chyba musisz pozostać przy lataniu – zarzął Mike.

Kate też się roześmiała.

– Nie sądzisz, że powinnam znaleźć sobie drugą pracę... powiedzmy kucharki?

– Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto zechciałby cię zatrudnić.

Parsknął śmiechem, a po chwili oboje zwiłali się ze śmiechu, zrzucając z siebie ciężar trosk.

Kiedy się uspokoił, Mike wziął do ręki widelec i oznajmił:

– Upiekę więcej.

– Nie jestem głodna. – Kate pokręciła głową. – Wiedziała, jak potoczą się sprawy. Jack będzie ją lekceważył, wciskał jej najgorsze kursy i ograniczał liczbę lotów. – Nie widzę możliwości zagrania tu miejsca na dłużej.

W jej oczach zebrały się nieproszone łzy.

– Będzie dobrze. Coś wykombinujemy. Chłopcy i ja będziemy stawać w twojej obronie. Nie przejmuj się Jackiem.

– Wam też nie będzie pobrażał. I wątpię, by dobrze dogadywał się z klientami. Będą odpadali jak muchy od packi. – Kate otarła łzy, zła, że pozwoliła, aby taka kreatura jak Jack załaziła jej za skórę. – Dziękuję, ale sama potrafię o siebie zadbać. – Pociągnęła nosem, wyjęła z kieszeni spodni chusteczkę i w nią dmuchnęła, a potem podeszła do szafy i wzięła kurtkę. Żalowała, że Paul nie mieszka w mieście. Bardzo go w tym momencie potrzebowała. – Pójdę już. Przykro mi, że nie udało się nam nikogo znaleźć, mimo to dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. Szkoda, że nic nie wskóraliśmy. – Mike otworzył jej drzwi. – Do jutra.

Rano następnego dnia Kate czuła się podle. Przeleżała bezsenne prawie całą noc, próbując znaleźć wyjście z sytuacji. Rozważała nawet pomysł poproszenia ojca o pieniądze. Była pewna, że ma odłożoną jakąś sumkę. Ale lotnisko to ryzykowne przedsięwzięcie, nie mogła prosić taty, żeby narażał na szwank swoje oszczędności.

Myjąc twarz, ubierając się, czesząc włosy, Kate pogrążyła się w melancholii. Nie chciało jej się robić makijażu. Wyszła na dwór i spojrzała na niebo. Było bezchmurne. To znaczy, że Sidney wyjeżdża.

Wsiadła do samochodu i modliła się, by się okazało, że przez noc zaszła jakaś zmiana. Może tato Sidneya cudownie ozdrowiał albo brat Mike'a zmienił zdanie. *Boże, Ty możesz wszystko. Proszę, spraw, abyśmy zdobyli potrzebne nam pieniądze.*

Kiedy wjechała na lotnisko, przed budynkiem stały trzy auta: Sidneya, Jacka i Mike'a. Nie zauważyła wozów Alana ani Kenny'ego. *Mają wszystko w nosie. Nawet nie chciało się im pożegnać Sidneya*, pomyślała z pogardą.

Weszła do kantorka i ujrzała pochylonego nad piecykiem Mike'a. Przesuwał pogrzebaczem rozżarzone węgle. Zerknął na Kate ze smętną miną. Dorzuciwszy kilka szczap do ognia, przymknął drzwiczki, zostawiając szczelinę dla lepszego ciągu.

Kate przywitała go skinieniem głowy i zwróciła się do Sidneya. Choć z góry знаła odpowiedź, zapytała:

– Jakies nowe wieści w sprawie taty?

– Żadnych. Pewnie nic się nie zmieniło.

Spoczęło na niej spojrzenie jego niebieskich oczu. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. Był ubrany w niebieskie džinsy i kowbojskie buty, na głowie miał swój za duży kowbojski kapelusz. Wyglądał bardziej na chłopaka niż mężczyznę.

– Kupujesz lotnisko? – zapytał z wymuszonym uśmiechem.

– Chciałabym. – Kate jeszcze raz dokonała w myślach obliczeń. Gdyby tylko istniał jakiś sposób... – Może gdyby było nieco więcej czasu...

– Mnie czas się skończył. – Sidney z niechęcią odwrócił się do Jacka. – Chyba dobiliśmy targu. Lotnisko jest twoje.

Jack podał mu przekaz bankowy.

– Dokładnie tyle, o ile prosiłeś.

Sidney wziął kwit, rzucił na niego okiem, następnie złożył papier i wsunął do kieszeni koszuli. Rozejrzał się po pomieszczeniu.

– No to tyle.

Nikt nie odezwał się słowem. W piecyku trzaskał ogień. Sidney ciężko westchnął.

– Jestem spakowany. Będę ruszał w drogę. – Wcisnął na głowę kapelusz i uściskał dłoń Mike'a. – Dobrze się z tobą pracowało.

– Z tobą też.

Zwrócił się do Jacka.

– Dbaj o lotnisko.

– Możesz na to liczyć. – Jack niemal drżał z podniecenia.

Sidney wziął za rękę Kate. Uśmiechnął się.

– Pamiętam, jak się tu zjawiałaś z niezachwianym przekonaniem, że będziesz latać w dzikie ostępy. Pomyślałem sobie, że pleciesz bzdury. Nie sądziłem, że masz w sobie dość ikry. – Wyszczrzył zęby. – Myliłem się. – Uchylił kapelusza. – Mam nadzieję, że będziemy widywać się czasem w Kenai.

– Będę latać w tamtym kierunku – odparła, polykając łzy.

Sidney zmierzał do wyjścia. W Kate wezbrał smutek pomieszany z wdzięcznością.

– Sidney... Dziękuję, że dałeś mi szansę. – Podeszła do niego i zarzuciła mu na szyję ramiona. – Dziękuję, że we mnie uwierzyles.

Przytulił ją, mając oczy pełne łez.

– To dopiero coś: kobieta za sterami samolotu. W dzikiej tajdze.

Otworzył drzwi i wyszedł.

Kate stała w drzwiach z narastającym lękiem i patrzyła, jak samolot Sidneya odrywa się od pasa startowego. Mając Jacka za szefa, mogła się spodziewać, że jej życie na lotnisku zamieni się w udrękę. Nie ukrywał, co myśli o kobietach za sterami – nie było dla nich miejsca w tym zawodzie. W końcu weszła do kantorka i zamknęła za sobą drzwi.

Jack usiadł za biurkiem z zadowoloną miną, a następnie urządził małe widowisko, przeglądając dokumenty i narzekając na bałagan, który rzekomo zostawił mu Sidney. Wkrótce zaczął zmieniać przydział lotów i wyszczekiwać rozkazy.

Kate miała tego dnia rozwozić pocztę, w związku z tym zniknęła w sortowni, chcąc w ten sposób usunąć się z linii ostrzału. Niestety, ukrywanie się nie pomogło. Jack ją znalazł.

Stanął w progu.

– Masz uporać się z tą pocztą na czas. Żadnego wymigiwania się od obowiązków, żeby poflirtować z tym twoim doktorkiem.

Kate nie podniosła wzroku.

– Zrobię, co do mnie należy.

– Już ja tego dopilnuję.

Wściekłość zdusiła rozwagę. Kate wyprostowała się i popatrzyła Jackowi prosto w oczy.

– Ten „mój doktorek” ratuje ludziom życie. Nie nazwałabym tego flirtowaniem.

Jack wyjął z kieszeni cygaro i wetknął je sobie w usta. Zapalił. Cuchnący dym uniósł się w górę i spowił go obłokiem. Mężczyzna spoglądał na Kate spod przymrużonych powiek.

– Mam cię na oku. Zapamiętaj to sobie.

Kate się najeżyła.

– Znam swoje obowiązki. Nie musisz patrzeć mi na ręce.

– Będę sobie patrzył, na co mi się podoba.

Wszedł do sortowni.

– Niech ci się nie wydaje, że możesz mnie traktować jak służącą tylko dlatego, że nie ma tu Sidneya.

– Jesteś tutaj na służbie. – Ruszył w jej stronę i spojrzął na nią spode łba, unosząc w grymasie górną wargę. – Mogę temu zaradzić.

Czuła bijący od niego smród cygara. Z trudem hamując złość, odezwała się spokojnym tonem:

– Proszę jedynie, żebyś traktował mnie tak jak resztę załogi, ani lepiej, ani gorzej.

– Będę cię traktował jak mi się żywnie podoba.

Do sortowni wkroczył Mike.

– Dość tego, Jack! Zostaw ją w spokoju!

Jack odwrócił się gwałtownie i spiorunował Mike'a wzrokiem.

– Nie będzie miała specjalnych przywilejów tylko z tego powodu, że wpadła ci w oko.

Mike rozluźnił się i uśmiechnął.

– Czy to czasem nie tobie wpadła w oko?

Kate najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Co Mike'owi strzeliło do głowy?

Jack poczerwieniał jak burak i zwinął dłonie w pięści.

– Ty do niej skomlesz! – Wściekle odwrócił się w stronę Kate. – Będziesz robić, co każę i kiedy każę!

Kate poszła za przykładem Mike'a i zmusiła się do uśmiechu, a następnie zasałutowała.

Twarz Jacka z czerwonej zrobiła się purpurowa.

– Dostyc! Zwalniam cię!

Kate patrzyła mu prosto w oczy.

– Zwalniasz mnie za to, że ci salutuję?

– Tak jest. Wynos się!

Głos dudnił mu w piersi.

– Wyluzuj, Jack, nie możesz jej zwolnić – Mike mówił lekkim tonem, jakby się droczył. – Jest twoim najlepszym pilotem.

Jack wycelował w niego palec.

– A ty się zamknij!

Wypadł z sortowni do kantorka. Kate wyszła za nim.

Jack rzucił jej jadłowite spojrzenie.

– A ty: wynocha! Won!



Kate ścierała kurz z pucharu, zastanawiając się, czy lotniska w Juneau albo Fairbanks przypadkiem nie potrzebują pilota. Zasięgnęła języka w okolicy, ale nigdzie nie było wakatów. Z westchnieniem odstawiła puchar na półkę i sięgnęła po kolejny. Nie chciała wyjeżdżać z Anchorage. Miała tu przyjaciół.

A poza tym co z Paulem? Prawie wcale by się nie widywali. Ta myśl ciążyła jej na sercu. Był wart więcej niż jakakolwiek praca. Nie mogła odejść, a z drugiej strony nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez latania.

Wystraszyła się, poczuwszy na plecach dotyk czyjejs dłoni. Odwróciła się i ujrzała Helen z tym charakterystycznym macierzyńskim uśmiechem na twarzy.

– Ojej, dzień dobry. Nie słyszałam cię.

– Chciałabym tylko cię zapewnić, że Albert i ja modlimy się za ciebie, moja droga. I jesteśmy przekonani, że wszystko ułoży się jak należy. Bóg nad wszystkim czuwa.

– Chciałabym w to wierzyć... obawiam się jednak, że będę zmuszona się wyprowadzić. Nie mam ochoty stąd wyjeżdżać. Będę tak bardzo za wszystkimi tęskniła... zwłaszcza za Paulem. – Kate zamrugała, żeby powstrzymać łzy. – Nie chcę żyć daleko od niego.

Helen się uśmiechnęła.

– A ileż to razy słyszałam z twoich ust, że nigdzie nie jest daleko, póki da się tam dolecieć. – Jej niebieskie oczy patrzyły z czułością, gdy delikatnie chwyciła Kate za ramiona. – Pan znajdzie dla ciebie miejsce, to najwłaściwsze.

Kate pokiwała głową, żalując, że jej wiara nie jest silniejsza. Zabrzęczał dzwonek na frontowych drzwiach.

– Zdaje się, że jestem potrzebna. Czas wracać do pracy. – Helen przeszła na front sklepu.

Kate usłyszała głos Mike'a i się w sobie skuliła. Nie chciała widzieć współczucia w jego oczach. Na pewno będzie próbował poprawić jej samopoczucie, opowie kilka dowcipów, popsioczy na Jacka. Nie miała ochoty udawać, że wszystko gra.

– Cześć, Kate.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Mike wychynął zza rzędu sklepowych regałów.

– Cześć.

Rzuciła mu spojrzenie, a następnie przetarła ściereczką szklanki. Może gdy zobaczy, że jest zajęta, poprzestanie na powitaniu i sobie pójdzie. Odstawiła szkło na półkę.

Niebieskie oczy Mike'a wydawały się jaśniejsze niż zwykle.

– Przynoszę dobre wiadomości.

Oparł się o regał i uśmiechnął z przekorą. Kate nie była w nastroju do błazenad. Zignorowała go i podeszła do półek z talerzami.

– Nie jesteś ciekawa?

– Mike, mam coś do zrobienia.

Starła kurz z talerza. On ruszył niespiesznie w jej stronę. Kate sapnęła ze zniecierpliwieniem.

– Mike, jestem zajęta.

Z wszechwiedzącą miną zatrzymał się i skrzyżował ramiona na piersi.

Kate zwróciła ku niemu twarz.

– No co?

Jego uśmiech zlagodniał.

– Odzyskałaś pracę.

– Że co?

– Ja, Alan i Kenny oznajmiliśmy Jackowi, że odejdziemy, jeśli nie przyjmie cię z powrotem.

– Poważnie?

Pokiwał głową i wykrzywił kącik ust.

– Jack już i tak ma zgryz, bo przez większość czasu tkwi w kantorku na lotnisku.

Kate zasłoniła usta, ale nie zdołała pohamować śmiechu.

– Chyba nie rzucilibyście pracy tak na serio, co?

– Ja bym rzucił. – Mike wzruszył ramionami. – Oczywiście musiałby mnie zatrudnić od nowa. Nie byłby w stanie prowadzić lotniska, dysponując tylko dwoma pilotami.

Kobieta powróciła myślami do sceny, jaka rozegrała się między nią a Jackiem, oraz do tego, jak traktował ją od samego początku.

– Doceniam, chłopcy, wasze starania, jednak nie mogę wrócić. Nie będę pracować dla Jacka.

– Daj spokój, Kate. Wiem, że potrafi być wredny i niesprawiedliwy, zwłaszcza wobec ciebie, lecz gdy odejdziesz, nie będzie już tak samo. Poza tym co zamierzasz robić bez latania?

Kate zdawała sobie sprawę, że powinna przyjąć propozycję. Potrzebowała pracy, a przy okazji rozwiązałby się problem z koniecznością przeprowadzki. W dodatku inni piloci zaryzykowali dla niej utratę pracy. To wszystko było po prostu nie fair.

Wzruszyła ramionami, a później pokręciła głową.

– Nie. Nie mogę. Mimo to dziękuję. I podziękuj chłopakom. Jack mnie tam nie chce. Zamieniłby moje życie w koszmar, tym bardziej, że przywróciłby mnie pod przymusem.

Usta Mike'a rozciągnęły się w łagodnym uśmiechu.

– Masz w sobie zbyt wiele dumy, Kate. Jeśli chcesz latać, musisz schować ją do kieszeni.

Miał rację, jednak Kate nie mogła znieść myśli o płaszczeniu się przed Jackiem.

– Może nadarzy się jakaś inna robota.

– No jasne, w końcu jest tu cała furia rozmaitych zajęć, które tylko na ciebie czekają. – Oparł się biodrem o półkę. – Bądź rozsądna. Kryzys ciągle się pogłębia.

Kate przemknęły przed oczami ostatnie doniesienia prasowe o wyższym bezrobociu i głodnych dzieciach. Naprawdę nie miała wyboru.

– Przelknij dumę i wracaj do pracy.

– Co powiedział Jack?

– Był wściekły, jednak zgodził się na twój powrót i obiecał, że ci odpuści, przynajmniej odrobinę.

Kate przygryzła wargę. Może nie będzie tak źle. Skinęła głową i rzekła:

– Dobrze. Ale nie dam się tyranizować i zastraszać. Dosyć tego.

– Będzie dobrze. Zobaczysz.

– Dziękuję, Mike. Doceniam, co dla mnie zrobiliście. Ty i chłopcy.

– Nie wyobrażam sobie tego miejsca bez ciebie.

Tkliwość w jego oczach przypomniała Kate, co Mike naprawdę do niej czuje. Natychmiast ogarnęło ją zakłopotanie. Zatknęła za ucho niesforny kosmyk włosów i wbiła wzrok w podłogę.

– Więc mogę wrócić od razu?

– Masz to jak w banku. Jack nawet ma dla ciebie kurs. Do Unalaski.

– Tak? Zwykle lata tam osobiście.

– Teraz ma za dużo pracy papierkowej. – Wyszczerył zęby w uśmiechu. – A to mu się wcale nie uśmiecha. Szefowanie uziemi go niemal na cały czas.

– Nigdy nie byłam w Unalascie. – Kate poczuła przypływ adrenaliny.

Mike delikatnie zmarszczył czoło.

- To długa trasa na Aleuty. Trudne warunki, nieprzewidywalna pogoda.
- Jak niemal na całej Alasce.
- Niby tak. Ale bądź ostrożna.
- Dobrze, dobrze.

Dołączyła do nich Helen.

- Rozumiem, że zamierzasz mnie opuścić - powiedziała z udawaną rozpaczą.

- Chcesz, żebym została?

- Nie. Idź do pracy. Poradzimy sobie. Muriel obiecała, że nam pomoże, kiedy tylko okaże się potrzebna. - Uściskała Kate. - A nie mówiłam, że wszystko się ułoży?

- Mówiłaś. - Kate się uśmiechnęła. - Chyba powinnam zacząć cię słuchać. - Rozwiązała fartuch i ściągnęła go przez głowę. - Komu w drogę, temu czas. Mam kurs na Aleuty.

- Może polecę z tobą - zaproponował Mike. - Nie mam nic do roboty przez najbliższe dwa dni.

- Dziękuję, nie trzeba.

Kate nie chciała, żeby jej towarzyszył. Postanowiła zrobić postój u Paula. Mieszkańcom archipelagu może przydać się lekarz, a przy okazji ona sama mogłaby spędzić z nim więcej czasu.



Kiedy Kate posadziła maszynę na mieliźnie, Paul właśnie wypływał swoją łodzią. Przywiozła dla niego zaopatrzenie medyczne, co stanowiło doskonały pretekst do odwiedzin.

Nie gasząc silnika, chwyciła paczkę i wysiadła z samolotu. Angel już zdążyła przywitać się z Paulem.

- Pomyślałam, że ci się przydadzą - rzekła, wręczając mu pakunek.

Mężczyzna odebrał z jej rąk karton.

- Czekałem na to. I na ciebie.

Ich spojrzenia się spotkały. Paul otoczył Kate ramieniem i ją pocałował. Przywarła do niego, żalując, że praca nie może poczekać. Po chwili się odsunęła.

- Mam kurs.

- Tak myślałem. - Wsadził sobie paczkę pod pachę. - Dokąd zmierzasz?

- Do Unalaski oraz kilku wioszek po drodze.

- Nie byłem na Aleutach. Jak tam u nich z opieką medyczną?

- Wydaje mi się, że mają lekarza w Unalasce, ale jestem pewna, że mieszkańcy wioszek byłiby zadowoleni, gdyby zaglądał do nich jeszcze jeden doktor. - Uniosła brwi. - Zastanawiam się, czy znamy kogoś, kto mógłby tam polecieć.

- Mogę być gotowy za piętnaście minut.

- Miałam nadzieję, że to powiesz.

Pocałował ją.

- Muszę zabrać z domu kilka rzeczy.

– Wyłączę silnik i pójdę z tobą. Nie będzie nas przez kilka dni, pamiętaj więc o wzięciu zapasowych ubrań i potrzebnych drobiazgów.

– Nie ma sprawy. Najpierw muszę poprosić Patricka o zaopiekowanie się psami. Potem się spakuję i zabiorę torbę lekarską.

– Porozmawiam z Patrickiem i Sassą w twoim imieniu.

– Dobry pomysł.

Kate zgasiła silnik samolotu i wsiadła do czółna. Paul odepchnął je od brzegu i ruszył w stronę swojego pomostu. Przywiązał łódkę, pomógł Kate wysiąść, a później wspiął się ścieżką do swojej chaty z drepczącą przy nodze Angel. Kate poszła dróżką wzdłuż potoku. Gdy wyszła na polanę przed domem Patricka i Sassy, psy gospodarzy rzuciły się w jej kierunku.

– Hej, to tylko ja – powiedziała spokojnie.

Zwierzęta zamerdały ogonami, zjeżona sierść ułożyła się płasko na grzbietach. Pierwszy dobiegł do niej najmłodszy z psów, przygarbiwszy przez Warrenów jako szczeniak z tego samego miotu, z którego pochodziła Angel. Choć był większy od sukki Kate, przypominał ją do złudzenia – malamute o gęstej, czarno-srebrzystej okrywie. Trącił nosem rękę Kate. Dwa starsze psy także dopominały się uwagi, kobieta poklepała oba po grzbiecie, po czym ruszyła do piętrowego drewnianego domku.

Sassa stała w progu, wycierając ręce w fartuch.

– Dzień dobry. Masz coś dla nas?

– Tylko wiadomość od Paula. Leci ze mną na Aleuty. Nie będzie go przez trzy, cztery dni. Pyta, czy chłopcy zajęliby się jego psami.

– Ależ oczywiście, żaden problem. Lubią psy.

Sassa się uśmiechnęła, a brązowa skóra zmarszczyła się w kącikach oczu.

– Podziękuj im ode mnie. – Kate chciała jak najszybciej wystartować. Czekal ją długi lot. Żeby jednak nie zostać posądzoną o nieuprzejmość, zapytała: – A gdzie Patrick?

– W ogrodzie. Sieje groch.

– Parę dni temu padał śnieg – zauważyła Kate.

– Tak, padał, jednak o tej porze roku już się nie utrzymuje.

– Masz jakieś wieści od Lily? Jak się miewa?

Brązowe oczy Sassy wypełnił smutek.

– Nie za dobrze. Tęskni za domem.

– Przykro mi to słyszeć. Sądziłam, że dobrze się jej powodzi w Seattle.

Sassa założyła ręce na pulchnym brzuchu, po czym pokręciła głową.

– Nie jest szczęśliwa.

– Ma zamiar wracać?

– Może. Nie wiem. Bardzo bym się ucieszyła, ale chcę, żeby była szczęśliwa, zadowolona z życia. – Sassa zacisnęła usta. – Myślę, że czuje się tam obco, no i nie ma żadnych eskimoskich przyjaciół. Większość ludzi w Seattle to biali. Chyba dokuczają jej samotność. Zastanawiam się też, czy niektórzy nie są dla niej podli tylko dlatego, że inaczej wygląda.

– Mam nadzieję, że nie. Może sytuacja się poprawi. – Kate zerknęła w kierunku potoku. – Muszę ruszać w dalszą drogę.

– Dobrze. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu?

– Tak. Do przyszłego tygodnia.

Kate oddała się szybkim krokiem. Paul czekał przy pomoście, rzucając Angel patyk.

– Spakowany? – zapytała.

– No pewnie.

– Doskonale. To lecimy.

Wsiadła do łodzi i popłynęli na mieliznę. Dobiwszy do brzegu, wyciągnęli czołno i weszli do samolotu. Paul upchnął swoje rzeczy z tyłu.

– Gotowy?

– Tak – odparł. – Zatrzaskał drzwi i zajął swoje miejsce obok Kate. Popatrzył na nią z uśmiechem. – Miałem nadzieję, że cię dzisiaj zobaczę. – Pochylił się i dał jej całusa, a potem wtulił nos w jej szyję. – Za rzadko cię widuję.

Kate zrobiło się ciepło na sercu.

– Tak, ja ciebie też.

Wyregulowała mieszankę, a potem wystartowali. Gdy byli już w powietrzu, powiedziała:

– Muszę dostarczyć przesyłki do Chignik, Perryville i King Cove. A następnie lecimy prosto do Unalaski.

W drodze na południowy wschód utrzymywała się dobra pogoda. Pierwszego dnia zatrzymali się najpierw w Chignik, później w Perryville, gdzie przenocowali. Paul zdiagnozował kilka przypadków grypy, rozdał aspirynę i udzielił instrukcji, jak radzić sobie z gorączką i dolegliwościami żołądka. Kate miała nadzieję, że się nie zaraziła. Wielu pacjentów było w naprawdę opłakanym stanie.

Drugiego dnia dostarczyli przesyłki do King Cove, niewielkiej społeczności, której egzystencja zależała niemal całkowicie od lokalnych przetwórnicy ryb. Wioskę otaczały ocean, góry i nagie wzgórza. Ledwie garstka osób potrzebowała pomocy lekarskiej, czy też miała czas zgłosić się na wizytę. Większość stanowiły eskimoskie matki, które przyprowadziły swoje zakatarzone dzieci z bolącymi gardłami. Zjawił się też mężczyzna z zakażoną ręką. Infekcji nabawił się od wbitego w skórę haczyka do łowienia ryb. Paul oczyścił i opatrzył ranę, i nakazał pacjentowi zaniechać pracy na kilka dni, jednak gdy tylko mężczyzna wyszedł, Paul rzucił półszepsem do Kate:

– Pójdzie prosto na łódź.

Kate wzruszyła ramionami.

– Musi zarabiać na życie.

Wystartowali z King Cove pod zasnutym szarością niebem. Deszcz rozpryskiwał się na przedniej szybie, wiatr uderzał w kadłub.

– Mam nadzieję, że pogoda się nie pogorszy – powiedziała Kate dokładnie w momencie, gdy samolot opadł wraz z prądem zstępującym. Mocno chwyciła stery i złapała prąd wstępujący.

– Przypomina to ujeżdżanie dzikiego mustanga – rzekł Paul spiętym głosem. – Wydawało mi się, że ten kurs obsługiwał zazwyczaj Jack.

– To prawda, ale został szefem, więc jest przykuty do lotniska, zajmuje się robotą papierkową, układa harmonogramy i ciągnie cały ten interes. Praca kierownika ma swoje wady. – Kate uśmiechnęła się szeroko.

– Co się stało z Sidneyem?

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła paczkę miętowej gumy do żucia.

– O rety, zapomniałam ci powiedzieć.

Wyciągnęła listek gumy i poczęstowała Paula.

– Nie, dziękuję. O czym zapomniałaś mi powiedzieć?

– Sidney sprzedał lotnisko.

– Sprzedał? Dlaczego?

Kate odwinęła gumę z papierka i wetknęła ją sobie do ust. Zgniotła opakowanie i cisnęła na podłogę.

– Jego ojciec miał udar.

Zaczęła miarowo poruszać szczęką.

– Wyzdrowieje?

– Nie wygląda to dobrze. Sidney musiał wrócić do domu, jego mama potrzebowała pomocy finansowej, więc wszystko sprzedał.

Paul podniósł z podłogi papierkę po gumie.

– Komu?

– Jackowi. – Pokręciła głową. – Zapowiada się fatalnie. Już wcześniej zadzierał nosa, a teraz zachowuje się jeszcze gorzej. Wylał mnie z pracy od razu, pierwszego dnia.

– Co? Dlaczego?

– Wdaliśmy się w sprzeczkę.

– Więc dla kogo teraz latasz?

– Dla Jacka. Cała ekipa zagroziła odejściem z pracy, jeśli nie przyjmie mnie z powrotem.

Paul ironicznie się uśmiechnął, a potem parsknął śmiechem.

– Założę się, że Jack cię znienawidził. Brawo dla chłopaków.

– Tak – odparła z zadowoleniem. – Praca dla Jacka przypomina trochę zapasy z niedźwiedziem, jednak zawsze to lepsze od braku zajęcia. No i dzięki niej mogę nadal mieszkać w Anchorage. Choć nie będzie łatwo. Jack uważa, że jest teraz grubą rybą i wszystko mu wolno, a za mną nie przepada. Może mnie wylać w każdej chwili.

– Nie robi tego. Może i zachowuje się jak despota, ale głupi nie jest.

Wlecieli w chmury. Kate bacznie obserwowała przyrządy, pilnując właściwego kursu i wysokości. Wiatr się wzmógł i tłukł o samolot, który cały się trząsł, przedzierając się przez szare kłębowisko.

Paul spojrzął za okno.

– Może należało zostać na ziemi.

– Nie sposób zawsze czekać na dobrą pogodę, zwłaszcza tutaj. Bezchmurne dni można policzyć na palcach jednej ręki.

Kate siłała się na lekki ton, ale skupiała uwagę na przyrządach nawigacyjnych i modliła się, by chmury się przerzedziły i ustały turbulencje.

Gdy odważnie zapuścili się nad archipelag, chmury rzedyły, a promienie

słońca zaczęły przecinać niebo. Zielone wzgórza i pasma gór oddzielały błękit Oceanu Spokojnego od ciemnych wód Morza Beringa. Kate chłonęła wzrokiem ten zjawiskowy, rozpościerający się w dole krajobraz.

– Można by pomyśleć, że z czasem człowiek przyzwyczaja się do tych widoków, a mimo to wciąż nie przestają mnie zaskakiwać. Zawsze znajdzie się coś nowego albo piękniejszego. To jedna z rzeczy, które uwielbiam w tej pracy.

Paul patrzył na połyskujący ocean, który ciągnął się po horyzont.

– Szkoda, że nie mam własnego samolotu. Wszystkim byłoby łatwiej, gdybym potrafił samodzielnie latać.

– Wymagałoby to długiego szkolenia i czasu, ale w końcu byś się nauczył. Ja latam niemal od dziecka, a to pustkowie nie przestaje być dla mnie wyzwaniem. Upłynęłoby sporo dni, zanim byłbyś gotów wybrać się w samotny lot. – Kate zerknęła na niego z ukosa. – A minusem tej sytuacji byłoby to, że już byś mnie nie potrzebował.

– Ależ potrzebowałbym cię, tyle że nie w charakterze pilotki – odparł żartobliwym tonem.

– Może kiedyś udzielę ci lekcji.

– Powiedz tylko kiedy i gdzie.

W kadłub samolotu uderzył boczny wiatr.

– W każdym razie nie dzisiaj, to nie jest odpowiedni moment.

Lecieli nad niewielką osadą Unalaska, położoną nad zataczającą łuk zatoką otuloną nagimi, zielonymi wzgórzami. Pierwsze wiosenne kwiaty rozlały się barwnymi plamami na łąkach pod miasteczkiem, choć najwyższe wzniesienia nadal przykrywał śnieg.

Kate posadziła maszynę bez trudu. Kiedy wysiadła z samolotu, zaciągnęła się wonią wiosennego powietrza i morza. Odwróciła się i ogarnęła spojrzeniem szeroką zatokę.

– To niesamowite miejsce. Cieszę się, że natłok zajęć nie pozwolił Jackowi tu przylecieć.

W ich kierunku zmierzał krępy, rudowłosy mężczyzna z brodą.

– Cześć. – Skinął głową Kate, a potem zwrócił się do Paula. – Nazywam się Sam Drummond. – Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Paula. – Jack uprzedził mnie o waszym przylocie. Miło was widzieć. W sklepie brakuje podstawowych produktów, a promu spodziewany się dopiero za trzy dni.

– Paul Anderson. Ale powinieneś raczej porozmawiać z Kate. – Wskazał ją ruchem głowy. – To ona jest pilotem.

Kate podała mu rękę i się przedstawiła:

– Kate Evans.

Na twarzy Sama odmalowało się zdziwienie, jednak już po chwili rozluźnił się i uśmiechnął.

– Nigdy dotąd nie spotkałem kobiety za sterami samolotu, ale słyszałem o tobie.

– Paul jest lekarzem, na wypadek gdyby ktoś w mieście potrzebował porady – poinformowała.

– Mamy lekarza, przynajmniej od czasu do czasu. Rzadko bywa w

gabinecie. Łowi ryby, tak jak większość mieszkańców. – Sam pomasaż sobie prawe ramię. – Tu mnie boli. – Wskazał dokuczające miejsce. – Może zechciałbyś rzucić okiem.

– Z przyjemnością – odparł Paul.



Zbadawszy ramię Sama i zdiagnozowawszy uraz spowodowany przeciążeniem, Paul udał się wraz z Kate do lokalnej kawiarni na zakup rybnej z chlebem. Odchylił się na oparcie krzesła i przyłożył sobie rękę do brzucha.

– Za dużo zjadłem. Masz ochotę na spacer?

– Czemu nie.

Paul zapłacił rachunek, a Kate zaczęła na niego na dworze. Ruszyli razem w stronę nabrzeża. Objął ją ramieniem i przyciągnął ku sobie.

– Chyba nie sądzisz, że ludzie pomyślą sobie coś głupiego o lekarzu i pilotce?

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się. – I naprawdę mało mnie to obchodzi.

Przytuliła się mocniej.

– Skoro ciebie nie obchodzi, to mnie też nie.

Delikatnie pocałował ją w czoło.

Szli wzdłuż pomostu, obserwując wracające z połowów łodzie. Wiatr uciął. Niebo ożywiały skrzeczące mewy, które krążyły w poszukiwaniu łakomych kąsków unoszących się przy kejach na wodzie. Rybacy sortowali złowione ryby, czyścili i chowali sieci. Jeden z nich pogwizdywał przy pracy jakąś melodię. Gdy Kate i Paul przechodzili obok, skinął im głową. Paul poczuł zadowolenie i zapragnął, by każdy dzień wyglądał jak ten dzisiejszy.

Nagły podmuch ostrego wiatru rozprysnął grzywy fal. Kate zatrzymała się i głęboko wciągnęła w płuca powietrze.

– Uwielbiam zapach oceanu.

Jej wielkie piwne oczy błyszczały z radości. Paul zagarnął ją ramionami.

– Ja też go lubię. Zawsze lubilem. Ale jest jeszcze przyjemniej, kiedy mogę podzielić się nim z tobą. To jedyne, za czym naprawdę tęsknię nad potokiem. Muszę pokonać szmat drogi, żeby zobaczyć ocean.

– Nigdy nie spędzałam dużo czasu na plaży. Moja rodzina zaledwie kilka razy wybrała się w podróż za góry. Mimo to uwielbiam ocean.

Paula zaczęły bombardować wspomnienia.

– Dorastając w San Francisco, chodziłem na plażę przy każdej okazji, jaka tylko się nadarzyła. Ja i bracia często łowiliśmy ryby z naszym tatą i wujami.

Z trudem panował nad drżeniem głosu. Kate położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nigdy nie łowiłam w oceanie. Jak myślisz, jakie gatunki żyją w Morzu Beringa?

– Rozmaite: skorpeny, lososie, prawdopodobnie halibuty. Szkoda, że nie mamy czasu wypłynąć.

– Mamy. Startujemy jutro, a do zmięzchu jeszcze daleko. Potrzebna nam tylko łódź.

Kate uśmiechnęła się, w jej oczach błysnęły psotne ogniki. Podbiegła do gwiżdżącego mężczyzny. Odbił już od nabrzeża i stał na kołyszającej się na wodzie płaskodennej łodzi. Paul poczłapał za Kate. Gdy podeszli bliżej, mężczyzna podniósł głowę. Kąciki migdałowych oczu pomarszczyły się w powitalnym uśmiechu. zęby błysnęły bielą mocno odcinając się od śniadej cery.

– Halo. Czym mogę służyć?

– Chcielibyśmy zapytać, czy zna pan kogoś, kto zechciałby zabrać nas na połów. Taki krótki.

– Lepiej wypłynąć rano.

– Rano wyjeżdżamy – rzekła Kate i lekko wyduła wargi. A po chwili dodała:

– Ja nazywam się Kate Evans, a to jest Paul Anderson.

– Billy Konig. – Mężczyzna spojrział w stronę miasteczka. – Skąd żeście się tu wzięli? O tej porze turyści jeszcze nie przyjeżdżają, a prom przyływa dopiero za parę dni.

– Latam w zespole pilotów z Anchorage i miałam tu dostawę.

– Myślałem, że Jack Rydell obsługuje kurs z Anchorage.

– Tak, ale był zajęty, więc poprosił mnie o zastępstwo.

Billy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Z korzyścią dla nas, powiedziałbym.

Promienny uśmiech Kate zdradził jej prawdziwe uczucia.

– Więc chcielibyście wypłynąć na ryby?

Billy wsunął palce pod wełnianą czapkę i podrapał się po głowie.

– Tak. Ale nigdy nie łowiłam w oceanie.

Mężczyzna omiótł wzrokiem rozległą zatokę, po czym znów popatrzył na Kate.

– Właściwie to mógłbym was zabrać. Ale nie na długo. Moja Sophie będzie niepoczieszona, jeśli nie zdążę na kolację.

– Mogę zapłacić – zaoferował się Paul.

– Nie. Nie trzeba. Wsiadajcie. – Upchnął wiadro na tyle łodzi. – Rano nie dopisało mi szczęście. Mam sporo przynęty.

Usiadł na rufie na krótkiej drewnianej lawce obok silnika.

Kate i Paul usadowili się na dwóch pozostałych. Billy pociągnął za linkę, silnik zaterkotał, a Paul zdjął cumę z pachołka. Billy wypłynął na wody zatoki.

– Mam dwie wędkę. Pewnie nie chcecie używać sieci, bo to mniejsza frajda.

– Nigdy nie łowiłem siecią – powiedział Paul.

– Korzystamy z nich, żeby złapać więcej ryb i sprzedać je przetwórni, ale dopiero wędkowanie to prawdziwa walka.

Uśmiechnął się. Trudno było oszacować jego wiek. Wyglądał młodo.

Woda była nieco wzburzona, więc łódź podskakiwała. Paul spojrział na Kate, aby zobaczyć, jak zapatruje się na wypłynięcie w morze taką lupinką. Miała uśmiech na twarzy, wydawała się nieświadoma zagrożenia, żywioł sprawiał jej radość. Wiatr smagał twarz i rozwiewał krótkie włosy, z kolei bryza osiadała kropelkami wody na skórze. Jego ukochana wyglądała zachwycająco. Na ten widok pierś Paula wezbrała miłością. Upajał się tym

uczuciem, a jednocześnie się go bał.

Kochał ją gorąco, przez co jakakolwiek myśl o jej utracie stawała się jeszcze trudniejsza do zniesienia. Ubolewał, że Kate tak uwielbia latać. Nie był pewien, czy przeżyłby, gdyby zginęła w katastrofie albo przepadła gdzieś w tych bezkresnych dzikich ostępach. Nie chciał, by te ponure myśli zepsuły im całą przyjemność, i z trudem je od siebie odsunął.

– Musimy robić to częściej – rzekł z uśmiechem.

– To prawie tak fajne jak latanie – odparła z satysfakcją i skuliła się pod kurtką.

– Umiesz założyć przynętę? – zapytał Billy.

– Jasne.

Paul sięgnął po wędkę.

– Jest tam. – Billy ruchem głowy wskazał wiadro.

Paul wyjął z niego małą rybkę, nabił ją na spory haczyk i przygotował wędkę dla Kate.

– Będziemy trollować – powiedział Billy. – Może wtedy uda się coś złapać. – Zmniejszył obroty silnika. – Zrzucić wędkę, zobaczymy, czy ryba bierze.

Kate zamachnęła się, następnie wygodnie usiadła i czekała. Zanim Paul zdążył nadziać przynętę na haczyk drugiej wędki, jego towarzyszka pisnęła:

– Mam!

Jej wędka się wygięła, więc wstała i ciągnęła, pałak giął się pod ciężarem czegoś, co znajdowało się na końcu żyłki. Łódź się kołysała, Kate o mało nie straciła równowagi.

– Ostrożnie. – Paul złapał ją za ramię. – Żebyś nie wypadła za burtę.

Kobieta utkwiała wzrok w wędce.

– Co mam robić? To pewnie jakaś wielka ryba.

– Prawdopodobnie losoś królewski. Pobaw się z nim – rzekł Billy. – Popuść żyłkę, a potem szarpnij. Zmęcz go. Tylko uważaj, by nie złamał ci wędki.

Jego ogorzała twarz pałała radością.

– Daj, pokażę ci. – Paul stanął za plecami Kate i chwycił wędzisko. – Trzeba pociągnąć, o tak, a potem trochę poluzować, żeby odpłynął, ale nie możesz pozwolić, aby za bardzo szarpał. więc mocno trzymaj.

– Boję się, że mi się wymknie.

Kate podciągnęła wędkę w górę. Paul położył ręce na jej dłoniach.

– Nie pozwól mu się zerwać.

Lekko obniżył wędzisko. Czuł bijące od Kate ciepło i delikatną woń perfum „Paryski wieczór”. Spojrzała na niego. Wydawała się taka szczęśliwa. Paul z wrażenia niemal zachwiał się na nogach.

– Tak?

– Tak. O, właśnie.

Ogarnęła go nagła panika. Delikatnie odsunął się od Kate. Kochał ją, ale intensywność tego uczucia była większa, niż się spodziewał. W co on się wpakował?

Paul wyrwał chwast z wilgotnej ziemi w ogrodzie, wyprostował się i spojrzal na rząd tyczek. Wyobraził sobie zielone pnącza uginające się od dorodnego groszku, wijące się w górę i oplatające tyczki. Nieomal poczuł smak słodkich strączków i zapragnął, by lato pospieszyło się z nadejściem.

Jego uwagę zwrócił trzask gałęzi. Odwrócił się i ujrzał Sassę biegnącą ścieżką, która łączyła ich domostwa. Ta kobieta nigdy nie biegała. Wbił szpadeł w ziemię, przygotowując się na wieść o nagłym wypadku, któremu za chwilę przyjdzie mu stawić czoła. Gdy dostrzegł w jej oczach radość, odetchnął z ulgą. Ciekawość zastąpiła niepokój.

Zdyszana Sassa stanęła przed Paulem.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Przycisnęła pulchne dłonie do obfitej piersi i zaczerpnęła powietrza. – Lily przyjeżdża do domu! Czy to nie jest cudowna nowina? Ledwie mogę uwierzyć.

Paul się uśmiechnął, ciesząc się z radości Sassy i Patricka, a jednocześnie zachodząc w głowę, co się wydarzyło, że Lily postanowiła wrócić nad strumień.

– To wspaniała wiadomość. Przyjeżdża w odwiedziny?

– Nie, wraca na stałe. – Cień troski lekko ostudził czułość w brązowych oczach Sassy. Oblizła usta. – Tęskniłam za nią. Bałam się, że zostanie tam na zawsze. – Przymknęła oczy. – Dzięki Ci, Panie, za sprowadzenie mojej córeczki do domu.

Choć Paula zżerała ciekawość, co przygnalo Lily z Seattle, zdołał nad nią zapanować i zapytał rzeczowo:

– Kiedy tu będzie?

– Jej statek przybija do portu w Seward za dwa tygodnie. Stamtąd pojedzie pociągiem do Anchorage. A Mike przywiezie ją do domu. – Z ust Sassy wyrwał się stłumiony śmiech, który poniósł się w powietrzu jak ptasi trzask. – Patrick rozmawiał z nim przed chwilą przez radio. – Wciąż z trudem łapiąc oddech, ciągnęła: – Zamierzamy uczcić jej przyjazd. I chcemy cię zaprosić.

– Za nic nie przepuściłbym takiej okazji. – Paul nie zapomniał, jak niezmordowanie Sassa próbowała wyswatać go z Lily. Miał nadzieję, że nie ponowi starań. Rzucił jej stanowcze spojrzenie. – Rozumiesz moją relację z Kate, prawda?

– Oczywiście.

Machnąwszy ręką, oddaliła się w stronę domu, ale na jej ustach błąkał się znaczący uśmiech, który wprawił Paula w zdenerwowanie.



Przed wyjściem do Warrenów Paul zatrzymał się na ganku w nadziei, że

dostrzeże gdzieś Jaspera. Brakowało mu towarzysza. Przyjrzał się gałęziom drzew i zagwizdał. Ptak zakrakął z brzoźowej gęstwiny, następnie sfrunął z góry i wylądował na swojej żerdce obok tylnych drzwi. Paul nagrodził go kawałkiem chleba.

– Dobrze cię widzieć, przyjacielu.

Po oswobodzeniu z pułapki i wyleczeniu złamanej nogi kruk przez długi czas trzymał się blisko domu, ostatnio zrobił się jednak bardziej niezależny, a jego wizyty były rzadsze. Las ponownie stał się jego domem. Mimo to Jasper zdawał się nigdy nie odlatywać daleko.

Mężczyzna pogładził hebanowe pióra na głowie i szczytach skrzydeł.

– Domyślam się, że pewnego dnia znajdziesz sobie samiczkę i odleciez na dobre. – Paul wiedział, że taka jest kolej rzeczy, jednak nie potrafił stłumić w sobie uczucia melancholii. Będzie tęsknił za swoim skrzydlatym kompanem. – Na mnie już czas. Wybieram się na przyjęcie.

Zrobił krok ku schodom.

Ruszył niespiesznie ścieżką prowadzącą do Warrenów, rozmyślając o Lily. Była w domu już od dwóch dni, ale jeszcze jej nie widział. Zastanawiał się, czy bardzo się zmieniła. Prawdopodobnie nie – wyjechała niespełna rok temu. Sassa nie zdradziła powodów powrotu córki do domu. Przypominając sobie entuzjazm, z jakim Lily podchodziła do przygody i podróży, głowił się, co takiego spowodowało ją w rodzinne strony. Przypuszczał, że niebawem się dowie.

Gdy zbliżył się do zbudowanego z bali domu Warrenów, psy gospodarzy zaczęły ujadać. Rozpoznawszy Paula, zamerdwały ogonami, a zjeżona sierść znów płasko przywarła do grzbietów. Poklepał każdego z nich, brnąc w morzu wilgotnych nosów i sięgających uda psich łbów.

Drzwi otworzył jedenastoletni Douglas. Okrągłą buzię rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Cześć.

Choć Douglas był najstarszym spośród trzech braci, był niższy od pozostałych i miał korpulentną budowę matki. Oparł się o framugę i zawołał:

– Przyszedł Paul! – Cofnął się i otworzył drzwi na oścież. – Proszę.

Paul położył dłoń na lśniącej czarnej czuprynie chłopca.

– Co słychać?

– W porządku. Poszedłem rano na ryby. Ale nic nie złowiłem. Byłeś ostatnio na rybach?

– Króciutko. Miałem sporo zajęć.

– Wczoraj wyciągnęliśmy z Ethanem dwie ładne sztuki.

Ethan i Robert tłoczyli się przy wejściu, starając się ściągnąć na siebie uwagę Paula. Obaj byli wysocy i szczupli jak ich ojciec.

– Cześć – powiedział Robert. Pociągnął gościa za rękę, wprowadzając go do środka. – Mama przygotowała najpyszniejszą kolację na świecie. Jest też ciasto.

– Czy to ty, Paul? – Sassa obejrzała się przez ramię. Wyjęła ręce ze zlewu, wytarła je w fartuch i podeszła do dzieci, odsuwając je na bok. – Zmykajcie, no już. Przestańcie się narzucać.

– Och, nie robią nic złego. – Paul wdychał smakowite aromaty ryby i pieczonego chleba. – Ależ pięknie pachnie.

Gospodyni przyjęła ten komplement z uśmiechem. Była dumna ze swej reputacji znakomitej kucharki.

– Mamy dzisiaj pieczonego lososia, buleczki i bataty, ulubione potrawy Lily.

– Bataty z piankami i brązowym cukrem? – zapytał Paul.

Sassa zamknęła drzwi.

– Przyrządzone w ten sposób smakują najlepiej – odparła z uśmiechem.

– Wiem z dobrze poinformowanego źródła, że jest także ciasto, to prawda?

– Paul puścił oko.

– Ach, ci chłopcy... miałam z nimi urwanie głowy, żeby się do niego nie dobrali – rzekła z dezaprobatą.

Paul rozejrzał się po domu.

– A gdzie Lily?

– Na górze. – Sassa przyciszyła głos. – Wstydzi się. Nie powiodło się jej w Seattle. Nie chce świętować. – Podniosła wzrok na schody. – Ale wróciła tam, gdzie jej miejsce, a to wystarczający powód do radości. – Kobiecie napłynęły do oczu łzy, które otarła ręką fartucha. – Chwała Bogu, że znów jest z nami.

Paul położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie piszę słowa o Seattle – zapewnił, chociaż nie bardzo wiedział, jak ominąć ten temat. Dziewczyna wyruszyła w świat z nastawieniem, że rozpocznie nowe życie. Skoro coś skłoniło ją do powrotu do domu, musiało być naprawdę ciężko. – Może przyjęcie poprawi jej nastrój – dodał z uśmiechem.

– Och, mam nadzieję.

Przy oknie stał Klaus Braun, stary kawaler, który przybył tu z Niemiec i mieszkał nad strumieniem. Podobnie jak wielu innych mieszkańców tych dzikich terenów, zostawił swoją przeszłość w ojczystym kraju, przeszłość, o której nikt nic nie wiedział, a rozumiało się samo przez się, że pytać nie wypada. Skinął Paulowi głową.

– *Guten Abend.*

Wsparty na łasce, pokuśtykał do tapicerowanego fotela i ostrożnie posadził na nim starzejące się ciało.

– Witaj, Klaus, miło cię widzieć – odparł Paul.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Patrick.

– Znalazłem kawalek... o, cześć, Paul. Jak się miewasz?

– Dobrze, a ty?

– Lepiej być nie może. – Pokazał odłamek wyrzuconego na brzeg drewna. –

Natknąłem się na to na plaży i pomyślałem, że Klaus mógłby coś wyrzeźbić. – Zamknął drzwi i podszedł do starszego mężczyzny. – I jak? Przyda się?

Stary Niemiec wziął do ręki drewno. Zmarszczył krzaczaste, siwe brwi.

– *Ja. Gut.* – Podniósł wzrok na Patricka. – Ile za to chcesz?

– Nic. Bóg położył to na piasku. Należy do niego, nie do mnie.

Paul usiadł naprzeciwko Klausowi.

– Pewnie wyrzeźbisz z tego coś wyjątkowego.

– Ja. – Pokiwał głową, obracając drewnisko w dłoniach i przesuując kciukiem po powierzchni. – Piękny kawałek do obróbki.

– Jak się czujesz?

– Nie za dobre... stare kosci. – Oparł się w fotelu. – Ale cieszę się na te uroczystości – dodał z uśmiechem.

– Sassa przygotowała ucztę – stwierdził Patrick, zerkając w stronę kuchni. – Nie wiem, jak długo jeszcze mam czekać. Burczy mi w brzuchu, кишки grają marsza.

– Słyszałem, Klausie, że posadziłeś już coś w ogródku – rzekł Paul.

– Tak. – Kiwnął głową, a wraz z nią poruszyła się cała górna część tułowia.

– Ale odwiedził mnie niedźwiedź i mam teraz więcej pracy. Wywrócił wychodek, rozwłókł papier po całym obejszciu. – Klaus delikatnie pogladził brodę. – Dziękuję Patrickowi za przywrócenie porzontku, bo inaczej nie miałbym nawet do czego... – Zerknął na krzątającą się w kuchni Sassę. – No, wiecie...

Patrick i Paul zachichotali, a potem Patrick powiedział już poważniejszym tonem:

– Prawdopodobnie młody samiec. Są bardzo pobudzone, zwłaszcza o tej porze roku. Trzeba na nie uważać.

Do pokoju weszła Sassa.

– Zapraszam do stołu. – Podeszła do schodów i zawołała: – Lily, kolacja gotowa.

Mężczyźni przenieśli się do kuchni i usiedli przy dużym, surowym stole. Sassa wniosła drewnianą miskę przykrytą ściereczką, pod którą rysowały się brylowate kształty. Paul domyślił się, że to bułeczki. Postawiła naczynie na stole.

W progu pojawiła się córka Warrenów.

– Witaj, Lily. Miło cię widzieć – powiedział Paul.

– Dobre, że jesteś w domu – rzekł Klaus, pozdrawiając ją skinieniem głowy. – Musimy wkrótce pójść na ryby.

Dziewczyna uśmiechnęła się blado.

– Z przyjemnością.

– Lily, jesteś gościem honorowym – oznajmiła Sassa. – Siadaj. Ja się wszystkim zajmę.

Cała rozpromieniona przytuliła ją, jakby uświadamiając sobie od nowa, że znów ma w domu córkę.

Śniada twarz jej córki oblała się rumieńcem. Lily usiadła przy stole. Powiodła wzrokiem po zebranych i złożyła dłonie na kolanach. Nie wyglądała na szczęśliwą.

Biedna Lily. Sassa miała dobre chęci, ale uroczysta kolacja jest pewnie ostatnią rzeczą, na jaką ta dziewczyna ma ochotę. Paul dodał jej otuchy uśmiechem.

– Cieszę się, że znów jesteś z nami.

– Dziękuję. – Wyjrzała przez okno. – Lubię to miejsce – rzekła, ale w jej głosie pobrzmiwało niezdecydowanie.

– Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że nasza córeczka wróciła na stare śmieci – odezwał się Patrick i przysunął się do Lily, obejmując ją ramieniem i tuląc do siebie. – Niedobrze zgubić swoje korzenie.

Gdy już wszyscy zasiedli przy stole i podano jedzenie, Patrick pomodlił się, dziękując Bogu za talenty kulinarne Sassy oraz powrót córki. Podniósł głowę, w oczach polyskiwały mu łzy. Odchrząknął.

– Jedzmy.

Paula nie przestawało nurtować pytanie, dlaczego Lily przeprowadziła się z powrotem do rodzinnego domu. Kiedy opowiadała mu o swoich aspiracjach i nadziejach na lepsze życie w dalekim świecie, była pewna siebie i zdeterminowana. Paul musiał zachować swoje wątpliwości dla siebie.

Rozmowa przy stole toczyła się beztrudno, krążyła głównie wokół polowań i wędkowania. Oraz nowego zajęcia Paula. Z przyjemnością podzielił się kilkoma anegdotami z życia lekarza na Alasce.

Kolacja była wyśmienita i choć żołądek ostrzegwał Paula, że zjadł już dość, nie omieszkiał nalożyć sobie na talerz dodatkowej porcji batatów.

– Sasso, prześcignęłaś samą siebie.

– Najlepsza kucharka na całej Alasce – pochwalili Patrick.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję, ale to tylko proste jedzenie.

Paul delikatnie odsunął krzesło i wyciągnął nogi pod stołem. Poklepał się po brzuchu.

– Nie będę musiał jeść przez tydzień.

– Mamy jeszcze deser – rzekła gospodyni, posprzątawszy ze stołu.

– Mama upiekła ciasto – oznajmił Robert, opierając się pierśią o blat.

– Może trochę odsapniemy, zanim rzucimy się na deser – zaproponował Patrick i spojrzał na żonę. – Nie masz nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie – odparła. – Pozmywam naczynia. Może w międzyczasie wróci wam apetyt. – Popatrzyła na Paula. – Spacer pomaga na trawienie. – Przeniosła wzrok na Lily. Paul stłumił jęk. Przecież Sassa wie o Kate. Do czego ona zmierza? – Spacer po obfitym posiłku jest jak znalazł – rzekła.

Co mi właściwie szkodzi?

– Przeszłabyś się, Lily? Przydałoby mi się towarzystwo.

Zarumieniła się z zakłopotania. Zasznurowała usta i rzuciła matce zirytowane spojrzenie.

– Oczywiście. Pewnie dobrze mi to zrobi.

Odsunęła krzesło i wstała.

Paul przepuścił ją w drzwiach. Lily wyszła na ganek. Ledwo zdążył je za nimi zamknąć, dziewczyna powiedziała:

– Nie musisz nigdzie ze mną iść. Mama jak zwykle dyryguje.

– Troszczy się o ciebie. Cóż złego w przechadzce z sąsiadem?

– Wiem o tobie i Kate. I się cieszę. Ona jest bardzo miła.

– To prawda. A ja za nią wprost szaleję. – Paul uśmiechnął się od ucha do ucha, a potem zwrócił się w kierunku strumienia. – Przejdziemy się? Jesteś

trochę błada.

– Nic mi nie jest.

Paul zszedł za Lily po schodkach i poszli nad potok.

– Może porozmawiamy o czymś innym niż polowania i ryby. Nawet mnie już to zbrzydło.

Uśmiechnęła się.

– Miło znów cię tu widzieć. Naprawdę.

Dziewczyna omiotła wzrokiem strumień.

– Pięknie tu. Tęskniłam za tymi widokami. – Coś w jej głosie mówiło, że mimo wszystko bardziej tęskni za Seattle.

– Planujesz tam wrócić czy przymierzasz się pojechać w inne miejsce?

Lily pokręciła głową.

– Nie. Jedna podróż w świat wystarczy. Moje miejsce jest tutaj.

– Jesteś zdecydowanie za młoda jak na takie kategoryczne stwierdzenia. Nie wiesz, co życie trzyma dla ciebie w zanadrzu.

– Mam prawie dwadzieścia lat. – Lily schyliła się i zerwała małe kwiatki w kolorze purpury. Powąchała go i zaczęła obracać lodyżkę między palcami. – Seattle okazało się inne, niż się spodziewałam. Z początku wydawało się ekscytujące a atrakcyjne. Dostałam pracę w przetwórci ryb i miałam własne mieszkanie. Podobało mi się... Ale... to duże miasto. Ludzie są inni niż tutaj. Czulałam się samotna pomimo tylu osób wokół. Przez cały pobyt ani razu nie spotkałam innego Eskimosa. A niektórzy nie lubili mnie tylko dlatego, że inaczej wyglądałam. Nie tego oczekiwałam.

– Współczuję.

Dotknęła ustami płatków kwiatka.

– Nic się nie stało. Tak czy siak, myślę, że moje miejsce jest tutaj.

Nagle Paul dostrzegł odmienioną, dojrzalszą Lily. Dorosła podczas swojej nieobecności. Czasem rozczarowanie robi coś takiego z człowiekiem.

Lily zwróciła na Paula ciemnobrązowe oczy i zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz zamiast tego szła dalej przed siebie. Zerwała kolejny kwiat. Nie patrząc na Paula, rzekła cicho:

– Poznałam tam mężczyznę. Sprawiał dobre wrażenie.

Paul czekał na dalszy ciąg. Lily wzięła głęboki oddech, który zabrzmiał jak westchnienie.

– Mówił, że mnie kocha. – Jej pełne usta stężyły, zaciskając się w wąską linię. – Uwierzyłam mu. – Odrzuciła kwiaty. – Ale prawda jest taka, że byłam dla niego nową zabawką, indiańską dziewczyną z Alaski.

Sarkazm w jej głosie zaskoczył Paula. Natychmiast poczuł złość na mężczyznę, który ją skrzywdził.

– Jesteś kimś znacznie więcej.

Popatrzyła na niego i nie odzywając się słowem, skręciła nad brzeg potoku.

– Nie pozwól, by ktoś taki jak on przesądzał o tym, kim jesteś – rzekł Paul, schodząc za nią w dół.

Lily usiadła na kłodzie i utkwiała wzrok w płynącej wodzie.

– Powiedział prawdę. Jestem indiańską dziewczyną. Nikim szczególnym. –

Podniosła głowę. – Nie będę udawać, że jestem kimś innym.

– I bardzo dobrze. – Paul również usiadł na powalonym drzewie, zachowując co najmniej półmetrową odległość. – Próba bycia kimś, kim się nie jest, rodzi tylko kłopoty.

– Tak, przekonałam się. Stworzył mnie Bóg. I postanowiłam nie sprzeczać się z Nim o to, kim jestem.

– Rozumiem, jednak myślałem, że chcesz zobaczyć świat. Nie rezygnuj z marzeń. Czasem niełatwo jest się dopasować i może wcale nie trzeba tego robić. Ale nie porzucaj czegoś tylko dlatego, że trudno to osiągnąć. Kiedy przyjechałem w to miejsce, nie miałem pojęcia o życiu na odludziu. Kompletnie tu nie pasowałem, byłem prawdziwym nowicjuszem.

– To prawda. – Roześmiała się. – Wszyscy zachodziliśmy w głowę, co, na niebiosy, tutaj robisz. – Szerzej otworzyła oczy, jak gdyby zdała sobie właśnie sprawę, że wkracza na zakazany grunt. Szybko dodała: – Cieszę się, że tu zostałeś.

Paul nie mógł jej powiedzieć, że nie miał wyboru.

– Ja też.

– Myślę, że niektórym ludziom nie jest dane opuszczać domu. Bóg osadza nas tam, gdzie nasze miejsce. Nie będę już wyjeżdżał. – Lily zaplotła długie czarne włosy, potem rozplotła warkocz i przeczesała je palcami. – Nie mam nic przeciwko zamieszkaniu tutaj na stałe. Prawdę mówiąc, dobrze wiedzieć, gdzie spędzę resztę życia.

– Zamierzasz zostać tutaj, nad strumieniem?

– Raczej nie zostanę pod jednym dachem z rodzicami, ale przeniosę się gdzieś blisko. Chciałabym poślubić kogoś, kto kocha te ziemie, założyć rodzinę i może nawet żyć nad brzegiem tego strumienia, tylko dalej. – Nic w tonie jej głosu nie wskazywało, że naprawdę wierzy, że tak się stanie.

Paul zastanawiał się, dlaczego, a później jego myśli powędrowały do domu w Kalifornii. Czy było z nim tak samo jak z Lily? Czy jego miejsce znajdowało się właśnie tam, a nie tutaj? Nie. Był tu potrzebny i robił coś ważnego.

– Ja jestem na właściwym miejscu.

– I masz Kate. Ona nigdy nie wyjedzie z Alaski.

– Tak. Nie potrafię sobie wyobrazić niczego, co mogłoby ją stąd wygnąć.

Paula zdjął nagły lęk. Kate nigdy nie robiła niczego połowicznie. Oddalaby Alasce całą siebie. Może nawet oddalaby jej życie.

Mike zrównał krok z maszerującą przez lotnisko Kate.

– Przepracowujesz się – powiedział. – Wróciłaś wczoraj wieczorem i już znowu wyjeżdżasz na trzy dni? – Pokręcił głową. – Potrzebny ci drobny przestój.

– Dobrze się czuję. Wyspałam się.

– Co? Przez cztery godziny?

Kate nie odpowiedziała. Ledwo zwlokła się z łóżka, jednak nie zamierzała sobie odpuszczać.

– Pozwól mi wziąć za ciebie ten kurs.

– Dzięki, ale Paul na mnie liczy.

Poza tym chciała się z nim zobaczyć. Kiedy ostatnio się widzieli, wszystko było w porządku. Spędzili miło czas, wyprawa na ryby sprawiła im wielką frajdę, a potem, ni z tego, ni z owego Paul jakby się wycofał. Coś było na rzeczy. Nie miała co do tego wątpliwości.

– Mogę go zabrać.

– To prawda, lecz muszę jeszcze podrzucić zaopatrzenie i potrzebuję pieniędzy. – Spojrzała na niego, nie zwalnając kroku. – O tej porze roku wszyscy harują, przecież wiesz.

Mike chwycił ją za ramię.

– Zaczekaj.

Zatrzymała się i popatrzyła na jego rękę.

– Co ty sobie wyobrażasz? Puszczaj. – Podparła się pod boki i świdrowała go wzrokiem. – Zachowujesz się tak, jakbym była twoją własnością.

Mężczyzna spuścił oczy.

– Przepraszam. Nie chciałem. – Wcisnął ręce do kieszeni kurtki i czubkiem buta kopnął kamień. – Mogę opuścić jeden kurs i polecieć z tobą.

– Mike, dlaczego tak się upierasz?

– Troszczę się o moją... najlepszą przyjaciółkę. – Jego niebieskie oczy patrzyły na nią błagalnie.

Kate zmiękło serce. Pragnęła, by znalazł sobie kogoś innego do kochania.

– Dziękuję... naprawdę, ale dam sobie radę.

– Czy spędzanie razem czasu to coś złego? Jesteśmy przyjaciółmi, kumplami po fachu. – Popatrzył jej prosto w oczy. – Brakuje mi ciebie. I nie w takim sensie... brakuje mi naszej przyjaźni. Od kiedy zadajesz się z Paulem, prawie się nie widzujemy.

Kate zdawała sobie sprawę, że nie poświęca Mike'owi zbyt dużo uwagi. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, jednak czas nie jest z gumy, a sercem była przy Paulu. Nie wiedziała, co powiedzieć. Przeczesała palcami krótkie włosy i odgarnęła je z twarzy.

– Więc jak? Randka dwojga przyjaciół?

– Randka? – Pokręciła głową. – Nie. Jak możesz w ogóle o to prosić? Jak byś

Mike zrównał krok z maszerującą przez lotnisko Kate.

– Przepracowujesz się – powiedział. – Wróciłaś wczoraj wieczorem i już znowu wyjeżdżasz na trzy dni? – Pokręcił głową. – Potrzebny ci drobny przestój.

– Dobrze się czuję. Wyspałam się.

– Co? Przez cztery godziny?

Kate nie odpowiedziała. Ledwo zwlokła się z łóżka, jednak nie zamierzała sobie odpuszczać.

– Pozwól mi wziąć za ciebie ten kurs.

– Dzięki, ale Paul na mnie liczy.

Poza tym chciała się z nim zobaczyć. Kiedy ostatnio się widzieli, wszystko było w porządku. Spędzili miło czas, wyprawa na ryby sprawiła im wielką frajdę, a potem, ni z tego, ni z owego Paul jakby się wycofał. Coś było na rzeczy. Nie miała co do tego wątpliwości.

– Mogę go zabrać.

– To prawda, lecz muszę jeszcze podrzucić zaopatrzenie i potrzebuję pieniędzy. – Spojrzała na niego, nie zwalniając kroku. – O tej porze roku wszyscy harują, przecież wiesz.

Mike chwycił ją za ramię.

– Zaczekaj.

Zatrzymała się i popatrzyła na jego rękę.

– Co ty sobie wyobrażasz? Puszczaj. – Podparła się pod boki i świdrowała go wzrokiem. – Zachowujesz się tak, jakbym była twoją własnością.

Mężczyzna spuścił oczy.

– Przepraszam. Nie chciałem. – Wcisnął ręce do kieszeni kurtki i czubkiem buta kopnął kamień. – Mogę opuścić jeden kurs i polecieć z tobą.

– Mike, dlaczego tak się upierasz?

– Troszczę się o moją... najlepszą przyjaciółkę. – Jego niebieskie oczy patrzyły na nią błagalnie.

Kate zmiękło serce. Pragnęła, by znalazł sobie kogoś innego do kochania.

– Dziękuję... naprawdę, ale dam sobie radę.

– Czy spędzanie razem czasu to coś złego? Jesteśmy przyjaciółmi, kumplami po fachu. – Popatrzył jej prosto w oczy. – Brakuje mi ciebie. I nie w takim sensie... brakuje mi naszej przyjaźni. Od kiedy zadajesz się z Paulem, prawie się nie widzujemy.

Kate zdawała sobie sprawę, że nie poświęca Mike'owi zbyt dużo uwagi. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, jednak czas nie jest z gumy, a sercem była przy Paulu. Nie wiedziała, co powiedzieć. Przeczesала palcami krótkie włosy i odgarnęła je z twarzy.

– Więc jak? Randka dwojga przyjaciół?

– Randka? – Pokręciła głową. – Nie. Jak możesz w ogóle o to prosić? Jak byś

się czuł, gdyby twoja dziewczyna umawiała się z innym facetem?

Mike sposepniał.

– Umawia się.

– Przestań! To nie fair. Prawdziwi przyjaciele chcą dla siebie nawzajem tego, co najlepsze. A ty myślisz tylko o sobie.

Kate wbiła wzrok w ziemię. Zaległo między nimi milczenie, które przerwał w końcu Mike.

– Masz rację. Przepraszam. Naprawdę. Tyle że to okropnie trudne. Nie potrafię tak po prostu przestać cię kochać. Zależy mi na tobie, i nawet lubię Paula, ale nic nie poradzę na to, co czuję.

– Będziesz musiał... w przeciwnym razie nie będziemy mogli się przyjaźnić. Przepraszam, trzeba doręczyć pocztę.

Podeszła do samolotu. Wiedziała, że Mike się jej przygląda, jednak nie śmiała obejrzeć się za siebie.

Wzbiwszy się w powietrze, Kate odtworzyła w myślach rozmowę z Mikiem. Co począć z tym fantem? To on pomógł jej się tu zaczepić. Mimo wszystko nie powinien zachowywać się w ten sposób.

Powróciła myślami do Paula i od razu przeszył ją dreszcz ekscytacji. Wkrótce go zobaczy. Pewnie nic się nie stało. Najprawdopodobniej był po prostu zmęczony albo miał zły nastrój. Sprawy między nimi nabrały tempa. Może z jego punktu widzenia toczyły się zbyt szybko.

Kiedyś była przekonana, że to Richard jest mężczyzną jej marzeń. Później Mike. Czy może ufać swoim uczuciom? Gdy się nad tym zastanawiała, znów ujrziała przed oczami obraz Paula. Zarumieniła się na samą myśl o nim. Kochała go. Nie miała co do tego wątpliwości.

Kate puściła wodze wyobraźni, dumając, jak wyglądałoby życie u jego boku. Nie upływałoby na samych radościach i rozkoszach. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Bardzo się od siebie różnili. Dochodziłoby do utarczek, a jej praca zawodowa przeszkadzałaby w wypełnianiu małżeńskich obowiązków. Z kolei praca lekarza często zatrzymywałaby Paula z dala od domu. Nie wiedziała, jak funkcjonowałby jako rodzina. Czy oczekiwałby od niej rezygnacji z latania? A czy ona byłaby skłonna tak się poświęcić? Kate nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez samolotu.

Gdy wylądowała na mieliźnie, Paul już płynął w jej stronę. Patrick wysadził go z łodzi, pomachał mu na pożegnanie i oddalił się w górę Bear Creek. Paul wsiadł do samolotu i zamknął za sobą drzwi.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał, niemal obojętnie cmoknął ją w policzek, po czym wcisnął się na swój fotel. Uśmiechnął się i w przelocie musnął jej rękę.

Liczyła na więcej.

– Do Ninilchik – odparła, nie potrafiąc ukryć rozczarowania. – Ktoś zawiadomił przez radio o kilku przypadkach odry.

– O ilu?

– Co najmniej trzech. Jedno dziecko w miasteczku – na szczęście już wyzdrowiało. Pozostałe dwa zdarzyły się w jednej rodzinie, u Gładwellów. To mili ludzie. W zasadzie mieszkają poza osadą. Mają lądowisko, więc łatwo

będzie wylądować i startować.

Miała nadzieję, że pochyli się ku niej i ją pocałuje albo chociaż weźmie za rękę.

Paul pokiwał głową, ale milczał i uparcie patrzył za okno. Zapadła między nimi cisza. A jednak było coś na rzeczy.

Zbliżyli się do osady położonej nad Zatoką Cooka. Góry Redoubt i Iliamna sterczały na przeciwległym brzegu, tworząc zapierający dech w piersiach widok. Kate przeleciała nad ciemną piaszczystą plażą.

– Musimy znów wybrać się któregoś dnia na poszukiwanie małży. Podobno jest ich tam zatrzęsienie.

– Czemu nie – odparł Paul, nie odrywając oczu od widocznego w dole Ninilchik.

Niemal przez całą drogę milczał. Gdzie się podziały ich zwyczajowe żarty i przekomarzania? Kate chciała zapytać, czy coś wytrąciło go z równowagi, ale nie śmiała, bojąc się, co usłyszy w odpowiedzi.



Kate obniżyła lot nad wierzchołkami drzew, wypatrując gospodarstwa Gladwellów. Gdy dostrzegła chatę na skraju polany, okrążyła lądowisko, by upewnić się, czy można bezpiecznie wylądować, a następnie posadziła maszynę na trawiastym pasie i wyłączyła silnik.

Wypuściła Angel na krótką przebieżkę, a potem zamknęła ją w kabinie samolotu. Ruszyła z Paulem w kierunku chaty. Od zachodniej strony przylegała do domu okazała stodoła. Na pastwisku klacz skubała trawę, a wokół niej truchtało żrebię z zadartym ogonem. Duży ogród za stodołą ciągnął się aż pod las.

– Ładnie tu – stwierdził Paul.

Ze stodoły wyszedł wysoki, tyczkowaty mężczyzna o bujnej brodzie, ubrany w czerwoną flanelową koszulę.

– Halo! – zawołał.

– Cześć, Carl – odpowiedziała Kate. – Dobrze cię widzieć.

Zbliżył się do nich posuwistym krokiem.

– Carl, to jest Paul Anderson, lekarz. Paul, poznaj Carla Gladwella.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

– Dziękuję, że przyjechaliście – rzekł Carl, a następnie odwrócił się w stronę domu i ruszył przez pole. – Z moim najstarszym chłopakiem, Natem, nie jest tak źle. Miewa się dość marnie, ale to nie to, co Gordon. – Zmarszczył czoło. – Gordon jest naprawdę chory.

– A cała reszta zdrowa?

– Tak. Jak na razie nic nam nie jest. Ani mnie, ani żonie, ani naszej córeczce. Ale martwię się o Annie. Ma dopiero dwa lata.

– Zbadam ją przy okazji. – Paul zerknął na dwa psy, które szczekały i szarpały się na postronkach. – Słyszeliście o innych zachorowaniach w miasteczku?

– Nie. Ale ponieważ chłopcy są chorzy, trzymaliśmy się na uboczu, może

więc są jeszcze jakieś przypadki, o których nie wiemy.

Dotarli do domu, Carl otworzył drzwi i odsunął się na bok, przepuszczając Kate i Paula.

– Nie wolałabyś czasem zostać na dworze? – Carl zapytał Kate. – Bardzo bym nie chciał, żebyś się zaraziła.

– Chorowałam na odrę w wieku sześciu lat. Moja mama ze zmartwienia odchodziła od zmysłów.

Carl spojrzął na Paula.

– A ty? Przeszedłeś tę chorobę?

– Tak, razem z braćmi i siostrami.

Kobieta z włosami upiętymi w kok u nasady karku zamknęła drzwiczki piecyka, wyprostowała się i odwróciła do gości.

– Witajcie – powiedziała przyciszonym głosem.

Miała ściągniętą twarz i sińce pod oczami, zdradzające niedostatek snu.

– Cześć, Emily – odparła Kate. – Współczuję, że chłopcy się pochorowali.

Kobieta poprawiła luźny kosmyk włosów.

– Nie wiem, jak wam dziękować. Po wizycie doktora na pewno będzie lepiej.

Carl przedstawił Paulowi żonę.

– Bardzo się boję, Gordon wygląda naprawdę marnie – rzekła i ruszyła ku drzwiom w głębi pokoju. – Jest tutaj.

Paul i Kate weszli za nią do niewielkiej sypialni. Była umeblowana oszczędnie, stały tam dwa łóżka i komoda. Małe okno wpuszczało do środka poranne słońce. Chłopcy leżeli zawinięci w ciężkie koldry. W pomieszczeniu panował zaduch.

– To jest Gordon – powiedziała Emily, pochylając się nad synem.

Paul zbliżył się do łóżka.

– Jak się miewasz, Gordonie?

– Nie za dobrze – wymamrotał chłopiec.

Kate omal nie wydała cichego okrzyku na widok opuchniętej i pokrytej czerwoną wysypką twarzy Gordona. Zerkał na Paula zza obrzmiałych powiek. Mężczyzna usiadł na skraju łóżka, wyjął z torby termometr i wsadził chłopcu pod język.

– Zamknij buzię.

Gordon wykonał polecenie, wyglądając przy tym jak siedem nieszczęść. Paul zmierzył mu puls i zmarszczył czoło.

– Niech no cię obejrzę – rzekł pogodnie. Przyjrzał się uważniej twarzy chłopca i poprosił: – Mógłbyś usiąść?

Dzieciak podniósł się i oparł o ścianę. Wydawało się, że ta prosta czynność jest ponad jego siły.

– Bardzo dobrze. – Paul podciągnął chłopcu górę od pizamy, odsłaniając zaognioną wysypkę. – Odra jak ta lala. – Delikatnie opuścił bluzkę, wyjął termometr i odczytał wskazanie. – Masz sporą gorączkę, mistrzu.

– Jak wysoką? – zapytała Emily.

– Czterdzieści i pięć kresiek.

Kobieta przycisnęła dłoń do ust.

– Wiedziałam, że jest źle.

W oczach Paula pojawił się niepokój, ale powiedział swobodnym tonem:

– Wysoka gorączka u dzieci to nic niezwykłego, szczególnie w przypadku odry. Zbijemy mu temperaturę i od razu poczuje się lepiej. – Przyłożył stetoskop do piersi Gordona i słuchał. – Oddychaj głęboko.

Gordon próbował nabrać dużo powietrza, jednak w płucach zacharczało i wydobył się kaszel. Nie odrywając stetoskopu od klatki piersiowej chłopca, Paul poprosił:

– Spróbuj jeszcze raz.

Tym razem udało się bez kaszlu. Paul przesunął słuchawkę w inne miejsce.

– Jeszcze raz.

Uważnie nasłuchiwał, po czym wyprostował się i oznajmił:

– Osluchowo nie stwierdzam zapalenia płuc.

– Chwała Bogu – rzekła Emily.

– Mógłbym prosić o miskę chłodnej wody i myjkę?

Paul ściągnął z chłopca koldrę.

– Zimno mi – poskarżył się płaczącym głosem.

– Wiem – odparł ze współczuciem Paul. – To przez gorączkę.

Podszedł do drugiego łóżka i zbadal Nate'a tak samo jak jego brata.

– Zdrowiejesz. – Paul spojrział na Carla. – On zachorował pierwszy?

– Tak. Mniej więcej cztery dni przed Gordonem.

– Czuję się o wiele lepiej – oznajmił Nate.

– Widzę. – Paul wstał. – Ale chcę, żebyś poleżał w łóżku jeszcze przez kilka dni, dobrze?

– Jeszcze kilka dni? – jęknął chłopiec.

– Przykro mi. – Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Wróciła Emily z wodą i myjką. Wyjaśniewszy, że otulanie dzieci koldrą podczas gorączki powoduje jedynie wzrost temperatury, Paul pokazał, jak obmywać ciało Gordona.

– Woda ochłodzi skórę i obniży gorączkę.

Chłopiec zadygotał i dostał gęsiej skórki.

– Gdy temperatura spadnie, poczujesz się znacznie lepiej – zapowiedział Paul, a potem zwrócił się do Emily. – Macie aspirynę?

– Nie.

Paul wyjął z torby buteleczkę i podał ją kobiecie.

– Podawajcie mu jedną lub dwie tabletki co cztery, sześć godzin – polecił. – To poprawi mu samopoczucie i utrzyma temperaturę ciała w ryzach. Dopilnujcie, żeby wypoczywał, nawet kiedy już poczuje się lepiej. Gdyby kaszel się nasilił, skontaktujcie się przez radio z lotniskiem, a ja przylecę i jeszcze raz go osłucham. – Spojrział na okno. – Najlepiej utrzymywać w pokoju półmrok. Zbyt jasne światło razi w oczy.

Emily pokiwała głową.

– Zaraz zasłonię.

– Za kilka dni powinno być lepiej.

– Dziękuję, doktorze. – Emily uśmiechnęła się nieśmiało.

Paul zamknął torbę i udał się do pokoju dziennego.

– Co robić, jeśli zachoruje Annie? – zapytał Carl. – Ma dopiero dwa lata.

Paul posadził dziewczynkę na kuchennym stole i szybko ją zbadał.

Uśmiechnęła się do niego i próbowała chwycić stetoskop.

– Wygląda na zdrową.

Paul postawił dziecko na podłodze.

– A gdyby się zaraziła?

Carl patrzył, jak dziewczynka drepcze do drzwi i wychodzi na ganek.

– Postępowanie jest takie samo, tylko należy zmniejszyć dawkę aspiryny do połowy tabletki. Można ją rozkruszyć i dosypać na przykład do dżemu, żeby połknęła. I kontrolować temperaturę. Jeśli za bardzo podskoczy, może dojść do ataku padaczki.

– Do padaczki? – W głosie Emily brzmiała panika.

– Występuje rzadko. Raczej bym się o to nie martwił.

Gospodarz podszedł do kredensu i wyjął puszkę. Zdjął pokrywkę i wyciągnął ze środka kilka dolarowych banknotów. Podał je Paulowi.

– Nie ma tego wiele...

Paul odsunął od siebie pieniądze.

– Przyjechałem tu z przyjemnością. Żadnej opłaty.

Carl wcisnął lekarzowi banknoty do kieszeni koszuli.

– Mam zwyczaj za siebie płacić – rzekł, wracając do kuchni. – Może coś przekąsicie lub napijecie się przed dalszą podróżą?

Paul dotknął kieszeni.

– Może szklankę wody.

– Oczywiście. – Carl przeniósł spojrzenie na Kate. – A dla ciebie?

– Nie, dziękuję.

Carl nalał do szklanki wody z ręcznej pompy w zlewie.

– Może wyjdziemy posiedzieć chwilę na ganku?

Kate usiadła na krześle z ciosanego drewna i z wdzięcznością odetchnęła świeżym powietrzem. Przyjemnie było uwolnić się od panującego w domu zaduchu.

Paul napił się wody.

– Odra jest bardzo zakaźna. Pewnie będą kolejne zachorowania. Chciałbym wiedzieć o ewentualnych nowych przypadkach. Bardzo bym sobie nie życzył tutaj epidemii.

Wypił kolejny łyk.

– Ludzie siedzą w chałupach – zauważył Carl, obserwując, jak córeczka drepcze ścieżką przed domem.

– To dobrze. – Paul rozsiadł się na krześle i rozejrzał. – Bardzo ładna okolica.

– Nam też się podoba. Przeprowadziliśmy się tutaj pięć lat temu.

Kate powiodła wzrokiem po farmie.

– Marzę, by zamieszkać kiedyś w takim miejscu.

– Może zainteresujesz się prowadzeniem gospodarstwa – powiedział Carl.

– Jeszcze nie jestem gotowa. Na razie wystarczyłby mi mały domek w miasteczku. A kiedyś może i całe gospodarstwo. – Zerknęła na Paula. Nie byłaby w stanie sama utrzymać farmy, ale gdyby wyszła za mąż...

Carl omiół spojrzaniem swoją posiadłość.

– Myślę, że za parę lat postawię ogrodzenie, a wtedy kupię kilka krów. Na razie buduję zagrodę dla świń. Wkrótce będzie mi potrzebna. Dogadałem się z takim jednym w mieście, który ma ciężarną maciorę.

Paul dopił wodę.

– Powodzenia. Słyszałem, że nie tak łatwo utrzymać świnię w zagrodzie.

– To prawda. – Zachichotał. – Zrobię solidne ogrodzenie. Nie uśmiecha mi się ganiać za świniami po górach i dolinach.

Paul podał mu pustą szklankę.

– Dziękuję za wodę. – Popatrzył na Kate. – Czas ruszać w drogę.

Carl odprowadził ich do samolotu. Poklepał Paula po ramieniu.

– Jeszcze raz dziękuję, doktorze. Jesteśmy bardzo wdzięczni za wizytę.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Paul kręcił korbą samolotu, podczas gdy Kate sadowała się za sterami. Skontrolowała przyrządy pomiarowe, a kiedy Paul usiadł obok, zapytała:

– Gotowe?

Rozruszała silnik, po czym spojrzała w górę. Najpierw mignęło jej przed oczami coś czerwonego, a chwilę później usłyszała okropny głuchy odgłos. Zgasła silnik i zerwała się z fotela.

– Co się stało? – zapytał Paul.

– Śmigło w coś uderzyło!

Kate pchnęła drzwi i wyskoczyła z samolotu, bojąc się, co zobaczy. Carl leżał na ziemi przed dziobem samolotu. Obok niego siedziała córeczka. Plakała.

– Nie! – wyrwało się Kate.

Paul minął ją jednym susem i ukląkł przy Carlu. Pochylił się nad rannym mężczyzną.

– Annie... próbowałem złapać Annie.

– Nic nie mów – powiedział Paul, po czym wrzasnął do Kate: – Daj mi torbę!

Kate pognąła pędem do samolotu, chwyciła torbę lekarską i biegiem wróciła. Krew była wszędzie: na całym ciele Carla, na Paulu, na ziemi. Wzięła na ręce płaczącą dziewczynkę i przyglądała się bezradnie, jak Paul błyskawicznie otwiera torbę i wyjmuje z niej kłęby gazy.

Kate nie mogła na to patrzeć, ale i nie potrafiła odwrócić wzroku.

– Nie widziałam go. – Wyrwał się jej szloch. – Ja go nie widziałam...

Po policzkach płynęły łzy.

Emily biegła w ich stronę. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Gdy ujrzała Carla, zdławiła krzyk, przyciskając dłonie do ust, i opadła na kolana obok męża.

– Co się stało? Wyjdzie z tego?

Paul popatrzył na nią posępnym wzrokiem. Nie odpowiedział. Zamiast tego zwrócił się do Kate.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Carl. Carl. – Emily położyła drżącą dłoń na czole męża. – Proszę, nie zostawiaj mnie.

Paul zdjął mężczyźnie koszulę. Prawe ramię Carla było niemal odcięte. Potworna rana biegła od ramienia w górę, do karku, i ginęła we włosach. Krew tryskała. Twarz mężczyzny zrobiła się ziemista. Oczy się zamknęły. Wydawało się, że nie oddycha.

Paul wyciągnął z torby kolejne zwoje gazy.

– Kate!

Jakby wyrwana z transu, przekazała matce dziecko i uklękła obok Paula. Chwycił jej rękę i przycisnął do szyi Carla.

– Tętnica nie jest całkowicie przecięta, tylko rozerwana, ale jeśli nie zatamujemy krwotoku... – Zdanie zawisło w powietrzu. – Musisz mocno ścisnąć.

Kate czuła ciepłą krew i słaby puls. Na szczęście żył. *To moja wina. Powinam była uważać. Jeżeli umrze...* Nawet nie dopuszczała do siebie tej myśli.

– Nie zmniejszaj ucisku.

Paul grzebał w swojej torbie.

Bez względu na to, jak mocno Kate naciskała, z tętnicy wypływała krew. Puls słabł. *On umiera. Umrze mi na rękach.*

Paul nawlekił igłę niesłychanie opanowanym ruchem.

– Okej. Jestem gotów. – Zaczął tamponować ranę. – Trzeba odsącać krew, żebym wystarczająco dobrze widział miejsce rozcięcia. – Jego głos nie zdradzał ani wahania, ani strachu. Podał Kate gazę. – Wycieraj krew, żebym coś widział. – Patrzył na nią przez chwilę łagodnym wzrokiem. – Potrafisz.

Paul ścisnął poszarpaną tętnicę i przystąpił do zszywania. Krew sączyła się nadal, choć już mniej intensywnie.

Kate zwiwała się jak w ukropie, żeby pole operacyjne było czyste. Krew już nie tryskała, ale wciąż wyciekała z rany. Twarz Carla była trupio biała. Czy jeszcze zostało w nim choć trochę krwi? *Och, Carl, proszę, nie umieraj.*

– Czy on oddycha? – zapytała Emily drżącym głosem. – Wydaje mi się, że nie oddycha. – Pochyliła się nad mężem i zawołała ochryple: – Carl? Carl!

Kate wiedziała, że dalsze wysiłki są już zbędne. Stracił za dużo krwi. Jednak Paul nie przerywał pracy.

– Paul. On nie żyje – rzekła cicho Kate.

Mężczyzna zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał. Położyła mu na ramieniu zakrwawioną dłoń.

– On nie żyje, Paul. Umarł.

Sama nie mogła uwierzyć, że te słowa przeszły jej przez gardło. Popatrzył na nią tak, jak gdyby widział ją po raz pierwszy, następnie znieruchomiał z posępnym wyrazem twarzy. Ręce miał umazane krwią po łokcie.

Kate wytarła dłonie w spodnie. Były lepkie.

Emily rzuciła się na ciało męża.

– Neeee! – szlochała. – Neeee... Boże, tylko nie mój Carl. Błagam, nie Carl.

Kate miała nogi jak z waty. Mdlilo ją. Odwróciła wzrok, polykając słone łzy.

– Tak mi przykro – odezwał się Paul. – Próbowałem. Bardzo się starałem. Obrażenia były zbyt poważne.

Wstał i spojrzal na Carla. Ledwo kilka minut temu prowadzili miłą pogawędkę.

Kate wzięła Paula za rękę i wsparła się na jego ramieniu.

– Zrobileś, co mogłeś. To moja wina.

– Wcale nie twoja – odparł Paul i zwrócił na nią udręczone spojrzenie.

– Powiedz mi, dlaczego. Dlaczego Bóg na to pozwolił? Mógł temu zapobiec. Dlaczego tego nie zrobił?

Nie znalazła odpowiedzi. Życie wypełniały smutki i nieszczęścia, których nie potrafiła w żaden sposób wytłumaczyć. Przewijał się jej w myślach wers: „Jest czas rodzenia i czas umierania” [2].

– Nadszedł jego czas – wyszeptała.

Przed oczami zobaczyła twarz Alison. Kochana Alison umarła zbyt młodo. Czy był to jej czas, czy raczej nonszalancja i beztroska Kate? Gdyby nie wybrała się wtedy na podniebną wycieczkę... Alison by żyła. Pomimo zamętu w głowie i poczucia winy Kate usłyszała własne słowa:

– Bóg tu jest. Widzi...

– Tak, a czy widzi też Emily? – Paul odwrócił się gwałtownie i wskazał na dom. – Czy widzi te dzieci? – Oczami pełnymi łez popatrzył na malutką Annie umazaną krwią własnego ojca i zapytał gorzko: – Czy widzi także ją?

Paul uderzył pięścią w górę rosnącego ciasta chlebowego. Obraz Carla Gladwella, jak również szok i przerażenie na twarzach wdowy i dzieci trwale odcisnęły mu się w pamięci. Nigdy nie zapomni tego widoku.

Wyrabiał ciasto. Ludzkie życie jest takie kruche. Trzeba liczyć się z wypadkami takimi jak ten u Gladwellów, zwłaszcza na tych terenach. Każdego dnia los odbierał ludziom ukochane, bliskie osoby. A tacy ryzykanci jak Kate stąpali po jeszcze bardziej grząskim gruncie niż cała reszta. W końcu coś się jej przytrafi. Do tej pory dopisywało jej szczęście, ale to kiedyś się zmieni. Paul przycisnął ciasto nasadą dłoni i zaczął je wałkować, a potem przyklepał. Wreszcie podzielił je na dwie części. Każdą z nich uformował z niemal brutalną siłą, po czym włożył drożdżowe bochenki do form i wstawił je do nagrzanego piecyka.

Podszedł do okna i spoglądał na ścieżkę za domem. Kate była ryzykantką. Nie chciał jej kochać. Oznaczało to bowiem, że pewnego dnia ją utraci. A przy jej skłonnościach do udowadniania swoich umiejętności stanie się to raczej wcześniej niż później. Wyobraził sobie życie bez niej – jak by się czuł, gdyby przyszło jej zginąć. W piersi wezbrał ból. Tego by nie zniósł. Wpadł jak śliwka w kompot. Co robić?

Zerwę tę znajomość. Im szybciej, tym lepiej.

Ale niby jak ma się odkochać? Może gdyby przestali się widywać, namiętność by osłabła, a w końcu wygasła? Dochodząc do tych wniosków, wiedział, że nie ma łatwego wyjścia z sytuacji. Pozwolił sobie na zakochanie się. Obiecywał sobie, że nigdy więcej, no i prozę – wpadł w sidła miłości. Rozmasował pulsujące skronie.

Od utraty Susan minęło sześć lat. A wciąż myślał o niej każdego dnia. Tęsknota pozostała. *No ale byliśmy z Susan małżeństwem. Kate znam stosunkowo od niedawna, niespełna dwa lata. Może z nią będzie inaczej. Może uda mi się zapomnieć.*

Trzeba położyć temu kres.

Zaczęły ujadać psy. Paul uznał, że pewnie idzie do niego Patrick, wyszedł zatem na ganek, by powitać sąsiada. Zaskoczył go widok zmierzającej w stronę chaty Lily. Nie miał w tej chwili ochoty na towarzystwo, a szczególnie na odwiedzinę Lily. Gdyby Sassa dowiedziała się, że zerwał z Kate, natychmiast podjęłaby próby wyswatania go ze swoją jedyną córką.

– Cześć. – Dziewczyna stanęła przy schodach i podniosła na wysokość

brody trzymane w rękach ciasto.

- Dzień dobry.

- Upiekłyśmy z mamą placki i pomyślałyśmy, że może miałbyś ochotę. Jeszcze ciepły.

- Dziękuję. - Zszedł ze schodów i przyjął od Lily deser. - Z jakim nadzieniem?

- Z rabarbarem.

- Mój ulubiony. - Delektował się aromatem cukru, przypraw korzennych i owoców. - Mmm... Już mi cieknie ślinka. - Na złocistej skórce polyskiwał cukier, czerwony sok wypływał ze zrobionych na wierzchu nacięć. - Za wcześniej na świeży rabarbar.

- Zostało nam trochę z zeszłego roku. Mama stwierdziła, że trzeba go wykorzystać.

- Podziękuj jej ode mnie.

- Podziękuję.

Stali oboje w niezręcznym milczeniu. Paul nie wiedział, co powiedzieć. Zachowałby się niegrzecznie, nie zapraszając Lily do środka.

- Właśnie zabierałem się za przygotowywanie drugiego śniadania. Jesteś głodna? Na deser moglibyśmy się uraczyć plackiem z rabarbarem.

Miał nadzieję, że Lily odmówi. Tymczasem brązowe oczy dziewczyny pojaśniały.

- Od porannego posiłku upłynęło dużo czasu. Drugie śniadanie brzmi zachęcająco. Na pewno nie przeszkadzam?

- Ależ skąd. Towarzystwo jest zawsze mile widziane.

- Wiesz... mama... zaraz będzie podsycala w sobie nadzieję, pomimo tego, że ty i Kate jesteście... no... razem.

- Nie przejmuj się.

Paul odsunął się i przepuścił przed sobą Lily, z trudem zachowując pogodny wyraz twarzy.

- Przepraszam za mamę. - Dziewczyna przystanęła na ganku i obejrzała się za siebie. - Bardzo cię ceni.

- Będę musiał pamiętać, żeby jej podziękować.

Otworzył przed sąsiadką drzwi i ruszył za nią do środka. Położył placek na stole.

- Gotuję zupę.

- Pachnie przepysznie. - Utkwiła w Paulu spójnienie. - Zachowanie mamy wprawia mnie w zakłopotanie. Można by pomyśleć, że jestem zdesperowana. A wcale tak nie jest, przecież wiesz.

- Nawet nie przemknęło mi to przez myśl. - Wyjął z kredensu dwie miski. - Pewnego dnia zjawi się odpowiedni mężczyzna.

Smutek przygasił blask w oczach Lily.

- Pewnie tak - odparła.

– Twoja przyjaźń jest dla mnie bardzo ważna. Tacy sąsiedzi to prawdziwy skarb. A ostatnio twoja mama nie pisnęła na nasz temat ani słowem.

Co, oczywiście, ulegnie zmianie, jeśli zerwę z Kate.

Lily uniosła brwi, a kąciaki ust wygięły się w lekkim uśmiechu.

– A jednak przysłała mnie tu z plackiem.

Paul zachichotał.

– No tak, to prawda. – Zdjął z garnka pokrywkę. – Lubisz groch?

– Uwielbiam. Ale groszek jeszcze nie dojrzał.

– Mam trochę zapasów z zeszłego roku. – Uśmiechnął się szeroko. – Pomyślałem, że lepiej je zużyć, tak jak rabarbar. Wkrótce będą mi potrzebne słoiki.

– Miejmy nadzieję, że utrzyma się ładna pogoda. Wtedy nie będzie trzeba długo czekać na świeże warzywa.

Lily usiadła przy stole i splotła przed sobą dłonie.

Zadowolony, że ma czym zająć ręce, Paul pokroił ostatni bochenek chleba i położył kromki na talerzu obok masła, soli i pieprzu. Nalał zupę do misek, jedną podsunął Lily, drugą postawił po drugiej stronie blatu. Wyjął z szuflady łyżki, podał jedną Lily, a potem sam zajął miejsce przy stole.

– Wygląda apetycznie. – Zamieszała zupę. – I wspaniale pachnie. – Wzięła z talerza kromkę chleba, posmarowała ją masłem i odgryzła kęs. Wolno poruszała żuchwą. – Uwielbiam świeże masło.

– Mam je tylko dzięki szczodrości twojej matki, która podzieliła się ze mną śmietanką od waszej krowy.

– Mamy jej tak dużo, że nie wiemy, co z nią robić.

Jedli w milczeniu. Paul nie był pewien, jakie uczucia budzi w nim obecność tej dziewczyny w jego domu. Silił się na swobodne zachowanie. Przecież to tylko Lily. Zna ją od dziecka.

Ogarnął ich błogi nastrój.

– Matka nie będzie się martwić? – zapytał Paul.

Lily ironicznie się uśmiechnęła.

– Nie żartuj. Jestem u ciebie. Im dłużej tu zabawię, tym bardziej będzie zachwycona.

Paul się roześmiał.

– Pewnie masz rację.

– Z drugiej strony to miła odmiana. Zwykle bracia gadają jeden przez drugiego albo klócą się o to, kto złowił największą rybę czy przyciągnął najwięcej drewna na opał... – Pokręciła głową. – Zawsze coś.

– To jeszcze dzieci. Tak samo było u mnie w rodzinie.

Paul poczuł tęsknotę za domem. Lubił tamte sprzeczki z braćmi.

Niejednokrotnie wyobrażał sobie, że zakłada z Kate rodzinę. Zadawał

sobie nawet pytanie, jak wyglądałyby ich dzieci, czy odziedziczyłyby po matce wzrost, kasztanowe włosy i bursztynowe oczy. Niespodziewanie, zupełnie bez ostrzeżenia, mignął mu przed oczami obraz syna, którego stracił... oraz Susan. Była zupełnie niepodobna do Kate. Zastanawiał się, jak wyglądałby ich syn. Miał na główce czarny puszek. Może miałby ciemne włosy, tak jak Paul.

Nikt nigdy mu ich nie zastąpi. Podniósł do ust łyżkę, ale z trudem przelknął zupę przez ściśnięte gardło. Co powiedzieć Kate?



Spragniona spotkania z ukochanym Kate obniżyła lot nad gładką jak lustro powierzchnią Bear Creek i wylądowała na mieliźnie. Chłonęła wzrokiem bujną roślinność dookoła. Wątpiła, czy jest na świecie drugie tak zachwycające miejsce jak Alaska w czerwcu. Była to jej ulubiona pora roku – długie dni, które przeciągały się aż do północy, drzewa i inne rośliny przyrodziane w jaskrawą zieleń, dzikie kwiaty okrywające ziemię barwnym kobiercem.

Starła się nie myśleć o wypadku z Carlem Gladwellem. To zbyt okropne. Jej samolot, jej śmigło... jej wina. Powinna była zachować większą ostrożność, upewnić się, że droga wolna.

Wiedziała aż nazbyt dobrze, że nie należy podążać tym tropem myśli, więc skupiła się na Paulu oraz swoim życiu na Alasce. Miała pracę i męczyznę swoich marzeń. Z którym spędzi dwa najbliższe dni. Nie mogła doczekać się chwili, gdy zjrzy w jego ciemnobrązowe oczy i poczuje na sobie jego łagodny uśmiech. Choć po tragedii u Gladwellów nie była pewna, co w tych oczach zobaczy. Kiedy się zegnali, widziała w nich udrękę. To ją zaniepokoiło. Już kiedyś zauważyła ten wyraz, tak jakby Paul skrywał jakąś straszliwą tajemnicę.

I znów stanęła jej przed oczami tamta koszmarna scena. Z całych sił próbowała odsunąć od siebie ten obraz, lecz on i tak ożywał niczym strzelający w górę płomień. Czy doszło do tragedii z jej winy? Czy była nieostrożna? Przeanalizowała, co działo się przed tamtym okropnym dźwiękiem śmigła, które dosłownie skosiło Carla. Postąpiła rutynowo. Nie było powodów do zmartwienia, nie było powodów, by Carl znalazł się tam, gdzie się znalazł – w każdym razie żadnych, o których byłoby jej wiadomo. Skąd mogła wiedzieć, że jego córka zawędruje przed dziób samolotu?

Takie rzeczy się zdarzały i nikt nie ponosił za nie winy. Kate zdawała sobie sprawę, że jeśli chce żyć i pracować w tej głuszy, musi zaakceptować brutalność, którą ten wybór ze sobą niesie. Stanowiła bowiem część tutejszego życia i nic nie można było na to poradzić.

Zrobiła, co mogła, by uciszyć wyrzuty sumienia, one jednak nie dawały za wygraną. Usłyszała silnik łodzi, wyjrzała przez okno i zobaczyła Paula, który stał w płynącym w jej stronę czólnie Patricka. Miał ściągnięte łopatkki, lekko rozstawione nogi, w rękach ścisnął plecak i torbę lekarską.

Kate pomachała. On sztywno skinął głową. Gdy Patrick dobijał do mielizny, wystawiła głowę przez drzwi samolotu i przywitała ich obu gestem ręki.

– Przywiozłaś pocztę? – zawołał Patrick.

– Dzisiaj nie.

– W porządku.

Dopłynął do kamieni, żeby Paul mógł wyskoczyć na brzeg. Paul pomachał Patrickowi i zamaszystym krokiem ruszył w kierunku samolotu. Wsiadł, rzucił plecak na siedzenie, obok położył torbę, a następnie zamknął drzwi.

– Dzień dobry – odezwała się Kate, starając się, by jej głos brzmiał wesoło.

– Cześć. – Poklepawszy Angel jakby od niechcenia, przeszedł do kokpitu i usiadł na swoim miejscu. – Dokąd lecimy? – Rzucił jej tylko przelotne spojrzenie.

– Mamy przystanki w Valdez i Cordovie, a potem zmieniamy kurs i lecimy jutro do Seward.

Czekała na jakiś dotyk lub uścisk, tymczasem Paul nawet na nią nie patrzył. Spodziewała się, że może mieć podły nastrój, ale to było coś poważniejszego. Strach ścisnął jej serce.

– Gotowy?

– Gotowy. – Paul obserwował brzeg.

Kate rozruszała silnik.

– Przepraszam za spóźnienie. Zasnęłam.

Nie zareagował. Uparcie patrzył w okno. Kate miała dręczące przecucie, że dzieje się coś bardzo złego. Zadrżała z niepokojem.

– Taki wypadek, jak u Gladwellów, to rzecz wręcz niespotykana. Wiem, że wytrącił cię z równowagi. Zrobiliś jednak wszystko, co w twojej mocy. Trzeba zaufać Bogu.

– Przepraszam za mój wybuch gniewu. – Paul odwrócił głowę do towarzyszki. – Wiem, że Bóg ma powody, by dopuszczać do rzeczy, które się tam wydarzyły. Wiem – powtórzył, jakby próbował przekonać sam siebie. – Ale czasem nie rozumiem. Czasem to dla mnie zbyt wiele. Nie jestem taki silny, za jakiego mnie uważasz.

Kate zredukowała moc i zostawiła samolot na jałowym biegu.

– Czy właśnie to cię trapi?

Pokręcił głową.

– Nie. Coś więcej.

Kate dostrzegła w jego oczach coś, co ją przeraziło.

– Więc co? – Cisza w kokpicie niemal dławiła oddech. – Jeśli ktokolwiek zawinił, to ja.

Paul przyglądał się swoim dłoniom.

– Nikt nie zawinił, lecz takich doświadczeń się nie zapomina.

– To prawda. Trzeba jednak żyć dalej. Zmagalam się ze swoimi demonami. Dlaczego nie zauważyłam Carla?

– Bo to był, jak sama powiedziałaś, zupełnie niespotykany wypadek.

To, co mówił, brzmiało słusznie, ale ton wydawał się wymuszony.

– Jeden na milion – rzekła Kate.

Paul pokiwał głową, powoli, w zamyśleniu.

– Tak. Czasem wydaje się, że świat robi wszystko, żeby pozbyć się przyzwoitych ludzi.

Mówi o swojej żonie. Nigdy nie zdradził, co się stało, powiedział jedynie, że ona nie żyje.

– Przypuszczam, że gdy zdarza się coś takiego, powracasz myślami do... żony.

Paul patrzył na nią z wyrazem popłochu i cierpienia na twarzy.

– To nigdy nie mija. Nigdy. – Ponownie spojrzął za okno. – Biedna pani Gladwell. Nie mogę zapomnieć, jak klęczała przy mężu w kałuży krwi.

Wziął głęboki oddech i zwrócił się w stronę Kate.

– Nie chciałem teraz o tym rozmawiać, ale żaden moment nie jest dobry.

Patrzył jej prosto w oczy.

– Żaden moment nie jest dobry na co?

Kate cała w środku dygotała. Czy zamierzał wyjawić jej sekret, który w sobie nosił?

– Śmierć... czyha wszędzie. – Pokręcił głową. – Nie da się przed nią uciec.

– To prawda. Wszyscy kiedyś umrzemy. – Silła się na lekki ton.

– Tak, ale ty kuszisz los, Kate. Za każdym razem, gdy wsiadasz do tego samolotu, prosisz się o nieszczęście.

– Ja...

– Nie zaprzeczaj. Wiesz, że tak jest. Dotyczy to wszystkich pilotów. – Wbił wzrok w splecione na kolanach dłonie. – Myślałem, że będę mógł...

– Że będziesz mógł co?

Puls Kate przyspieszył. Nie spuszczała oczu z Paula, marząc, by mogła zatrzymać trudne do zniesienia słowa, których tak bardzo się obawiała.

– Myślałem, że będę mógł cię kochać.

– Nie kochasz mnie?

Przeszył ją ból. Zacisnęła dłonie na sterach.

– Kocham. – Paul podrapał się w kark, a potem zwrócił na Kate poważne spojrzenie ciemnych oczu. – Ale nie mogę. Po prostu nie mogę.

– Co to znaczy? – Próbowwała uciszyć narastającą panikę.

Jego twarz przybrała błagalny wyraz, jakby prosił ją o zrozumienie.

– Kate, piloci ciągle się rozbijają. Następnym razem może paść na ciebie. Miałś już dwie kraksy oraz kilka sytuacji, z których cudem wyszłaś cało. Pewnego dnia twoja pula szczęścia się wyczerpie.

– Latam niemal przez całe swoje życie. Mam dwadzieścia siedem lat i ciągle tu jestem. Nie zginę w katastrofie lotniczej.

– Tego nie wiesz.

– Jestem ostrożna i doświadczona.

– Tak jak Frank. Tak jak większość pilotów, którzy zginęli, goniąc za swoją obsesją.

Cóż mogła powiedzieć? Pilotowanie samolotu to niebezpieczne zajęcie. W końcu wyrzuciła z siebie:

– Czego ode mnie oczekujesz? Nie mogę zagwarantować, że nie zdarzy się nic strasznego. Nikt nie jest w stanie tego zrobić. A ty ryzykujesz tak samo jak ja. Spędzasz w powietrzu prawie tyle samo czasu, co ja.

– Masz rację. Mogę zginąć w każdej chwili... tak jak ty. – Spojrzał za okno. – Ale choć zabrzmi to samolubnie, jeśli ja umrę i tak będzie mi wszystko jedno. – Przeniósł wzrok na Kate. – Jeżeli natomiast umrzesz ty, ja będę musiał dalej żyć... bez ciebie.

– Do czego zmierzasz? – Wiedziała, ale musiała zadać to pytanie.

Paul skrzyżował ramiona na piersi.

– Będzie lepiej... jeśli przestaniemy się spotykać.

Kate poczuła, jak żołądek zamienia się w kamień.

– Przecież mówiłaś, że mnie kochasz.

– I właśnie dlatego nie mogę tego ciągnąć.

– Mówisz bez sensu.

– Nie mogę cię kochać. Nie rozumiesz? Bo cię utracę.

Kate nie wierzyła własnym uszom.

– Stracisz mnie, jeśli się rozstaniemy. A czy będziemy ze sobą, czy nie, jeżeli zdarzy się wypadek, to i tak mnie utracisz.

Paul miał coraz bardziej nieszczęśliwą minę.

– Wiem, że zabrzmi to jak wariactwo, ale im dłużej jesteśmy razem, tym bardziej cię kocham. I gdy zdarzy się nieuchronne...

– Potrafisz wyłączyć uczucie jak za pstryknięciem palców? – Kate próbowała powstrzymać łzy.

Paul miał nietęgą minę. Nie odpowiedział.

– No dobrze. Lepiej, że już wiem. Jaka byłam głupia, że pokochałam mężczyznę, który jest w stanie przestać się kimś interesować na zawołanie – wyrzuciła z siebie.

– Nie rozumiesz. To nie tak. Nie potrafię wygasić uczuć. Kocham cię. Z kolejnym dniem coraz bardziej. Wraz z każdą spędzoną z tobą chwilą moja miłość jest silniejsza. – Pokręcił głową. – Gdy straciłem Susan, przysiągłem sobie, że już nigdy nikogo nie pokocham. – Oparł się w fotelu i odwrócił wzrok. – Przepraszam, Kate. Między nami wszystko skończone.

Kate bała się tego kursu. Nie widziała Paula od kiedy ze sobą zerwali. Co ma powiedzieć? Czy powinna zachowywać się, jak gdyby nic się nie stało? Potraktować go jak każdego innego klienta?

Gdy zataczała koło nad jego chatą, ścisnęło się jej gardło. Nigdzie nie było go widać. Może jest w bazie Susitna. Miała taką nadzieję. Albo nie rozpoznał samolotu. Tym razem musiała bowiem przylecieć samolotem Jacka z pływakami.

I chociaż wiedziała, że w końcu powrócą do wspólnej pracy, na razie nie umiała zmusić się do latania z Pauliem. Przygniół ją ciężar smutku, odnosiła wrażenie, że za chwilę w płucach zabraknie powietrza.

Wyobrażała sobie, jak spędzają razem dni, łowiąc ryby w strumieniach i rzekach, pracując w ogrodzie, rozbudowując chatę dla dzieci, które się im urodzą. Poczula znajomy ból w piersi oraz lzy pod powiekami, od których czerwieniały jej oczy. Otarła je, chcąc koniecznie pokazać Paulowi, że doskonale się miewa.

Dobrze się czuję, powtarzała sobie. Wszystko skończone, a rozpamiętywanie rozstania niczego nie zmieni.

Samolot usiadł z pluskiem na spokojnych wodach potoku. Kate skierowała maszynę ku pomostowi Paula. Gdy zobaczyła go wychodzącego z szopy, żołądek podjechał jej do gardła. Angel rozpoznała przystanek i pędem podbiegła do drzwi, szaleńczo merdając ogonem.

– Nie. Nie dzisiaj, piesku. Ty zostajesz.

Kate wzięła pudło z zaopatrzeniem i pilnując, by Angel została na miejscu, otworzyła drzwi i wysiadła z paczką pod pachą. Zamknęła drzwi i czekała na pomoście, obserwując, jak Paul schodzi ścieżką na brzeg. Podobał się jej jego sposób poruszania się, wyprostowane szerokie plecy i zamaszty krok. Gdy do niej podszedł, nie zdobyła się na uśmiech, a jedynie skinęła mu głową.

– To dla ciebie.

Paul odebrał karton i rzucił okiem na adres zwrotny.

– Dobrze. Na to czekałem. Kończą mi się bandaże i gaza. – Wsadził pudło pod pachę i skupił na Kate spojrzenie ciemnych oczu. – Jak się miewasz?

– Dobrze. Mam pełne ręce roboty. Wiesz, jak jest o tej porze roku.

– Tak. – Zerknęła na strumień.

– Dużo łowiłeś?

– W wolnym czasie. Mam prawie pełną wędzarnię.

Obejrzał się na drewnianą budowlę na skraju polany za domem, a potem przeniósł wzrok na samolot.

– Latasz dzisiaj samolotem Jacka?

– Tak, potrzebowałam pływaków. – Spojrzała w stronę stinsona. – Mój prowadzi się o wiele lepiej.

– Ba, twój jest przecież najlepszy, prawda? – Uśmiechnął się sztywno.

Potwierdziła i rzekła:

– Będę się zbierać. Mam sporo przystanków na dzisiejszej trasie.

– Oczywiście. Uważaj na siebie. Do zobaczenia.

Zrobił kilka kroków w górę ścieżki, przystanął i obejrzał się na Kate. Uśmiechnęła się z wysiłkiem i pomachała mu na pożegnanie, po czym wsiadła do samolotu. Sunął po wodzie, oddalając się od pomostu. Kiedy podrywała maszynę, kierując ją na północ, łyzy zamazały jej obraz przed oczami. Praca nie sprawiała radości – po co ją ciągnąć, skoro wymagała życia z dala od ukochanego? Jednak gdy ta myśl tłukła się jej w głowie, nagle dołączyła do niej kolejna, także nie dająca spokoju. Jaki mężczyzna może wybierać między miłością do latania a miłością do niego? W Kate wezbrał gniew, który zajął miejsce smutku. Otarła łyzy. Może Paul nie jest wcale takim człowiekiem, za jakiego go uważała.



Paul sięgnął po kępę trawy rosnącą za pnącym się po tyczce groszkiem, mocno chwycił i wyrwał ją z grządkki. Otrząsnął nadmiar ziemi i wrzucił chwast do wiaderka. Prace ogrodowe poprawiały mu samopoczucie.

Przykucnął na piętach i przyjrzał się rządkowi wijących się łądyg. Małe zielone strączki, które właśnie zaczynały się rozwijać, zapowiadały na koniec lipca ucztę złożoną z groszkowego puree z młodymi ziemniaczkami.

– Hej, Paul! – zawołał Patrick, gdy wchodził do ogrodu. Człapał wzdłuż zagonu z groszkiem.

Paul wstał, wytarł w dżinsy ubrudzone ziemią ręce.

– Myślałem, że poszedłeś z chłopakami na ryby.

– Chciałbym. Ale Sassa nie zamierza czekać do jutra na nową ramę okna.

Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie wygląda mi to na naprawę ramy.

– Potrzebna mi pomoc. Mógłbym na ciebie liczyć?

– Jasne. Nie ma sprawy.

Ruszyli we dwóch w stronę domu Patricka. Nie uszli daleko, gdy

Patrick powiedział:

- Podobno rozstaliście się z Kate.
- Tak. - Paul nie miał ochoty poruszać tego tematu.
- Przykro mi. Wspaniała z niej kobieta.
- To prawda.

- Nie chciałbym się wtrącać, ale przez te kilka tygodni nie pisałeś o tym ani słowa. Co się między wami wydarzyło?

Paul wiedział, że potrzebuje z kimś porozmawiać o zamęcie w sercu, nie potrafił jednak zdobyć się na wyjawienie swoich lęków.

- Po prostu nie wypaliło.

Patrick uniósł brew, lecz nie drażył dalej.

- Nie powiem, żeby Sassa była z tego powodu nieszczęśliwa. Lubi Kate, ale... - urwał. - Uważam, że ty i Kate doskonale do siebie pasujecie.

Paul zdał sobie sprawę, że nie uda mu się wymigać od wyjaśnień.

- Bo pasujemy... w pewnym sensie. Wszystko sprowadza się do jej pracy. Jest ryzykowna, zbyt ryzykowna. Nie chcę się bać każdego dnia, że oto nadszedł ten, w którym zginie.

Patrick lekko pokiwał głową.

- Rozumiem, jakie byłoby to dla ciebie trudne, ale każdy z nas może umrzeć w każdej chwili. Dzisiaj, jutro. Kiedy się zakochujemy i angażujemy w związek z drugą osobą, nie mamy żadnej gwarancji, że będziemy długo żyć. Wydaje mi się, że póki życie trwa, trzeba kochać całym sercem. Nikt nie zejdzie z tego świata żywy.

- Wiem, to wszystko prawda, jednak Kate igra z losem. Prędzej czy później złoży życie w ofierze.

Patrick wzruszył ramionami i wsadził rękę w kieszenie.

- Ja w tym sensu nie widzę, ale to twoja sprawa.

Paul wiedział, że zachował się jak tchórz i złamał serce Kate. Tyle że ona przeboleje to rozstanie, a z czasem także i on się z nim pogodzi. Miał jedynie nadzieję, że gdy wybije jej ostatnia godzina, on zdąży otrząsnąć się z tej miłości.

Paul przytrzymał framugę okna, natomiast Patrick wbijał gwóźdź. Wyjął z ust kolejny, stuknął młotkiem, zszedł z drabiny i cofnął się kilka kroków, żeby przyrzeć się swemu dziełu.

- Prosto?

Paul spojrzał na okno krytycznym okiem.

- Prawa strona jest trochę wyżej niż lewa.

Patrick się skrzywił.

- Tak. Też mi się tak wydawało. Jeśli Sassa będzie niezadowolona, nie omieszka mi o tym powiedzieć.

- Powiedzieć o czym? - zapytała Sassa, wylaniając się zza rogu domu. Popatrzyła na okno. - Krzywo.

Jej mąż delikatnie się uśmiechnął.

– Taaa...

– A zresztą... jest nie najgorzej. Właściwie to prawie nie widać. – Zwróciła się do Paula. – Jak u ciebie z wekowaną marchewką?

– Już się kończy. Ale wystarczy mi, póki nie wyrosnie młoda.

– Nie wiem, czy w tym roku zjedliśmy mniej niż zwykle, czy zrobiłam więcej słoików, lecz sporo mi jeszcze zostało. Przydadzą ci się?

– Pewnie. Z twoich rąk przyjmę wszystko.

– No to chodźmy do spiżarni. Zapakuję ci kilka. – Niespiesznym krokiem skręciła za dom i poszła ścieżką wiodącą do komórki.

– Do zobaczenia – powiedział Patrick. – Muszę pomalować kilka szafek. Zabieram się do pracy.

– Tylko się nie forsuj – rzucił na odchodnym Paul i ruszył za Sassą.

Skręciwszy za róg, omal nie zderzył się z Lily. Niosła na biodrze kosz na pranie wypełniony mokrymi ręcznikami.

– Przepraszam. – Wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać.

– To moja wina. Spieszyłam się.

Sassa otworzyła drzwi komórki.

– Lily, mogłabyś nam pomóc?

– Oczywiście.

Dziewczyna postawiła kosz pod sznurem na bieliznę, a następnie udała się do spiżarni.

Sassa chwyciła dwie drewniane skrzynki, ustawiła je na stole roboczym i zaczęła zdejmować z półek weki z marchewką. Zapach kurzu mieszał się z wiszącą w powietrzu wonią stęchlizny.

– Mam też sporo groszku – oznajmiła, podając córce słoik.

– Dziękuję.

Paul nie potrzebował groszku, ale nie chciał urazić Sassy, przyjął zatem podarunek bez wdawania się w dyskusję. Gdy obie skrzynki były pełne, Sassa cofnęła się i omiotła wzrokiem na wpół opróżnione półki.

– To by było na tyle – powiedziała i zwróciła się do Lily. – Mogłabyś wziąć jedną?

Dziewczyna zerknęła na Paula. Dostrzegł w jej oczach wesołe ogniki. Oboje mieli świadomość, że Sassa znów próbuje ich ze sobą swatać, skoro Kate wypadła z gry. Byłoby to nawet zabawne, gdyby Paul nie czuł się tak przygnębiony z powodu rozstania z Kate.

Podniósł skrzynkę z marchewką.

– Dziękuję, Sasso. To pomoże mi przetrwać. Ale Lily nie musi niczego dla mnie taszczyć. Wrócę po drugą skrzynkę.

– Lily to nie przeszkadza, prawda? – Kobieta uśmiechnęła się do córki.

– Nie. Chętnie pomogę. Tylko że zostawiłam na dworze kosz z mokrym praniem.

– Rozwieszę.

Dziewczyna wzięła słoiki z groszkiem i wyszła ze spiżarni na ścieżkę prowadzącą do chaty Paula. Szli ramię w ramię. Oboje milczeli.

Gdy dotarli do gospodarstwa, Paul zamaszystym krokiem wszedł do szopy i umieścił skrzynkę na stole roboczym.

– Postaw tu obok.

Lily zostawiła skrzynkę na blacie.

– A tak w ogóle to potrzebne ci te słoiki?

– Część się przyda. – Uśmiechnął się. – Twoja matka jest bardzo hojna.

– Tak, choć myślę, że przede wszystkim zależało jej na tym, żebyś nie mógł sam wszystkiego udźwignąć i musiał skorzystać z pomocy.

Paul zachichotał.

– Pewnie masz rację.

Zapadło milczenie przerwane w końcu przez Lily.

– Wybieram się jutro z chłopcami na ryby. Nie dołączyłbyś do nas? Mieliby nie lada frajdę, gdyby mogli się przed tobą popisać. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Brakowało mi dotąd czasu na ryby. Propozycja brzmi zachęcająco.

– Świetnie. Wezmę ze sobą coś na ząb – zapowiedziała Lily.

– A ja przygotuję sprzęt i przynętę.

– Siódma rano. Pasuje?

– Będę gotów. – Paul poczuł się niemal beztrzesko. – Możemy popłynąć moją łodzią w górę potoku. Znam dobre miejsce.

Bracia Lily załadowali na pokład przynętę i odwiązali na pomoście cumę, natomiast Paul zapuścił zaburtowy silnik Johnsona. Dziewczyna usadowiła się na dziobie, chłopcy zajęli miejsca na ławkach. Paul skierował łódź na środek strumienia. Mały silnik terkotał.

– Powinno być fajowo – powiedział Douglas. – Znam idealne miejsce.

– Nie. Dzisiaj wybiera Paul – wyjaśniła Lily.

– Też znam takie jedno miejsce, w którym świetnie biorą ryby – rzekł z uśmiechem.

Lily siedziała w milczeniu, oglądając okolicę. Wyglądała na starszą niż przed wyjazdem do Seattle. Nabrała nieco ciała. Może przez to wydawała się dojrzała. Ale i zachowywała się dojrzałe. Dziwne, że kilka miesięcy może zrobić taką różnicę. Paul miał wrażenie, że od tej młodej kobiety bije melancholia, i zastanawiał się, czy coś ją trapi.

– Ze środka potoku wszystko wygląda inaczej. – Lily wychyliła się i zanurzyła rękę w wodzie.

Chłopcy poszli w jej ślady, wprawiając łódź w kołysanie.

– No już. Siadajcie. Tylko tego by nam brakowało, żeby wywróciła się nam łódka. Może i mamy czerwiec, ale woda jest lodowata.

Chłopcy wrócili na miejsca i patrzyli przed siebie. Lily wystawiła twarz do słońca i zamknęła oczy. Paul nie mógł oderwać od niej wzroku. Śniada cera bez skazy, czarne włosy połyskujące w promieniach słońca. Gdy odwróciła do niego głowę, szybko umknął spojrzeniem. Zachowując się tak, jakby niczego nie zauważyła, powiedziała:

– No to jak? Zdradzisz lokalizację swojego ulubionego łowiska?

Paul się uśmiechnął.

– Mam więcej niż jedno.

– Ja znam co najmniej sześć – przechwalał się Ethan. – I nikomu nie powiem, gdzie są. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– No cóż, ten potok obfituje w dobre miejsca – przyznał Paul.

Przeplýwali obok chaty Klausu i dostrzegli go pracującego w ogrodzie.

– Cześć, Klaus! – krzyknęli chłopcy.

Pomachał do nich.

– Idealny dzień na ryby.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz – zawołał w odpowiedzi Paul.

Klaus założył ramiona na zaokrąglonym brzuchu i odprowadzał ich wzrokiem.

– Przywieziemy ci dużą rybę – obiecała Lily.

– *Danke* – powiedział i wrócił do pracy.

– Czasem zastanawiam się, czy nie doskwiera mu samotność – rzekła Lily.

Robert zanurzył rękę w wodzie.

– Ja ciągle go odwiedzam. Umie bardzo ładnie strugać w drewnie i zawsze chętnie mnie uczy.

Paul się uśmiechnął, ale pomyślał, że od czasu do czasu Klaus musi czuć się samotny.

– Martwię się, że mieszka tu zupełnie sam – wyznała Lily. – Nie ma już końskiego zdrowia.

– Wspominał kiedyś o przeprowadzce do miasteczka? – zapytał Paul, kierując łódź na głęboką wodę.

– Nie. Nigdy się stąd nie ruszy. – Wpatrywała się w chatę staruszka, póki nie przesłoniła jej bujna zieleń porastająca brzeg rzeki. Zapytała ochryplym głosem: – Myślisz, że zostało mu jeszcze dużo życia?

– Trudno powiedzieć. Nie pozwala się zbadać. – Gdy zauważył skupione na sobie spojrzenia trzech chłopców, którzy czekali na jego reakcję, dodał: – Twarda z niego sztuka. Gdybym miał iść o zakład, stawiałbym, że jeszcze długo pociągnie.

– Mam nadzieję – rzekł Douglas. – Czasami bywa zrzędlawy, ale go lubię, i myślę, że i on nas lubi.

Chłopak przeniósł wzrok na rzekę, najwyraźniej zadowolony z odpowiedzi Paula.

Strumień rozdzielał się na dwie odnogi. Paul wybrał tę po prawej stronie. Lily nie ruszała się z dziobu, siedziała wyprostowana z wzrokiem utkwionym przed siebie. Była niewysoka i szczupła, ale Paul dostrzegał w niej siłę. Odgarnęła włosy z twarzy i się do niego uśmiechnęła. Paulowi ścisnęło się gardło. Porównywał jej zmysłową urodę ze zdrowym, atrakcyjnym wyglądem Kate. Było to silniejsze od niego. *Jest zachwycająca*, pomyślał, zaskoczony swoim spostrzeżeniem. Nigdy nie zwracał większej uwagi na aparycję Lily.

Przywołując się do porządku, skierował łódź na mieliznę.

– Spróbujmy tutaj.

Chłopcy zeskoczyli z łodzi. Brodząc w wodzie i chlapiąc na wszystkie strony, zaczęli spychać czołno na kamienistą plażę. Lily wysiadła, Paul zgasił silnik. Dał susa za burtę i pomógł chłopcom wyciągnąć łódkę na brzeg, gdzie przywiązał ją do pnia drzewa.

Dziewczyna wytaszczyła wiaderko z przynętą oraz skrzynkę z oprzyrządowaniem, natomiast Paul wziął wędki i manierkę. Chłopcy szybko chwycili za wędki i zabrali się za zakładanie przynęty. Paul wręczył Lily wędzisko. Nabiła przynętę na haczyk, on poszedł w jej ślady. Chłopcy już oddalali się w górę strumienia.

– Nie odchodźcie za daleko – ostrzegł Paul.

Lily wędrowała po kamienistej plaży, szukając dla siebie miejsca. Zobaczyła duży głaz nad brzegiem potoku. Usiadła i zarzuciła wędkę.

Paul brodził w wodzie. Używał nowej, bardzo kolorowej przynęty, reklamowanej w katalogu Searsa. Prąd był silniejszy, niż się spodziewał, z trudem utrzymywał równowagę w wartkim nurcie. Chłopcy wybrali sobie miejsce i już sterczeli z zanurzonymi w wodzie wędkami.

– Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni koniecznie muszą stać w wodzie. Wędka jest równie zadowolona, kiedy się siedzi. A rybom wszystko jedno – stwierdziła Lily.

– Lubię łowić na stojąco. Dzięki temu jestem gotowy do działania, gdyby nagle trafiła się duża ryba.

Lily zwinęła żyłkę, po czym ponownie zarzuciła przynętę. Obejrawszy się przez ramię na drzewa za plecami, powiedziała:

– Mam nadzieję, że nie spotkamy się z niedźwiedziem, który zdemolował Klausowi zagrodę.

Paul położył dłoń na przypiętym do pasa pistolecie.

– Spokojna głowa.

– Niedźwiedź może się na ciebie rzucić, zanim zdążysz oddać strzał.

Wędką Lily się wygięła. Dziewczyna szarpnęła ją w górę.

– Mam! – Lily zerwała się z kamienia, napinając wędzisko. Podrywała w górę i ciągnęła do siebie. – Spora sztuka. – Pozwoliła rybie nieco odpłynąć, a potem pokierowała ją na płycznę. – Weź sieć! Weź sieć!

Paul chwycił sieci i pospieszył na brzeg. Lustrował potok, usiłując dojrzeć rybę. Dziewczyna nie dawała za wygraną, aż w końcu w przejrzystej wodzie mignęło coś srebrnego.

– Ładna sztuka. – Paul wszedł na głębszą wodę z przygotowaną siecią. – Przyciągnij ją trochę bliżej.

Lily niemal błyskawicznie związała żyłkę, prowadząc zdobycz w stronę mężczyzny. Nagle żyłka zwiótczała, a wędzisko się wyprostowało.

– A to draństwo. – Patrzyła smętnie na znieruchomiałą wędkę. – Już ją miałam. – Spojrzała na Paula. – Jaką założyłeś żyłkę? – zapytała podejrzliwie.

– Dwudziestkę. Wystarczająco mocna dla łososia.

Zirytowany, cisnął sieć na brzeg i wrócił na swoje miejsce. Nie potrzebował, żeby jakaś Eskimoska mówiła mu, jakiej powinien użyć żyłki.

Lily usiadła i przystąpiła do naprawiania wędkę. Zerknęła na Paula.

– Przepraszam. Nie chciałam być opryskliwa. Wiesz, co robisz... mimo że dorastałeś w San Francisco.

Łypnął na nią okiem, a gdy dostrzegł przekorę w oczach i uśmiech, nie mógł dłużej się złościć.

– Wychowywałem się co prawda w mieście, ale wędkowałem w jeziorach i rzekach, jeszcze zanim się urodziłaś.

– Wiem. – Lily zawiązała linkę. – Jak tam jest? Jest takie duże jak Seattle?

– Większe. Nie pada tak często, za to jest sporo mgły. Oba miasta leżą na wzgórzach, jednak te w San Francisco mają bardziej strome zbocza.

– Naprawdę? To by mi się nie podobało. – Oparła łokcie na udach. – W Seattle miałam powyżej dziurek w nosie nieustannego dreptania w górę i w dół.

– Można się przyzwyczać.

Paul zwinął żyłkę.

– Akurat deszcz mi nie przeszkadzał – odpowiedziała z westchnieniem. – Kiedy wychodziło słońce, miasto i góry rozjaśniały się, jakby wyszorowano je do czysta. A wtedy góra Rainier kojarzyła mi się z wielką damą wznoszącą się majestatycznie ponad wszystkimi innymi szczytami. Była piękna, cała w bieli, błyszcząca w słońcu.

Wyprostowała plecy.

– Widziałam ją z okien mieszkania. Miałam też widok na cieśninę

Puget. Lubiałam patrzeć na wpływające i wypływające statki. – Ton jej głosu przesycala melancholia.

– Odniosłem wrażenie, że nie podobało ci się w Seattle.

– Niektóre rzeczy mi się podobały. – Wsadziła rękę do wiaderka z przynętą, wyjęła malutką rybkę i nabiła ją na haczyk.

– Cieszysz się, że wróciłaś?

Wzruszyła ramionami, a potem zarzuciła wędkę. Paulowi wydawało się, że mocno zacisnęła zęby.

– Ja w każdym razie jestem zadowolony, że wróciłaś. Fajnie mieć kompanów do wędkowania. – Zerknął na chłopców, którzy byli tak przejęci, jakby lada chwila spodziewali się coś złowić. Traktowali to zajęcie ze śmiertelną powagą.

Paul spędzał większość czasu w samotności, z wyjątkiem dni, kiedy przyjmował pacjentów. Lubił latać z Kate, ale teraz było inaczej... Od zakończenia ich związku latał z innymi pilotami – a to nie to samo.

Melancholia drasnęła serce. Nie chciał wieść samotnego życia, zestarzyć się tak jak Klaus, nie mając obok nikogo, z kim mógłby dzielić czas. Jego wzrok powędrował ku Lily. Byłaby dobrą towarzyszką. Ale nie kochał jej i nie miał zamiaru żenić się z kimś tylko po to, żeby mieć towarzystwo. Równie dobrze można oswoić się z perspektywą życia w pojedynkę.

– Ej, kiedy lunch? – zawołał Ethan. – Zgłodnieliśmy.

– Skoro tak, to chodźcie. Przygotowałam mnóstwo jedzenia. Jest w koszu piknikowym.

Lily zwinęła żyłkę, opłukała dłonie w strumieniu, a później wyjęła koszyk z lodzi. Oparła wędzisko o powalone drzewo i wzięła do ręki manierkę. Pijąc, obserwowała idącego w jej stronę Paula. Podala mu wodę.

– Dziękuję.

Wypił duszkiem i otarł usta rękawem. Chłopcy gramolili się przez glazy, odłożyli wędki na kamienie i złapali za kanapki.

– Wziąłem ciasteczka – powiedział Paul, wyjął puszkę i ją otworzył. – Owsiane. Chcecie?

– Pewnie. – Każdy z chłopców poczęstował się dwoma, a potem wszyscy usadowili się w cieniu, żeby je spałaszować.

Lily też sięgnęła po ciasteczko. Ugryzła i z namysłem smakowała.

– Dobrze. Ale przydałoby się odrobinę więcej cynamonu.

– Tak uważasz? – Skosztował. Miała rację, jednak nie zamierzał się do tego przyznawać. – Więcej cynamonu popsułoby smak.

Lily oparła się o pień wierzby.

– Jak komu pasuje, ja w każdym razie uważam...

– Wiem, co uważasz, i tak, wiem, że twoja matka jest najlepszą

kucharką na całej Alasce.

Parsknęła śmiechem, a jej oczy zwięzły się w półksiężycy. Nagle poblądła i chwyciła się pnia. Osunęła się na kolana.

– Lily? Nic ci nie jest?

Zamknęła oczy i wolno pokręciła głową.

Paul się nad nią pochylił.

– Co się dzieje?

– Zrobiło mi się słabo i jest mi niedobrze.

– Opuść głowę i głęboko oddychaj.

Posłuchała.

– Lepiej?

– Trochę.

– Czy coś takiego już ci się zdarzało?

– Tylko ostatnio.

Usiadła na kłodzie. Na twarz z wolna powracał kolor.

– Byłaś u lekarza?

W jej oczach mignęły smutek i rezygnacja.

– Byłam. – Wzięła głęboki oddech i zwróciła ku niemu twarz. – Jestem całkowicie zdrowa... jak na kogoś, kto spodziewa się dziecka.

Paul przyłożył ostrze siekiery do oselki i poruszał nią kolistymi ruchami, nie przestając myśleć o Lily. Od czasu wspólnej wyprawy na ryby tydzień temu ciągle rozmyślał nad jej sytuacją. Wiedział, że to nie jego sprawa, lecz mimo to się przejmował. Co ona pocznie? Może i twarda z niej dziewczyna, ale życie samotnej matki nie jest usłane różami. Dlaczego do tego dopuściła? Choć bardzo nie chciał się do tego przyznać, był nią rozczarowany.

Splunął na oselkę, żeby zwilżyć kamień, i kontynuował ostrzenie. Chciałby dorwać tego mężczyznę, który wykorzystał Lily. Myślała, że on ją kocha. *Pewnie będzie miała się lepiej bez niego.*

Poczuł tępy ból w palcach. Przerwał na chwilę pracę i potrząsnął ręką. Spędzał tak wiele czasu poza domem, że nie nadązał za gospodarczymi obowiązkami i nie ostrzył systematycznie siekiery i toporka, co pociągnęło teraz za sobą konieczność dłuższego szlifowania. Wolałby wymachiwać siekierą, niż ją ostrzyć.

Odplął myślami do Kate, zastanawiając się, jak jego ukochana zareagowała na informację o zniknięciu Amelii Earhart, która zaginęła kilka dni temu. Wiedział, że byłby to dla niej ogromny cios, gdyby jej bohaterkę odnaleziono martwą bądź nie odnaleziono jej wcale. *Tak to właśnie jest – ludzie przekraczają wszelkie granice, tracą zdrowy rozsądek.* Ta myśl go rozżołała. Panna Earhart miała bliskich, którzy ją kochali i się o nią troszczyli. Nie brała tego pod uwagę, wyruszając na spotkanie z przygodą? *Jest taka sama jak Kate.*

Pot kapął mu do oczu. Otarł czoło wierzchem dłoni. Było gorąco jak na lipiec. Przerwał pracę, by dać odpocząć zmęczonym mięśniom ramion, wytarł twarz chusteczką i wypił haust wody z manierki.

Podniósł siekiere do słońca w nadziei, że jest już wystarczająco ostra. Nic z tego. Widział odbicie światła na ostrzu. Spluwając na metal, powrócił do żmudnego zajęcia.

Usłyszał coś, co przypominało dobiegający gdzieś z oddali skowyt. Przerwał pracę i nasłuchiwał. Skomlenie się powtórzyło. Psy wracają. Wybiegły poharcować przeszło godzinę temu. Paul odłożył siekiere, podszedł do drzwi szopy i się rozejrzał. Nita stała pośrodku podwórka ze spuszczonym łbem. Podeszła do niego, prawie nie merdając ogonem. Po dwóch pozostałych psach nie było śladu.

– Co się stało, piesku? – Uklęknął przed zwierzęciem i pogładził je po

głowie. – Gdzie chłopaki?

W tej samej chwili na ścieżce pojawił się Jackpot. Pokuśtykał na polanę. Paul zadrżał z trwogi. Podbiegł do psa.

– Co ci się stało, chłopie? – Poglaskał czarną sierść. Była lepka i wilgotna. Mężczyzna spojrział na swoją dłoń – cała brudna od krwi.

W Paulu rozgorzał strach. Delikatnie obmacał psa i trafił na ranę wzdłuż lewej łopatki. Krwawiła.

– Z kim ty się kotlowałeś, psieku?

Paul podniósł wzrok na ścieżkę. Miał nadzieję, że zobaczy tam Bucka. Ani widu, ani słyhu. Powrócił do oględzin Jackpota i natknął się na jeszcze kilka rozcięć. Głębokość i wielkość ran wskazywała na niedźwiedzia.

– Zdaje się, że porządnie cię poturbował.

Paul obserwował las, rozmyślając nad tym, co stało się z Buckiem, a jednocześnie żywiąc nadzieję, że rozjuszony niedźwiedź nie poszedł tropem psów w stronę domu. Zwinął dłonie wokół ust i nawoływał, a potem czekał. I tym razem ani śladu dużego malamute'a. Raz po raz ponawiał wołanie. Wciąż nic.

Żołądek podjechał mu do gardła. Nawet pies wielkości Bucka nie byłby w stanie stawić czoła rozjuszonemu grizzly. Powinien był wrócić z resztą psów. Był poważnie ranny albo nie żył. W głowie Paula kotlowały się straszne myśli, a potem wspomnienia. Wypatrzył Bucka wśród innych szceniąt niedługo po przybyciu do Anchorage. Od tamtej pory byli nierozłącznymi towarzyszami. Musi go znaleźć, żywego lub martwego.

Skierował wzrok na Jackpota, który leżał na ziemi i lizał rany. Musi go opatrzeć, zanim wyruszy na poszukiwania trzeciego psa. Delikatnie przecesał sierść, szukając ran. Wszystkie oczyścił i zszyl. Od czasu do czasu pies skomlał, ale się nie wrywał, jakby rozumiał, że jego właściciel chce mu pomóc.

Nie przestając rozmyślać o Bucku, Paul stłumił w sobie impuls nakazujący pośpiech. Po założeniu szwów nakarmił i napoił oba psy, a później zamknął je w szopie. Pobiegł do domu po strzelbę i udał się do Patricka. Będzie rozsądniej, jeśli poinformuje go, dokąd idzie.

Zapukał do drzwi i niecierpliwie czekał. Nie chciał tracić ani chwili.

– Cześć, Paul – przywitała go Sassa, wyłoniwszy się zza rogu domu. Uśmiechnęła się do niego promiennie. – Dobrze cię widzieć. – Po chwili uśmiech zgasł.

– Jest tu gdzieś Patrick? – Paul zbiegł ze schodów.

– Pojechał do bazy Susitna. Mogę w czymś pomóc?

– Nie. – Mężczyzna poprawił przewieszoną przez ramię strzelbę. – Psy wybiegły rano na spacer. Wróciły tylko Nita i Jackpot. Jackpot jest paskudnie pokiereszowany. Chyba dorwał go niedźwiedź.

– Och, Paul. Bardzo ci współczuję. Wyliże się?

– Tak, dojdzie do siebie. – Jego wzrok powędrował w stronę podwórza.

– Ale Buck został gdzieś w lesie. Muszę go znaleźć.

– Może powinieneś zaczekać na Patricka. Poszlibyście razem. Lepiej, żeby było was dwóch, zwłaszcza jeśli to ten sam niedźwiedź, który nabroił u Klausea.

– Pewnie tak, ale jak świat światem pies i niedźwiedź się ze sobą nie dogadają. – Ponownie obejrzał się na własny dom. – Nie mogą czekać. Buck może być poważnie ranny. A niedźwiedź prawdopodobnie już dawno się oddalił.

– Bądź ostrożny.

– Będę. Niech chłopcy trzymają się domu. Widziałem niedźwiedzie odchody w pobliżu mojego gospodarstwa. Jeżeli to ten sam grizzly... to... – nie dokończył i wzruszył ramionami.

– Z niedźwiedzia byłby ładny dywanik, ot co. – Sassa się uśmiechnęła, jednak po chwili dodała markotnym tonem i z posępną miną: – Obyś znalazł Bucka.

– Dziękuję.

– Gdzie są Nita i Jackpot?

– Zamknąłem je w szopie. Nita jest cała i zdrowa, ale narobiłem się po łokcie przy zszywaniu Jackpota.

– Zajrzę do nich.

– Będę wdzięczny.

Paul ruszył ścieżką, myśląc tylko o Bucku. Był największy z miotu, miał wielkie łapy i wesole usposobienie. Wyrósł na silnego, potężnego psa, łatwego w szkoleniu pomimo tego, że cechował go zdecydowany charakter. Nie należał do psów, które cofną się przed niebezpieczeństwem, nawet jeśli przeciwnikiem będzie grizzly. Powalczy na śmierć i życie.

Paula aż mdliło na myśl, że Buck prawdopodobnie już nigdy nie wróci do domu. Wezbrał w nim smutek, poczuł w ustach słony smak łez. Otarłszy je rękawem, siłą woli skupił się na tropieniu śladów. Nie czas na sentymenty.

Nietrudno było iść po tropach psów. Swawolily w lesie, pozostawiając po sobie obfitość połamanych gałęzi i wygniecionych zarośli.

Uszedł niecałą milę, gdy natknął się na rozłupane przez niedźwiedzia drzewo. Zostało wywrócone i rozryte pazurami. Drapieżnik urządził tu sobie owadzią ucztę. Czy psy natknęły się na niego właśnie w tym miejscu? Paul uklęknął i dokładnie obejrzał odcisnięte w ziemi ślady. Grizzly. I to duży. Odciski łap były częściowo zatarte przez psy. Ruszyły za niedźwiedziem, to pewne.

Mężczyzna zwolnił kroku, a w końcu stanął, nasłuchując

jakichkolwiek odgłosów Bucka lub niedźwiedzia. Czekał, próbując przeniknąć wzrokiem listowie. Czy gdzieś tam czai się grizzly i obserwuje go z ukrycia?

Gdy nabrał pewności, że nie ma w pobliżu wielkiego drapieżnika, zawołał cicho:

– Buck.

Śpiew ptaków i bzyczenie owadów pochłonęło jego krzyk. Pies nie odpowiadał.

Paul szedł pasem połamanych gałęzi i wydeptanej trawy. Wyglądało to tak, jakby pobudzone psy stratowały zarośla w pogoni za niedźwiedziem. Mężczyzna doszedł do wniosku, że pościg musiał rozpocząć się w tym miejscu. Zachowując czujność, ostrożnie posuwał się naprzód, nie chcąc zaskoczyć zwierzęcia i doprowadzić do konfrontacji.

Nie schodząc z wydeptanego szlaku, ponowił wołanie. Nie usłyszał w odpowiedzi szczeknięcia ani skomlenia. Dotarł do mocno stratowanej polaci lasu. Trawy i zarośla były zakrwawione. To tutaj musiało dojść do starcia. Z gotową do strzału bronią stanął i powoli się obracał, penetrując wzrokiem drzewa i chaszczę. Czy niedźwiedź uciekł?

– Buck! – zawołał kolejny raz. A potem zagwizdał. – No chodź, piesku. – Przeszukiwał teren – bez skutku. I nagle zobaczył. Kopczyk czarnosrebrzystego futra. Serce załomotało mu w gardle. – Buck!

Obawiając się najgorszego, podbiegł do swego przyjaciela i przy nim uklęknął. Przyłożył rękę do boku psa. Buck wyglądał jak martwy. Po chwili poczuł pod palcami, jak leciutko unosi się klatka piersiowa. Oddychał!

– Och, Buck! – Paul przytulił do kolan jego wielki łeb. – Obudź się, stary, no proszę.

Zwierzę nie reagowało.

Paul dokonał szybkich oględzin psa. Był poważnie poraniony. Poza licznymi rozcięciami miał złamaną nogę, klute rany głowy i szyi. Ale nie to było najgorsze. Mężczyzna przewrócił Bucka na drugi bok, a wtedy jego wzrok padł na ranę, która w zasadzie była śmiertelna. Paul poczuł się tak, jakby wielki młot zmiażdżył mu pierś, uniemożliwiając oddychanie. Niedźwiedź rozerwał cały bok.

Dźwignął psa, wziął go w ramiona i tuląc go do piersi, ruszył w stronę domu. Odliczył sto kroków, przystanął, odpoczął, odliczył kolejną setkę. Ramiona i plecy błagały, by się zatrzymał. Jednak nie dawał za wygraną, zapewniając przyjaciela, że wszystko będzie dobrze, że go wyleczy, że Buck będzie jak nowy i znów będą razem zakładać w lesie sidła.

Pod wyczerpanym Paulem ugięły się nogi. Wciągnął do płuc powietrze, chwilę odpoczął, zatoczył się, wstał i podjął na nowo żmudną wędrówkę. Zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli zdołają dotrzeć do domu,

pies prawdopodobnie nie przeżyje. Paul czuł, jak kurtka nasiąka ciepłą krwią. Mimo to brnął naprzód, sprawdzając raz po raz, czy zwierzę jeszcze odдыcha.

Widząc już przed sobą ścieżkę do domu, usłyszał trzask gałęzi. Czy to niedźwiedź? Czyżby wrócił, żeby ostatecznie rozprawić się z Buckiem, a przy okazji i z nim? Położył psa i chwycił strzelbę. Z palcem na spuście wpatrywał się w zarośla. Z krzaków wyleciał jarząbek kanadyjski. Puls Paula gwałtownie przyspieszył, lecz po chwili się uspokoił. Niewiele brakowało, a zmarnowałby kilka naboju na ptaka.

Zanim oczom Paula ukazała się jego chata, mięśnie pleców paliły go żywym ogniem. Nogi ledwie go niosły. Ale widok domu tchnął w niego nowe siły. Ruszył naprzód.

Gdy był już blisko, z szopy wylonila się Lily.

– Paul! Chwała Bogu, że go znalazłeś! Tak bardzo się martwiłam. – Przeniosła spojrzenie na psa. – Czy on... żyje?

– Ledwo. Grizzly nieźle go urządził. Jak się miewa Jackpot?

– Myślę, że się wykaraska. Teraz śpi.

Nita wybiegła z warsztatu i trąciła swojego właściciela nosem, a potem obwąchała Bucka.

– Dobrze wyglądasz, mała – rzekł Paul i zaczął iść w stronę domu. – Lily, mogłabyś otworzyć mi drzwi na oścież?

Wbiegła po schodach i zrobiła, o co prosił.

– Jak jeszcze mogę ci pomóc?

Paul wtoczył się na ganek, ruszył prosto do kuchni i położył Bucka na stole.

– Potrzebuję więcej światła. Przynies kilka latarni.

Zdejmował zakrwawioną kurtkę, jednocześnie pędząc do pokoju po torbę lekarską. Rzucił wierzchnie nakrycie na oparcie krzesła. Zanim wrócił, Lily zdążyła postawić na stole dwie latarnie. Zapaliła je zapalką.

– Dziękuję. Zagotujesz wodę?

– Pewnie.

Napełniła garnek, postawiła na kuchennej płycie, włożyła do pieca papier i podpałkę i rozpałiła ogień.

Paul skupił uwagę na psie, oglądając rany. Były rozległe. Najbardziej humanitarnym rozwiązaniem byłoby położenie kresu cierpieniom zwierzęcia. Poglaskał Bucka po głowie, roztrzásając w myślach, co należałoby zrobić. Przypomnił sobie wszystkie składane w drodze do domu obietnice. Musi przynajmniej podjąć próbę uratowania mu życia.

– No dobrze. Zaczynamy. Zrobię, co w mojej mocy.

Buck nie wydał z siebie żadnego dźwięku, nie zadrgało mu ucho ani oko. Wyglądał, jakby już nie żył. Paul zastanawiał się, czy obrażenia głowy nie odebrały psu rozumu.

Najpierw zajął się ziejącą dziurą w boku. Wyciął sierść, a potem przemył ranę ciepłą wodą z mydłem. Zbadał organy wewnętrzne, ale nie znalazł żadnych śladów uszkodzeń ani silnych stłuczeń. Mimo to mogło wdać się zakażenie. Na koniec obmył wszystko płynem antyseptycznym i założył szwy.

Lily przez cały czas stała przy jego boku, pilnując, by miał pod ręką wszystko, czego potrzeba. W pomieszczeniu było parno, ciepło z piecyka podnosiło jeszcze o kilka stopni i tak wysoką tego dnia temperaturę. Dziewczyna ocierała Paulowi ręcznikiem pot z czoła, żeby nie przesłaniał mu oczu.

Kiedy Paul kończył zszywać brzuch Bucka, pojawił się Patrick. Wszedł do środka i cicho zamknął za sobą drzwi.

– Sassa powiedziała mi, co się stało. Przykro było słuchać o Jackpocie. Widzę, że z Buckiem też krucho.

– On oberwał najbardziej – odrzekł Paul, nie przestając sprawdzać, czy pies nie ma jeszcze innych obrażeń. – Zawsze idzie na całość.

Paul wymacał kolejną głęboką ranę. Nie pozostawało nic innego, jak tylko ją oczyścić. Wyciął sierść wokół rozcięcia na karku. Gdyby niedźwiedź rozszarpał tętnicę, Buck wykrwawiłby się na miejscu.

Patrick stał po drugiej stronie stołu.

– Mogę się na coś przydać?

– Mógłbyś zmieniać szmatki na czyste. Poza tym będę potrzebował ich więcej. Znajdziesz jakies?

– Jasne. Zaraz wracam. Sassa ma pewnie całą stertę.

Paul usłyszał otwieranie i zamykanie drzwi. Kilka minut później wrócił Patrick z naręczem czystych ściereczek. Paul nie przerywał swojej pracy, przycinał sierść, oczyszczał, zakładał szwy. Po opatrzeniu wszystkich ran obejrzał tylną łapę Bucka. Nie była złamana, tylko zwichnięta.

– Niedźwiedź musiał złapać go za nogę i mocno pociągnąć – stwierdził Patrick.

– Tak to wygląda.

Paul nastawił kończynę. Nasłuchiwał bicia serca i oddechu. Były słabo wyczuwalne. Nie mógł zrobić już nic więcej. Podniósł wzrok na Lily.

– Dziękuję za pomoc.

– Cieszę się, że mogłam się przydać. – Uprzątnęła zakrwawione gałganki. – Wypiorę je – rzekła i odwróciła się do wyjścia.

Paul zebrał narzędzia, a potem włożył wszystkie do zlewu. Mokną szmatką starł krew ze stołu, po czym znów osłuchiwał serce Bucka. Biło miarowo.

– Dzięki Bogu, że go znalazłeś – powiedział Patrick.

– Tak. – Paul spojrział na psa. – Zdumiewające, że wciąż żyje. – Okrył

zwierzę kocem. – Stracił dużo krwi, mogła wdać się rozległa infekcja. Miał fatalnie rozpruty bok.

Paul starał się mówić rzeczowo, ale serce mu krwawiło. Przeraziła go perspektywa utraty najlepszego przyjaciela. Co pocznie bez Bucka?

Poczuł na ramieniu dotyk dłoni Patricka.

– Ten pies to twardeł. Wylizę się.

Paul pokiwał tylko głową, ponieważ głos uwiązł mu w gardle. Zrobił wszystko, co w jego mocy. Zdawał sobie jednak sprawę z bolesnej prawdy, że nawet jeśli tym razem się uda, Buck kiedyś umrze. Wszystko umiera.

Paul wyszedł z chaty z drepczącym przy nodze Buckiem, uprzednio przytrzymawszy otwarte drzwi dla swojego psiego przyjaciela. Buck pokuścił na dwór. Na czas gojenia się ran siedział zamknięty w domu. Przez większość dni wydawał się zadowolony, że może przebywać blisko swego pana, a Paul cieszył się z jego towarzystwa. Miał za sobą chwile niespokojnego wyczekiwania i modlenia się, kiedy bał się, że go straci. Ale rosły młamute wyszedł z tej opresji, nie zamierzał się poddać, nie rezygnował z życia.

Mężczyzna szedł wolniej niż zwykle, żeby Buck mógł za nim nadążyć. Pies był z rodzaju tych zawziętych, mógłby zrobić sobie krzywdę, gdyby jego właściciel za bardzo się spieszył. Zerkając raz po raz na swego pana, dzielnie dotrzymywał mu kroku.

– Dobry pies – pochwalił Paul, kładąc zwierzakowi rękę na głowie. Odpowiedział merdaniem ogona.

Nita i Jackpot czekały i naciągały postronki, na których były uwiązane.

– Wiem, wiem, chcecie pohasać.

Zamknął Bucka w szopie, powrócił do pozostałych psów, a potem spuścił je z linek. Podskakiwały wokół niego. Podniósł z ziemi patyk i im rzucił. Ruszyły za nim biegiem. Nita dopadła do kija pierwsza i przybiegła do Paula z cenną zdobyczą w pysku.

Psy potrzebowały się wybiegać, mimo to Paul ciągle się martwił, że znów spotkają na swojej drodze niedźwiedzia albo inne zwierzę, na przykład rosomaka czy rozjuszzonego losia. W tych dzikich ostępach roilo się od niebezpieczeństw.

Rany Jackpota ładnie się zagoiły, zachowywał się tak, jakby ani trochę mu nie przeszkadzały. Mężczyzna wyjął patyk z pyska Nity i rzucił go ponownie. Tym razem pierwszy złapał go Jackpot i zaczął z nim uciekać, ścigany przez Nitę. Gdy psy pognały ścieżką, Paul z trudem powstrzymał się przed przywołaniem ich z powrotem. Potrzebowały swobody, musiały się wybiegać. Ograniczanie ich z powodu własnych lęków byłoby nie w porządku. Patrzył, jak oddalają się pędem.

– Tylko pamiętajcie, macie wrócić – mruknął pod nosem.

Spacerowym krokiem poszedł do szopy. Buck przywitał go w drzwiach i próbował przecisnąć się na dwór.

– Wiem, wiem, chciałbyś wyjść, ale nie jesteś jeszcze gotowy. –

Uklęknął, otoczył psa ramionami i zatopił palce w gęstej sierści, uważając, by zbyt mocno nie naciskać. – Przez pewien czas będziesz musiał trzymać się domu. – Wstał, pogłaskał zwierzę po głowie, wszedł głębiej do szopy i zamknął za sobą drzwi.

Zdjął ze ściany kilka wnyków, a później rozłożył je na stole. Wszystkie dokładnie obejrzał i oczyścił drucianą szczotką. Były w dobrym stanie, kilka wymagało drobnych napraw. Te odłożył na bok.

Jak zwykle jego myśli poszybowwały ku Kate. Nie widzieli się od kilku ładnych tygodni. Od momentu ich rozstania Jack ułożył harmonogram lotów w taki sposób, by Paul latał z innymi pilotami. Było jednak wiadomo, że prędzej czy później na siebie trafią. Nie miał pojęcia, jak zdoła utrzymać z nią w pracy swobodne, przyjacielskie relacje. Tak czy owak, sytuacja będzie niezręczna. Ale jeszcze gorsze byłoby wspólne życie, tyle że wyzute z emocji. Jak by to wytrzymał?

Każdy dzień bez niej ranił go jak ciernie. Prześladowała go jej twarz, prześladowały śmiech i wigor. Miał nadzieję, że z czasem życie bez niej stanie się znośniejsze, lecz jej nieobecność tylko przysparzała mu cierpienia. Doszedł do wniosku, że gdyby zginęła, wcale nie byłoby mu ciężiej na sercu. Może okazał się głupcem, zrywając ten związek.

Gdy skończył skrobać wnyki, zanurzył je w wiadrze wody ze strumienia, by usunąć wszelkie pozostałości swojego zapachu. Wyłowił je kijem i włożył do skrzynki, a następnie zajął się tymi, które wymagały naprawy.

Głęboko z piersi Bucka wyrwało się ciche warczenie. Paul zerknął na niego, po czym wrócił do pracy. Pies przebierał łapami i ponownie zawarczał, jeżąc sierść i wpatrując się w drzwi.

– O co chodzi, piesku? – Mężczyzna pomyślał, że pewnie ktoś od Warrenów wpadł z wizytą. – Czy tak wita się gości? – Podeszedł do drzwi i je otworzył. Buck próbował się obok niego przecisnąć, lecz Paul zablokował mu drogę. Nie chciał, żeby radość na widok gości wzięła górę nad umiarem wymuszonym gojeniem się ran. Na razie nie mogło być mowy o bieganii. – Zostań – polecił. Buck ze zjeżoną na karku sierścią usiłował ominąć nogi swojego właściciela, które przesłaniały mu widok. Paul wyszedł na zewnątrz i w tej samej chwili zauważył niedźwiedzia grizzly o lśniącym ciemnobrązowym futrze, węszącego wokół ganku. Zadrżał z trwogi. Był to prawdopodobnie ten sam grizzly, który zasiał spustoszenie w zagrodzie Klause i o mało nie zabił psów.

Przytrzymując psa, obserwował, jak drapieżnik obwąchuje dom. Wydawał się nieświadomy obecności człowieka. I wtedy Buck nie wytrzymał. Gardłowo zaszczekał i zaczął ujadać na całego.

Niedźwiedź gwałtownie odwrócił wielki łeb i patrzył prosto na nich. Rozchylił pysk, obnażył ostre kły i głośno prychnął. Małe czarne oczka

świdrowały Paula. Grizzly zszedł ze stopni ganku. Slabe deski ugięły się pod jego masywnym cieleciem. Powinien uciec, a zamiast tego człapał w stronę szopy.

Paul zamknął drzwi na skobel. Nie miał przy sobie strzelby. Została w domu. Kiedy wreszcie się nauczy? Na tych terenach człowiek nie może pozwolić sobie na nieostrożność. Powinien zawsze nosić ze sobą broń.

Buck nie przestawał ujadać.

– Buck. Przestań. Bądź cicho.

Pies umilkł, ale nie spuszczał oczu z drzwi i aż trząśł się cały z wielkiego podniecenia. Paul zastanawiał się, czy pamięta swoje spotkanie z niedźwiedziem.

Szopa była solidna, więc Paul raczej nie obawiał się, że drapieźnik wdrze się do środka. Nie podobało mu się jednak, że jest uwięziony w jej wnętrzu, całkowicie bezbronny i nie może dostać się do domu. Usiadł na stolku przy stole roboczym i nasłuchiwał. Najprawdopodobniej grizzly spenetruje teren i sobie pójdzie. Paul zawsze pilnował, żeby nie zostawiać na zewnątrz żadnego jedzenia, bo wtedy nie byłoby nic, co przyciągnęłoby uwagę drapieźnika.

Słyszał, jak zwierzę sapie pod drzwiami, a potem drapie pazurami, najprawdopodobniej w spiżarnię. Pewnie wyczulo w środku pożywienie. Paul miał nadzieję, że zbudował solidną wędzarnię – w przeciwnym razie straci cały zapas ryb.

Nagle przypomniał sobie o Nicie i Jackpocie. Mogą wrócić w każdej chwili. Musi mieć przy sobie strzelbę.

Buck leżał przy nodze ze wzrokiem utkwionym w kierunku, z którego dobiegały niedźwiedzie odgłosy. Znów dało się słyszeć posapywanie pod drzwiami. *Proszę, odejdź. Idź sobie. Nic tu dla ciebie nie ma.*

Warkot samolotu nappełnił Paula przerażeniem. Wypadał akurat dzień doręczania poczty. Warrenowie pojechali do Anchorage. Nie wyjdą do lotnika, a Paul ma do odebrania zamówienie. Liczył na to, że Kate nie przyleciała samolotem Jacka z pływakami. Gdyby wylądowała na wodzie, mogłaby nadzieić się na nieprzewidywalnego grizzly.

Kate okrążyła strumień. Nigdzie nie mogła dostrzec ani Paula, ani Warrenów. Wyciągnęła rękę, by pogłaskać suczkę, a po chwili przypomniała sobie, że tym razem pies jej nie towarzyszy. Angel chorowała w nocy, dlatego została w domu. Brakowało jej towarzyski, zwłaszcza tego dnia. Życie wydawało się ponure. Kate była przekonana, że Amelii Earhart powiedzie się próba okrążenia ziemi. Kiedy zaginęła, nie opuszczała jej nadzieja, że mimo wszystko pilotka zostanie

odnaleziona.

Tymczasem krążyły pogłoski o odwołaniu poszukiwań. Od jej zaginięcia nie minęły nawet dwa tygodnie. Jak można tak szybko zaniechać poszukiwań? Amelia sprawiała wrażenie niepokonanej. *Pewnie żaden człowiek taki nie jest.* Kate ogarnęło poczucie własnej bezsilności. Siłą woli odgoniła od siebie ponure myśli i skupiła się na pracy – dostarczeniu Paulowi przesyłki. Gdy zatrzymywała się teraz w Bear Creek, czuła się tak, jakby sypano jej sól na otwartą ranę. Kiedyś był to jej ulubiony przystanek, teraz jednak przejmował ją strachem. Bała się spotkania z Paulem, ale i doświadczania wciąż na nowo jego odrzucenia za każdym razem, kiedy nie wyjdzie jej na spotkanie.

Gdy przelatywała nad jego chatą, serce ścisnął znajomy ból. Wiedziała, że nie zobaczy go na przystani. Skąpe wiadomości, jakie docierały do niej na jego temat, pochodziły od innych pilotów. O dziwo, koledzy zdawali się rozumieć, że potrzebuje czasu, by oswoić się z rozstaniem. Gdyby tylko potrafiła...

Mike zachowywał się jak stary przyjaciel i nie naciskał na odnowienie dawnego związku. Była mu za to wdzięczna. Nie chciała, żeby kiedykolwiek w przyszłości zależało jej na kimś w taki sposób. Wątpiła, czy w ogóle wyjdzie kiedyś za mąż. Charakter jej pracy bardzo komplikował sprawę. Nie da się pogodzić roli żony z pracą pilota.

Podeszła do lądowania, ale nie podobało się jej zachowanie maszyny. Samolotu na pływakach nie nawigowało się tak dobrze jak bellanki. Niemniej jednak posadziła samolot bez jakichkolwiek przykrych niespodzianek. Nie widziała nikogo. Zwykle Sassa albo Patrick wychodzili jej na spotkanie. Czasem Lily albo jej bracia czekali na pomoście. Tym razem nie było tu żywej duszy. Ukłuił ją strach, ale prędko go porzuciła. Co za różnica, kiedy pokona tremę przed doręczeniem Paulowi poczty. Przecież nie może wiecznie go unikać. Zresztą i tak nie przywiozła korespondencji dla Warrenów, miała za to list dla Paula.

Zerknęła na kopertę. Adres zwrotny był w San Francisco. Nadawca nosił to samo nazwisko, co jej ukochany mężczyzna. Pewnie jeden z jego braci. Zastanawiała się, dlaczego Paul nigdy nie widywał się z nikim z rodziny, jednak szybko odsunęła od siebie tę myśl. Jego sprawy nie były już jej sprawami.

Podpłynęła do pomostu i zgasiła silnik. Zabezpieczywszy samolot, ruszyła ścieżką w stronę domu. Miała do pokonania odległość niespełna dwustu metrów, ale ponieważ obmyślała, co powie, gdy go zobaczy, tym razem dystans ten urósł do rozmiarów prawdziwej podróży.

Odgarnęła na bok kosmate łodygi roślin i spojrzała w górę ścieżki. I wtedy jej wzrok padł na niedźwiedzia. Przeszył ją dreszcz strachu. Grizzly znajdował się na samej górze i ciężko człapał w dół. Wyraźnie się

nie spieszył. Może nawet nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Przelknawszy lęk, Kate uciekła się do wiedzy, jaką przekazano jej na temat spotkań z niedźwiedziami, i choć w pierwszym impulsie chciała brać nogi za pas, nakazała samej sobie zastygnąć w bezruchu.

Zwierzę zauważyło ją i stanęło na tylnych łapach, jakby chciało lepiej się przyjrzeć. *Prawdopodobnie to tylko ciekawość.* Kate nie ustępowała pola, ale wielki drapieźnik sunął w jej kierunku. Zamachała nad głową rękami i krzyknęła:

– Odejdź, niedźwiedziu! Odejdź!

Grizzly stanął i węszył w powietrzu. Ponownie wspiął się na zadnie łapy i na nią patrzył. Serce uwięzło jej w piersi. Co robić?

– Idź sobie, misiu! – zawołała.

Zwierzę nie drgnęło.

Czy to ten sam grizzly, który poranił psy i napadł na gospodarstwo Klausu? Jeśli tak, mogą być kłopoty. Cofnęła się o krok i obejrzała za siebie, szacując dzielącą ją od samolotu odległość. Była niewielka, może sześć metrów. Tylko czy zdąży, jeżeli niedźwiedź zaatakuje? Zrobiła kolejny krok w tył. Zwierzę opadło na cztery łapy, wciąż okazując raczej ciekawość niż agresję.

Kolejne dwa kroki, a wtedy grizzly zaczął iść w jej stronę. Zaszło jej w gardle. Zastanawiała się, czy nie zawołać Paula. Gdzie on jest? Potrzebuje go. Serce tłukło się w piersi, objając się o żebra, ręce drżały. Jakie to uczucie: zginąć z łap niedźwiedzia?

Powietrze rozdarł wystrzał ze strzelby. Kate zatrzęsła się od niespodziewanego huku. Grizzly wcale się nie przestraszył, przeciwnie, wydawał się rozjuszony. Przypuścił szarżę na Kate. Wiedziała, że nie jest od niego szybsza, lecz mimo wszystko rzuciła się pędem w kierunku samolotu. Zwierzę dogoni ją lada chwila. Nie śmiała obejrzeć się za siebie.

Huknął kolejny wystrzał, ale Kate nie zwolniła. Biegła ile sił w nogach. Dotarła do pomostu, przesadziła go paroma susami i wpadła do kabiny. Zatrzasnęła za sobą drzwi i dopadła do okna, chcąc zobaczyć, czy zwierzę nadal ją ściga. Cwałowało do lasu.

Z walącym sercem, z trudem łapiąc oddech, oparła się o krawędź okna i spojrzała na ścieżkę. Paul ostrożnie schodził do miejsca, w którym widziała niedźwiedzia, po czym zniknął w osikowym zagajniku porastającym brzeg kilka metrów od koryta potoku. Kate wysiadła z samolotu, wytężając wzrok, żeby dostrzec mężczyznę w gęstwinie.

– Paul, proszę cię, uważaj.

Wyłonił się chwilę później, zмирzając w jej stronę.

– Prysnał, ale jest ranny.

Pod Kate nagle ugięły się nogi. Zaczęła się trząść i nie była pewna, czy

zdola ustać. Usiadła na pomoście, a silne emocje zwały się na nią niczym monstrualna fala.

Paul uklęknął obok niej.

– Oddychaj głęboko, powoli.

Starala się, jak mogła, ale przy każdym zaczerpnięciu powietrza wstrząsał ją dreszcz. Do oczu napłynęły łzy, których nie mogła powstrzymać.

Paul przyciągnął ją do piersi i tulił w ramionach.

– Już dobrze. Odszedł. Nie robi ci krzywdy.

Kate do niego przywarła.

– Nigdy w życiu się tak nie bałam. Gdyby cię tu nie było... – nie potrafiła dokończyć zdania.

– Ale byłem. – Głaskał ją po plecach. – Możesz wstać?

– Tak. Już w porządku. – Drżał jej głos.

Paul chwycił ją pod ręce i pomógł stanąć na nogach. Pragnęła, by nadal trzymał ją w ramionach. Wróciło na moment dawne wzajemne przyciąganie. Zajrzała w jego brązowe oczy i zatęskniła za tamtymi dniami.

– Napędził mi niezłego stracha. – Paul rzucił spojrzenie na las. – Myślałem, że cię stracę.

Już mnie straciłeś.

– Gdzie byłeś?

– W szopie. Niedźwiedź grasował w obejściu, a ja nie miałem przy sobie strzelby. Gdybym miał, powaliłbym go, zanim by się do ciebie zbliżył.

– A tymczasem uciekł.

– Muszę ruszyć za nim w pościg. Jest ranny. Albo zaszyje się gdzieś i będzie zdychał w cierpieniach, albo wyladuje na kimś swoją furię.

– A jeśli na ciebie czyha? Albo cię szuka?

– Wątpię, żeby miał takie pomysły. Nic mi się nie stanie. Zresztą nie mam wyboru. Ktoś musi go dobić. A ponieważ to ja go zraniłem, wypada na mnie.

Kate wiedziała, że Paul ma rację, choć wolałaby, aby jej nie miał.

– Proszę, uważaj.

Paul wie, co robi, powtarzała sobie Kate, wzbivszy się w powietrze. Spojrzała na jego chatę w dole. Wydawała się przytulna i bezpieczna, wciśnięta między drzewa – zwodniczy obraz. Na świecie nie ma prawdziwych oaz bezpieczeństwa.

Ponownie zalała ją fala przerażenia, ponieważ mignął jej przed oczami widok szarżującego niedźwiedzia. O mało nie przyplaciła tego spotkania życiem.

Jeszcze raz okrążyła teren w nadziei, że dostrzeże gdzieś Paula. Przepadł jak kamień w wodę. Niepokoiliła się, że poszedł za dzikim zwierzęciem sam. Żałowała, że nie zaczekał na Patricka. A jeśli coś pójdzie źle? Grizzly był bez wątplenia niebezpieczny, a do tego ranny... Kate nie przestawała się martwić i prosić Boga: *Panie, chroń Paula. Pomóż mu odnaleźć tego niedźwiedzia i go dobić. A potem sprowadź go bezpiecznie do domu.*

Myśląc nadal o Paulu, skierowała się w górę potoku. Mimo że nie byli już parą, nie potrafiła wyobrazić sobie świata bez tego mężczyzny.

W bazie Susitna właściciel magazynu, Charlie Agnak, siedział tam, gdzie zwykle. Na krześle przysuniętym do frontowej ściany sklepu, z nogami wspartymi na pieriku. Kate wytaszczyła z samolotu torbę z pocztą i weszła po stopniach wyciosanych na brzegu rzeki. Charlie uśmiechnął się i do niej pomachał. Zauważyła, że brakuje mu kolejnego zęba. Większość ludzi zamieszkujących te dzikie tereny nie leczyła zębów, tylko je usuwała.

– Jak leci? – zapytał.

– Dobrze. A u ciebie?

– Nie narzekam. – Przypieczętował te słowa kiwnięciem głowy.

Kate pacnęła komara.

– Te żarłoczne owady nie są mi potrzebne do szczęścia.

Uśmiechnął się szeroko.

– Tutaj nie można wybrzydzać. – Opuścił stopy na ziemię i wstał. – Do połowy sierpnia trochę się uspokoją.

– To jeszcze cały miesiąc – jęknęła.

– A owszem. – Charlie nie tracił dobrego humoru. Nie wyprostował pleców, stał lekko przygarbiony. – Masz coś dla mnie? Podała mu torbę z korespondencją. Jego sklep był punktem odbioru przesyłek dla mieszkańców tej okolicy. – Jest też parę paczek. – Udała się z powrotem

do samolotu. Sięgnęła po duże pudło i wtaszczyła je po stopniach, a potem wróciła po następne.

– Zamawiałaś zaopatrzenie do sklepu?

– Pewnie. Tutejsze kobiety uwielbiają piec. Wykupiły całą mąkę, cukier i przyprawy korzenne. – Uśmiechnął się. – Nie powiem, żebym miał coś przeciw. Zwykle się ze mną dzielą.

– Charlie, czyżbyś miał słabość do słodczy?

– Tak. – Kiwnął głową. – Niedługo wypadną mi przez to wszystkie zęby. – Rozciągnął usta, prezentując nową szczerbę na przedzie i parszkając śmiechem.

Kate pokręciła głową.

– Mam nadzieję, że wszystkich nie stracisz.

– E tam, kto by się przejmował.

Kate odwzajemniła uśmiech, przypominając sobie własną przygodę z wyrwaniem zęba. Miała zamiar zachować wszystkie pozostałe.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Nie pilnuję zegarka – odparł Charlie, po czym postawił torbę z korespondencją przy drzwiach i odebrał paczkę. – No a skąd to spóźnienie?

– Miałam bliskie spotkanie z niedźwiedziem niedaleko domu Paula Andersona.

W ciemnych oczach mężczyzny błysnęło zainteresowanie.

– Grizzly?

Skinęła głową.

– Co się stało?

– Z tego, co mówił Paul, niedźwiedź węszył wokół domu, akurat kiedy łądowałam. Powinien wystraszyć się samolotu, ale tymczasem natarł na mnie, gdy szłam ścieżką w kierunku domu. Przez chwilę myślałam, że skończę w jego żołądku.

Charlie zachichotał.

– Skoro jednak tu jesteś, domyślałem się, że Paul go dopadł?

– I tak, i nie. Postrzelił go, jednak grizzly uciekł.

– Niedobrze. Ranny niedźwiedź to wredne bydlę.

– Paul poszedł go szukać.

Mężczyzna odgarnął z czoła czarne włosy.

– Niech lepiej uważa. Grizzly potrafią być naprawdę sprytnie. Czasami wracają i odgrywiają się na człowieku.

Kate zdjęło nagle przerażenie.

– Myślisz, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo?

Charlie wyszczerzył swoje niepełne uzębienie.

– Ktoś, kto poluje na grizzly, zawsze jest w niebezpieczeństwie, ale myślę, że Paul świetnie sobie poradzi. I będzie miał nowy dywanik. –

Parsknął cichym śmiechem.

Kate nie chciała ciągnąć tego tematu.

– No, na mnie już czas. Mam jeszcze do obskoczenia kilka przystanków.

– Jasne. Do zobaczenia.

Charlie wszedł z pakunkami do sklepu.

Kate znów znalazła się w powietrzu, mimo to w uszach cały czas dźwięczały jej słowa Charliego. A jeśli niedźwiedź okrąży Paula i zaatakuje? *Paul będzie miał się na bacności. Wie, do czego zdolny jest grizzly.* Choć próbowała się w ten sposób pocieszać, wcale nie była spokojniejsza. Nawet najlepsi myśliwi ginęli z łap grizzly. Zastanawiała się, jak długo jej ukochany zabawi w lesie. Może już zabił niedźwiedzia. Niepewność była prawdziwą udręką.

Przed ostatnią dostawą postanowiła zaglądnąć do Paula i sprawdzić, czy cały i zdrow wrócił do domu. Co prawda nie byli już parą, ale nadal się o niego troszczyła i nie zaznałaby spokoju, póki by się nie upewniła, że jest bezpieczny. Uznała, że niedźwiedź pewnie nie uszedł daleko i Paul zdążył już wrócić do chaty. Musi się o tym przekonać.

Zawróciła na południe i obrala kurs na Bear Creek, a potem zadzwoniła do Jacka na lotnisko w Anchorage. Przygotowała się na atak drwin. Jack nie będzie zadowolony.

Radio zatrzeszczało i ożyło.

– Lotnisko Anchorage, tu pacemaker dwieście dwadzieścia jeden. Odbiór.

– Pacemaker dwieście dwadzieścia jeden, tu Anchorage. Mów. Odbiór.

– Jack, będę miała spóźnienie. Siadam w Bear Creek. Odbiór.

– Nie zrozumiałem. Powiedz jeszcze raz. Odbiór.

– Pacemaker dwieście dwadzieścia jeden ma spóźnienie. Odbiór.

– Gdzie, do cholery, jesteś? Odbiór.

– W Bear Creek. Odbiór.

– Zrozumiałem, dwieście dwadzieścia jeden. – W eter poniosło się rżenie. – Kiedy wracasz? Odbiór.

– Późno wieczorem albo jutro rano. Odbiór.

Kate wiedziała, że po powrocie spotkają ją docinki.

– Zrozumiałem. Odbiór.

– Pacemaker dwieście dwadzieścia jeden. Bez odbioru.

Podpłynąwszy do pomostu, miała cichą nadzieję, że Paul z uśmiechem na ustach zjawi się na ścieżce i do niej pomacha, tymczasem nie było po nim ani śladu.

Zabezpieczyła samolot i dręczona wspomnieniem niedawno przeżytych chwil grozy, ruszyła w stronę chaty. Atakowały ją obrazy ostatniej wizyty w domu Paula, choć ze wszech sił starała się je od siebie

odepchnąć. Strach ścisnął wnętrzości. Przez całą drogę lustrowała zarośla po obu stronach ścieżki, po części spodziewając się widoku wylaniającego się z chaszcy niedźwiedzia. Udało się jej nie biec, ale przyspieszyła kroku.

Zerwał się delikatny wiatr i zaszeleścił w podszyciu. Kate przystanęła i wpatrywała się w las. Czy czai się tam grizzly? Jeśli tak, to gdzie jest Paul? Uznawszy, że zachowuje się głupio, brnęła dalej ścieżką.

– Paul! – krzyknęła i czekała na odzew. Odpowiedział jej tylko szum wiatru i chrobotanie gałęzi.

Gdyby tak miała przy sobie Angel. Usłyszała szczekanie psów Paula i do nich zawołała. Weszła na polanę. Nita i Jackpot były uwiązane, Buck ujadł zza drzwi domu. Zwierzęta machały ogonami i nie jeżyły sierści. Kate poklepała każde z nich, czując się przy nich mniej samotna, a potem znów zaczęła nawoływać Paula. Wciąż nic. Zajrzała do szopy, później do ogrodu i wędzarni. Nigdzie go nie było. Może jest w domu. Weszła po schodkach i zapukała do drzwi. Cisza, oprócz skomlenia Bucka.

Otworzyła drzwi i została serdecznie powitana przez wielkiego psa.

– Cześć, piesku. – Delikatnie go poklepała i zawołała: – Paul? Jesteś tu? – Miała nadzieję, że zaraz wychynie z sypialni, ale tak się nie stało. Spojrzała na Bucka. – Gdzie on jest, piesku?

Uklęka przed psem, przyciągnęła go do siebie i głaskała. Był chudy, miał wystrzyżoną tu i ówdzie sierść, a na boku sporą powierzchnię niemal całkiem bez futra. Zważywszy na to, co przeszedł, i tak prezentował się zupełnie dobrze.

Kate weszła do środka i zamknęła drzwi. Może przygotuje posiłek, żeby Paul mógł posilić się po powrocie. Przejrzała zawartość półki z przetworami, aby zorientować się, co można wykorzystać.

Wystraszyło ją pukanie do drzwi. Kiedy otworzyła, ujrzała Patricka, który patrzył na nią wyraźnie zaskoczony.

– Do pioruna! Usłyszeliśmy samolot, a ponieważ nie wystartowałaś, stwierdziliśmy, że trzeba sprawdzić, czy wszystko w porządku. – Zajrzał w głąb domu. – Jest gdzieś Paul?

– Nie i bardzo żałuję. Poluje na niedźwiedzia.

Lily precyzyjnie się obok ojca.

– Poszedł za niedźwiedziem? Dzisiaj?

– Tak. Mniej więcej godzinę temu. Dlatego tu jestem. Martwiłam się. Załatwiłam wszystkie dostawy i wróciłam sprawdzić, co z nim. A tymczasem wcale go tu nie ma. – Szerzej otworzyła drzwi. – Wejście.

– Po co, do diaska, uganiania się za niedźwiedziem? – Patrick wszedł do środka.

– Kiedy pracował dzisiaj w szopie, z lasu przybliżał się grizzly i grasował w obejściu. Paul postanowił przeczekać, aż odejdzie, wtedy

jednak pojawiłam się ja, a grizzly natknął się na mnie na ścieżce i ruszył do ataku. Paul oddał strzał, ale tylko go zranił.

– To pewnie ten sam samiec, który okaleczył psy i wyrządził szkody u Klause.

– Wiem tylko, że jest duży i ma paskudny charakter.

– Szkoda, że Paul na mnie nie zaczekał.

Obawa Patricka jedynie podsyciła trwogę Kate.

Musiał zauważyć jej narastający niepokój, ponieważ dodał:

– Na pewno nic mu nie jest. To bystry mężczyzna i dobrze zna teren. – Patrick położył jej dłoń na ramieniu. – Ale kiedy poluje się na niedźwiedzia, nie zaszkodzi mieć pod ręką drugiego człowieka.

Podszedł do okna.

– Pójdę go poszukać, a przy okazji tego niedźwiedzia. – Kate dostrzegła ekscytację w oczach Patricka. – Zobaczę, czy uda mi się go dogonić. Komu w drogę, temu czas.

– Myślisz, że mama będzie miała coś przeciwko, jeśli zostaną tu z Kate? – zapytała Lily.

– Wątpię. Dam jej znać, że tu jesteś.

Patrick wyszedł na ganek i zszedł po schodkach.

Kate stanęła w progu.

– Co jest z tymi mężczyznami? Wiecznie gonią za przygodą.

Lily uniosła brwi.

– Mniej więcej tak jak ty – skwitowała z uśmiechem.

Kate zachichotała.

– W sumie to masz rację. – Patrzyła za oddalającym się Patrickiem. – No to co będziemy robić, czekając na ich powrót?

– Przydałoby się wypielić ogród. Paul spędza tak dużo czasu poza domem, że z tym nie nadąża.

– Czemu nie? Lubię pracę na świeżym powietrzu. Zastanawiałam się też nad ugotowaniem zupy. Mogłybyśmy dodać warzywa prosto z grządki.

Gdy Kate przyjrzała się z bliska ogrodowi, była zaskoczona, że jest tak bardzo zaniedbany. To zupełnie do Paula niepodobne. Może za często był nieobecny.

– Zdaje się, że więcej tu chwastów niż warzyw.

– Brakuje mu czasu – odparła Lily, biorąc sąsiada w obronę. – Ogród jest ważny. Zapewni mu zimą pożywienie – powiedziała to opiekuńczym tonem. – Moja rodzina pomaga mu, gdy tylko może, ale musimy zadbać też o własne gospodarstwo. Mama robi dla niego przetwory.

Kiedy Kate namawiała Paula na pracę objazdowego lekarza, nie zastanawiała się nawet, jakie będą konsekwencje tej decyzji w praktyce. Poczula, jak nabrzmiewa w niej poczucie winy, że okazała się taka

beźmyślna. Jakim cudem miałyby utrzymywać tu porządek, skoro lata po całej Alasce i dba o zdrowie mieszkańców?

– Przepraszam za tę dodatkową pracę.

– Nie, tak sobie tylko gderam. To, co robi, jest ważne. A ja chętnie mu pomagam. To wspaniały człowiek i dobry sąsiad.

Kate poczuła ukłucie zazdrości. Czy jest coś na rzeczy między Lily a Pauliem? Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ci dwoje do siebie pasują, ale ta dziewczyna była ładna, a wspólna praca zbliża.

Skrywając zazdrość, powiedziała:

– Z pewnością docenia wszystko, co dla niego robisz.

– Jesteśmy sąsiadami. A sąsiedzi sobie pomagają.

– Często go widzisz?

– Czasami przychodzi do nas na kolację. A od czasu do czasu idziemy razem na ryby.

W głosie Lily pobrzmiwała sztuczna swoboda. Czyli było coś między nimi. Kate nie miała wątpliwości.

– To dobrze. W takim miejscu jest ważne, by mieć przyjaciół, na których można liczyć – przyznała, żalując w duchu, że Lily nie mieszka już w Seattle.



Nie zważając na klujące świerkowe igły, Paul odsunął na bok wiszącą nisko gałąź. Grizzly wciąż poruszał się zbyt szybko jak na ranne zwierzę. Być może wściekłość dodawała mu sił. Zostawiał po sobie ślad w postaci krwi i stratowanych zarośli. Jeśli krwawienie nie ustanie, osłabnie i będzie zmuszony zwolnić.

Niedźwiedź posuwał się wzdłuż strumienia, a potem przeszedł na drugi brzeg. Paul brodził przez płyciznę, do butów wlewała mu się lodowata woda. Omiatał wzrokiem gęste zarośla po drugiej stronie wody, ale nie zatrzymywał się, miał wszystkie nerwy napięte jak postronki. Grizzly mógł czaić się wszędzie.

Dotarłszy na drugi brzeg, przystanął, żeby zbadać odcisnięte w mokrej ziemi głębokie ślady. Włosy na rękach stanęły mu dęba. Przyglądał się cieniom i nasłuchiwał, jednak słyszał jedynie świergot ptaków i bzyczenie owadów.

Przy chylącym się słońcu parł naprzód pomimo coraz większego zmęczenia. Tropił niedźwiedzia już od wielu godzin i potrzebował postoju, żeby posilić się i odpocząć. Żalował, że nie zabrał ze sobą Nity. Czuwałaby podczas jego snu.

Posuwał się dalej po śladach zwierzęcia, rozglądając się za bezpiecznym miejscem na odpoczynek. Będzie musiał spędzić tu noc.

Długie letnie dni nigdy mu nie przeszkadzały, a teraz cieszyły go szczególnie. Myśl o skrywającej jego ofiarę ciemności była mu nie w smak, zwłaszcza jeśli grizzly odwróciłby role i to Paul nieświadomie stałby się zdobyczą. Starał się wyprzeć tę wizję z głowy. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, a roztrząsanie ich nie prowadziłoby do niczego innego poza wzmożoną nerwowością.

Niedźwiedź trzymał się blisko strumienia. Paul szedł naprzód, od czasu do czasu oglądając się przez ramię, wydawało mu się bowiem, że coś go śledzi.

– Sam napędzasz sobie stracha – rzekł głośno, jak gdyby dźwięk własnego głosu mógł odpędzić lęk. Odzywały się mięśnie w nogach, bolały stopy. Potrzebował wytchnienia.

Wyszedł na otwartą przestrzeń, gdzie jedno na drugim leżały dwa powalone drzewa. Przystanął. Pnie tworzyły naturalną zaporę i zapewniały schronienie, w którym nie musiałby obawiać się ataku z tyłu.

Rozpalił ognisko, napelniał blaszany imbryk wodą ze strumienia i postawił go na węglach. Otworzył puszkę fasoli i umieścił ją obok dzbanka. Rozłożył welniany śpiwór, wyciągnął się na nim, oparty o jedno z przewróconych drzew, kołysany do snu kojącym pluskiem potoku. Tak pochłonął go pościg za niedźwiedziem, że zapomniał o jedzeniu. Skręcało go z głodu. Wyjął z plecaka suszone mięso łosia oraz chleb. Oderwał kawałek mięsa i żuł w ustach, nie tracąc czujności. Zastanawiał się, jak daleko jeszcze będzie musiał wędrować, żeby dogonić drapieżnika. Oczywiście zwierzę mogło zawrócić, zwabione zapachem jedzenia.

Powieki ciążyły mu coraz bardziej. Komary bzycały wokół głowy i kąsały ramiona przez welnianą koszulę. *Wredne insekty.*

Kawa zaczęła kipieć. Założył rękawice, zdjął imbryk z rozżarzonych węgli i nalał brązowy napar do blaszanego kubka. Wypił łyk, zakąsił kolejnym plasterem suszonego mięsa. Fasola będzie dobrze smakować. Zsunął ją z żaru, przestudził i jadł prosto z opakowania.

Opróżnił puszkę, poprawił pajdę chleba i jeszcze jednym kubkiem kawy. Gdy zaspokoił głód, znów zaczęły opadać mu powieki. Zmuszał się do czuwania. Dorzucił drewna do ogniska i wrócił na swoje miejsce przy powalonym pniu. Górne gałęzie olchy i brzozy kołysały się na wietrze. Skrzypiały topole. Wkrótce Paul zapadł w sen ze strzelbą w rękę.

Trzasnęła gałąź. Paul obudził się, przestraszony. Jak długo spał? Wciąż było jasno, mogło więc minąć najwyżej kilka minut. Oddychając bezgłośnie, nadstawił uszu, pewien, że coś porusza się w cieniu lasu. Podniósł strzelbę.

Z zarośli wyłonił się Patrick i tuż potem odskoczył w bok z podniesionymi do góry rękami.

– Ej, to tylko ja. Odłóż to draństwo. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Patrick! – Paul opuścił broń. – Co tutaj robisz?

– Uznałem, że człowiek nie powinien polować w pojedynkę na wkurzonego miśka. – Usiadł naprzeciwko Paula. – Już się bałem, że nigdy cię nie dogonię. A później doszedł mnie zapach kawy i wiedziałem, że jesteś blisko.

– Skąd wiedziałeś o niedźwiedziu?

– Kate powiadomiła mnie o tym, co się stało. – Kucnął przy ognisku i pochylił się nad imbrykiem, delektując się aromatem ciepłego napoju. – Mógłbym trochę kawy?

– Proszę bardzo. Kiedy ostatnio widziałem Kate, wyruszała do bazy Susitna.

– Ale wróciła. Powiedziała, że musi mieć pewność, że jesteś cały i zdrowy. Czeka na ciebie.

– Tak?

– Aha. – Patrick wydobyl z plecaka kubek. Napelnił go kawą i wstał, rozglądając się na wszystkie strony. – Ten niedźwiedź przebył szmat drogi.

– Tak, to prawda. – Paul nadal był myślami przy Kate. Nie do końca wiedział, co czuje na wieść, że ona czeka w chacie. Zdawał sobie sprawę, że jej uczucia wobec niego wciąż są żywe. Powinno przestać jej tak zależeć. Jemu także.

Patrick wstał i zsunął plecak z ramienia.

– Sassa zapakowała mi trochę jedzenia. Jesteś głodny?

– Nie, dziękuję.

– Na pewno? Mam trzy kanapki i trochę ciasteczek.

Paul się roześmiał.

– Chyba znajdzie się miejsce na ciasteczko.

Nagle Paul ujrzał nacierającą na niego z furią masę brązowego futra i ociekające śliną kły. Serce załomotało mu w gardle, błyskawicznie sięgnął po strzelbę. Nim zdążył oddać strzał, powietrze zadudniło. Grizzly upadł, ziemia pod nogami zadrżała. Leżał niespełna metr dalej. Paul patrzył na martwe zwierzę, stojąc na miękkich nogach. Cały dygocząc, zrobił krok w tył, ani na sekundę nie odrywając oczu od drapieznika. Odtwarzał sobie w myślach swój szalony bieg od szopy do domu, któremu towarzyszyło przerażenie, że nie zdąży. A gdyby przybiegł za późno? A gdyby niedźwiedź dopadł Kate? Wciąż czuł tamten strach, kiedy mierzył do drapieznika z broni, próbując uspokoić oddech i opanować drżenie ciała. Nie mógł chybić. Życie Kate zależało od jego skuteczności, podobnie jak kiedyś życie Susan. Tym razem się udało, ale zawalił sprawę w wypadku żony i ich syna. Po raz nie wiadomo już który pojawiło się pytanie: „dlaczego?”.

– Dobrze, że miałem broń w ręku – rzekł Patrick i zachichotał. –

Niewiele brakowało.

Paul przeniósł wzrok na sąsiada.

– Gdyby cię tu nie było...

Patrick zbliżył się do Paula i poklepał go po plecach.

– No tak... ale byłem. Pewnie Bóg tak to wszystko obmyślił.

– Dziękuję. Ocaliłeś mi życie.

– Polecam się na przyszłość – odparł Patrick, szczerząc zęby w uśmiechu.

Wciąż jeszcze rozdygotany Paul wrócił do ogniska i usiadł. Spojrzał na przyjaciela.

– Nigdy aż tak nie otarłem się o śmierć.

– Ma to swoje dobre strony. Człowiek zaczyna patrzeć na wszystko z szerszej perspektywy. – Patrick przypatrywał się niedźwiedziowi. – Wygląda na młodego samca, w dobrej kondycji. Na takich „młokosów” trzeba szczególnie uważać. – Wyjął zza pasa nóż. – Biorę się za zdejmowanie skóry. Mnóstwo dobrego mięsa, a i będziesz miał ładny dywanik.

– Wszystko jest twoje. To ty go zastrzeliliś.

– E tam. Zresztą nie przepadam za niedźwiedzim mięsem, a skóry już mam, więcej mi nie potrzeba. – Patrick uniósł brwi. – Bierzmy się do roboty. Ktoś czeka na ciebie w chacie.

– A, tak... Kate. Nie powinna była tego robić.

– Kocha cię, czego się spodziewałeś?

– Nie jesteście już razem.

– Miłości nie da się włączyć i wyłączyć na życzenie.

– Wiem, ale to niczego nie zmienia.

Paul wstał, zaś Patrick pokręcił głową.

– I tu się mylisz. Odmawiając sobie miłości, nie wskrzesisz żony ani dziecka.

Paul o tym wiedział.

– Nie zamierzam ryzykować utraty kolejnej osoby.

– Uważasz, że samotne życie jest lepsze niż kochanie i podejmowanie ryzyka? – Świdrował go wzrokiem. – Paul, nie jesteś w środku martwy. Było ci dane dzielić z kimś życie.

Paul utkwił spojrzenie w górze brązowego futra. Patrick nie ma racji. Jest w środku martwy, tak martwy jak ten grizzly. Nie jest już w stanie nic nikomu dać, a już z pewnością takiej osobie jak Kate.

Był późny ranek, a Paul i Patrick nadal się nie pojawili. Kate siedziała na najwyższym stopniu ganku z łokciami wspartymi o uda. Położyła brodę na dłoniach i obserwowała ścieżkę. *Powinni już wrócić.*

Jasper zaskrzeczał z pobliskiego drzewa. Próbowwała nakłonić ptaka, żeby sfrunął na swoją żerdkę, ale nie zdołała go przekupić nawet kawaleczkami chleba. Nie chciał jej zaufać. Trzymał się na bezpieczną odległość – tak jak Paul.

– No, chodź, Jasper. Nie zrobię ci krzywdy.

Zagwizdała, lecz ptak trwał przy swoim postanowieniu. Westchnąwszy z rezygnacją, rozejrzała się za jakimś zajęciem dla zabicia czasu. Prawie skończyła pielic ogródek, posprzątała dom i upiekła chleb. Nic więcej nie przychodziło jej do głowy.

Wychodząc z założenia, że ranny niedźwiedź nie mógł odejść zbyt daleko, spodziewała się powrotu Paula wieczorem. Buck przykuśtykał z głębi domu i położył się obok niej. Poglaskała go po głowie.

– Jak się miewasz?

Zaskomlał i oparł się o jej nogę. On też się martwił. A jeśli stało się coś okropnego? A jeśli Paul i Patrick nie wrócą? A jeśli... Odepchnęła od siebie te myśli. Zamartwianie się nic nie da. Jednak bez względu na to, jak bardzo odwoływała się do rozsądku, wciąż musiały zwalczać w sobie impuls wyruszenia na poszukiwania. Pomysł był głupi. Nie byłoby z niej żadnego pożytku, a niewykluczone, że by się zgubiła. Jeżeli nie wrócą przed wieczorem, zorganizuje ekipę poszukiwawczą. Zastanawiała się, czy Sassa i Lily też się trapią. Nie zjawily się od poprzedniego wieczora.

Kate czuła w domu obecność Lily. Ze słów dziewczyny wynikało, że stała się częścią życia Paula. Czy rzeczywiście? Nie wydawała się typem kobiety, którą mógłby być zainteresowany. Kate zżerała zazdrość.

Patrząc na Nitę i Jackpota, ciężko westchnęła. Gdyby tak wszystko pozostało po starym...

Nagle oba psy poderwały się i utkwily wzrok w ścieżce. Nita popiskiwała. Buck też wstał z miejsca, merdając ogonem. Kate przeszedł dreszcz oczekiwania. To na pewno oni. Zeszła na najniższy stopień, nie spuszczaając z oka ścieżki.

Chwilę później dostrzegła Paula. Ciągnął nosze z brązową skórą okrywającą stertę czegoś, co – jak się domyślała – było niedźwiedzim mięsem. Obok dreptał Patrick. Uczucie ulgi spłynęło na nią niczym

chłodna bryza w upalny letni dzień.

– Paul – rzekła głosem niewiele donośniejszym od szeptu. Odchrząknąwszy i przywoławszy na twarz nonszalancki – miała nadzieję – uśmiech, dodała nieco głośniejsz: – Cześć. Najwyższa pora.

Paul skinął jej głową.

– Patrick powiedział mi, że tu jesteś. Dziwię się, że tak długo czekałaś. Entuzjazm kobiety przygasł. Paul jej tutaj nie chciał.

Odstawił nosze pod szopę. Patrick usiadł na pierniku i zamaszystym gestem zdjął kapelusz. Rękawem koszuli otarł pot z czoła.

– Robię się za stary na takie hece.

Kate zbliżyła się do noszy, ciekawa, jakie jest w dotyku niedźwiedzie futro.

– Dobrze, że wróciłeś. Zaczynałam się martwić. – Pragnęła go objąć, on jednak nie zdradzał żadnych oznak, że ucieszyłoby go takie powitanie.

Stał przed nią ze zwieszonymi ramionami.

– Jesteśmy cali i zdrowi. Całe szczęście, że Patrick za mną poszedł. – Zerknął na przyjaciela.

Patrick wcisnął na głowę kapelusz.

– Ten niedźwiedź dał nam w kość – rzekł z uśmiechem. – Ale ostatnie słowo należało do nas.

Paul podniósł skórę, a nozdrza Kate zaatakował odór ciepłego mięsa i krwi. Mężczyzna ściągnął łup z noszy.

– To mój pierwszy dywan z niedźwiedzia. Powieszę go sobie na ścianie – oznajmił z wyczerpaniem.

Patrick wstał.

– Pójdę do domu. Sassa złoi mi skórę, jeśli będę się ociągał. Jutro pomogę ci z tym mięsem.

– Dziękuję. Do zobaczenia.

Patrick oddalił się ku domowi. Tym razem nie stawiał tak zamaszystych kroków jak zazwyczaj.

– Głodny? – zapytała Kate.

– Jak wilk.

– Ugotowałam zupę i upiekłam chleb.

– Świetnie. Ale muszę najpierw naciągnąć skórę. Zaraz wracam.

Paul zniknął we wnętrzu szopy.

– Pomóc ci?

– Nie. Nie zajmie mi to dużo czasu.

Kate objęła swój posterunek na schodkach ganku. Nie chciał spędzać z nią czasu. Wiedziała, że powinna była wrócić do Anchorage. A mimo to została.

Gdy wreszcie Paul wychynął z szopy, jego wzrok natychmiast spoczął

na psach.

– Lepiej schowam też mięso.

– Pomogę ci. – Kate zrobiła krok w stronę noszy, choć myśl o dotykaniu zakrwawionych szczątków napawała ją obrzydzeniem.

– Sam się tym zajmę – odparł znużonym głosem.

– W porządku. Przypilnuję zupy i nastawię świeżą kawę.

Kate wydawało się, że zanim Paul zjawił się w drzwiach, upłynęły całe wieki. Uchylił je tylko na tyle, by wsadzić do środka głowę.

– Mogłabyś się odwrócić? Musiałem umyć się na dworze i zostawiłem tam prawie wszystkie ubrania.

Kate odwróciła się do niego plecami, czując, jak palą ją policzki. Usłyszała zamykanie drzwi oraz pospieszne kroki. Buck, który leżał dotąd obok niej, wstał i pokuśtykał do sypialni.

Kilka minut później Paul wyłonił się z pokoju. Nie obdarzywszy Kate nawet jednym spojrzeniem, delikatnie potarł psa.

– Niedźwiedzia mamy z głowy.

Podniósł wzrok.

– Zupa pachnie apetycznie. Mam nadzieję, że już gotowa. Umieram z głodu.



Kate z ciężkim sercem wylądowała na jeziorze Spenard. Cieszyła się, że Paul bezpiecznie wrócił do domu, ale nie ziszcilo jej marzenie o odnowieniu wzajemnych uczuć. Zjedli wspólnie posiłek i prowadzili miałą rozmowę. Paul opowiedział jej o polowaniu na niedźwiedzia oraz błyskawicznej reakcji Patricka, która uratowała mu życie. Poza tym rozmowa się nie kleiła, była sztywne. Omijali wszelkie drażliwe kwestie.

Kate potrzebowała pogawędzić trochę z Muriel przy filiżance kawy. Zastanawiała się, czyby tak po prostu do niej nie wpaść. Dziecko miało przyjść na świat lada chwila, a podczas ich ostatniego spotkania Muriel narzekała na znużenie i dyskomfort. Kate doszła do wniosku, że przyjaciółka ucieszy się z towarzystwa.

W drodze do kantorka dostrzegła Alana stojącego przy otwartej klapie silnika. Spojrzał na nią, ale nie pomachał nawet ręką. Sprawiał wrażenie dość sympatycznego człowieka, jednak potrafił komunikować się wyłącznie ze swoim samolotem, nie z ludźmi.

Uśmiechnęła się i pozdrowiła go gestem ręki.

– Co słychać, Alanie?

– W porządku – odparł i powrócił do przerwanej pracy. Odpowiedź zwięzła jak zwykle.

Kate ubolewała, że relacje z innymi ludźmi są dla Alana wyzwaniem.

Był małowówny i zazwyczaj trzymał się na uboczu. Jediną osobą, która potrafiła przebić się przez jego tarczę ochronną, był Mike. No ale Mike miał coś w sobie. Prawie wszyscy go lubili.

W kantorze zastała tylko Jacka. Ślęczał przy biurku nad papierami. Podniósł wzrok.

– No wreszcie.

– Wróciłam najszybciej jak mogłam.

– Jasne – burknął i powrócił do swoich zajęć.

Od czasu przejęcia lotniska stał się jeszcze bardziej gburowaty. Nie lubił tkwić na ziemi. Tymczasem biurowe obowiązki pozwalały mu tylko na kilka krótkich kursów.

– Nikogo nie ma? Tylko Alan?

– Tak. Ma kłopoty z samolotem. – Przerwał pracę i popatrzył na Kate.

– Przydałabyś się dzisiaj. Miałem kurs do Kenai. Kosztujesz mnie kupę forsy.

Zacisnęła zęby, powstrzymując się przed ripostą. Kłótnie z Jackiem tylko uprzykrzały jej życie. Z największym spokojem, na jaki potrafiła się zdobyć, odparła:

– Czekalam, żeby się upewnić, czy u Paula wszystko w porządku.

Wrócił dopiero dzisiaj. Gdyby potrzebował...

– Tak, tak, tak. – Jack pokręcił głową. – Gadaj sobie, co chcesz. Oboje wiemy, że wciąż za nim tęsknisz. Nie kumasz? On nie jest tobą zainteresowany.

Kate pohamowała wybuch furii.

– Ruszył w pościg za groźnym niedźwiedziem. Który, pozwolę sobie dodać, o mało mnie wczoraj nie rozszarpał. Czekalam na wszelki wypadek, gdyby na przykład trzeba było przewieźć dokądś Paula albo jego sąsiada Patricka.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Co to za historia z niedźwiedziem?

– Rzucił się na mnie, gdy dostarczałam pocztę. Paul do niego strzelił, ale chybił i tylko go ranił. Musiał pójść go odszukać i dobić.

– Jakże honorowo – parsknęła szyderczo Jack.

Kate postanowiła zignorować tę uwagę. Podeszła do grafiku na ścianie i odnotowała datę oraz godzinę przylotu.

– Szykują się jakieś loty?

– Nie. Straciłaś poprzedni, a od tamtej pory nic nowego się nie pojawiło.

– W takim razie idę do domu. Gdyby coś wyskoczyło, jestem wolna.

– Jeśli Alan uruchomi swój samolot, to będzie następny w kolejce.

– Jasne. Rozumiem.

Gdy zbliżała się do drzwi, zadzwonił telefon.

- Halo? – zgłosił się Jack. Słuchał, a potem odłożył słuchawkę.
- Dzwoniła pani Towns. Powiedziała, że jej córka jest w szpitalu.
- W szpitalu? Rodzi?
- Tak przypuszczam.
- Muszę jechać.

Kate wybiegła do samochodu. Wsiadła za kierownicę, rozgrzała silnik i ruszyła w stronę Trzeciej Ulicy. Obiecała Helen i Muriel, że będzie obecna przy narodzinach. Chciała być wtedy przy nich.

Rozpryskując wodę w kałużach, Kate podjechała pod czterokondygnacyjny Szpital Kolejowy. Zaparkowała i ostrożnie stąpała po zabłoconym podjeździe. Dotarła do drewnianego chodnika przecinającego ukwiecony trawnik i przyspieszyła kroku. Starła się uciszyć w sobie obawy. Podczas porodu mogą wystąpić komplikacje.

Wbiegła po dwa stopnie na raz, zamasyżycie otworzyła drzwi i weszła do niewielkiego holu. Przystanęła przy recepcji, żeby zapytać o drogę, i skierowała kroki do poczekalni.

Na miejscu zastała Helen. Wydawała się spokojna, dziergała na drutach. Podniosła wzrok.

- O, Kate! Bardzo się cieszę, że przysłaś.

Albert i Terrence przestali na moment nerwowo chodzić tam i z powrotem.

- Cześć – powiedział Albert.

Terrence skinął głową i próbował się uśmiechnąć. Wkrótce znów zaczął krążyć po korytarzu.

- U Muriel wszystko w porządku? – zapytała Kate.

- Lekarz twierdzi, że tak. – Helen położyła rękę na krześle obok. – Chodź. Usiądź. Trochę to potrwa.

- Jak myślisz, jak długo jeszcze?

- Zbyt długo – rzekł Albert i zachichotał. – Dzieci zawsze się ociągają.

- Kąciki ust Helen uniosły się w uśmiechu.

- Dzieci przychodzą na świat we właściwym czasie. – Spokojne niebieskie oczy zatrzymały się na twarzy Kate. – I nie martw się o Angel. Sąsiad zaoferował się do niej zajrzeć.

- Kate kiwnęła głową i usiadła. Nawet nie pomyślała o psie.

Terrence przecesał palcami jasnobrązowe włosy i poprawił druciane okulary.

- Chciałbym coś słyszeć. – Zerknął na drzwi sali. – Cokolwiek.

Kate udzieliło się panujące w poczekalni napięcie. Skrzyżowała na piersi ramiona i głośno westchnęła. Następnie przeciągnęła się i rozluźniła łopatki. Po Helen nie było widać żadnego zdenerwowania. Kate żalowała, że nie potrafi robić na drutach. Może to ukoiliby nerwy.

- Muriel dała Terrence'owi syna po ciągnących się w nieskończoność

pięciu godzinach. Gdy pielęgniarka wreszcie pozwoliła rodzinie wejść do sali, Kate usunęła się na bok. Najpierw Terrence powitał swoje dziecko. Po nim weszli Helen z Albertem, który obejrzał się na Kate.

– Wchodzisz?

– Zaczekam. To czas dla rodziny.

Oparła się o ścianę korytarza, przyglądając się nijakiej zielonej farbie. A więc Muriel została matką. Cudowna nowina. Wspaniała. Dlaczego zatem Kate popadła w melancholię? Cieszyło ją szczęście Muriel i Terrence'a, ale myśl o życiu bez Paula – i bez rodziny, którą mogliby razem założyć – boleśnie wyostrzyła te różnice. Pragnęła znaleźć się na miejscu przyjaciółki. A jeśli to nigdy nie nastąpi?

Z wysiłkiem próbowała otrząsnąć się z tych ponurych myśli. Tkwienie przy nich na nic się nie zda.

Otworzyły się drzwi i Helen wystawiła głowę. Jej twarz emanowała radością.

– Jest śliczny! – Dała Kate znak, by weszła do środka. – Muriel chce cię zobaczyć.

Przywoławszy stosowny, jak sądziła, uśmiech, Kate weszła do sali, w której stało kilka łóżek. Bawelniane zasłony zapewniały prywatność innym świeżo upieczonym matkom. Wsparta na poduszkach Muriel odpoczywała na łóżku przy oknie. Terrence pochylał się nad nią, wpatrzony w maleńkiego synka. Młoda mama trzymała w ramionach małego szkraba w powijakach. Podniosła wzrok na Kate.

– Nie mogę uwierzyć, że już tu z nami jest.

Jasne włosy Muriel przykleiły się do głowy, jej twarz pokrywały czerwone plamy, ale radość w oczach sprawiała, że wyglądała pięknie. Kate także zapragnęła dziecka.

– Jak się czujesz? – wykrztusiła, nie ujawniając skrywanych głęboko uczuć.

– Zmęczona. Ale nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Lekarz powiedział, że dziecko jest wzorowe. – Przeniosła wzrok na niemowlę. – Chciałabym ci przedstawić Geralda Kennetha Stevensa.

Kate wpatrywała się w maleństwo. Miało zamknięte oczy, przyciskało do ust pulchną piąstkę.

– Słodki.

Shczęście Muriel spłynęło na nią jak wielka fala, skrywając wewnętrzną pustkę.

– Chciałabyś go potrzymać?

– Mogę?

Muriel delikatnie włożyła jej Geralda w ramiona. Kate tuliła oseska, czując się trochę niezdarnie. Przycisnęła policzek do buzi maleństwa i delektowała się zapachem nowego życia. Ścisnęło się jej serce. Patrząc na

świeżo upieczoną mamę, powiedziała:

– Niesłychane. Jesteś teraz matką!

– Sama nie mogę w to uwierzyć. – Muriel spojrzała na męża i wzięła go za rękę. – Zostaliśmy rodzicami.

– Było strasznie? Mam na myśli poród.

– Na początku tak, ale potem coś mi dali i niewiele pamiętam.

– Mogę potrzymać wnuka? – poprosiła Helen, zbliżając się do Kate.

Podala jej dziecko, a Helen ucałowała je w czoło.

– Och, ależ z ciebie przystojniak – rzekła i przeniosła się na krzesło, tuląc Geralda.

– Jest wspaniały – pochwaliła Kate.

Muriel przyglądała się synkowi z twarzą promieniejącą miłością.

Kate nagle zdała sobie sprawę z tego, że praca pilotki to nie wszystko. Pragnęła więcej. Pogrążyła się w samotności i tęsknocie.

– Pójdę już. Mam lot.

Potrzebowała wyjść na świeże powietrze, z dala od tej rodzinnej idylli, żeby nie zdradzić się ze swoim smutkiem i bólem.

– Gratulacje dla Terrence'a, babci i dziadka. – Pochyliła się i cmoknęła Muriel w czoło. – Ogromnie się cieszę. – Słowa były szczere. Żałowała jedynie, że nie może dzielić z przyjaciółką doświadczenia macierzyństwa i bycia czyjąś żoną.

Łykając lzy, udała się na lotnisko. Było późno, ale może Jack będzie miał dla niej jakieś zlecenie. Praca poprawi jej samopoczucie. Lot zawsze pozwalał się wyciszyć.

Weszła do kantorka. Jack nawet nie drgnął.

– Cześć. Są jakieś kursy?

– Co ty tu robisz?

– Muriel urodziła dziecko, czuje się dobrze, pomyślałam więc, że sprawdzę, czy nie masz dla mnie jakiegoś lotu. Jeszcze długo będzie jasno.

– Przeszedł ci koło nosa. Wziął go Alan. – Jack przekazał tę wiadomość niemal z triumfem.

Kate biła się z myślami, czy zostać, czy nie. Nie lubiła towarzystwa Jacka, jednak powrót do pustego pokoju wydał się jeszcze gorszym rozwiązaniem.

– Trochę się tu pokręcę i poczekam. Może coś się nawinie. A zresztą nie zaszkodzi posprzątać samolot.

– Rób, co chcesz.

Kate podeszła do swojej bellanki z wiaderkiem w ręku. Wsiadła i zabrała się za porządki. Pozbierała śmieci, które wysypały się z worków pocztowych, oraz rozmaite rzeczy pozostawione przez pasażerów. Potem wymiotła brud.

Jej uwagę przykuł warkot samolotu. Wyrzwała i dostrzegła maszynę Mike'a, fairchilda, podchodzącą właśnie do lądowania. Koła dotknęły ziemi, samolot odbił się od podłoża, skręcił na trawę i się zatrzymał.

Dokończyła zamiatanie i stanęła na stopniu. Mike wysiadł i do niej pomachał. Ruszył w jej stronę spokojnym, swobodnym krokiem. Na sam jego widok Kate poprawił się humor.

– Jak leci? – zapytał, żartobliwie szturchając ją w ramię. Spojrzał uważniej. – Coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku. Muriel urodziła dziecko. – Silła się na wesoły ton.

– Serio? – Przeczesał palcami niesforną czuprynę. – I co się jej urodziło?

– Chłopak. Dali mu na imię Gerald. Jest uroczy.

– No proszę. – Uśmiechnął się szeroko. – Muriel została mamą.

Z kantorka wyszedł Jack i krzyknął:

– Hej, Mike! Mam dla ciebie kurs.

Mike pozdrowił go uniesioną ręką, po czym zwrócił się do Kate.

– Czekasz?

– Uhm. – Zaciśnęła zęby. Ten lot powinien przypaść jej.

Poszli razem do budynku. Jack stał przed drzwiami.

– Co się dzieje? – zapytał Mike.

– Właśnie zadzwonili z prośbą o ratunek. Dwóch wspinaczy wpadło w tarapaty i ktoś musi ich zabrać.

– Nie ma sprawy – odparł Mike. – Ale Kate jest przede mną.

– Tu potrzeba mężczyzny.

– Dlaczego? Ktoś jest ciężko ranny?

– Tak.

– Jak ciężko?

– Nie wiem. Zdaje się, że poważnie.

– A zdołał dotrzeć na miejsce zbiórki?

– Chyba tak. – Jack odwrócił wzrok, ale tylko na chwilę.

– Skoro doczłapał do punktu zbiórki, przypuszczam, że nie jest w tak opłakany stan, żeby nie mogła polecieć po niego kobieta. Nie zanosi się, że trzeba będzie go nieść. – Mike skrzyżował ramiona na piersi. – Jestem wykończony. Wolałbym już nigdzie nie lecieć.

– Jestem gotowa – zadeklarowała Kate.

– Niech będzie. – Jack cisnął mapą w Kate. – Tu są współrzędne.

Musisz podlecieć wystarczająco blisko, by ich stamtąd zgarnąć.

Przełknęła gniew i zdołała wykrztusić:

– Komu w drogę, temu czas.

Mike szedł obok Kate.

– Ej, miałabyś coś przeciwko, gdybym się z tobą zabrał?

– Podobno masz na dzisiaj dość.

– Tak, ale lot zapowiada się przyjemnie, a poza tym nie pogardziłbym spędzeniem z tobą trochę czasu. – Wyszczrzył zęby i obejrzał się przez ramię na kantorek.

– Dobra. Przyda mi się towarzystwo.

Kate zmierzała bellanką w kierunku góry McKinley, natomiast Mike w tym czasie studiował mapę.

– Turyści są po stronie południowej, dość nisko. Nie powinno być trudności.

Mike i Kate jak zwykle wdali się we wzajemne przekomarzania. Jak w dawnych czasach. Kate zrobiło się lżej na sercu. Nie miała pojęcia, co ją napadło w szpitalu. Może dało o sobie znać zmęczenie. W życiu liczy się coś więcej niż bycie matką. Dzieci to nie wszystko.

Na górze McKinley nie było łatwych lądowisk, ale turyści czekali w jednym z bardziej dostępnych miejsc. Kate posadziła samolot bez przeszkód. Jeden z mężczyzn trzymał rękę na temblaku, jednak nie miał problemów z poruszaniem się i odmówił pomocy we wsiadaniu na pokład.

Zabrawszy pasażerów, Kate wzięła kurs na Anchorage. Po kilku milach silnik zaczął się dławić, samolot stracił moc i zanurkował. Mike pomajstrował przy mieszance i maszyna wyrównała lot, lecz po chwili znów zaczęła się dławić. Kate sprawdziła iskrownik i gaźnik.

– Lepiej posadźmy tego ptaszka – zasugerował Mike.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Może wystarczy zamienić zbiorniki.

– Ja to zrobię. I przydałoby się wyregulować ssanie.

– Co się dzieje? – krzyknął niemalże histerycznie jeden z mężczyzn.

– Nie ma powodu do obaw. Wszystko w porządku – zawołała przez ramię Kate.

Skupiła uwagę na widocznym w oddali lotnisku. Rękaw trzepotał leniwie. *Już prawie. Jeszcze trochę. Jeszcze tylko kawaleczek.* Stłumiła w sobie naturalny w takiej sytuacji odruch i nie ścisnęła kurczowo sterów. Gdyby to zrobiła, przestałaby czuć maszynę.

– Ty skoncentruj się na lądowaniu, a ja zajmę się mieszanką – rzekł Mike, gdy strzelił gaźnik.

– Co to było? – zaniepokoił się jeden z pasażerów.

– Reguluję silnik – wyjaśnił Mike. Zerknął na Kate, a następnie skupił się na sterownicy.

Dziękując w duchu, że Mike postanowił towarzyszyć jej w tej podróży, Kate obniżyła lot tuż nad drzewami, zbliżając się do lotniska. Zostawiwszy drzewa w tyle, nieco zbyt gwałtownie sprowadziła samolot na ziemię. Podskoczył kilka razy, ale zapanowała nad nim i w końcu go zatrzymała.

– Myślałem, że już po nas – powiedział któryś ze wspinaczy.

Kate niemal puściła tę uwagę mimo uszu. Jej myśli krążyły wokół tego, co się stało. Gdy mężczyźni wypakowali sprzęt, stanęła przy drzwiach i zdobyła się na uśmiech.

Mike pomógł zataszczyć ekwipunek do biura, a potem oboje wrócili na płytę lotniska.

– Rzućmy okiem na samolot – zaproponował. – Trzeba skontrolować mieszankę. Może trafiła się felerna partia. Nie chcę, żeby inni piloci też mieli problemy. – Przyjacielsko poklepał Kate po plecach. – A propos, dobrze się spisałaś z lądowaniem.

– Dziękuję. – Zatrzymała się przy samolocie. – Cieszę się, że ze mną byłeś i mi pomogłeś.

– Tworzymy zgrany zespół. – Wyraz twarzy Mike'a złagodniał.

Kate poczuła nieoczekiwany przypływ zadowolenia.

– Tak, to prawda.

– Co powiesz na kolację... u mnie. – Mężczyzna zerknął na zegarek. – Yyy, a raczej późną przekąskę. Kolacja była kilka godzin temu. – Uśmiechnął się.

– Umieram z głodu. Co proponujesz?

– Sardynki, krakersy, kilka jajek... – Wzruszył ramionami. – Będę musiał sprawdzić. Dawno nie robiłem zakupów.

– Sama nie wiem. Chciałabym zobaczyć, co z samolotem.

Mike popatrzył na ciemniejące niebo.

– Późno już, a ja jestem skonany. Możemy zajrzeć rano.

Kate także ogarnęło znużenie.

– Dobra. Ja też padam na twarz.

Kate spodobała się perspektywa spędzenia czasu w towarzystwie Mike'a. Potrafił ją rozbawić, jej zaś przydałaby się odrobina rozrywki. Ostatnio życie jej nie rozpieszczało. A Mike doskonale nadawał się do tego, by pomóc rozładować stres.

Kate wlała niewielką ilość paliwa do szklanki i podsunęła ją do światła. Przyjrzała się cieczy. Woda. I to znacznie więcej, niż mogłoby się zebrać w wyniku skraplania.

– I jak tam, Kate, doszukałaś się czegoś? – zapytał Mike, podchodząc bliżej.

Pokazała mu szklankę.

– W paliwie jest woda. To cud, że utrzymaliśmy się w powietrzu.

Mężczyzna skontrolował bak.

– Wygląda na nieuszkodzony. Czyżbyś zatankowała trefne paliwo?

– Najprawdopodobniej. – Wzrok Kate spoczął na twarzy towarzysza. – Myślisz, że Jack by coś kombinował...

– On? Nie. Nigdy w życiu. Jest gburowaty, nadęty i za tobą nie przepada. – Mike błysnął uśmiechem, lecz zaraz potem spowaźniał. – Ale nikogo by umyślnie nie skrzywdził, a już na pewno nie pilota. I choć jest klótlivy jak przekupka na bazarze, podziwia dobrych pilotów, nawet ciebie.

– Mnie? Codziennie, gdy stąd wychodzę, daje mi odczuć, że wolałby, żebym już nie wracała.

Mike zachichotał.

– Chciałby, żebyś tak sobie myślała. – Podrapał się w jednodniowy zarost. – Jeśli ktoś zrobił to celowo, to pewnie jakieś dzieciaki dla zgrywy. Lepiej sprawdźmy cały zapas paliwa i trzymajmy je pod kluczem. Pogadam o tym z Jackiem.

– Nie. Sama mu powiem. To mój samolot i mój lot. – Kate bardzo chciała, żeby znalazło się wytłumaczenie. Do tego czasu nie zazna spokoju. – Skontroluję zapasy paliwa. Najpierw jednak opróżnię i wyczyszczę zbiorniki. Muszę latać.

– Okej. Rzucę okiem na swoje paliwo i powiem chłopakom, by sprawdzili u siebie. Do zobaczenia. – Mike zrobił krok w stronę kantorka, ale zatrzymał się i spojrzał na Kate. – A swoją drogą fajnie było wczoraj.

– Mnie też się podobało.

– Może znowu się spotkamy?

Zawahała się. Jej serce wciąż należało do Paula, ona zaś nie czuła się gotowa na zerwanie tych więzów. Natomiast przyjaźń z Mikiem, wspólne spędzanie czasu to coś, czego naprawdę pragnęła. Miała nadzieję, że Mike się tym zadowoli.

– Jasne – odparła w końcu. – Ale następnym razem ja gotuję. Może nie jestem mistrzynią kuchni, ale stać mnie na coś więcej niż krakersy z sardynkami. – Roześmiała się.

– Umowa stoi.

Odszedł wielkimi krokami.

Kate patrzyła, jak Mike się oddala. Poprzedniego wieczoru sypał jak z rękawa anegdotami i dowcipami, których nie sposób zapamiętać. I udało mu się wygrać z nią kilka partyjek remika. Dobrze się bawili, to prawda, ona jednak marzyła, aby zamiast niego był tam Paul. *Muszę przestać o nim myśleć. Nie ma go już w moim życiu*, powtarzała sobie w duchu, zirytowana na samą siebie.

Kate wiedziała, że jeśli chce cieszyć się tym, co ma, powinna zaakceptować rzeczy takimi, jakie są. Przecież z Mike'a żaden fajtlapa. Przystojny, dowcipny i za nią szaleje.

Przez kilka kolejnych tygodni spędzali ze sobą sporo czasu. I choć myśl o Paulu cały czas tkwiła gdzieś w tyle głowy, Kate lubiła towarzystwo swojego kolegi pilota i przyłapała się na tym, że coraz częściej o nim myślała.

Mieli zaplanowany lot do Fairbanks, gdzie Mike miał odebrać samolot i wrócić nim do Anchorage. Kiedy zjawił się na lotnisku, kończyła inspekcję bellanki.

– Cześć – rzucił na powitanie. – Trochę późno jak na początek pracy.

– Tak, farmer miał kłopoty z przetransportowaniem stada. Zepsuł mu się wóz czy coś tam. Będę więc gonić za słońcem przez całą drogę na północ.

Ładunek był nietypowy, tyle że piloci na Alasce przewozili wszelkie możliwe towary. Tego dnia Kate miała dostarczyć koryto wraz z prosiakami. Jak tylko zobaczyła „przesyłkę”, od razu parsknęła śmiechem. Życie pilota nigdy nie jest nudne. Miała nadzieję, że te małe stworzonka dobrze zniosą podróż.

Mike pomógł Kate załadować koryto. Prosiaczki biegały tam i z powrotem, piszcząc wniebogłosy.

– Zanim dotrzemy do Fairbanks, w samolocie będzie niemiłosiernie śmierdzieć. – Poprawił czapkę na głowie. – Ale są urocze.

– I hałaśliwe.

Mike kręcił korbą samolotu, a Kate zajęła swoje miejsce za sterami i sprawdziła wszystkie przyrządy.

– Gotowe – zawołał z zewnątrz Mike.

Gdy zapaliła silnik, prosięta zakwiczały ze strachu. Spojrzała na nie w nadziei, że się uciszą. Już sama myśl o słuchaniu tego jazgotu przez cały lot przyprawiła ją o ból głowy.

– Oby tylko się uspokoiły – powiedział Mike, siadając obok.

– No właśnie. – Obejrzała się na żywy ładunek. Jej suczka z wywieszonym jęzorem sterczała nad korytem i radośnie merdała ogonem. – Angel, zostaw je w spokoju – zakomenderowała Kate. – Nie mogę dopuścić, żebyś pożarła przesyłkę. – Roześmiała się, ale pilnowała psa, póki nie zwinął się na podłodze obok koryta z prosiętami.

Kiedy samolot się rozpędzał, a potem oderwał od ziemi, zwierzęta podniosły straszliwe larum.

– Znosi się na długą podróż – rzekł Mike, głębiej zapadając się w fotelu.

Prosięta w końcu przywykły do nowej sytuacji i ucichły. Wkrótce jednak odór stał się bardziej dokuczliwy niż hałas. Kate doszła do wniosku, że jednak wolałaby tamten nieznośny harmider.

– Podobno trafiłaś na parę kanistrów z zaprawianym paliwem.

– Tak. – Pokręciła głową. – Przejrzałam cały zapas paliwa. Zamierzam porozmawiać z dostawcą, jak tylko wrócimy. Jack obiecał, że to zrobi, ale myślę, że nie zawadzi dodatkowo go obsztorcować.

– Jasne. Dziwne, że się bardziej nie pilnują. Miarka się przebrała. Szukamy nowego dostawcy. Jack nie ma zamiaru tolerować takiego niedbalstwa. – Mike skrzyżował ramiona na piersi i odchylił się na oparcie fotela. – Dzisiaj leci się znacznie lepiej.

Ledwo zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy samolot dostał czkawki. Kate posłała towarzyszowi wymowne spojrzenie.

– To nic takiego.

Popatrzyła na las w dole i zastanawiała się, czy w razie konieczności będzie tam gdzie wylądować. *Za bardzo się martwisz*, powtarzała sobie, a wtedy silnik znów zgasł, po czym zaczął się dławić. Oraz tracić moc. Mike nie siedział już beztrudnie na fotelu.

– Nie jest dobrze – stwierdził. – Wyregulował mieszankę, ale samolot nadal się krztusił. – Do cholery! Co tym razem? – Zerknął na Kate. – Sprawdziłaś paliwo przed zatankowaniem?

– Tak. Było w porządku.

Mike przeczesywał wzrokiem las w dole.

– Trzeba lądować.

Kate obniżyła lot nad Susitną z nadzieją, że dostrzeże wystarczająco dużą mieliznę.

– Tam! – Mike wskazał miejsce w górze rzeki. – Wygląda odpowiednio.

Kate skierowała się we wskazaną stronę.

– Połącz się z Jackiem. Poinformuj go, gdzie jesteśmy.

Mężczyzna chwycił nadajnik.

– Lotnisko Anchorage, tu pacemaker dwieście dwadzieścia jeden.

Odbiór.

Radio zatrzeszczało.

– Pacemaker dwieście dwadzieścia jeden, tu lotnisko Anchorage. Slucham. Odbiór.

– Anchorage, mamy kłopot. Odbiór.

– Nie zrozumiałem. Powtórz. Odbiór.

– Mamy problem z silnikiem. Odbiór – krzyczał do radia.

– Podaj lokalizację. Odbiór.

– Łądujemy na rzece Susitna. Odbiór.

– Potrzebuję więcej danych. Odbiór.

Pomimo trzasków Kate słyszała napięcie w głosie Jacka. Martwił się. Przez chwilę niemal go polubiła. Samolotem rzucało. Mike wziął mapę i szukał ich położenia.

– Gdzie jesteśmy?

– Właśnie minęliśmy Gold Creek.

Spojrzał za okno.

– Anchorage, pacemaker dwieście dwadzieścia jeden znajduje się na północ od Gold Creek. Odbiór.

– Powtórz. Odbiór.

– Na północ od Gold Creek. Nad Susitną. Odbiór.

– Przyjąłem, dwieście dwadzieścia jeden. Wyślemy do was kogoś. Odbiór.

– Będziemy czekać. Odbiór. – Mike popatrzył na horyzont. – Światło dzienne powoli przygasало.

Kate kompletnie nie miała czasu na przejmowanie się rychłym zmierzchem. Skupiała wszystkie wysiłki na utrzymywaniu samolotu w powietrzu. Drzewa były blisko, niemal laskotały brzuch bellanki.

– Potrzebuję jeszcze kilkaset metrów.

Mike zwiększył dopływ paliwa, ale samolot zamiast się podnieść, tylko strzelił z gaźnika.

– Będzie ciężko. Trzymaj się.

Drzewa i tafla wody coraz szybciej się zbliżały. Kate mignął przed oczami widok jeziora Rimrock. Starła się utrzymać dziób samolotu w górze i wyrównać wysokość. Mielizna wydawała się nieosiągalna. Kate sprawdziła, czy nie leżą na niej żadne przeszkody. Na lewo widać było wyrzuconą na brzeg kłodę, skrzyła zatem w prawo, mając nadzieję, że będzie dość miejsca, by nie zahaczyć o kawał drewna i nie wpaść do wody po drugiej stronie. Koła mocno uderzyły o podłoże, maszyna kilkakrotnie odbiła się od twardego gruntu. Prosięta kwiczały, jakby obdzierano je ze skóry. Kate wyhamowała i w końcu stanęła w miejscu.

– Udało się! – zawołał radośnie Mike i się uśmiechnął.

– Uwielbiasz takie przygody, prawda?

– Czasami. – Wzruszył ramionami. – Dzięki nim życie jest ciekawsze.

– Zadowolilibym się o wiele nudniejszym. – Rozejrzała się. – Byłoby

łatwiej, gdybym miała samolot Jacka z pływakami.

Silnik zacharczał i zgasł. Mike ruszył do drzwi.

– Rzuć okiem na silnik. – Chwycił skrzynkę z narzędziami i wysiadł.

Kate poszła w jego ślady, a za nią Angel. Pies wyrwał do przodu, przebiegł przez wysepkę i chlapiąc na wszystkie strony, wpadł do płytkiej wody.

– Widzisz coś? – zapytała.

– Za ciemno. – Pogrzebał w skrzynce narzędziowej, znalazł latarkę i zajrzał ponownie. – Ha! Obluzował się przewód biegnący do gaźnika. Pewnie od wstrząsów. – Przyjrzał się dokładniej. – Prawdę mówiąc, wygląda na przetarty, jakby się zużył.

– Powinnaś była zauważyć – rzekła.

– Nie da się wychwycić wszystkich drobiazgów. Przed ponownym startem trzeba wymienić przewody.

– Mam jakieś zapasowe części.

Mike zeskoczył na ziemię.

– Musimy zaczekać z tym do rana. Mamy za mało światła, żeby naprawić uszkodzenie i wystartować, no i jeszcze dolecieć do Fairbanks. – Brodził w płytkiej wodzie. – Lepiej poszukajmy miejsca na rozbicie na noc obozu. – Z zarośli wynurzyła się Angel i skoczyła na Mike'a. – Hej, piesku. Poczujesz zew przygody? – Poklepał sukę po grzbiecie.

– Mike, czasem doprowadzasz mnie do szału. Zachowujesz się tak, jakby nasza sytuacja była jakąś fantastyczną przygodą. O mało się nie rozbiliśmy, a do tego utknęliśmy na tym pustkowiu.

Oparł się o drzewo i patrzył, jak jego towarzyszka brnie do brzegu, rozchlapując wodę.

– Każda sytuacja ma swoje dobre strony, które można jak najlepiej wykorzystać.

Twarz rozjaśnił mu szczerzy uśmiech.

Kate nie widziała w ich położeniu nic zabawnego. Przy ostatnim przymusowym lądowaniu były zdane z Neną na własne siły. Zastanawiała się, czy zdołają się uratować. Był wtedy październik, nocą temperatura spadała poniżej zera.

– Nie będzie tak źle – powiedział Mike. – O ile owady nie zeżrą nas żywcem.

Kate patrzyła na ciemniejące niebo. Delikatne jak koronka obłoki przesuwały się na różowym tle. Mike miał rację. Powinna się rozchmurzyć.

Mężczyzna wędrował brzegiem.

– Trzeba rozpalic ognisko. Gdy zajdzie słońce, zrobi się zimno.

Zaczęli zbierać drewno, natomiast Angel węszyła na skraju lasu. Wkrótce zapłonął ogień. Oboje przykucnęli w jego ciepłe, a ciemność

wypierała resztki światła. Kate dziękowała Bogu, że nie jest sama. Była dumna ze swojej niezależności, ale w alaskijskiej dziczy towarzystwo zawsze było mile widziane.

– Jesteś głodny?

– Jak wilk. Co masz?

– Niewiele. Nie planowałam spędzać nocy pod chmurką. – Wzięła latarkę i ruszyła do samolotu. – Możemy na przykład zjeść pieczone prosię – zażartowała.

– Dla mnie bomba.

Kate weszła do samolotu. Zajrzała do zwierząt. Spały jedno na drugim i wydawały się całkiem zadowolone. Zacerpnęła wody z rzeki i wstawiła blaszankę do korytka, a potem nasypała ziarna. Prosięta obudziły się natychmiast i zaczęły chrupkać, zwęszywszy jedzenie. Wzięła plecak oraz koce i wróciła do ogniska.

– No a gdzie prosię na ruszt? – zachichotał Mike. – Daj, pomogę ci.

Podala mu koce.

– Są urocze, nie będziemy ich jeść. Bardzo bym nie chciała tkwić tu na tyle długo, by rzeczywiście zaszła taka konieczność.

– Nie martw się. Rano wyruszymy w drogę.

Usiedli blisko ognia. Kate wyjęła z plecaka krakersy i puszkę sardynek.

– Przepraszam. Obiecywałam, że nie zaserwuję ci sardynek, ale dzisiaj nie mam nic lepszego do zaoferowania.

– Lubię sardynki.

Mike wyciągnął z kieszeni scyzoryk i otworzył puszkę. Wziął słoń rybkę i oddał resztę Kate. Podala mu drugą puszkę.

– I jeszcze ta.

Spojrzał na etykietę.

– Co? Konserwa dla psa? – Pokręcił głową i otworzył kolację dla Angel.

– Jesteś straszliwie rozpieszczonym psem – powiedział, wytrząsając przed nosem suczki zawartość puszek.

Kate wyjęła dwa krakersy i przełożyła je sardynką. Ugryzła i podała Mike'owi puszkę z krakersami.

– Niezłe.

Usłyszała plusk w rzece i spróbowała przeniknąć ciemności, żeby zobaczyć, co to takiego.

– Pewnie ryba. – Mike odchylił głowę i włożył sobie do ust kolejną sardynkę z krakersem. Schrupał z apetytem skromny posiłek. – Masz coś jeszcze?

– Upiekłam pierniczki.

Rozwinęła woskowany papier, a potem podała parę ciastek Mike'owi. Włożył sobie jedno ciasteczko do ust i uśmiechnął się z wypchanymi

policzkami.

– Wyśmienite. Nie mów mi więcej, że nie umiesz gotować – rzekł z pełnymi ustami.

– Staram się.

Kate oblala się rumieńcem. Nie uważała siebie za dobrą kucharkę, więc czuła się niezręcznie, przyjmując komplement. Nie była zakłopotana, gdy chwalono jej umiejętności lotnicze, ale to przecież zupełnie inna sprawa. Wiedziała, że jest dobrą pilotką. Gotowanie należało do sfery domowej, która w tej chwili wydawała się czymś, co jej nie dotyczy.

Siedziała z podciągniętymi kolanami, obejmując nogi ramionami. Przyglądała się, jak pomarańczowe, żółte i niebieskie płomienie liżą kawałki drewna i rozżarzone węgle.

– Prawie jak na biwaku.

– Tak. Całkiem niezłe. – Mike patrzył na nią w taki sposób, że aż poczuła gorąco na twarzy. – Nie mogę powiedzieć, żebym miał coś przeciwko utknięciu tu z tobą. – W jego oczach odbijały się migoczące płomienie.

Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc tylko wymamrotała:

– Dobry z ciebie kompan.

Czy mógłby stać się kimś więcej? Poczuła skrępowanie, uświadamiając sobie, że Mike nie przestaje się jej przyglądać. Nigdy nie zastąpi Paula, ale jest porządnym człowiekiem. Próbowała wyobrazić sobie, jak by to było spędzić życie u jego boku. *Mogłoby być przyjemnie*, pomyślała, a potem powiedziała sobie w duchu: *to wszystko przez tę romantyczną scenę. Nie trać głowy.*

Zapadła cisza. Pohukiwanie sowy zakłóciło spokój nocy. Z samolotu dobiegło jakieś szuranie. To prosięta układały się do snu.

– W przyszłym tygodniu przewożę kolejny transport świnek, tym razem do Sassy i Patricka.

– Co? Kiedy to zostałaś pilotką zagrodową? – zachichotał Mike.

– Na to wygląda. Lily złożyła przez radio zamówienie u miejscowego farmera. Sassa powiedziała, że głodny lis pozbawił ich kilku prosiąt.

Mężczyzna kiwnął głową, a później zaległo między nimi długie milczenie. Wreszcie Mike odchrząknął i rzekł:

– To dopiero nowina z Lily, co?

– Jaka nowina?

– No wiesz...

– Co mam wiedzieć? – zapytała. Mike podsylił jej ciekawość.

– No... Lily jest przy nadziei.

– Lily jest w ciąży?

– Tak. Myślałem, że wiesz.

Pokręciła głową.

– O niczym nie słyszałam.

– Może miałem nikomu nie mówić. Byłem jednak przekonany, że wszyscy wiedzą, zważywszy, w jakim tempie rozchodzą się tu wieści.

– Jak się dowiedziałeś?

– Od Charliego. Robiłem dostawę do bazy Susitna.

– Może to plotka?

– Charlie nie kłamie. Lubi soczyste opowieści, ale nigdy nie powiedziałby niczego krzywdzącego albo złośliwego. To nie ten rodzaj człowieka.

– Prawda...

Kate była ciekawa, kim jest ojciec dziecka. Lily wróciła ledwo kilka miesięcy temu i nie miała tu na miejscu adoratora. Jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek się przyjaźniła, jest Paul. Kate przypomniała sobie, jak Lily opowiadała o pomaganiu mu w ogrodzie i wspólnych wyprawach na ryby.

Ta myśl uderzyła ją jak obuchem. Paul? Nie. Niemożliwe. Nawet jeśli czuł coś do tej dziewczyny, nie posunąłby się do takich rzeczy.

– Czy Charlie mówił, kto jest ojcem?

– Nie. Wszyscy nabrali wody w usta. Ale krążą plotki, że to musi być ktoś, kogo poznała w Seattle. Jeżeli pogłoski są prawdziwe, termin wypada jesienią.

Mike podsunął czubkiem buta kawałek drewna do ogniska.

– Muszę przyznać, że byłem w szoku. Sądziłem, że Lily to porządna dziewczyna.

– Bo tak jest – odparła ostro Kate. – Dlaczego za każdym razem, gdy zdarza się coś takiego, obwinia się kobietę? Skąd wiemy, jak się wszystko potoczyło?

Mike przez chwilę na nią patrzył, a potem przyznał:

– Masz rację. Przepraszam. Tak czy inaczej, Lily da sobie radę. To silna dziewczyna. A już Patrick i Sassa dopilnują, by ojciec dziecka zachował się wobec niej jak należy.

Kate pokiwała głową, myśląc o Paulu. Jaki on ma do tego stosunek? Czy przyjdzie Lily z pomocą? Może nawet przyjmie poród? Tak powinno być. W końcu jest lekarzem, a do tego sąsiadem.

Mike się jej przyglądał.

– Wszystko w porządku? Jesteś trochę błada.

– Tak. Tylko ta ryba coś mi leży na żołądku.

Przycisnęła rękę do brzucha. Co się dzieje? Paul zerwał ich związek dwa miesiące temu. Mógł interesować się, kim tylko chciał. Prędzej czy później kogoś sobie znajdzie, tak jak ona.

Mike wziął koc i przysunął się do Kate.

– Proszę, połóż się. Spróbuj się zdrzemnąć.

Posłuchała. Mike okrył ją kocem i szczerze opatulił jej ramiona. Był tak blisko, że czuła jego oddech na policzku.

– Wiesz, wciąż cię kocham – wyznał.

– Wiem. – Podniosła na niego wzrok. Przy nim czuła się bezpieczna, otoczona opieką. Chciała go pokochać.

– Wiem, że nie czujesz do mnie tego samego, ale może z czasem... Chciałbym dzielić z tobą życie, Kate. – Usiadł obok niej, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Miała ochotę oprzeć się o Mike'a, poczuć bijące od niego ciepło, miłość i czułość. Pragnęła być kochana. Westchnęła głęboko i odparła:

– Nie ma drugiego takiego jak ty, Mike. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– Przyjaźń to jedynie punkt wyjścia. Zależy mi na czymś więcej. Znam pary, które zaczynały od przyjaźni. – Popatrzył na nią. – Ze mną byłabyś szczęśliwa.

Kate zajrzała w czarujące niebieskie oczy.

– Wierzę. – Na jej ustach błąkał się delikatny uśmiech. – Nikomu nie ufam tak jak tobie.

Pragnęła wypowiedzieć słowa: „kocham cię”, jednak nie potrafiła się na nie zdobyć.

Mike pochylił się bliżej, jego oddech pieścił jej twarz, usta delikatnie musnęły wargi Kate. Poczowała nieoczekiwany żar w brzuchu. Pocałował ją ponownie. Tym razem był to prawdziwy pocałunek. Żar buchnął płomieniem.

Mężczyzna przesunął dłoń po czole Kate i odgarnął niesforny kosmyk włosów. Przyglądała się jego przystojnej twarzy. Nawet w takiej chwili wydawał się swobodny, odprężony.

– Pamiętam dzień, w którym się poznaliśmy. Chyłkiem wśliznąłeś się do biura z tym swoim beztroskim uśmiechem. – Kate nie kochała go tak, jak tego pragnęła... ale może z czasem się to zmieni. – Zawsze byłeś dla mnie kimś wyjątkowym.

Wyraz twarzy Mike'a stał się jeszcze tkliwszy, choć wydawało się to niemożliwe. Delikatnie przycisnął usta do jej ust, a po chwili wybuchła między nimi namiętność. Kate zaplotła mu ramiona na szyi i przyciągnęła go do siebie. Długo trwali w uścisku.

Mike lekko rozluźnił objęcia i popatrzył jej prosto w oczy.

– Wyjdiesz za mnie, Kate?

Widziała w jego oczach nadzieję i namiętność. Jak mogła go odrzucić? Może nadszedł czas, by praktycznie spojrzeć na życie. Chciała powiedzieć: „tak”. Zamiast tego odparła:

– Dasz mi trochę czasu do namysłu?

– To najwyborniejsza pieczeń z losia, jaką kiedykolwiek jadłam – komplementowała Kate.

– Musisz wziąć przepis. – Mike poklepał się po brzuchu.

– Dziękujemy Bogu, że tu z nami jesteście. Oboje mogliście zginąć, gdy samolot zaczął tracić moc. – Albert otarł usta serwetką. – A tak w ogóle co się stało?

– Obluzował się przewód. Musiałam to przeoczyć podczas przeglądu. Od tej pory będę ostrożniejsza.

– Chwała Bogu, że wróciliście cali i zdrowi.

Helen zaczęła sprzątać ze stołu. Kate podniosła talerz.

– O nie, zostaw. Dzisiaj wypada kolej Alberta. – Helen odebrała talerz z rąk Kate.

– Panowie chcą pewnie porozmawiać. Z przyjemnością pomogę.

– Może przejdiesz się z Mikiem na spacer? Taki piękny wieczór.

Mike wstał.

– To o wiele lepszy pomysł niż zmywanie naczyń. – Puścił oko do Kate.

– Dobrze.

Kate skapitulowała. Unikala przebywania z Mikiem sam na sam. Wiedziała, że wyczekuje odpowiedzi na swoją propozycję matrymonialną. Choć bardzo jej na nim zależało, nie była pewna, czy powinna go poślubić. A jeśli pocałunki oraz namiętność, którą poczuli tamtej nocy, gdy utknęli w głuszy, wyzwoliła nie tyle miłość, co okoliczności? Letni wieczór, trzaskający ogień oraz radość z ocalenia?

– Wezmę tylko sweter. – Podeszła do szafy przy drzwiach frontowych i wyjęła z niej ciepłe okrycie. – Na dworze jest chłodno. – Pospiesznie się ubrała, zanim Mike zdążył przyjść jej z pomocą.

Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Szli ścieżką do drogi. Zatrzymał się na granicy działki.

– W którą stronę?

– Wszystko jedno.

– To może chodźmy do potoku. – Wziął ją pod rękę. – Lubię to miejsce. Jest takie romantyczne. – Uniósł brwi i się uśmiechnął.

Kate zerknęła na niego kokieteryjnie.

– No pewnie.

Mike spodziewał się od niej odpowiedzi. Czekał cierpliwie od trzech tygodni. Szli spacerowym krokiem.

– Miałas jeszcze jakieś problemy z samolotem?

– Nie. Od czasu naprawy działa bez zarzutu. Musiałam zrobić parę kursów stinsonem Jacka. Nie wiem, dlaczego tak się nim przechwala. Nie przewozi tyle ładunku, co mój, daleko mu do tego, a w dodatku w trudnych warunkach nawet w połowie nie jest tak stabilny jak bellanka.

– Znasz Jacka. Nikt nie może mu dorównać.

– Udziela mi tak szczegółowych instrukcji na temat obsługi tej jego dziadowskiej maszyny, że można by pomyśleć, że nigdy wcześniej nie siedziałam za sterami. – Pokręciła głową. – Nie cierpię korzystać z jego samolotu.

– Nie daj mu się wytrącić z równowagi. – Mike złapał ją za rękę i przytrzymał jej dłoń w uścisku. – Tak samo zachowuje się wobec mnie i całej reszty.

Lubiła dotyk jego dłoni.

– Chciałabym kupić sobie samolot-amfibię.

– Na razie nie produkują takich, które mogą latać w naszych warunkach, ale to tylko kwestia czasu. Trochę cierpliwości.

Kiwnęła głową.

– Im szybciej, tym lepiej.

Gdy dotarli do mostu, Mike wypuścił dłoń Kate i oparł się o barierkę, wpatrzony w wartki nurt strumienia. Oboje milczeli. Powietrze pachniało polnymi kwiatami i pyłkiem. Wiatr wzbijał w górę suche liście.

– Nadciąga jesień.

– Lato co roku wydaje się krótsze. – Kate miała świadomość, że gra na zwłokę.

Mike wyprostował się i spojrzał jej w oczy.

– No dobrze, Kate. Nie mogę dłużej czekać. Skoro podjęcie decyzji jest dla ciebie takie trudne, może należy potraktować to jako odpowiedź.

– Chcę po prostu mieć pewność, że nie popełnię błędu. Wcześniej wydawało mi się, że jestem zakochana, a potem wszystko się popsulo.

Otoczył ją w talii ramionami i przyciągnął do siebie.

– A jak jest teraz? Wydaje ci się, że jesteś zakochana?

– Może – odparła z kokieteryjnym zaśpiewem. Patrzyła w oczy o barwie jesiennego nieba, a potem jej spojrzenie padło na usta Mike'a. Niemal zawsze błąkał się na nich szelmowski uśmieszek. Porządny z niego człowiek, doskonale do siebie pasują. Dlaczego więc tak długo się waha?

– Chcesz, żeby wszystko odbyło się jak należy? – Wyjął coś z kieszeni i uklęknął na jedno kolano.

– Mike. Wstań. – Zawstydzona, rozejrzała się w obie strony, mając nadzieję, że nikt ich nie widzi. Ulica była pusta.

– Chciałbym trzymać się zasad. – Wyciągnął w jej kierunku

pudeleczko. – Kate, kocham cię. Chcę spędzić z tobą życie. Czy za mnie wyjdiesz? – Otworzył puzderko. W środku leżał pierścionek.

Musiała odpowiedzieć. Zamknęła oczy i wróciła myślami do ich wspólnych przeżyć, doświadczeń, do łączącej ich przyjaźni. Naprawdę do siebie pasowali. Byli dla siebie stworzeni. Uśmiechnęła się.

– Tak. Wyjdę za ciebie.

Wydał okrzyk radości, wyjął z pudeleczka złoty pierścionek z małym brylancikiem i wsunął go jej na palec.

– Nic wyszukanego, za to później kupię ci coś stosowniejszego.

– Ależ nie. Jest piękny. Idealny. Znasz mnie, nie lubię wymyślnych rzeczy.

Przyciągnął ją do siebie.

– Będiesz ze mną szczęśliwa. Obiecuję. – Pocałował ją czule.

Kate natychmiast zalała fala szczęścia. Podjęła słuszną decyzję, była tego pewna. I wtedy mignęła jej przed oczami twarz Paula, a wraz z nią pojawiło się zwątpienie. Czowała na ustach oddech Mike'a.

– Wszystko ułoży się wspaniale. – Znów ją pocałował. – Pani Conlinowa. To brzmi dobrze.

– A może Kate Conlin? Pilotka, która wyszła za mąż za Mike'a Conlina? – Zaśmiała się.

– Podoba mi się i tak, i tak.

Serce tłukło się jej w piersi. Kocha go, prawda? A nawet jeśli nie, romantyczna miłość jest przereklamowana. Zwykle kończy się złamanym sercem. Można się bez niej obejść. Stabilne, oparte na szacunku uczucie jest trwalsze i o wiele pewniejsze.

Wycisnęła na jego ustach czuły pocałunek.

– Będą najlepszą żoną, tak dobrą, jak tylko potrafisz. Oczywiście będę musiała pobrać od Helen i Muriel lekcje gotowania.

– Tym nie zaprzętaj sobie głowy. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – No to kiedy?

– Co kiedy?

– Kiedy się pobierzemy?

Roześmiała się.

– Nie wiem. To wymaga planowania. Chciałabym, żeby przyjechali moi rodzice.

– Dobrze. Kiedy już wszystko sobie poukładasz, dasz mi znać, a ja obiecuję stawić się na miejscu. – Biorąc ją za rękę, dodał: – Chodź, powiem Helen i Albertowi.

Kate zmierzała na lotnisko z głową pełną weselnych planów. Miała

nadzieję, że Mike jeszcze nie zdążył wylecieć. Potrzebowała zapytać go o datę ślubu. Uwzględniała pierwszy tydzień października. W tym okresie jej rodzice mieli co prawda pełne ręce roboty, gdyby jednak odkładała z Mikiem tę uroczystość do listopada, istniało niebezpieczeństwo, że Bill i Joan nie zdołają na nią dotrzeć.

Nieoczekiwanie jej myśli przeskoczyły na Paula i radosny nastrój prysł jak bańka mydlana. Czy już nigdy nie przestanie go kochać? Może gdyby Paul się ożenił, zdołałaby wyrzucić go z serca. Wątpiła jednak, żeby kiedykolwiek uczynił ten krok. Nie pozwalał nikomu zbliżyć się do siebie na tyle, by znów zaangażować się w jakiś związek.

Położyła rękę na głowie siedzącej obok Angel.

– No i jak sądzisz? Spodoba ci się w domu Mike'a?

Pies przycisnął łeb do dłoni Kate i przysunął się bliżej.

Kate krążyła myślami wokół Paula i Mike'a. Nie mogła opędzić się przed natrętnymi porównaniami. Nie kochała swojego narzeczonego z taką namiętnością, jaką darzyła Paula, nie znaczyło to jednak, że kochała go mniej. Po prostu inaczej.

Zwolniła i skręciła w stronę jeziora Spenard. Mike powinien być na lotnisku. Oboje mieli planowe kursy. Wjechała na lotnisko i spotkał ją zawód, bowiem samolotu jej ukochanego tam nie było. Zdążyła się już za nim stęsknić.

Zaparkowała pod kantorkiem. Wysiadła i stała chwilę, by wziąć się w garść. Czuła się dziwnie spięta i zupełnie nie wiedziała, co było tego przyczyną. Odetchnęła chłodnym wrześnieowym powietrzem, zatrzymała wzrok na paśmie gór Chugach. Ten widok nigdy się jej nie nudził. Majestat stromych, ostrych szczytów dodawał jej otuchy.

Weszła do biura. W środku siedział tylko Jack.

– Dzień dobry.

– Spodziewałem się ciebie wcześniej. Mike mówił, że mieliście się rano spotkać.

– Tak. Gdzie on jest?

– Wystartował o świcie – odparł Jack i postukał ołówkiem w biurko.

– Naprawdę? Nie wiedziałam, że chce wyruszyć tak wcześnie.

– Wspominał też coś o gościach na kolacji. – Mężczyzna uniósł brew.

– Tak. Spotykamy się z przyjaciółmi.

– Lepiej się pospiesz, jeśli chcesz wrócić na czas. Jest cała masa poczty do rozwiezienia. – Zmrużył oczy. – A cóż to dzieje się dzisiaj takiego ważnego?

– Nic.

– Nie wyglądało mi to na „nic”. Mike przez cały czas radośnie szczerzył zęby. – Jack przyglądał się jej spod półprzymkniętych powiek. – Coś jest na rzeczy... czuję to przez skórę.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparła z nadzieją, że zabrzmiało to niewinnie.

– Taaak... W każdym razie mówił, że chciałby wcześniej wrócić, żeby zdążyć z kolacją.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się ukradkiem i poszła na zaplecze. Muriel i Terrence zostali zaproszeni do Mike'a na siódmą. Planował ogłosić przy kolacji ich zaręczyny. Zobowiązali Helen i Alberta do dochowania tajemnicy, a Kate nie miała najmniejszego zamiaru zdradzać niczego Jackowi, póki nie dowie się o tym jej najlepsza przyjaciółka.

Zastanawiała się, jak będzie wyglądało jej życie u boku Mike'a. *Ekscytująco i nieprzewidywalnie*, jak sądziła. Zabraknie miejsca na nudę. Mike miał własny dom, co oznaczało, że będą mogli przeznaczyć jej oszczędności na inny cel.

Nęciły ją podróże. Jako piloci, mogą dotrzeć niemalże wszędzie, gdzie tylko im się zamarzy. Wyobraziła sobie podróże po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Pragnęła zwiedzić tak wiele miejsc. A towarzystwo Mike'a gwarantowałoby dobrą zabawę. Kto jak kto, ale ten mężczyzna to potrafi.

Z uśmiechem na ustach pakowała posortowaną pocztę. Napelniła płócienny worek, odstawiła go na bok i sięgnęła po kolejny. Jack miał rację, gdy uprzedzał o stosie poczty.

Myśli znów pomknęły do planów weselnych. Może październik to jednak nie najlepszy pomysł. Rodzicom trudno będzie się wyrwać. To bardzo pracowity miesiąc na farmie. Przyjemnie byłoby wziąć ślub w lecie, ale trzeba by czekać jeszcze długie miesiące. Wiedziała, że Mike by tego nie chciał.

Ciszę zakłóciło skrzeczenie radia. Kate nie zwróciła na nie uwagi, przynajmniej na początku. Póki nie usłyszała głosu Mike'a.

– Tu fairchild trzysta dwadzieścia trzy. Anchorage, zgłoś się. Odbiór.

W jego głosie slychać było napięcie. Działo się coś złego. Angel zaskomlała. Kate podeszła do drzwi.

– Fairchild trzysta dwadzieścia trzy, tu Anchorage. Odbiór.

– Awaria silnika. Spadam. Odbiór.

– Fairchild trzysta dwadzieścia trzy, podaj swoje położenie – mówił pewnym głosem Jack, pobrzmiwała w nim jednak nuta niepokoju. – Fairchild trzysta dwadzieścia trzy, podaj położenie. Odbiór – powtórzył.

Jedyną odpowiedzią były szumy i trzaski.

– Fairchild trzysta dwadzieścia trzy. Określ swoje położenie.

Cisza.

– Mike.

Czekał. Nikt się nie odezwał.

– Tu lotnisko Anchorage do fairchild trzysta dwadzieścia trzy. Zgłoś

się. Odbiór.

Kate ogarnęła panika. Żołądek zamienił się w kamień, serce waliło jak młotem. Weszła do biura nerwowym krokiem.

– Zadzwoń jeszcze raz.

– Mike. Tu lotnisko Anchorage. Jesteś tam? Odbiór.

Radio zaszumiało.

– Fairchild trzysta dwadzieścia trzy, tu Anchorage, zgłoś się. – Jack nie potrafił ukryć trwogi.

Kate znieruchomiała, lecz po chwili doszło w niej do głosu wieloletnie doświadczenie.

– Dokąd leciał? – Odrzuciła na bok worek z przesyłkami.

– Na północ od Palmer. Miał podrzucić Davida Clarksona do domu.

– Okej. Lecę. Rozejrzę się.

Jack kiwnął głową z posępną miną.

Kate rzuciła się do drzwi. W progu odwróciła się i obejrzała za siebie.

– Na pewno nic mu nie jest. Znasz Mike'a. Potrafi wyjść cało z każdej opresji. – Chwyliła za klamkę. – Ale lepiej wysłać pilotów na poszukiwania.

Puściła się pędem przez lotnisko, a jej psia przyjaciółka dzielnie biegła obok. Gdy dopadły do samolotu, suczka natychmiast wskoczyła do środka. Kate zakręciła śmigłem, wsiadła do kokpitu i rozruszała silnik. Błyskawicznie skontrolowała przyrządy, skierowała maszynę na pas startowy, szybko się rozpedziła i wzbila w powietrze. *Nic nie mogło mu się stać. Proszę, niech wszystko będzie dobrze.*

Silnik ryczał w uszach, a samolot niemal musnął korony okalających lotnisko drzew. Analizowała w myślach wszystkie możliwości i odtwarzała mapę terenu między Anchorage i Palmer. Jeśli spadł na pola, łatwo będzie go zauważyć. Ale jeżeli rozbił się na północ od Palmer, tam okolica jest zalesiona i górzysta. Trudno cokolwiek wypatrzeć.

Lustrowała otwartą przestrzeń upstrzoną połaciami lasu. Jeśli zdawał sobie sprawę z problemu z maszyną, gdzie próbowałby wylądować? *Boże, wskaz mi drogę*, modliła się, starając się wierzyć, że czeka ją z Mikiem wspólna przyszłość.

Ponieważ nigdzie nie było go widać, przeszył ją strach. Co się mogło stać? Gdzie on jest?

Przeczesała dolinę Matanuska. W końcu skontaktowała się z lotniskiem.

– Anchorage, tu pacemaker dwieście dwadzieścia jeden. Odbiór.

– Lotnisko Anchorage. Odbiór.

– Jakież wieści o Mike'u? Odbiór.

– Nic. Widzisz coś? Odbiór.

– W dolinie ani śladu. Odbiór.

– Pacemaker dwieście dwadzieścia jeden. Wysłałem jeszcze dwa samoloty. Kolejny w drodze. Odbiór.

– Lecę do domu Clarksona. Odbiór.

Po tych słowach Kate usłyszała tylko szum, więc wyłączyła radio. Minuty zdawały się płynąć w zwolnionym tempie. Nigdzie nie było widać ani Mike'a, ani jego maszyny. Powróciła myślami do katastrofy w pobliżu góry Susitna, gdy to ona spadła do jeziora i była zdana na własne siły. Rodzina i przyjaciele obawiali się najgorszego, tymczasem Kate ocalała i czekała na ratunek. Zmarzła, zgłodniała, lecz poza tym nic się jej nie stało. Nena odniosła poważne obrażenia, ale się wykaraskała. Kate powtarzała sobie w duchu, że jej narzeczonemu nic już nie grozi i tylko czeka, aż ktoś go odnajdzie.

Kiedy przelatywała nad lotniskiem Clarksonów, kręciło się jej w głowie od pytań i obaw. Samolotu Mike'a tam nie było. Wylądowała i nie gasząc silnika, pobiegła do niewielkiego domu.

Julie Clarkson wyszła na otoczony drewnianą balustradą ganek, trzymając na rękach dwuletniego synka. Wolną dłoń wytarła w fartuch zawiązany na zaokrąglonym brzuchu. Za kilka tygodni miało przyjść na świat kolejne dziecko.

– Kate? – Zmrużyła w słońcu oczy. – Myślałam, że David leci dzisiaj z Mikiem.

– Nie ma go tu?

– Nie. A powinien być? – Niski głos Julie wszedł na wyższe rejestry.

Kate zanurzyła palce w gęstej sierści na karku Angel. Zamiast penetrować teren, pies został przy nodze, jakby wiedział, że jego właścicielka go potrzebuje.

– Mike i David wylecieli z samego rana. Mike wezwał pomoc, informując, że łąduje. Miałam nadzieję, że tu dotarł.

Choć w środku drżała z niepokoju, zdołała zachować pozory spokoju.

– Na pewno nic im nie jest. – Próbowwała przekonać samą siebie. – Prawdopodobnie mieli jakiś drobny problem z silnikiem i Mike gdzieś bezpiecznie wylądował. Jest jednym z najlepszych pilotów, potrafi posadzić maszynę dosłownie wszędzie. Po prostu musimy go znaleźć. – Zmusiła się do uśmiechu.

Julie przycisnęła do siebie dziecko. Jej oczy napelniły się łzami.

– Jak myślisz, gdzie oni są?

– Na razie nie wiem. Ale szuka ich kilku pilotów. Lepiej do nich dołączyć. David wkrótce będzie w domu.

Z twarzy Julie odpłynęła cała krew. Kate bała się, że kobieta zemdleje. Kładąc jej dłoń na ramieniu, zapytała:

– Dobrze się czujesz?

– Tak, dobrze. – Julie otarła łzy. – Tylko znajdźcie mojego Davida.

– Znajdziemy. Może się połóżysz? Postaraj się nie martwić.

Marząc w duchu, by sama potrafiła skorzystać z tej rady, Kate wielkimi susami dopadła do samolotu. Gdy tylko weszła na pokład, usłyszała trzask radia.

– Pacemaker dwieście dwadzieścia jeden, tu Anchorage. Odbiór.

Kate wgramoliła się na fotel pilota i złapała nadajnik.

– Tu pacemaker dwieście dwadzieścia jeden. Odbiór.

Nastąpiła pauza, a po chwili radio znów ożyło.

– Znaleźliśmy Mike'a. Odbiór.

Serce Kate tłukło się w piersi jak szalone.

– Wszystko z nim w porządku? Odbiór.

Cisza, a potem ciche słowa Jacka:

– Przykro mi, Kate. Mike... – radio zatrzeszczało... – ...żył. David Clarkson też nie.

Kate nie wierzyła własnym uszom.

– Rwie się połączenie. Powtórz. Odbiór.

– Mike i David nie przeżyli. Odbiór.

Wypuściła z rąk nadajnik. Świat wywrócił się do góry nogami. Nie przeżyli? Nie. To niemożliwe. Nie ma lepszych pilotów niż Mike. Utkwiła wzrok w samotnym świerku. Nie mógł zginąć. Terrence i Muriel przychodzą dzisiaj na kolację, Mike miał ogłosić ich zaręczyny.

Kate uderzyła w szloch.

– Nie... nie... tylko nie Mike.

Jej wzrok powędrował w stronę chaty. Trzeba powiadomić Julie.



Sidney, Kenny i Paul dołączyli do trzech innych przyjaciół Mike'a i wynieśli z kościoła jego trumnę do oczekującego karawanu. Kate szła za nimi. Bolało ją serce i było ciężkie jak z ołowiu. Helen stanęła obok i otoczyła ją ramieniem. Kate wsparła się na niej, a potem obejrzała za siebie na kościół. To tam planowali rozpocząć wspólne życie. Zamiast początku było pożegnanie.

Dotknęła zawieszzonego na szyi małego złotego samolotu – świątecznego prezentu od Mike'a. Pamiętała swoje zaskoczenie na widok tego wyjątkowego podarku. Zamówił go specjalnie dla niej. Gniew mieszał się ze smutkiem. Dlaczego zginął? Nie zasługiwał na taki los. Gdzie był Bóg?

Powiodła spojrzeniem po zatłoczonym parkingu. Wszyscy kochali Mike'a. Ona też. Dlaczego tak długo zwlekała z wyznaniem mu swoich uczuć? Tak wiele zmarnowanych dni. Wzrok zamgliał się od łez.

Albert zszedł ze schodów i wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej

pokonać ostatni stopień. Delikatnie podtrzymał ją pod ramię, gdy szła ścieżką przed siebie. Ponownie dotknęła palcami naszyjnika. Czy te kilka miesięcy temu wiedziała, że go kocha? Kiedy jeszcze spotykała się z Pauliem? Może to, co czuła do Paula, było jedynie zauroczeniem. Już od pierwszego spotkania z Mikiem wiedziała, że nie jest jej obojętny. I że zawsze będzie blisko. Tymczasem odszedł. Śmierć Alison wystarczająco ją zdruzgotała, ale brak Mike'a był nie do zniesienia.

Trumnę podniesiono i wsunięto do karawanu. Kate miała przerażające wrażenie, że karawan polyka Mike'a. Ugięły się pod nią nogi. Bała się, że zemdleje.

Wsparała się na Albercie, który poprowadził ją do samochodu, a potem otworzył przed nią drzwi. Usiadła z tyłu. Helen zajęła miejsce obok niej. Wyjęła z torebki chusteczkę i podała ją Kate.

– Dziękuję.

Kate ocierała płynące nieustannie łzy. Albert skręcił na ulicę i jechał za karawanem na cmentarz.

Nie mogła patrzeć na trumnę postawioną obok wykopanego grobu. Miejsce Mike'a znajdowało się nie w ziemi, tylko na niebie. Po chwili uzmysłowiła sobie, że on przecież jest w niebie, z Panem. Oczywiście tego faktu ją pokrzepiła.

Sztynnym krokiem podeszła do grobu, wokół którego zebrali się przyjaciele. Helen i Albert nie odstępowali jej na krok. Muriel napotkała wzrok Kate i skinęła głową, by podnieść ją na duchu.

Podczas mowy pastora Kate obracała na palcu pierścioneł zaręczynowy. Zastanawiała się, czy nie powinna była włożyć go do trumny Mike'a. Podniosła oczy i zauważyła, że Muriel przygląda się pierścionkowi. Wymieniły zażawione spojrzenia, a Muriel posłała jej łagodny uśmiech.

Kate założyła ręce za plecy i zaczęła błądzić wzrokiem po kameralnym cmentarzyku. Krótko skoszoną trawę zdobiły drobne różowe, żółte i niebieskie polne kwiaty, już ostatnie o tej porze roku. Jaskrawe wierzbowki drżały na lekkim wietrze, zdając się szeptać kondolencje. Ramiona dębu troskliwie osłaniały miejsce pochówku. Mike'owi by się tu podobało.

Pastor zakończył pogrzeb modlitwą, a następnie kobieta z kościoła, której Kate właściwie nie znała, zaśpiewała pieśń „Idzie Jezus”. Gdy umilkła, tłum zaczął powoli się rozpraszać. Kate nie ruszyła się z miejsca. Nie chciała zostawiać Mike'a. Czułby się samotny.

Położyła dłoń na trumnie. *Dlaczego musiałeś odejść? Byliśmy dopiero na początku naszej drogi.* Ciężar na piersi stał się jeszcze dotkliwszy. Tłumiła szloch. Podniosła wzrok i natknęła się na Paula. Stał kilka metrów dalej i zdawał się na nią czekać. Otarła łzy, wydmuchała nos w

chusteczkę i ponownie odwróciła się w stronę trumny.

– Byłeś moim najlepszym przyjacielem. Nigdy cię nie zapomnę. Nigdy.

Ledwo trzymała się na nogach. Przy samochodzie czekali na nią Muriel, Helen i Albert. Paul zmierzał w jej kierunku, a w Kate narastała panika. Nie była w stanie z nim rozmawiać. Nie dzisiaj. Ten dzień należał do Mike'a.

Nie mając wyboru, wyprostowała ramiona i czekała.

Paul zatrzymał się pół metra przed nią. Gdy wykonał gest, jakby chciał wyciągnąć do niej dłoń, przycisnęła ręce do tułowia.

– Kate, chciałbym ci tylko powiedzieć, że bardzo ci współczuję. Mike był szlachetnym człowiekiem. Podziwiałem go.

– On też cię lubił.

Paul zerknął na Helen i Alberta.

– Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować, proszę, daj mi znać.

– Oczywiście. – Kate połykała łzy.

Lekko skinąwszy głową, Paul odwrócił się i odszedł. Szedł wyprostowany, z wysoko uniesionymi ramionami. Nie obejrzał się za siebie.

Była połowa września, chłodny jesienny wiatr podnosił na jeziorze fale, których grzywy rozpryskiwały nad wodą delikatną mgiełkę. Kate wpadały do oczu włosy. Wcale jej to nie przeszkadzało. Lubiała wiatr. Dodawał jej energii.

Dni od pogrzebu Mike'a wlokły się niemiłosiernie, noce nie miały końca. Jego nieobecność pozostawiła w niej pustkę – nieustanny ból, który doskwierał jej nawet w środku snu. Mike był jej przyjacielem od samego początku, człowiekiem, na którym mogła polegać. Co bez niego poczniesz? Rzuci się w wir pracy. Praca ją uratuje.

Pokaszłując w rękaw, Kate zmierzała do kantorka. Angel szła przy nodze. Od śmierci Mike'a pies jej nie odstępował, jakby wyczuwając samotność swojej właścicielki i potrzebę towarzystwa.

Czując, że za chwilę kichnie, Kate wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i wydmuchała nos. Złapała gdzieś przeziębienie, lecz mimo to była zdecydowana wsiąść za stery. Jack nie przydzielał jej lotów i powoli zaczynał drążyć ją strach. Musi wrócić do latania, zanim lęk zawładnie nią na dobre. Zatrzymała się przed drzwiami biura. Trudno będzie stanąć twarzą w twarz z kolegami. Nie widziała ich od pogrzebu. Nie miała pojęcia, jak się zachować. Czy tak, jakby nic się nie stało? Czy wręcz przeciwnie, rozmawiać o Mike'u? Nie. Na to nie była jeszcze gotowa.

Otworzyła drzwi i weszła do środka, trzymając rękę na głowie Angel.

Wszyscy zwrócili na nią wzrok: Jack, Kenny i Alan. Nikt nic nie powiedział. Kenny skinął jej głową, a następnie wrzucił kawałek drewna do piecyka. Odwrócony do niej plecami, sięgnął po kolejną szczapę i cisnął ją w płomienie. Alan powrócił do naprawy rozłożonego na stole elementu wyposażenia samolotu.

Jack pykał z cygara.

– Nie sądziłem, że tak szybko wrócisz. W tej chwili nie mamy zbyt wiele do roboty. Może weźmiesz jeszcze trochę wolnego... – Ton jego głosu był dziwnie serdeczny.

– Dziękuję, wolałabym jednak wrócić do pracy.

Kate poszła do pomieszczenia na zapleczu. Przez moment ludziła się, że zobaczy tam sortującego pocztę Mike'a. Stała w progu. Nie było go tam. I już nigdy się tam nie pojawi.

– Minęło dopiero kilka dni – rzekł cicho Alan i uśmiechnął się

współczująco.

– I wystarczy.

– Jesteś pewna? – Jack zgasił cygaro.

Do oczu cisnęły się łzy, ale zdołała je powstrzymać.

– Jestem gotowa do pracy.

– No dobrze. – Jack rzucił okiem na harmonogram. – Paul ma w planie kilka wizyt. Zawieziesz go?

Paul? Miała nadzieję na coś mniej osobistego – grupę skautów albo osadnika potrzebującego dostać się do domu.

– Oczywiście – odparła. – Nie ma sprawy. Muszę tylko znać rozkład i mogę ruszać w drogę. – Zakasłała.

– Jesteś chora?

– Tylko lekko przeziębiona. Drobnostka.

W tej chwili pokój zawirował jej przed oczami. Przytrzymała się framugi drzwi. Miała nadzieję, że Jack nie zauważył tego zachwiania równowagi. Pewnie nie było to nawet przeziębienie, a rezultat wielu godzin płaczu. Gdy wróci do latania, od razu poprawi się jej samopoczucie. Ostatecznie tłamszenie uczuć wobec Paula z każdym dniem wspólnej pracy przychodziło jej z coraz większą łatwością. Jego towarzystwo pomoże jej osuszyć łzy.

Kate przejrzała otrzymaną od Jacka listę przystanków. Kilka postojów między Anchorage a Kotzebue, a następnie przeskok z Kotzebue do Fairbanks i z powrotem do Nenany oraz Talkeetna i Palmer. Trasa na kilka dni, co normalnie by jej nie przeszkadzało, nie chciała jednak spędzić tak dużo czasu z Paulem.

Przyzwyczaisz się. Na tym polega twoja praca. Ukłul ją nagły ból. Kiedyś marzyła o częstych podróżach z Paulem. Teraz natomiast tęskniła za Mikiem. Nie będzie już wspólnych lotów, droczenia się, spalonych gofrów i sardynek na kolację.

Ruszyła do wyjścia.

– Pozostanę w kontakcie. Zobaczymy się mniej więcej za tydzień – gdy wypowiadała te słowa, uderzyła ją brutalna prawda, że przecież może nie wrócić. Każde pożegnanie może być dla pilota tym ostatnim.

Kate sprawdzała instrumenty pokładowe, nie przejmując się rykiem silnika. Oczywiście wyobraźni ujrzała Mike'a wykonującego takie same procedury. Zawsze działał metodycznie, wszystko dokładnie testował, by mieć pewność, że samolot jest w pełni sprawny. I co mu z tego przyszło? W jej głowie kłębił się strach. Zamknęła oczy i zaczerpnęła wielki haust powietrza, od którego aż zakłuło ją w płucach.

– Gotowa? – zwróciła się do Angel, poklepując ją po głowie. Pies położył łapę na ramieniu swojej opiekunki, jakby chciał potwierdzić gotowość. – No dobrze. Wobec tego czas wrócić do rutyny. – Strząsając z

siebie strach, Kate skierowała samolot na pas startowy i ustawiła się zgodnie z kierunkiem wiatru.

Samolotem będzie rzucało, nie było to wszak dla niej żadną nowością. Rozpędziła się na pasie startowym, czując każdy wstrząs, każde szarpnięcie. Gdy koła oderwały się od ziemi, maszyna sprawiała wrażenie cięższej niż zazwyczaj, zachowywała się inaczej. Czy coś jest nie w porządku? Puls Kate przyspieszył.

Przestań! powtarzała sobie, nie pozwalając, by prześladowała ją pamięć o katastrofie Mike'a. Najgorsze były noce. Śniła o nim i jego wypadku, a potem budziła się z pytaniem, czy cierpiał. Wiedziała, że pewnego dnia także i jej może wyczerpać się pula szczęścia, tak jak stało się w wypadku Mike'a.

Helen i Muriel niosły jej pokrzepienie. Helen codziennie zjawiała się w sklepie z jedzeniem i dobrym słowem. Pewnego dnia Kate zupełnie się rozkleiła, a wtedy Helen po prostu wzięła ją w ramiona. Kate przypomniała sobie usłyszane wówczas słowa otuchy, które działały teraz jak balsam: „Bóg wie, kiedy ma wezwać nas do swojego domu. On nad tobą czuwa, Kate. Zawierz Jemu, a nie okolicznościom”.

– Zawierz Mu – powiedziała na głos, skupiając się ponownie na nawigowaniu. Przeanalizowała trasę. Zabierze Paula i polecą na północ. Miło będzie zobaczyć się z Neną, Joem i dziećmi. Nena jest taka urocza i kochana. A dzieci zawsze ją rozśmieszają.

Wbrew jej woli myśli znów powędrowały do Mike'a oraz życia, jakie by razem wiedli. Urodziłyby się im piękne dzieci. On byłby fantastycznym ojcem, sypałby jak z rękawa zabawami i niespodziankami. Po policzkach Kate potoczyły się łzy. Nawet nie próbowała ich ocierać.

Boczny wiatr z dużą siłą uderzył w samolot. Ponownie obleciał ją strach. Boczne wiatry nie należały do rzadkich zjawisk, jej bellanka zwykle była na nie odporna. Kate o tym wiedziała, a mimo to zdawała się nie być w stanie zapanować nad trwogą, która zjeżyła jej włosy.

Z ulgą dostrzegła w dole rzekę Susitna. Do Bear Creek było już blisko.

Dotarwszy do strumienia, przeleciała nisko nad ziemią, żeby upewnić się, że można tu bezpiecznie wylądować. Teren wokół miałizny porastały drzewa i gęste zarośla. Zdawało się jej, że nie ma wystarczająco dużo przestrzeni. Pokręciła głową. Przecież lądowała tu ze sto razy. Miejsca jest dość. W ostatniej chwili zdołała poderwać samolot i wzbijała się ponad korony drzew, usiłując zapanować nad drżeniem rąk.

Przestań! Co ty wyprawiasz?

Jeszcze raz podeszła do lądowania, patrząc na dach Sassy i Patricka oraz dym unoszący się z ich komina. Rozluźniła zaciśnięte kurczowo palce i opuściła ramiona.

– Weź się w garść – powiedziała do siebie. – Nic się nie zmieniło. Jesteś tą samą pilotką, którą byłaś przed śmiercią Mike'a. Dobrą pilotką. I masz niezawodny samolot.

Angel zaskomlała. Kate zanurzyła palce w sierści na karku psa.

– Wszystko dobrze, piesku. Nic się nie dzieje.

Ze świeżą determinacją zatoczyła krąg i przygotowała się do lądowania. Tym razem nie zбочzyła z wytyczonego kursu i z wyczuciem posadziła bellankę na mieliznie. Paul już czekał z torbą lekarską w ręku i zarzuconym na ramię plecakiem.

Wsiadł, ledwo zdążyła zatrzymać maszynę. Rzucił plecak, zamknął za sobą drzwi, postawił torbę na siedzeniu z tyłu i przeszedł do przodu.

– Cześć. Co się stało? Masz jakiś problem z samolotem?

– Nie. Źle się ustawiłam. Lepiej dmuchać na zimne. – Silła się na spokój. – Patrick cię podrzucił?

– Tak. – Popatrzył na nią z troską. – Dobrze się czujesz?

– Dobrze – odparła przez nos.

– Nie spodziewałem się ciebie. Sądziłem, że przyleci po mnie któryś z chłopaków.

– Brakuje nam pilotów – rzekła matowym głosem, po czym wydmuchała nos w chusteczkę.

– Może powinnaś zrobić sobie dłuższą przerwę. Od pogrzebu minęło raptem kilka dni.

– Potrzebowałam wrócić za stery. Tak samo postąpiłby Mike.

– Też tak sądzę. – Paul ścisnął ją za ramię. – Na pewno nic ci nie jest? Wydajesz się zachrypnięta.

– Przeziębiam się... albo coś. Nic takiego. – Kichnęła w chusteczkę, a potem poprowadziła samolot na skraj mielizny i przygotowała się do startu. I znów zakradł się strach. Zignorowała go, zwiększyła prędkość i bez trudu wzbila się w powietrze.

Natychmiast przystąpiła do przedstawiania Paulowi planu podróży, mając nadzieję na zachowanie „służbowego” charakteru rozmowy.

– Mamy przystanki na dwóch farmach. W jednym z gospodarstw sędziwy rodzic, który coś niedomaga, w drugim rodzina z dzieckiem chorym na anginę. Później zatrzymujemy się w kopalni. A tam nigdy nie brakuje kłopotów.

Paul parsknął śmiechem.

– Górnicy mieliby o wiele mniej problemów ze zdrowiem, gdyby trzymali się z dala od gorzalki i nauczyli się podstawowych zasad higieny.

W każdym innym momencie Kate by się roześmiała i rzuciła jakąś ciętą ripostę, jednak tym razem nie potrafiła niczego z siebie wykrzesać. Nie miała w sobie radości. Żarty Paula pominęła milczeniem i

kontynuowała odczytywanie listy przystanków.

– Cieszę się na spotkanie z Neną i Joem. Jak oni się miewają? – Ton Paula brzmiał weselej niż zazwyczaj.

– Dobrze, przynajmniej tak było ostatnio.

Rozmowa się rwała. Wreszcie Paul przerwał milczenie.

– Kate, oczywiście nie musisz rozmawiać o tym, co się stało. Ale czasem to pomaga.

– Nie pomaga. Ja... nie potrafię o tym rozmawiać. Jeszcze na to za wcześnie.

– Wiem, że to bolesne, ale może warto spróbować.

Kate nie była gotowa. Wybuchnęła gniewem.

– A ty skąd niby wiesz? Nigdy nie zająknałeś się choćby słowem na temat tego, co wydarzyło się w Kalifornii. O ile mi wiadomo, nigdy z nikim o tym nie rozmawiałeś.

Chciał coś odpowiedzieć, lecz tylko zacisnął usta, skrzyżował ramiona i patrzył prosto przed siebie. Odezwał się po chwili milczenia:

– To nie takie łatwe. Gdy tracisz kogoś bliskiego, zostaje w tobie pustka. I masz wrażenie, że już nic i nikt nie zdoła jej wypełnić.

Kate natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia. Paul nie zasługiwał na te surowe słowa. Starał się jedynie pomóc.

– Przepraszam. Nie powinnam tak na ciebie naskakiwać. Wiem, że przeszedłeś trudne chwile. Nie jestem sobą. – Zakasłała i poczuła ucisk w piersi.

– Jesteś przeziębiona. Zdaje mi się, że nie powinnaś pracować. – Przyjrzał się jej z ojcowską troską.

– To drobiazg – odparła, choć zdawała sobie sprawę, że jej samopoczucie się pogarsza. Miała zatłukany nos, a przy oddychaniu świszczało jej w płucach. – Nic mi nie będzie. – Nie chciała, żeby Paul ją badał, żeby znalazł się tak blisko. I nie chciała, żeby okazywał jej troskę, w każdym razie nie teraz.

Zatrzymali się w dwóch gospodarstwach. W pierwszym Paul dokładnie zbadał starszego mężczyznę i zostawił jego córce wskazówki, jak należy go pielęgnować. W drugim poradził rodzicom chłopca, by zapisali go na operację usunięcia migdałków. Kolejnym przystankiem była kopalnia. Zanim Paul skończył udzielać pomocy lekarskiej kilku górnikom, zrobiło się późno i byli zmuszeni zatrzymać się tam na noc. Kate musiała zadowolić się namiotem i łóżkiem polowym. Ucisk w piersi w końcu rozwinął się w kaszel, który w połączeniu z zatłukanim nosem niemal uniemożliwiał sen. Paul zajrzał do niej raz w ciągu nocy i zaaplikował lek na złagodzenie kaszlu. Dopiero wtedy udało się jej przespać kilka godzin.

Ranek przyniósł szare chmury i mżawkę. Kate przygotowywała

samolot do lotu, a w tym czasie Paul badał dwóch górników, których nie zdążył przyjąć poprzedniego dnia. Ze wszech sił starała się nie zważać na ból w gardle i piersi oraz łupanie w głowie. Skulona w kokpicie, rozgrzewała silnik, dygocząc z zimna.

Zaczynała już tracić cierpliwość, kiedy wreszcie pojawił się Paul. Mieli przed sobą długi lot do McGrath. Jeszcze nie wystartowali, a ona już marzyła o ciepłym łóżku i porządnym nocnym wypoczynku.

Paul w końcu wsiadł do samolotu.

– Przepraszam – rzekł, zajmując fotel. – Jeden z mężczyzn paskudnie rozciął sobie rękę siekierą, rąbiąc drewno na podpałkę.

– Ojej – wychrypiała Kate, wyrzucając sobie swoje rozdrażnienie.

– Nie podoba mi się ta chryпка. Może lepiej nie ruszać się stąd przez parę dni, żebyś mogła odpocząć.

– Nie, dziękuję. Nie mam ochoty spędzić kolejnej nocy w namiocie i na łóżku polowym.

Skierowała samolot na wyboisty, trawiasty pas startowy. Deszcz zaczął w zaparowaną szybę. Kate niewiele widziała. Ponieważ było już za późno na zrezygnowanie ze startu, ufając swojemu instynktowi zwiększyła prędkość i oderwała maszynę od ziemi. Od razu nabrała większej pewności siebie.

Kolejne dwa dni minęły jak we mgle, pod znakiem kaszlu i bólu. Pomimo zaaplikowanej przez Paula aspiryny głowa i twarz Kate pulsowały. Nie chciała się poddać, walczyła z niemocą. Poza tym praca pomagała jej oderwać myśli od Mike'a.

Kotzebue wyglądało tak, jakby nadeszła już zima. Ziemię pokrywał szron, od strony cieśniny dął przejmujący wiatr.

Joe i Paul zabezpieczyli samolot, Kate spuściła paliwo. Nie mogła ryzykować, że zamarznie. Następnie we troje nakryli kadłub plandeką i ruszyli w kierunku miasteczka. Angel biegła truchtem przed nimi. Znała drogę.

Nena przywitała gości uśmiechem.

– Dobrze was widzieć. – Wzięła Kate w ramiona. – Bardzo ci współczuję. Oplakujemy twoją stratę i wiemy, jak bardzo musi brakować ci Mike'a. Taki dobry był z niego człowiek.

Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wszyscy jej współczuli, ale słowa nie przynosiły ukojenia.

– Żył tak, jak chciał. – Tylko taka odpowiedź przyszła jej do głowy.

Dzieci Turchików podbiegły do niej i objęły ją za nogi. Uściskała je po kolei, powstrzymując łzy. Dobrze było czuć się kochaną, jednak ta sympatia jedynie potęgowała poczucie straty. Angel wcisnęła się między dzieci i swoją właścicielkę, domagając się uwagi. Roześmiani chłopcy obsypali psa uściskami i pocałunkami.

Nena wypuściła Kate z objęć i delikatnie ją odsunęła.

– Masz gorączkę. – Przyjrzała się jej uważnie. – Jesteś chora?

– Tylko przeziębiona.

– Widzę i słyszę. To coś poważniejszego.

Nena spojrzała na Paula.

– Nie pozwala sobie pomóc – powiedział ze wzruszeniem ramion. –

Kawał z niej uparciucha.

Gospodyni zaprowadziła Kate do krzesła.

– Siadaj tu, niech doktor cię obejrzy.

Kate była zbyt zmęczona, by protestować, więc opadła na wskazane siedzisko. Nena odebrała od niej kurtkę.

Paul postawił na stole torbę lekarską. Po chwili obmacał szyję Kate.

– Węzły chłonne wyglądają paskudnie. – Wyjął z torby szpatułkę. –

Otwórz buzię i wystaw język. – Wyszczrzył zęby.

Ona też prawie się uśmiechnęła.

Obejrzał gardło, a potem osłuchiwał serce.

– Oddychaj głęboko.

Kate zastosowała się do polecenia, co wywołało atak kaszlu. Kiedy kaszel ustąpił, Paul przesuwiał stetoskop z miejsca na miejsce, za każdym razem ponawiając prośbę o głębokie oddychanie.

– Nie słyszę zapalenia płuc. To dobrze. – Wziął do ręki termometr. – Wsadź pod język.

Posłusznie włożyła termometr do ust, ale czuła skrępowanie. Dotyk Paula wydawał się aż nazbyt znajomy.

Następnie zaczął delikatnie uciskać kciukami jej twarz, rozpoczynając od miejsca nad oczami.

– Czy to boli?

Kiwnęła głową.

Ucisnął policzki.

– A tutaj?

– Uhm – mruknęła z termometrem w ustach.

Paul go wyciągnął i szybko odczytał wskazanie:

– Trzydzieści osiem i trzy. Jesteś chora. Prawdopodobnie zapalenie zatok połączone z infekcją oskrzeli. – Popatrzył jej prosto w oczy. – Musisz odpocząć. I pooddychać gorącą parą.

– Dobrze. Odpocznę.

– Mam zupę – zaproponowała Nena. – A filiżanka gorącej herbaty przyniesie ci ulgę.

– Chętnie napiję się herbaty – odparła Kate. – Dziękuję, Neno.

– Zagotuję wodę. Zjesz, a potem położysz się do łóżka – zakomenderowała Nena z matczynym uśmiechem na twarzy.

Dwa dni później, gdy Paul i Kate opuszczali Kotzebue, Kate wciąż była

chora, ale gorączka spadła, a kaszel zelżał. Głowę nadal miała ciężką, zdarzały się też zawroty. Najlepsze, co mogła w tej sytuacji zrobić, to wrócić do domu.

W drodze powrotnej do Anchorage mieli mniej przystanków, obliczyła więc, że za dwa, trzy dni znajdzie się we własnym łóżku. Atmosfera między nią a Pauliem ocieplila się od czasu ich pierwszego przystanku na trasie. Jego życzliwość i zainteresowanie sprawiły, że czuła się otoczona opieką. Znowu byli przyjaciółmi.

Następnego dnia obudziła się z uczuciem ucisku w głowie i uszach. Nie wspomniała o tym Paulowi. Jedyne, czego chciała, to jak najprędzej dotrzeć do domu. Im szybciej wystartują, tym wcześniej będą na miejscu.

Gdy zbliżali się do Palmer, świat nagle przewrócił się na bok, a potem zaczął wirować. Kate czekała, aż to wrażenie minie. Zamiast tego jeszcze przybrało na sile. Ziemia i niebo stopiły się w jedno i wszystko wymknęło się spod kontroli. Kate nie potrafiła odczytać wskazań przyrządów. Nie była w stanie określić swojego położenia, straciła nawet orientację, czy samolot leci prosto, czy nie. Dopadły ją nudności. Słyszała o przypadkach zawrotów głowy na wysokości, ale sama nigdy ich nie doświadczyła.

Przyłożyła dłoń do lewego ucha, w którym ucisk był dotkliwszy. Przechyliła głowę w bok, lecz ten ruch jedynie pogorszył sprawę. Ze wszech sił próbowała skupić się na przyrządach, jednak bez względu na to, jak bardzo się starała, nie potrafiła ich odczytać. Koszmar Kate zaczynał się spełniać. Nie dość, że sama zginie, to zabije człowieka, którego kochała. Nie powinna była ruszać się z ziemi.

– Paul, mam kłopot. Kręci mi się w głowie.

– Kręci w głowie? Jak bardzo?

– Bardzo. Wszystko wiruje mi przed oczami. Ja... nie mogę prowadzić samolotu. Nie odróżniam góry od dołu. – Zaciśnęła dłonie na sterach, walcząc z paniką. Musi się uspokoić. Zamknęła oczy i próbowała oddzielić ruch maszyny od tego, co działo się w jej głowie. Rozluźniła uścisk i wsłuchiwała się w silnik, by sprawdzić, czy utrzymuje właściwe obroty.

– Trzymaj głowę całkowicie nieruchomo i nie otwieraj oczu.

Posłuchała, ale świat nadal kręcił się w kółko.

– Nie ma poprawy... Ja... ja chyba zwymiotuję.

– To normalne przy takich dolegliwościach.

Ta uwaga nie poprawiła kobiecie samopoczucia. Mimo pogłębiającej się paniki Kate toczyła wewnętrzną walkę o odzyskanie spokoju. Od tego zależało życie jej i Paula.

– Spójrz na chylomierz i powiedz mi, czy trzymamy poziom.

– Kulka przechyla się na lewo.

Kate wyrównała lot, dotykając pedałów.

– Teraz lepiej?

– Nie. Za mocno. Przechylamy się na prawo. – Głos Paula był opanowany.

Kate wcisnęła pedał.

– Okej. Dobrze.

– Będziesz musiał poprowadzić samolot i wylądować. Ja ci pomogę.

– Na pewno nie dasz rady sama?

– Nie. Nie potrafię nawet odróżnić, gdzie góra, gdzie dół.

– No dobrze.

Jeśli nawet Paul był wystraszony, nie dawał tego po sobie poznać. Żołądek podjeżdżał Kate do gardła. Z trudem hamowała odruch wymiotny.

– Masz monetę albo coś płaskiego, czego mógłbyś użyć, żeby obluzować ster?

– Tak, mam dwadzieścia pięć centów.

– Okej. Przekręć śrubę u podstawy kolumny sterowniczej. To ją poluzuje.

Gdy Paul sięgał do kolumny, Kate poczuła, jak jego ciało napiera jej na nogę.

– Dobra. Mam.

– Obraca się, przekręć ją teraz w swoją stronę.

– Gotowe.

– Samolot jest teraz w twoich rękach.

– Co mam robić?

– Musisz wczuć się w układ sterowania. Będziemy wykonywać delikatne manewry. Zmieniaj położenie dziobu pedałami steru kierunkowego, które masz pod nogami. Wcisnij prawy pedał. Dziób powinien lekko zwrócić się na prawo.

– W porządku.

– A teraz wciśnij lewy pedał. Dziób skieruje się w lewo. – Kate odczuła zmianę, ale nie potrafiła określić, jak bardzo się przesunęli. Zawroty głowy zniekształcały doznania.

– Patrz na dziób na horyzoncie i obserwuj, jak się porusza. A skrzydła? W poziomie?

– Prawie.

– Które jest niżej?

– Prawe.

– Przekręć koło sterowe delikatnie w lewo. Spróbuj złapać poziom.

Czekała. Gdy otworzyła oczy, zawroty głowy się wzmogły, więc czym prędzej zamknęła powieki.

– Udało się?

– Tak. Chyba jest dobrze. – W głosie Paula pobrzmiwała nuta

napięcia.

– Paul, słyszę, że silnik zwalnia obroty. Pchnij koło sterowe... delikatnie. Okej, teraz brzmi lepiej. – Oblizła spierzchnięte usta. – Musimy znaleźć miejsce do lądowania. Jestem zupełnie pewna, że wkrótce wyłoni się otwarty teren, który się do tego nadaje.

– Pól nie brakuje, ale są ogrodzone.

– Nie, popatrz dalej. Na pewno jest tam wystarczająco duże pole.

– Tak, widzę. Jakies cztery, pięć mil przed nami.

– W porządku. – Kate trzymała nerwy na wodzy, choć studzenie emocji przychodziło jej z dużym trudem. – A teraz użyj steru kierunku i poprowadź maszynę w stronę tego pola.

– Robi się.

– Latałeś tym ptakiem nie raz. Prawdopodobnie potrafisz więcej, niż ci się wydaje. Dasz sobie radę.

– Cholerna racja.

Żartobliwy ton Paula ją uspokoił.

– No i jak się czujesz?

– Całkiem, całkiem. Zaczynam chwycać, o co w tym chodzi. Prawdę mówiąc, Mike pozwolił mi parę razy pilotować.

Dzięki ci, Mike.

– Rzuć okiem na wysokościomierz. Jaką mamy wysokość?

– Dwa tysiące stóp.

– Ciut za wysoko, jednak to nie problem. Zacznij schodzić. Pamiętaj, stopniowo. I zmniejsz moc o jeden stopień.

Wsluchiwała się w dźwięk silnika. Paul dobrze sobie radził. Zdobyła się na uśmiech i odważyła się otworzyć oczy.

– I jak ci się podoba?

– W porządku. Rozumiem, na czym to polega.

– Wiem, że tak, ale nie dekoncentruj się. I pamiętaj, każdy ptak lubi latać.

– To się wie.

– Cały czas koryguj ster kierunku, żeby prowadzić nas na pole. Zredukuj moc, żebyśmy mogli rozpocząć łagodne schodzenie. Dziób powinien być odrobinę niżej. Ale nie ciśnij w dół. Pamiętaj, spokojnie, łagodne ruchy. Skrzydła w poziomie? – Poczula, jak Paul koryguje lot. Miał trochę za ciężką rękę. – Trzeba zastosować trym. Jeśli jesteś gotowy, zerknij na prędkość lotu, a potem znów na dziób.

– Wszystko wydaje się w porządku.

– Dobrze. Powiedz mi, kiedy będziesz miał na kursie pole. Gdy znajdziemy się w odległości mniej więcej czterech mil od miejsca lądowania, powinniśmy być na pułapie ośmiuset stóp.

– Pole na kursie, ale mamy za dużą wysokość.

– Jaką?

– Tysiąc stóp.

– Nie jest źle. Schodzimy niżej. Pamiętaj, delikatne ruchy.

Zawroty głowy nagle się nasiliły. Kate chwyciła się fotela, by z niego nie spaść. Poczwała w ustach gorzki smak żółci i starała się przelknąć gorycz.

– Nie możemy lecieć zbyt wolno, bo nasz ptak odmówi posłuszeństwa. Dziób lekko w dół.

Otworzyła oczy, chcąc się przekonać, czy świat nadal wiruje. Wirował.

– Okej, teraz trudny moment. Gdy zbliżymy się do ziemi na odległość, powiedzmy, piętnastu stóp, stopniowo ciągnij ster, ale nie za szybko. Kiedy będziemy tuż nad ziemią, wszystko potoczy się błyskawicznie. Musisz mnie informować. Tworzymy zespół.

Kilka minut upłynęło w milczeniu. Nagle Kate usłyszała skomlenie Angel.

– Co się dzieje? Gdzie jesteśmy? – zapytała.

– Ziemia prędko się przybliża – wyjaśnił Paul spiętym głosem. – Lewe skrzydło jest niżej.

– Przesuń delikatnie ster w prawo i zredukuj prędkość. – Kate mocniej zacisnęła dłonie na fotelu. – I ciągnij ster do siebie.

– Ziemia tuż-tuż. Prawie jesteśmy. – Głos Paula stał się ostry, przenikliwy.

Samolot mocno podskoczył, przechylił się i zatrzęsł, jakby dostał czkawki.

– Odbijamy w prawo!

Kate próbowała kontrolować sytuację, a po chwili poczuła, jak maszyna zwalnia, a jej waga opiera się na wszystkich trzech kołach. Zbyt gwałtownie wytraciła prędkość. Kate czuła, jak ogon zadziera się w górę i przechyla na prawo. Śmigło zaryło w ziemi, bellanka zawahała się, zachybotła, po czym stanęła nieruchomo, wsparta na śmigle i prawym skrzydle.

– Na dwór! Szybko! – krzyknęła Kate. – Może wybuchnąć pożar! – Próbuując działać jak najszybciej w wirującym świecie, poczuła na ramieniu rękę Paula. – Gdzie jest Angel?

– Tutaj – powiedział. Pomógł Kate wstać z fotela i pokierował ją do wyjścia na tyłach samolotu. Niewiele widząc, pewna, że za chwilę zwróci całe śniadanie, zdołała wygramolić się na zewnątrz. Paul obejmował ją w pasie i prowadził jak najdalej od samolotu. Gdy w końcu się zatrzymał, krzyknął: – Udało się!

Kate usiadła na ziemi, przyciskając dłonie do trawy w poszukiwaniu czegoś twardego i nieruchomego, ale świat nie przestawał się kręcić. Zamknęła oczy i poczuła, jak Angel trąca ją nosem. Złapała psa za szyję.

– Udało się, piesku.

Wypuściła suczkę z objęć i próbowała się rozejrzeć, ale karuzela przed oczami uniemożliwiała rozróżnienie czegokolwiek.

– A teraz musimy się stąd jakoś wydostać.

W normalnych okolicznościach w tej części Alaski nie nastęczałoby to większych trudności, lecz Kate nadal nie wiedziała, gdzie góra, gdzie dół, a najmniejszy nawet ruch wzmagał zawroty głowy. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek była tak chora.

Paul usiadł obok niej.

– Jak się czujesz?

– Okropnie. Ale cieszę się, że jeszcze żyję. – Uśmiechnęła się i oparła o niego. – Dziękuję.

– To ja dziękuję. Mogłabyś zadzwonić do Jacka i poprosić, żeby kogoś po nas wysłał?

– Oczywiście.

Spojrzała na niebo. Jedyne, co widziała, to kłębowisko błękitu i bieli.

– O mało nas nie zabiłam.

– To nie twoja wina. Nie miałaś żadnego wpływu na sytuację.

– Miałam. Tuż przed startem lekko kręciło mi się w głowie i czułam ucisk w uszach. Powinnam była mieć więcej rozumu. I nie wsiadać za stery, kiedy gorzej się poczułam. Zrobiłam straszną głupotę.

W tej samej chwili zrozumiała równie okropną prawdę. Koniec z lataniem.

– Już nigdy nie wsiądę do samolotu. Nigdy w życiu. Skończyłam z tym.

Kate już się pożegnała. Nie miała ochoty robić tego jeszcze raz, ale Muriel z rodzicami uparli się, że odprowadzą ją na dworzec kolejowy.

Albert skręcił na parking, a spojrzenie Kate powędrowało w stronę stojącego na stacji pociągu pasażerskiego. Czy to ten, który ma zawieźć ją do Seward?

Nagle dotarła do niej bolesna prawda, że opuszcza Alaskę. Przez tydzień leżała chora w łóżku, lecz nie odstąpiła od decyzji powziętej w dniu, gdy Paul wylądował zamiast niej na polu. Nadszedł czas powrotu do domu.

Muriel z trudem powstrzymywała łzy. Głaskała delikatny puszek na głowie synka i chlipała w chusteczkę.

Kate pogładziła Angel po karku i przyciągnęła ją do siebie, to bowiem pomagało jej zapanować nad własnymi uczuciami. Miała już dość łez. Wysiadła z samochodu, trzymając psa na smyczy. Wokół kłębili się ludzie, a ona zastanawiała się, dokąd tak spieszą i po co.

Albert otworzył bagażnik i wyjął walizkę Kate.

– Masz lekki bagaż.

Wzruszyła ramionami i spojrzała na trzymaną przez siebie torbę.

– Nie mam zbyt wielu rzeczy, nigdy nie potrzebowałam więcej. – Zerknęła na zegarek. – Pójdę odprawić Angel i bagaż. – Wyciągnęła rękę po walizkę.

– Ja poniosę. – Albert szedł już w kierunku dworca. Kate podążyła za nim.

Kupno biletu i odprawa bagażu zajęła tylko kilka minut. Kate zaprowadziła Angel do klatki, w której pies miał spędzić całą podróż aż do Seattle. Ogarnęły ją wątpliwości, czy podjęła słuszną decyzję, zabierając ze sobą zwierzę. Podróż będzie długa, a pogoda w Yakimie może dać się we znaki psu o tak gęstej sierści. Zastanawiała się, czy nie zostawić Angel na Alasce, nie potrafiła jednak się na to zdobyć. Uklękła i poglaskała swoją psią przyjaciółkę przez drewniane szczelki.

– Przepraszam, piesku. Ale zobaczysz, będziemy w domu, zanim się obejrzyś.

Zmusiła się do odejścia od transportera.

Pociąg stojący przed dworcem okazał się jechać na północ. Wagony zaczęły się oddalać, a lokomotywę spowijały kłęby pary. Kate schowała bilet do torby i wyszła z budynku dworca na chłodne jesienne powietrze.

Stała na drewnianym peronie i patrzyła na tory.

– A więc? Gotowa do drogi? – zapytała Helen. Szklily się jej oczy.

– Tak.

– Jesteś pewna, że ta mała torba podróżna i walizka mieszczą wszystko, co będzie ci potrzebne do chwili wejścia na statek?

– Są w sam raz. – Kate podniosła skromny bagaż. – Powinnyśmy z Angel wsiąść na pokład przed wieczorem.

Helen podała Kate koszyk.

– Przygotowałam ci coś do jedzenia na drogę. Na pewno zgłodniejesz przed dotarciem do Seward.

– Dziękuję.

Kate nie wyobrażała sobie, że może poczuć głód. Wykręcał się jej żołądek. Na samą myśl o dobroci tej kobiety lzy cisnęły się jej do oczu.

Muriel i Helen usiadły na ławce, pomiędzy nimi Kate. Młoda mama podrzucała na kolanach synka. Albert stał oparty o poręcz.

– Nie wiem, co bez ciebie pocznę – rzekła Muriel. – Na pewno nie dasz się przekonać do zostania?

Kate wbiła wzrok w splecione na udach dłonie.

– Czas wrócić do domu, tam, gdzie moje miejsce. Nic w życiu nie trwa wiecznie. – Ścisnęła przyjaciółkę za rękę. – Napiszę. No i kto nam zabroni od czasu do czasu do siebie dzwonić? Może mnie odwiedzisz. Z przyjemnością pokazałabym ci dolinę Yakimy. To piękne miejsce, ale zupełnie inne niż tutaj.

Muriel przytuliła Kate. Po policzkach płynęły jej lzy.

Od strony wzgórz nad dworcem rozległ się gwizd lokomotywy.

– To pewnie twój pociąg – rzekł Albert, wychylając się nad poręczą i spoglądając w dal.

Maszyna z sykiem i łoskotem wtoczyła się na stację, sapnęła i stanęła, spowijając peron obłokami buchającej pary. Kate wstała, przyciskając do brzucha koszyk z prowiantem. To już koniec. Chwila, której się bała – ostateczne rozstanie.

– Na mnie już czas.

Obejrzała się na budynek stacji, powiodła wzrokiem po zatoce, która rozpościerała się aż po horyzont. Będzie tęskniła za Alaską. Czy tutaj było jej miejsce?

Pasażerowie wysiedli. Wzdłuż wagonów wędrował mężczyzna, wołając:

– Wsiadać! Proszę wsiadać!

– Och, nadszedł czas. – Helen skubała guzik przy płaszczu. – Będę się za ciebie modlić, moja droga. – Przyciągnęła do siebie Kate. – Pan zna twoje ścieżki i na pewno ci je wskaże.

– Już wskazał. – Kate się uśmiechnęła, dzielnie hamując lzy. Przywarła

mocno do Helen. – Dziękuję, byłaś mi najdroższą przyjaciółką. Byłaś dla mnie jak matka. Nie wiem, jak dałabym sobie bez ciebie radę. – Odsunęła się. – Będę okropnie za tobą tęsknić. I za twoimi ciasteczkami – dodała, starając się rozładować atmosferę.

– Dołączyłam kilka przepisów. Są w koszyku – oznajmiła Helen z uśmiechem. – Będiesz teraz miała kuchnię z prawdziwego zdarzenia, więc jest okazja do wypróbowania kilku z nich.

– Postaram się upiec coś razem z mamą. Dziękuję... za wszystko. – Zwróciła się do Alberta, padając mu w objęcia. Cmoknęła go w policzek. – Mam nadzieję, że odwiedzicie mnie z Helen.

– Postaramy się – odparł z błyszczącymi oczami.

Pociąg ogłuszająco gwizdnął. Kate odprowadziła wzrokiem przejeżdżający obok wózek bagażowy, na którym prócz walizek jechała klatka Angel. Widok zamkniętego za kratami psa wytrącił ją z równowagi. Ubolewała, że nie może skorzystać z innego sposobu przewiezienia suczki do Yakimy, choć była taka możliwość – mogły polecieć samolotem. Ale na samą myśl o tym skręcało ją w żołądku.

Muriel nie kryła się już z płaczem. Jedną ręką ocierała oczy, drugą tuliła dziecko.

– Och, będzie mi ciebie brakowało.

Kate pocałowała niemowlę w czubek głowy i przytuliła do niego policzek.

– Jesteś małym szczęściarzem. Masz najlepszą mamę na świecie. – Uśmiechnęła się do Muriel. – Dziękuję. Cudowna z ciebie przyjaciółka.

Do oczu Muriel napłynęły świeże łzy, drżał jej podbródek. Kiwnęła głową, a potem objęła Kate wolnym ramieniem.

– Co ja bez ciebie zrobię?

– Będiesz tak zajęta, że nawet nie zauważysz, że mnie nie ma.

– Nieprawda. Wrócisz tu, dobrze?

Kate mocniej przytuliła młodą matkę.

– Zobaczymy. Może.

Nie miała zamiaru wracać. Alaska była już za nią. Przed nią zaś rysowała się nowa droga.

– Będzie cię tu ciągnąć. Jesteś Alaskijką.

– Nie, nie jestem.

– Jesteś. Ja to wiem.

– Wiem, co... – urwała w pół zdania. W jej stronę kroczył Paul z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki. Absolutnie się go tutaj nie spodziewała.

Muriel odwróciła się, chcąc zobaczyć, co przykuło wzrok Kate.

– O mój Boże! Co on tutaj robi? – Wydawała się zirytowana. – Od pogrzebu Mike'a minęło raptem kilka tygodni.

Helen chwyciła Muriel za ramię i pociągnęła ją za sobą. Kate przyglądała się Paulowi, zastanawiając się, po co przyszedł. Na jego twarzy malował się ból.

– Słyszałem, że wyjeżdżasz. Nie mogłem pozwolić ci odjechać bez pożegnania.

– Planowałam wyprawę nad strumień, ale jakoś nie doszła do skutku. Zerwałam z lataniem, więc dostanie się tam... no cóż, bez samolotu to skomplikowane.

Paul zerknął na pociąg. Pasażerowie wsiadali do wagonów.

– Chciałem życzyć ci powodzenia i powiedzieć, że... będę za tobą tęsknił.

– Masz zamiar nadal leczyć?

– Tak, jestem tu potrzebny. I na pewno uda mi się znaleźć jakieś loty. Ale bez ciebie będzie to utrudnione... a już z pewnością o wiele mniej przyjemne. – Wyjął ręce z kieszeni i zachowywał się tak, jakby chciał jej dotknąć, po chwili jednak schował je z powrotem. – Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś wrócisz. Milo by było znów wsiąść z tobą do samolotu.

Kate skupiła wzrok na trzymanym przed sobą koszyku z prowiantem.

– Już mówiłam... nie zamierzam więcej latać. – Bała się, prawdę mówiąc, była przerażona. Zdolała podnieść na niego wzrok i z największym przekonaniem, na jakie potrafiła się zdobyć, rzekła: – Czas odzyskać zdrowy rozsądek. Ustatkować się. – Odrzuciła włosy z czoła. – Moja mama będzie szczęśliwa.

– A ty?

– Ja też. – Nawet Kate usłyszała w tym stwierdzeniu fałsz.

Paul pokiwał głową.

– Gdybyś zmieniła zdanie, ja się stąd nie ruszam i zawsze z radością przelecę się twoim samolotem. – Delikatnie chwycił ją za ramię. – Kate, może jeszcze za wcześniej... może powinnaś zaczekać z podjęciem tak poważnej decyzji.

Spojrzała na jego dłoń.

– Nie. Już postanowiłam. To słuszne postanowienie. – Obejrzała się na pociąg. Czas wsiadać. – Jack wystawi mój samolot na sprzedaż.

Paul patrzył na wsiadających pasażerów.

– Pamiętaj o tym, żeby pożegnać ode mnie Sassę, Patricka i chłopców. Oraz Lily. Pewnie będzie trzymać się domu... ze względu na dziecko i tak dalej.

– Tak. Ja też będę w pobliżu, na wypadek gdyby mnie potrzebowała.

Kate się wzdrygnęła. *Ma na myśli pomoc lekarską czy coś więcej?*

– Z pewnością na ciebie liczy.

Przenikliwy świst ostrzegł pasażerów o rychłym odjeździe pociągu.

– Muszę iść. – Chciała szybko uściskać Paula, on jednak ją

przytrzymał. W końcu się odsunęła. – Napiszę.

– Będę wypatrywał twoich listów. – Uśmiechnął się, ale w oczach zabrakło ogników. – Uważaj na siebie.

– Będę uważać.

Zrobiła krok w stronę pociągu.

Podbiegła do niej Muriel, chcąc po raz ostatni uściskać ją przed odjazdem. Albert pomachał, a Helen przesłała całusa.

– Do widzenia, kochana. Będę się modlić! – zawołała.

Kate postawiła stopę na pierwszym schodku. Na ostatnim przystanąła. Paul nadal za nią patrzył. Ból, który poczuła, był tak ostry, jakby ktoś zatopił jej nóż w sercu. Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, ten mężczyzna wciąż nie był jej obojętny. Zrobiło się jej wstyd. Od śmierci Mike'a nie minął nawet miesiąc.

Odwróciła się i weszła do wagonu. Znalazła miejsce na końcu. Ledwie zdążyła usiąść, gdy pociąg szarpnął i odjechał z peronu.

Patrzyła na Zatokę Cooka. Do oczu cisnęły się łzy. Ocierała je, mimo to na ich miejsce napływały nowe. Widziała wszystko jak przez mgłę. Przyłożyła policzek do szyby. Była zimna.

Kate też czuła w środku chłód.



Paul, pogrążony w głębokim smutku, patrzył za odjeżdżającym pociągiem, póki ten nie zniknął w oddali. Wybrał życie bez niej, ale że często ją widywał, zawsze wydawała mu się bliska. A teraz zniknęła z jego życia na dobre i już nic nie będzie takie samo. Powinien był próbować ją zatrzymać.

Zbliżyli się do niego Townsowie.

– Paul, nie wiedzieliśmy, że jesteś w mieście – odezwała się przyjaznym tonem Helen.

– Miałem parę spraw do załatwienia, poza tym postanowiłem przyjąć się pożegnać... skoro i tak byłem w pobliżu. – Nie chciał, by znali prawdę. Że jedynym powodem przyjazdu do miasta było zobaczenie się z Kate. Ścisnęło mu się gardło. – Nie sądziłem, że naprawdę wyjedzie. Kocha Alaskę.

– Może kiedyś wróci – odparła Helen. – Mam taką nadzieję.

– No a jak miewają się Sassa i Patrick? – zapytał Albert.

– Dobrze, urobieni po łokcie. Wiecie, jak bywa o tej porze roku, kiedy zbiera się ostatnie plody rolne i szykuje przetwory na zimę.

Albert pokiwał głową.

– Przymuszczam, że tym razem przygotowują się wyjątkowo starannie z uwagi na Lily... która, no... jest przy nadziei.

Helen posłała mu spojrzenie mówiące: „zamknij buzię”.

– Chciał powiedzieć, że pewnie szczególnie się martwią, ponieważ nadchodzi zima, a do szpitala taki szmat drogi.

– Przecież mają lekarza po sąsiedzku – powiedział Paul, zirytowany, że pogawędka zesłała na Lily i jej błogosławiony stan. To nie jest temat do rozmów. A ponieważ Lily jest niezamężna, takie gadanie graniczy z plotką.

– Ależ naturalnie – wyjąkała Helen. – Co z pewnością rozprasza nieco ich obawy.

Między Paulem i Townsami zaległo milczenie. Podejmując oczywistą próbę zmiany tematu, Helen rzekła:

– Jesień to piękna pora roku.

– Tak. – Paul uchylił kapelusza. – Cóż, czas ruszać w drogę, żeby zdążyć do domu przed zmrokiem.

– Miło było cię widzieć – powiedział Albert. – Będziemy cię wyglądać. Może zajrzysz w przyszłym miesiącu?

– Przyjadę przed zimą.

Helen położyła mu dłoń na ramieniu.

– I proszę, przekaż Sassie, że będziemy modlić się za nią... i za całą rodzinę.

– Przekażę.



Paul ledwo zdążył dobić do pomostu, a już Douglas, najstarszy syn Patricka, przybiegł mu na spotkanie.

– Cześć. Jak minęła podróż?

– Dobrze. – Paul rzucił mu cumę, a chłopak przywiązał łódź.

– Mama pyta, czy nie miałbyś ochoty zjeść z nami kolacji. Jest karibu i placek z jagodami. – Obliznął usta, by podkreślić, jak uwielbia jagodowe ciasto.

– Chętnie. Miło nie musieć sobie gotować.

Paul wyskoczył z łodzi i ruszył ścieżką za Douglasem.

– Daj mi pięć minut. Umyję się i zaraz przyjdę.

– Dobrze. – Chłopak pędem oddalił się w stronę domu, podskakując po drodze do gałęzi. Zatrzymał się i odwrócił. – Aha. Nakarmiłem psy.

– Dziękuję. Doceniam twoją pomoc. Doskonale się nimi opiekujesz.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu i odbiegł ścieżką.

Paul zatańczył do szopy weki, a następnie poszedł przywitać się z psami. Każdego wytarł, po czym udał się do chaty. Nalał do miski zimnej wody, zdjął koszulę. Pochylił się przed ustawionym na sekretarzyku lusterkiem i zgolił brzytwą dwudniowy zarost. W domu

panowała nienaturalna wręcz cisza. Wyobraził sobie Kate w jadącym na południe pociągu. Przebył kiedyś tę trasę. Prowadziła wśród pięknych krajobrazów, a na wielu odcinkach widać było ocean. Żałował, że nie dzieli wraz z nią trudów tej podróży.

Mieszkał sam od ponad sześciu lat, ale tego dnia uczucie osamotnienia doskwierało mu szczególnie dotkliwie. Nie umiał odpędzić atakujących go wspomnień – wspólnych lotów do pacjentów, pogawędek i sprzeczek, śmiechu Kate. I tego, jak na niego czekała, gdy ruszył w pościg za niedźwiedziem, mimo że miało to miejsce już po ich rozstaniu. Była silna i zrównoważona nawet w chorobie, a dzięki jej pomocy wylądował. Zaszokowała go jej decyzja, że kończy z lataniem.

Zgolili zarost na szyi, po czym oczyścił ostrze brzytwy o krawędź miski. Tak długo ludził się, że Kate zaniecha pilotażu, a teraz, gdy się to stało, zrozumiał, że to wielki błąd. Latanie było nieodłączną częścią niej samej. Rezygnacja z niego to jak amputowanie ręki albo nogi. Jak będzie żyć bez latania? Z dała od Alaski? Jej miejsce jest tutaj.

Oplukał brzytwę, wytarł resztki mydła, ochlapał twarz wodą. Umył ciało mokrym ręcznikiem i założył świeże ubranie. Przydałoby się rozpalić ogień, ale nie miał na to czasu. Zrobiło się późno, Sassa pewnie już się niecierpliwi. Napali po powrocie.

Drzwi otworzył Patrick.

– Czołem, sąsiedzie. Dobrze, że już wróciłeś. Jak poszło w Anchorage?

Paul wiedział, że Patrick się o niego troszczy, jednak zawsze domagał się też wszystkich nowin. Tym razem z pewnością zżerała go ciekawość, czy Kate rzeczywiście wsiadła do pociągu, czy nie.

– Dobrze. Kupiłem trochę zapasów i jeszcze pożegnałem się z Kate.

Patrick zamknął drzwi i przeszedł do pokoju.

– Szkoda, że tak niespodziewanie wyjechała. Ciekawe, czy będzie tam szczęśliwa.

– Kolacja prawie gotowa – oznajmiła Sassa. Uśmiechnęła się do Paula, a w okrągłych policzkach pokazały się dołeczki. – Miło cię gościć.

– Dziękuję za zaproszenie. Gdyby nie ty, jadłbym dzisiaj chleb z serem.

Patrick usiadł na swoim ulubionym krześle.

– Jakie Kate zrobiła na tobie wrażenie?

Paul wzruszył ramionami.

– Zrezygnowanej.

– To znaczy?

– Postanowiła wyjechać, ale nie jest z tego powodu szczęśliwa. To widać.

– Oczywiście, że nie. Opuszcza swój dom.

– I nie sądzę, by do niego wróciła. Przeraza mnie myśl, że spędzi życie

na robieniu innych rzeczy niż te, do których została stworzona, a potem będzie żałowała. – Paul podszedł do okna i popatrzył na strumień. – Znam to uczucie.

Powrócił pamięcią do życia, które zostawił daleko w tyle. Jak by to było wrócić do San Francisco, z jego ciasną zabudową, ruchliwymi ulicami? Do pracy w szpitalu? Przywykł do ciszy, odosobnienia i niespiesznego tempa. Gdyby wrócił, czy zdołałby się dostosować? Czy by tego chciał?

– Kolacja gotowa – powiedziała Sassa.

Paul odwrócił się od okna w tej samej chwili, w której do pokoju weszła Lily. Posłała mu serdeczny uśmiech. Jej dłoń opiekuńczo spoczywała na zaokrąglonym brzuchu.

– Cześć, Lily. Jak się czujesz?

– Dobrze. Tylko dzidzius nie daje mi spać. Przez pół nocy kopie.

– To znaczy, że jest silny i zdrowy – skomentowała Sassa. Jak każda matka, której córka była w błogosławionym stanie, Sassa się martwiła, ale zaakceptowała to, co przyniósł los, i zdawała się być z tym pogodzona. Postawiła garnek na stole.

– Skąd wiesz, że to chłopiec? – zapytał Ethan.

– Poznają po brzuchu – odparła z przekonaniem Sassa.

Rozmowa przy kolacji toczyła się swobodnie i wesoło. Właśnie tego było trzeba Paulowi. Nie padły dalsze pytania o Kate. Gdy skończyli jeść, Sassa jak zwykle zasugerowała, żeby Paul i Lily wybrali się na spacer.

Paul zdążył do tego przywyknąć i nie spodziewał się niczego innego. Zresztą nie miał nic przeciwko pogawędce z Lily. Była interesującą osobą, zawsze miała w zanadrzu jakieś opowieści z życia w dziczy.

Kiedy tylko oddalili się od domu, Lily powiedziała:

– Przepraszam za mamę. Ona nie da za wygraną.

Paul się uśmiechnął.

– Mi to nie przeszkadza. Lubię twoje towarzystwo i ją rozumiem. Mama chce, żebyś z kimś się związała, zwłaszcza teraz, gdy będziesz wychowywać dziecko. – Zawahał się, nie wiedząc, czy powinien zadać pytanie, które od pewnego czasu chodziło mu po głowie. Zebrał się na odwagę. – Czy jego ojciec wie? Dziecko powinno mieć ojca.

Lily przeciągle westchnęła, usiadła na pniu i przycisnęła ręce do krzyża.

– Wie. – Zacisnęła usta. – I nic go nie obchodzi. – Przeniosła dłonie na brzuch, jakby pieściła nienarodzone dziecko. – Poradzimy sobie bez niego.

Mgły kłębiły się wokół statku sunącego po wodach cieśniny Puget. Kate stała na pokładzie i kuląc się w kurtce, próbowała przeniknąć wzrokiem mleczne opary w nadziei dostrzeżenia mającego w oddali Seattle. Po sześciu długich dniach morskiej podróży marzyła o zejściu na ląd i powrocie do znanego z przeszłości życia.

Rodzice mieli tu po nią wyjechać. Nie mogła się doczekać ich kojących objęć. Choć zaproponowała, że dojedzie pociągiem z Seattle do Yakimy, oszczędzając мамie i tacie wyprawy przez góry, uparli się, że powitają ją w porcie osobiście. Teraz się z tego cieszyła. Nie była pewna, czy zniosłaby dłuższe oczekiwanie. Wiedziała też, że Angel nie może się doczekać uwolnienia z klatki. Podczas rejsu codziennie wyprowadzała ją na spacer przynajmniej dwa razy, ale to i tak było zdecydowanie za mało.

Pod pewnymi względami podróż okazała się dla Kate zbawienna. Dała jej czas do namysłu i modlitwy. Myśli oscylowały między zalem, że nie została w Anchorage, a wiarą, że wyjeżdżając, postąpiła słusznie. Czuła bliskość Mike'a. Próbowała sobie wyobrazić, co by powiedział na to wszystko. Za każdym razem przychodziła jej do głowy jedna i ta sama odpowiedź. Poradziłby, żeby robiła to, co kocha – tyle że teraz się w tym pogubiła. Nie potrafiła też opędzić się od myśli, że Mike robił, co kochał, i właśnie to go zabiło. Żalowała, że nie ma go obok. Pomógłby jej znaleźć siłę, a także by ją rozśmieszał.

Zmarzła. Ciśniej opatulila się kurtką i postawiła kołnierz. Pewnie byłby nią rozczarowany. Poddala się, stchórzyła. On by tak nie postąpił. *Nie jestem nim. Przepraszam. Mike, ale dłużej już nie mogę.*

Lzy piekły pod powiekami. Otarła je. Uroniła ich już dość.

Wpatrując się w mgłę, zastanawiała się, co będzie teraz robić. Wróci do pracy na farmie rodziców? Nie do końca satysfakcjonowała ją ta perspektywa, jednak na razie można na tym poprzestać.

Sezon był w pełni. Mnóstwo pracy przy zrywaniu jablek, robieniu przetworów, cydru, wekowaniu ostatnich warzyw z ogrodu. Pomoc rodzicom wypełni jej czas, a w wolnych chwilach pozwoli zastanowić się także, co dalej. Tak czy owak, rodzicom na pewno przydadzą się dodatkowe ręce do pracy.

Kate uwielbiała tę porę roku w Yakimie – ciepłe dni, poranne przymrozki, aromat dojrzewających jablek, wspólna praca w gronie rodziny i przyjaciół. Święto plonów, potem Święto Dziękczynienia.

Idealny moment na powrót.

Po jesieni zaczynała się pustka. Kate nie miała pojęcia, czym się wtedy zajmie. Zawsze uważała, że będzie pilotką. Teraz nie wiedziała, czego chce. Może zanim się zdecyduje, dostalaby tymczasową pracę w miejscowym sklepie nasiennym albo wielobranżowym. Zawsze wchodziła też w rachubę możliwość zostania żoną i matką. Potrzeba tylko kogoś, kogo pokochałaby z wzajemnością.

Promienie słońca przebiły się przez mgłę, która powolutku zaczynała rzednąć, odsłaniając miasto. Było zdumiewająco duże, zupełnie inne niż miasteczka i osady Alaski.

Wzdłuż zatoki tłoczyły się przysadziste budynki, za nimi zaś na ciasno zabudowanych zboczach wzgórz piętrzyły się drapacze chmur. Przesunęła wzrok na wschód, poza dzielnicę handlu i biznesu. Na pagórkowatym terenie znajdowały się ciche osiedla, a rozłożyste korony drzew i strzeliste zielone krzewy ocieniały domy. W oddali sterczały ośnieżone góry, lśniąc pod błękitem nieba. Dom Kate leżał jeszcze dalej, w dolinie. Nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy.

Spieszonym krokiem poszła do swojej kabiny, zabrała torbę i walizkę, a następnie wróciła na pokład. Wkrótce znajdzie się w domu.

Prowadzony przez holowniki statek dobiegał do nabrzeża, na którym czekał tłum ludzi. Kate lustrowała ludzką ciżbę w nadziei dostrzeżenia rodziców. Ogarnęła ją chwilowa panika, ponieważ nigdzie ich nie widziała. Może nie dojechali.

– Katie! – Usłyszała czyjś głos.

Rozejrzała się za jego źródłem. I wtedy dostrzegła ojca uśmiechniętego od ucha do ucha i machającego do niej ręką. Odwzajemniła pozdrowienie, podniosła walizkę i przesunęła się bliżej trapu. Obserwowała, jak mężczyźni rzucają na nabrzeże potężne plecione liny i cumują statek. Walizka zaczynała jej ciążyć. Kate nerwowo przytupywała nogą. To wszystko wlokło się w nieskończoność.

Wreszcie pozwolono pasażerom wysiąść. Kate miała ochotę przyspieszyć kroku i precyzyjnie się obok tłumy, ale zmusiła się do powolnego dreptania wraz z innymi wysiadającymi. Ledwo dotknęła stopami nabrzeża, a już ojciec porwał ją w ramiona.

Postawiła bagaże i ścisnęła go z całej siły.

– Och, tatusiu! Jakże się cieszę, że cię widzę! – Z jej oczu popłynął zniecacka potok łez.

– Katie – powtórzył, gładząc ją po włosach, jakby instynktownie wiedział, że sam uścisk nie wystarczy. Przywarła do niego. Nagle dały o sobie znać wszystkie smutki i lęki. Kate trwała w uścisku taty, póki jej wzrok nie padł na mamę stojącą cierpliwie u boku męża.

– Mamo!

Matka zamknęła córkę w ramionach.

– Jak dobrze, że znów jesteś w domu.

Tuliła ją do piersi i kołysała, tak jak uspokaja się malutkie dziecko. Kate w końcu niechętnie uwolniła się z objęć.

– Cieszę się, że tu jestem.

Wypowiadając te słowa, Kate wiedziała, że powinna dziękować za takich rodziców i za dom, ale wytrącało ją z równowagi wiszące nad nią poczucie destabilizacji. Naprawdę nie miała pojęcia, co zrobić z własnym życiem. Nigdy dotąd nie budziły się w niej nawet najmniejsze wątpliwości, teraz jednak czuła się tak, jakby dryfowała po oceanie niepewności.

– Masz tylko dwa bagaże? – zdziwił się ojciec.

– Tak – potwierdziła. – Plus ten koszyk od Helen. Zapakowała do niego prowiant na drogę. Zdołałam zjeść wszystko, co włożyła.

– Cóż, nie zaszkodziłoby przybrać trochę na wadze... – wtrąciła matka.

– Sama skóra i kości.

– Nie jest tak źle.

Bill wziął walizkę.

– Myślałem, że przyjechałeś z psem.

– Tak, ale musimy poczekać na rozładunek, a potem zgłosić jej przywóz.

Bill umieścił torby w bagażniku chryslera, zaś Joan wzięła córkę pod ramię.

– Jak minęła podróż? Miałś dobrą pogodę? Jesteś zmęczona?

Kate się uśmiechnęła.

– Podróż w porządku. Pogoda też. I nie, nie jestem zmęczona.

Udali się we troje do biura spedycyjnego.

– Jeśli chcesz, możemy zatrzymać się na nocleg w hotelu – zaproponowała Joan.

– Prawdę mówiąc, wolałabym jechać prosto do domu, jeżeli to dla was nie kłopot. Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę Angel farmę. Będzie zachwycona. Tato, nie miałbyś nic przeciw, żebyśmy przejechali jeszcze dzisiaj przez góry?

– Ani trochę. Jesteśmy tu od wczoraj. A wiesz, jak to jest o tej porze roku: nawet dwudniowa nieobecność oznacza, że będzie sporo pracy do nadrobienia.

– Teraz macie mnie do pomocy.

Kate zauważyła transporter Angel. Pies popiskiwał i merdał ogonem. Podpisawszy formularz odbioru, Kate otworzyła kłatkę i chwyciła suczkę w objęcia.

– Piesku, prawie jesteśmy w domu. Już niedaleko.

Wzięła Angel na smycz i przedstawiła ją rodzicom.

– Przyjemnie będzie patrzeć, jak kręci się na farmie. Oby nie było jej za gorąco – rzekła matka Kate, poklepując psa po głowie.

– Dopilnujemy, żeby się nie przegrzała – odparła Kate i ruszyła w kierunku samochodu.

Bill otworzył tylne drzwi dla córki i Angel, następnie obszedł auto, by zrobić to samo dla żony. Wsiadł za kierownicę i obejrzał się przez ramię.

– No to jak, Katie, gotowa do drogi?

– Tak, już cała się niecierpliwę. – I rzeczywiście tak było. Im szybciej dotrze na miejsce, tym szybciej odnajdzie nowe życie. Otoczyła Angel ramieniem i usadowiła się wygodnie, nagle znużona trudami podróży.

Ojciec włączył się do ruchu pojazdów wyjeżdżających z portu i pojechał do Pierwszej Alei. Seattle wydawało się Kate olbrzymie. Było sporo większe od Anchorage. I bardziej hałaśliwe. Droga wyjazdowa z Seattle oznaczała pokonywanie wzgórze za wzgórzem. Bill przebiegał się przez natężony ruch. Po obu stronach ulicy strzelały w górę wysokie budynki. Na chodnikach tłoczyli się przechodnie. Kate cieszyła się, że nie zostają w mieście. Było głośnie i cuchnęło spalinami. Gdy wydostali się na obrzeża i zmierzali w stronę gór, z Kate zeszło napięcie.

– Wczoraj na przełęcz było sucho – powiedziała Joan. – Ale w nocy trochę popadało, więc dzisiaj może leżeć tam śnieg.

Kate spoglądała przez okno na ogromne wiecznie zielone drzewa i krzewy rosnące ciasno wzdłuż brukowanej szosy.

– Zapomniałam, że drzewa są tu takie wysokie. Na większości terenów, nad którymi latałam... latałam... – Poczula ukłucie smutku. – Na ziemiach północnych drzewa są karłowate i rośnie znacznie mniej wiecznie zielonych krzewów. Są też rozległe obszary całkowicie pozbawione drzew.

– Dlaczego tak jest? – zapytała Joan.

– Nie wiem. Pewnie z powodu pogody i wiecznej zmarzliny.

– Pamiętam, że tamto miejsce jednocześnie zachwycało nas i zniechęcało. – Joan obejrzała się na córkę. – Należy dziękować, że tutaj nie musimy martwić się niskimi temperaturami. Zimy są chłodne, ale zupełnie nie przypominają tego, co ty musiałaś tam wycierpieć.

– Wcale nie cierpiałam – sprostowała Kate, nie potrafiąc ukryć irytacji. Nie bardzo wiedziała, dlaczego ta uwaga ją zdenerwowała. Postanowiła przecież opuścić Alaskę. – Człowiek po prostu się przyzwyczaja.

Joan pokiwała głową i skupiła uwagę na drodze.

Kate wyciągnęła przed siebie nogi i oparła się o Angel, która ułożyła się wygodnie na siedzeniu. Poglaskała psa i zaczęła rozmyślać o domu. Czy zmienił się od jej wyjazdu? Jakie to będzie uczucie zamieszkać na tej samej starej farmie, na której się wychowywała? Może znajdzie sobie własny dach nad głową, gdy już się tu zdomowi i podejmie jakąś pracę.

Samochód podskoczył na wyboju, a Kate uderzyła głową w klamkę. Poprawiła przywiezioną przez matkę poduszkę, złożyła na niej głowę i zapadła w sen.

Obudziła się dopiero za górami. Narastała w niej ekscytacja, zasypywała ją lawina wspomnień. Oto krajobraz, który знаła od dziecka. Tak bardzo różnił się od alaskijskiego. Sosny miały tu gęste korony, ich igły słały się kobiercem na nagiej ziemi. Zostawiwszy góry w tyle, jechali przez opadające łagodnie wzgórza. Żółte trawy wydawały się miękkie w dotyku i połyskiwały w jesiennym słońcu.

Z wijącej się między pagórkami drogi roztaczał się widok na szeroką, zieloną, rozpościerającą się aż po prerię dolinę Yakimy. Kate zdążyła zapomnieć, jak jest tu pięknie.

Gdy skręcili w Canyon Drive, Kate aż zadrżała z emocji. Pięli się coraz wyżej, a ona polykała wzrokiem niekończące się rzędy jabłoni. W końcu wjechali na podjazd. Nie mogła uwierzyć, że jest w domu. Ojciec pozdrowił niosącego drabinę mężczyznę. Ten pomachał mu w odpowiedzi.

Bill zatrzymał samochód przed piętrowym budynkiem. Kate nie wysiadła od razu. Patrzyła na znany od najmłodszych lat dom. Od frontu duży kryty dachem ganek, który wyglądał tak, jak go zapamiętała – kwiaty wysypujące się z podwieszanych koszyków, wiklinowe meble, książka na stole, przy którym matka zawsze czytała. Wszystko na swoim miejscu. Prócz niej.

Czy czas spędzony na Alasce odcisnął jakiś ślad? Czy coś się w niej zmieniło? Powróciła myślami do spotkanych tam ludzi. Przypomniała sobie rannych i chorych, którym pomagała razem z Paulem, kobietę, która urodziła dziecko podczas jej lotu. Wtedy pospieszył jej z pomocą Mike. Nie doznała porażki, dlatego zatem czuła się jak nieudacznik?

Ojciec otworzył drzwi samochodu. Kate wysiadła i się rozejrzała. Trawa była zielona i starannie skoszona. Mama najwyraźniej dbała o podlewanie trawnika. Dalie nadal bujnie kwitły, jednak wiele innych kwiatów kończyło już swój letni żywot. Podeszła do różanego krzewu pyszniącego się blad różowym kwieciami. Pochyliła się, żeby powąchać. Pachniał słodko, ale już bardzo słabo.

– Są przepiękne, mamo. Powinnaś wystawić je do konkursu.

Joan uśmiechnęła się i przekrzywiła głowę.

– Może kiedyś... Mogłabyś mi pomóc w przyszłym roku.

W przyszłym roku. Te słowa rezonowały przez jakiś czas w głowie Kate. Oto, gdzie będzie w przyszłym roku i w następnym. Oto, gdzie spędzi niemal całe życie. Alaskijska przygoda dobiegła końca. Co ją jeszcze czeka?

– Chodź, chodź. Na pewno jesteś głodna. Zostało trochę mięsa

duszonego z warzywami, mogą podgrzać.

– Brzmi zachęcająco.

Kate spuściła Angel ze smyczy, a pies z zaangażowaniem przystąpił do badania nowego miejsca. Kiedy Kate weszła do środka, Angel potruchtala za nią, wyraźnie zadowolona.

– Będzie ci tu dobrze, piesku – zapewniła Kate, głaszcząc zwierzę.

Podczas gdy mama krzątała się po kuchni, Kate zabrała suczkę na górę do swojego pokoju. Tato zdążył już zanieść bagaże i postawić je na łóżku. Usiadła na materacu i położyła dłoń na orzechowym zagłówku. Łóżko przykrywała ta sama narzuta z białej dymki, którą Kate miała od lat. Pomieszczenie było przestronne, pomalowane na miętowy kolor. Przypomniała sobie, jak sprzeczała się z mamą o farbę. Mama wolała pastelową żółcień. Kate zaprotestowała. Uśmiechnęła się na to wspomnienie, gdyż wciąż lubiła zieleni.

Zielone bawełniane zasłonki w żółte stokrotki były świeżo wyprane i trzepotały teraz na wpadającym przez okno wietrze. Kate wyjrzała na podwórze przed domem. Zawsze lubiła widzieć, kto wchodzi i wychodzi. Odwróciła się od okna i omiotła wzrokiem pokój. Wyglądał znajomo, jednak nie czuła się tu jak u siebie. Tęskniła za swoim pokoikiem w Anchorage.

Z westchnieniem postawiła na sekretarzyku małą torbę podróżną, a następnie rozpięła paski walizki. Wyjęła ubrania i ułożyła je w szufladach komody. Powiesiła skórzaną kurtkę lotniczą i wcisnęła ją w głąb szafy. Pustą walizkę odłożyła na półkę. Ustawiła w łazience na piętrze swoje przybory toaletowe i schowała torbę obok walizki.

Angel leżała na podłodze przy łóżku z głową wspartą na łapach. Wyglądała na zadowoloną.

Kate usiadła na skraju łóżka i wysunęła szufladę nocnej szafki. W środku znajdowała się książka o historii lotnictwa. Zapomniała, że tam jest. Gdy zaczęła przerzucać kartki, poczuła bolesny ucisk w piersi. To skończone – przygoda, o której zawsze marzyła, należy do przeszłości. Odłożyła książkę i zamknęła szufladę.

Usłyszała pukanie do drzwi.

– Proszę.

W progu stanęła mama.

– Zostawiłam wszystko tak, jak było. – Z jej oczu nagle trysnęły łzy. – Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś wrócisz do domu. – Pociągnęła nosem i się uśmiechnęła. – I choć bardzo cię kocham i cieszę się, że tu jesteś, jest mi naprawdę przykro. Rozumiem, że to nie jest miejsce, w którym zamierzałaś spędzić życie. No i Mike... wiem, jak bardzo ci na nim zależało. W tej chwili wszystko musi wydawać ci się koszmarem, ale będzie lepiej. Zobaczysz.

Kate musiała pilnować się z całej siły, żeby się nie rozkleić. Wstała z łóżka i podeszła do Joan.

– Jest dobrze. Lubię to miejsce. – Głośno przełknęła ślinę. – A Mike zginął, robiąc to, co kochał. – Ścisnęła ręce mamy. – Wszystko ułoży się, jak należy.

Joan z uśmiechem na twarzy otoczyła córkę ramieniem i delikatnie ją do siebie przytuliła.

– A jak miewa się Paul? Wciąż pracuje jako lekarz?

– Tak. Uwielbia to.

– A ty? Jakie są twoje uczucia... wobec niego?

Kate nie potrafiła rozmawiać o Paulu. Miała mętlik w głowie i sercu.

– Ja... tęsknię za nim... Ale kiedy o nim myślę, czuję się nieojajna wobec Mike'a.

– Kochałaś ich obu. A miłości nie da się zgasić ot tak, jak zakręca się kran z wodą. – Poglądziła córkę po włosach. – Rany w sercu się zagoją. Potrzeba tylko czasu.

Kate przyłgnęła do matki, doceniając jej obecność i azyl rodzinnego domu. Tego było jej trzeba.

– No więc jak? Głodna? – zapytała wesoło Joan. – Kolacja gotowa.



Następnego ranka Kate wybrała się z mamą do miasta na zakupy. Wydawało się, że w tym dniu wszyscy wylegli z domów. Spotkała dawnych znajomych i sąsiadów. Wszyscy serdecznie ją powitali, dając jej odczuć, że cieszą się z jej powrotu. Poczuli się niemal jak u siebie. Dopóki nie przypomniała sobie o Anchorage i nie zaczęła się zastanawiać, co porabiają Muriel, Albert i Helen. Jej myśli powędrowały do Paula. Pewnie był w trasie, udzielał pomocy ludziom zamieszkującym trudno dostępne okolice. Będzie jej brakowało tych eskapad.

Włożyła do koszyka na zakupy torebkę mąki. Gdy podniosła wzrok, zauważyła przyglądającą się jej Lauraine Gibson, matkę Alison. Z Kate jakby nagle zeszło całe powietrze.

Pani Gibson mocno się postarzała. Ciemnobrązowe włosy posiwiały, skóra zszarzała, policzki się zapadły.

Joan do niej podeszła.

– Lauraine, jakże miło cię widzieć.

– Dawnośmy się nie widziały. – Spojrzenie pani Gibson szybko przeniosło się na Kate. – Słyszałam, że wróciłaś.

Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Na pewno niechętnie opuszczałaś Alaskę.

– Dobrze znów się tu znaleźć.

– Witaj. – Cofnęła się o krok i zwróciła do Joan. – Z pewnością nie posiadasz się z radości, że masz córkę w domu. To cudowne uczucie... – Umilkła.

Kate chciała ją jakoś pocieszyć, ale zdawała sobie sprawę, że cokolwiek powie, nie będzie mile widziane.

Pani Gibson zamrugła, starając się nieskutecznie powstrzymać łzy.

– Cóż, na mnie już czas. William czeka w samochodzie.

Oddaliła się nerwowym krokiem, sztywno skinąwszy głową. Kate patrzyła za odchodzącą kobietą.

– Nic się nie zmieniło. Wciąż mnie nienawidzi.

Joan położyła córce dłoń na ramieniu.

– Nieprawda. Wciąż jest w żałobie. Nie uporała się jeszcze ze stratą Alison. Biedna kobieta.

To spotkanie popsulo Kate resztę zakupów. Nie mogła oderwać myśli od pani Gibson. Była wdzięczna matce, gdy ta zasugerowała powrót do domu. Kiedy znalazły się w aucie, Kate rzekła:

– Jednym z powodów mojego wyjazdu było unikanie widoku pani Gibson. Nie chce mi się wierzyć, że napatoczyłam się na nią już przy pierwszej wyprawie do miasta.

– Może powinnaś spotkać się i porozmawiać z państwem Gibson. Ułynęło sporo czasu. Na pewno ucieszyłaby się z twoich odwiedzin.

Kate pokręciła głową. Próbowала kiedyś z nimi porozmawiać. Obwiniali ją i zażądali, by jej noga nigdy więcej nie postąpiła w ich domu.

– Nie mogę. Nie chcę mnie widzieć.

W domu Kate pomogła mamie rozpakować zakupy, po czym udała się do swojego pokoju. Chciała być sama. Tato przystanął na dole schodów i oznajmił:

– Natknąłem się dziś na Richarda.

– Tak?

– Pytał, czy mógłby przyjść się przywitać.

– Nie. Jeszcze nie teraz. Nie mogę z nim rozmawiać, jest na to za wcześnie. Nie po tym, co mu zrobiłam.

– Podążyłaś za marzeniami – wtrąciła Joan.

– Tak, akurat w dniu, w którym miałam go poślubić – odparła sucho Kate.

– Och, Katie, przepraszam. Sądziłem, że nie będziesz miała nic przeciw. – Ojciec przecesał palcami szpakowate włosy. – Powiedziałem mu, że może wpaść, kiedy zechce.

– Nie.

– Tak. Najmocniej przepraszam. Zapowiedział, że zajrzy do nas po kolacji.

Kate wytarła ostatni talerz i schowała go do kredensu.

– Zajmę się resztą porządków – oznajmiła, omiatając kuchnię wzrokiem.

– Nie musisz. Dopiero wróciłaś do domu. Uważaj się za gościa – rzekła Joan z uśmiechem. – Przynajmniej do końca dnia.

– Nie. Chcę to zrobić.

– No dobrze, ale w nadchodzących dniach będziemy mieli dla ciebie dość zajęć. Wiesz, jak jest o tej porze roku. Jabłka gotowe do zbioru, a ja ledwo nadążam w ogrodzie.

Kate wydawało się, że słyszy nadjeżdżający samochód. Puls przyspieszył. Wyjrzała przez okno, jednak nie dostrzegła ani śladu Richarda. Nie wiedziała, co powinna mu powiedzieć.

Matka rozłożyła obrus na stole i postawiła na środku wazon z daliami.

– Nie musisz się z nim widzieć. Wystarczy jeden telefon.

– Wiem, ale... co mu powiem? „Nie przychodź”? – Skrzywiła się. – A jeśli wymyślę jakąś wymówkę, natychmiast się zorientuje. Nigdy nie umiałam kłamać.

– Cóż, ogromnie się z tego cieszę. – Joan wygładziła obrus. – Rób, co uważasz za najlepsze.

– Lepiej się to już z głowy. – Kate pochyliła się nad kuchennym blatem. – Po co chce się ze mną zobaczyć? Zrobiłam mu okropne świństwo. Wyjechałam w dniu, w którym mieliśmy się pobrać. Na jego miejscu nie miałabym najmniejszej ochoty oglądać mnie na oczy.

Mama wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że wciąż mu na tobie zależy.

– Nie jestem gotowa z nikim się spotykać, a już na pewno nie z Richardem. Od odejścia Mike'a minęło tylko kilka tygodni – dodała przez ściśnięte gardło.

– Richard to rozumie. Jestem przekonana, że chodzi mu tylko o odnowienie przyjaźni. A ponieważ jesteś mu bliska, chce się na coś przydać. W końcu przyjaźniliście się niemal przez całe życie. – Dotknęła policzka córki. – Nie odrzucaj tej przyjaźni. Trudno spotkać w życiu prawdziwego przyjaciela.

Kate pokiwała głową.

– Pójdę trochę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wciągnąwszy na siebie sweter, wyszła na ganek i usiadła na wiklinowym fotelu. Angel, z głową na kolanach Kate, dotrzymywała jej

towarzystwa. Wydawała się w tym miejscu szczęśliwa.

– Jak tam, piesku? Podoba ci się twój nowy dom?

Angel trąciła nosem rękę swojej właścicielki, po czym ułożyła się na drewnianej podłodze. Kate patrzyła w dal, za sad. Słońce spoczywało na szczytach wzgórz, zaś ukośne promienie skąpały całą farmę w złocie. Chłodny wietrzyk zaszeleścił w długich, wiotkich gałązkach wierzby płaczącej, która rosła przed domem.

Kate ciasno splotła dłonie na kolanach i nerwowo postukiwała piętą w deski werandy. Nie miała bladego pojęcia, co powiedzieć Richardowi. Może nie przyjdzie. Burczało jej w brzuchu, żałowała, że nie zjadła więcej na obiad, ale ze zdenerwowania nie mogła już nic przelknąć. Od strony drogi dał się słyszeć odgłos samochodu. Obserwowała podjazd, jednak nie pojawiło się tam żadne auto.

Po podwórku dreptały kury, pogdakując i grzebiąc w ziemi. Wokół jednej z nich kręciło się stadko kurcząt. Sunęły za nią jak cień, wypychając się pod opiekuńcze skrzydła przy najmniejszym niebezpieczeństwie. *Tak powinnam postępować – chować się w cieniu Boga.*

W oborze zamuczała krowa, prosząc o wydojenie. Kate przestała pukać nogą w podłogę i rozplotła zaciśnięte dłonie. Wszystko było na właściwym miejscu.

Zauważyła oblok pyłu na końcu podjazdu. To z pewnością Richard. Chwilę później dostrzegła jego pick-upa. Ten sam widok zapamiętała ostatnim razem, w dniu, w którym opuściła Yakimę: pędzący podjazdem samochód jej narzeczonego, z furią wzbijający tumany pyłu i żwiru. Tym razem jechał wolniej, towarzyszył mu niewielki kłęb kurzu.

Wstała, wycierając w spódnicę wilgotne dłonie. Angel podeszła do schodów i zaczęła szczeekać, gdy Richard zatrzymał się pod domem i zgasił silnik. Nabrawszy nagle ochoty do przywitania starego przyjaciela, Kate zeszła na podwórze.

Mężczyzna zatrzymał na niej spojrzenie niebieskich oczu. Zdjął kapelusz, zanurzył dłoń w krótko obciętych blond włosach i powiedział:

– Kate, cieszę się, że cię widzę. – Spojrzał na psa. – Twój?

– Wabi się Angel. Jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Witaj, Angel. – Richard klęknął i poczekał, aż pies się do niego zbliży. Poglaskał gęstą sierść. – Piękna.

– Prezent od przyjaciela.

Richard wstał i z uśmiechem zakłopotania na twarzy zrobił krok w stronę Kate. Przez długi moment stali w milczeniu na wyciągnięcie ramienia. Później Richard uśmiechnął się szeroko.

– A co mi tam...

Przyciągnął ją do siebie w przyjacielskim uścisku, a po chwili odsunął się i uważnie jej przyjrzał.

– Świetnie wyglądasz.

– Dziękuję. Ty też. – Kate poczuła się swobodnie. Nadal byli przyjaciółmi.

Lekko kręcąc głową, oznajmił:

– Na twój widok po prostu rośnie serce. Alaska chyba dobrze ci zrobiła. – Zażenowany, przestąpił z nogi na nogę. – Znaczy chciałem powiedzieć...

– Wiem. Nie szkodzi.

– Bardzo ci współczuję. – Wsadził ręce do kieszeni dżinsów. – Mike był chyba kimś wyjątkowym.

– Tak. – Kate błędziła wzrokiem po podwórzu, a potem spojrzała dalej, w stronę sadu.

– Pewnie tęsknisz za Alaską.

– Odrobinę. Ale lubię to miejsce. Jest ciepło, przynajmniej w ciągu dnia.

– Przejdziemy się?

– Czemu nie?

Powędrowali do sadu, Angel dreptała pomiędzy nimi. Kate zadarła głowę i głęboko odetchnęła.

– Przyjemny zapach.

– Zawsze uważałem, że o tej porze powietrze pachnie octem winnym.

– Sięgnął do gałęzi i zerwał żółte jabłko. – Wygląda na dojrzałe.

– Tato zamówił na ten tydzień ludzi do zbioru.

– Z pomocnikami nie będzie problemu. Wciąż wiele osób jest bez pracy. – Richard wytarł jabłko w gors koszuli i zatopił zęby w owocu. Uśmiechnęły mu się oczy. – Dobrze.

– Goldeny są już dojrzałe, ale winesapom potrzeba jeszcze trochę czasu. Miejmy nadzieję, że przymrozki na razie nie nadejdą.

– Fajnie, że będziesz w tym roku na święcie plonów. Twój tato zadeklarował, że zorganizuje doroczną imprezę u was na farmie i połączy ją z robieniem cydru.

– Zapowiada się dobra zabawa. – Kate cofnęła się myślami do jarmarku w Palmer. W tym roku przeszedł jej koło nosa.

– Podobno zeszłej jesieni działo się u Johnstonów. Kilku chłopaków z miasta przyniosło mocny cydr. – Uśmiechnął się szeroko.

– Nie było cię tam?

– Nie. Pracowałem na północy. – Richard odgryzł kolejny kęs jabłka i dodał z wypchaniem policzkiem: – Cywilny Korpus Ochrony skierował mnie tam do pracy nad lokalnym projektem.

– Szkoda, że nie gdzieś bliżej domu.

– Tak, szkoda. Dzięki reformom prezydenta Roosevelta dostałem pracę. Ale nie wiem, czego się dalej spodziewać.

– Słyszałam, że do przyszłego roku sytuacja gospodarcza ma się poprawić. Mam nadzieję, że i mnie uda się znaleźć jakieś zajęcie.

– Polepszy się. Musi być lepiej, prawda?

– Oby – odparła z westchnieniem. – Przez chwilę wydawało się, że coś drgnęło, a potem gospodarka znów podupała.

Kate oparła się o pień drzewa i patrzyła na dom. W środku paliły się światła. Na ten widok zrobiło się jej ciepło na sercu. Powrót tutaj był słuszną decyzją.

– A więc jakie masz plany?

– Plany?

– Zamierzasz pracować u rodziców czy na przykład poszukać pracy w przetwórczej albo gdzie indziej w mieście?

– Myślę, że na razie będę pomagała rodzicom. Później wolałabym pracować w mieście, może w magazynie zaopatrzenia dla farmerów lub w którymś ze sklepów. Mam spore doświadczenie. Tym się zajmowałam na Alasce w czasie wolnym od latania.

Richard kiwnął głową.

– Podobno Alaska to raj dla wędkarzy – stwierdził. – Chodziłaś na ryby?

– Rzadko. Jakoś zawsze brakowało czasu.

Kate chciała przeprosić Richarda za to, że go tak zniecierpliwiona zostawiła, ale nie wiedziała, jak zacząć. I nagle słowa same popłynęły z ust:

– Przepraszam za tamto.

Patrzył na nią, ona jednak nie potrafiła odgadnąć jego myśli.

– Mówię o moim nagłym wyjeździe i o tym, że tak długo do ciebie nie pisałam. Zachowałam się obrzydliwie.

Richard wzruszył ramionami.

– Zrobiłaś, co musiałaś. – Przeskoczył nad rowem irygacyjnym biegnącym wzdłuż rzędu drzew. – Przebolełam. – Wyciągnął rękę do Kate, pomagając jej przejść przez rów. Szli wzdłuż otwartego pola między rzędami drzew. – Nie byłabyś szczęśliwa, gdybyś nie wyjechała. Musiałaś spróbować.

– Tak, ale źle się do tego zabrałam. I naprawdę bardzo mi przykro.

– To już przeszłość. Zapomnij. – Spojrzał na nią. – Wygląda, że świetnie sobie poradziłaś. Jestem z ciebie dumny.

– Dziękuję – odparła, choć jedyna myśl, jaka kołatała się jej w głowie, to ta, że znów zawiodła. Uciekła... Czula się jak tchórz.

– A co powiesz na wyprawę na ryby? Jutro? Odkryłem fantastyczne miejsce nad rzeką.

Kate nie miała pewności, czy ma ochotę na towarzystwo Richarda. Nie chciała, żeby zbyt wiele sobie obiecywał.

– Sama nie wiem. Dopiero przyjechałam, jestem dość zmęczona. A w

dotatku mama i tato mają mnóstwo pracy, która nie może czekać. Oprócz jabłek trzeba jeszcze zebrać i zawekować fasolkę szparagową i kukurydzę. Nie wypada mi się bawić, podczas gdy rodzice ciężko pracują.

– Oczywiście. Rozumiem.

Nawet gdyby nie był to bardzo pracowity okres na farmie, Kate znalazłaby jakąkolwiek wymówkę. Spędzanie czasu z Richardem wydawało się nie na miejscu.

– Ściemnia się. Wracajmy do domu.

Zatrzymali się przy jego samochodzie.

– Pora wracać. Dobrze było cię zobaczyć – rzekł i przeniósł wzrok na dom. – Przyjaźnimy się kopę lat. Chciałbym, żeby wróciły dawne czasy, jeśli nie widzisz przeszkód.

Kate zaskoczyła ta deklaracja. Czy miał na myśli kumplowanie się, czy coś więcej?

– Zawsze będziemy przyjaciółmi – rzekła.

Uśmiechnął się i Kate poczuła dawną swobodę, której zawsze zaznawała w jego obecności.

– Wpadnij jutro. Może uda mi się wyrwać... na krótkie wędkowanie.

– Dobra.

Wsiadł do samochodu i energicznie zatrzęsął drzwiami.

Kate się odsunęła, a Richard zapalił silnik i zaczął wycofywać wóz. Uchylił rondo kapelusza i odjechał. Patrzyła za nim, póki nie zniknął, a potem odwróciła się i ruszyła w stronę domu z niemal już zapomnianym poczuciem spokoju i bez troski.



Kate wytarła grzanką resztki żółtka z talerza i włożyła ją sobie do ust. Z pełną buzią zapytała:

– To co dzisiaj robimy?

– Tato jest już na dworze. Zbiera jabłka.

Obserwowała mamę, która krzątała się w kuchni z delikatnym uśmiechem. Biło od niej szczęście. Kate nie pamiętała, kiedy ona sama czuła się naprawdę szczęśliwa. Życie było takie zagmatwane, a gdy już wydawało się, że wszystko się klaruje, zginął Mike.

Kate dokończyła śniadanie.

– Było pyszne, mamó. Dziękuję.

Odsunęła krzesło od stołu i zaniósła talerz do zlewu.

– Cieszę się, że dopisuje ci apetyt. Jesteś za chuda.

– W sam raz. Na Alasce nieczęsto gotowałam. A tutaj muszę uważać, żeby nie utyć.

– Wątpię, byś musiała się o to martwić. Zawsze jesteś w ruchu i lubisz pracować.

– Lubię i chciałabym pomagać. Więc do czego mnie dziś potrzebujesz?

– Trzeba wyrwać z grządkki marchewkę, zanim zrobi się łykowata. I chciałabym ją od razu zawekować. – Joan patrzyła na córkę z miłością w oczach. – Wiesz, ojciec by się ucieszył, gdybyś spędziła z nim trochę czasu. Poradzę sobie sama.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Niczego ode mnie nie chcesz?

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa. – Joan cmoknęła córkę w policzek.

Przypomniawszy sobie, z jakiego powodu znalazła się z powrotem w Yakimie, Kate poczuła gulę w gardle. Szczęście zdawało się bardzo odległe.

– No to idę do sadu.

Poszła do szopy po płócienną torbę, którą przewiesiła sobie przez ramię, następnie chwyciła opartą o budynek drabinę i udała się prosto do sadu. Angel truchtała przy jej nodze. Wkrótce Kate dostrzegła ojca, który zrywał jabłka z górnych gałęzi.

– Cześć, tato! – zawołała. – Pomóc ci?

Spojrzał na nią spomiędzy gałęzi.

– No pewnie. Na końcu rzędu pracuje dwóch ludzi, ale główna ekipa dotrze dopiero w przyszłym tygodniu. Te czerwone dojrzewają błyskawicznie. A goldeny je doganiają.

– Mogę zrywać obok ciebie? Będziemy mogli pogadać.

– Oczywiście. Oporządźmy to drzewo, a później przeniesiemy się na następne.

Zdyszana Angel ułożyła się w cieniu korony. Kate oparła drabinę z drugiej strony pnia i wspięła się po szczeblach.

– Zanosi się na upalne popołudnie. Angel już ledwo zipie. Obawiam się, że nie jest stworzona do takiego klimatu.

Bill otarł pot z czoła.

– Musimy zapewnić jej dostęp do dużej ilości wody. – Przez chwilę obserwował pracę Kate. – Pamiętaj, trzeba zrywać razem z ogonkiem. W przeciwnym razie jabłko się zepsuje. I uważaj, żeby delikatnie wkładać owoce do torby. Wtedy się nie poobijają.

– Tato, nie minęło aż tak wiele czasu. Zrywałam jabłka. Wiem, co robić. – Rzuciła mu zadziorne spojrzenie, po czym się uśmiechnęła. – Nigdzie nie spędziłam tyle czasu, co na drzewie.

– Dobrze, że znów tu jesteś.

– Ja też się cieszę – powiedziała i w tej chwili była ze sobą szczerą. Dzień był po prostu wymarzony.

– Ani trochę nie tęsknisz za Alaską? Za przyjaciółmi?

– Tęsknię i za Alaską, i za przyjaciółmi... Zwłaszcza za Mikiem.

Ojciec włożył jabłko do torby.

– Muszę przyznać, że byłem trochę zaskoczony, gdy oznajmiłaś, że macie zamiar się pobrać. Wydawało mi się, że ty i Paul jesteście dla siebie stworzeni. Nie sądziłem, że darzysz Mike'a takimi samymi uczuciami. – Wziął do ręki kolejny owoc. – Kochałaś go, Katie?

Kate bronila się przed rozmyślaniami na ten temat. Nie była całkowicie pewna, co czuła.

– Tak, kochałam go, ale nie w taki sam sposób jak Paula. Było to raczej coś w rodzaju absolutnego podziwu i zaufania. Wciąż nie mogę uwierzyć, że już go nie ma.

– To smutne. Lubiłem go.

Przez kilka minut pracowali w milczeniu. Kate uwielbiała czuć dotyk jabłka w dłoni i wkrótce wpadła w rytm powtarzanych czynności.

– Zastanawiałem się, czyby nie przewietrzyć dziś po południu samolotu. Miałabyś ochotę? Jak w dawnych dobrych czasach.

Kate wyparła z myśli lęk przed lataniem. Wiedziała, że prędzej czy później tato zaproponuje jej wspólny lot, i panicznie się tego bała.

– Nie, nie mogę. Pomagam mamie przy wekach.

– Och, daj spokój. Rozerwiemy się.

– Powiedziałam: „nie”. – Głośno przelknęła ślinę. – Już nie latam. Proszę, nie nalegaj. Skończyłam z tym.

– Z czym? – Rozległ się głos z dołu.

Kate zauważyła stojącego pod drzewem Richarda.

– A, z niczym.

– Cześć, Richard. Miło cię widzieć. – Bill zdjął kapelusz i wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

– Podobno przyda się wam pomoc.

– I owszem. – Bill zszedł na dół. – Jabłka już gotowe, a ekipa nie. – Zataszczył drabinę do następnego drzewa. – Może skończycie z Kate zrywać tutaj, a ja przejdę do kolejnej jabłoni.

– Oczywiście. Nie ma problemu.

Richard oparł przyniesioną przez siebie drabinę o pień drzewa i wspiął się między gałęzie korony.

– Co słychać? – zapytał z uśmiechem.

– Powoli wracam do codzienności.

– Pomyślałem, że jak skończymy, moglibyśmy pójść popływać. Straszny dziś upał.

– Planowałeś, zdaje się, iść na ryby?

– No tak, ale jest za gorąco.

– Nie wiem. Zobaczymy.

Kate nie chciała niczego przyspieszać. Wolala, żeby przyjaźń z Richardem rozwijała się w swoim tempie.

Następne dwie godziny minęły jak z bicza strzelił. Kate i Richard gawędzili o dawnych czasach, o figlach, które razem platali, wspólnych zabawach w szkolnych czasach. Jak gdyby ich romans nigdy nie miał miejsca, jakby łączyło ich tylko koleżeństwo i nic nigdy się nie wydarzyło. To jej odpowiadało.

– Skończyłam – oznajmiła, schodząc z drabiny z torbą pełną jabłek. Delikatnie przesywała je do skrzynki, a gdy podniosła wzrok, ujrzała tatę na traktorze z przyczepą, który jechał w jej kierunku.

Zatrzymał się.

– Załadujmy skrzynki i chodźmy coś przekąsić. Umieram z głodu. – Spojrzał w głąb rzędu jabłoni. – Pięknie uwinęliśmy się z robotą.

Kate postawiła skrzynkę na przyczepie.

– No cóż, jesteś tu od świtu.

– Cóż, inaczej się nie da. – Zachichotał. – Jak znam twoją mamę, czeka już na nas z lunchem. – Otoczył córkę ramieniem i powędrowali do domu. Richard siedł z drugiej strony, zaś Angel dreptała obok, ciężko dysząc.



Kate wypila duszkiem szklanekę lemoniady i podstawiała ją do ponownego napełnienia.

– Mmm... ale dobre. Mogłabym prosić o dolewkę?

Matka podała jej świeżą porcję napoju.

– A ty, Richardzie?

– Jakżeby inaczej? Też poproszę. – Podsunął szklanekę. – Robisz najlepszą lemoniadę w całej dolinie.

– Dziękuję.

Joan postawiła dzbanek na stoliku i usiadła na krześle obok męża.

– Ożeniłem się z tobą nie bez powodu. – Bill puścił do żony oko, po czym odgryzł kęs kanapki z szynką. – Po drugim śniadaniu powinienem zająć się traktorem. Nierówno chodzi, a nim przyjadą zbieracze, musi działać bez zarzutu.

– Aha – rzekła Kate. – Tato, mogę zostawić skrzynki jabłek tam, gdzie są, czy zanieść je na koniec rzędu?

– Zostaw. Może mamie przydałaby się jakaś pomoc.

– Słoiki z marchewką się pasteryzują. Miałam zamiar pielic ogródek, gdy będą gotowe.

– Pomogę ci.

– Nie trzeba. To ostatnia partia na dzisiaj, a ty od kiedy przyjechałaś

do domu, nie robisz nic innego, tylko ciągle pracujesz. Może pójdziecie z Richardem trochę się rozerwać?

Kate nie wiedziała, co powiedzieć. Czyżby mama ją swatała? To do niej niepodobne. Nim zdążyła odpowiedzieć, Richard zaproponował:

– Co powiesz na kąpiel w rzece?

– Dobry pomysł. – Bill wpakował sobie do ust ostatni kęs kanapki i popił sporym łykiem lemoniady.

Kate poczuła się jak w potrzasku. Jak tu wymigać się od zaproszenia i nikogo nie obrazić? Nie przeszkadzała jej praca z Richardem, ale pływanie to coś zupełnie innego.

– Sama nie wiem. Miałam w planach pomóc mamie.

– Dam sobie radę, naprawdę. A wy idźcie i dobrze się bawcie.

Kate spojrzała na Richarda.

– Niech będzie. Kąpiel w rzece dobrze nam zrobi. – Rzuciła okiem na psa dyszącego w cieniu ganku. – Angel będzie zachwycona. Musi jej być okropnie gorąco. – Zwróciła się do matki. – Wiesz, gdzie jest mój strój kąpielowy?

– Tak, pójdę po niego.

Kate poszła za nią. Upewniwszy się, że tato i Richard jej nie usłyszą, rzekła:

– Mamo. Zaczekaj.

Joan zatrzymała się i spojrzała na córkę.

– O co chodzi, kochanie?

Kate nie wiedziała, jak się wyrazić, żeby nie wyjść na niewdzięcznicę.

– Dlaczego na siłę wypychasz mnie gdzieś z Richardem?

Oczy matki zrobiły się wielkie jak spodki.

– Och, nie miałam takich intencji. Chciałam tylko zapewnić ci trochę zabawy. – Przez jej twarz przemknął wyraz skruchy. – Przepraszam za ten brak taktu.

– Nic się nie stało. Ale od tej pory, proszę, pozwól mi samej decydować. Dobrze?

– Oczywiście. – Joan przytuliła córkę. – Przepraszam.

Kate w luźnej sukience założonej na strój kąpielowy i ze zwiniętym pod pachą ręcznikiem kierowała się do pick-upa Richarda. Angel wskoczyła z tyłu na pakę, a Richard rzucił się do drzwi kabiny, żeby otworzyć je dla Kate. Wsunęła się na siedzenie. Może rzeczywiście zabawa okaże się przednia.

Richard wsiadł za kierownicę.

– Gotowa?

– Aha.

Wycofał wóz na podjeździe i ruszył przed siebie. Jechali drogą biegnącą wzdłuż rzeki. Kate wychyliła się przez otwarte okno i podziwiała brązowe wzgórza porośnięte spaloną słońcem trawą i bylicą. Kępki żółtych kwiatów znaczyły krajobraz jaskrawymi cętkami.

– Ciekawe, czy huśtawka wciąż nadaje się do użytku – zastanawiał się na głos Richard.

– Kiedy byłeś tam ostatnio?

– Ani razu od twojego wyjazdu.

Kate spoglądała prosto przed siebie. Wydawało się, że po jej wyjeździe na Alaskę życie Richarda jakby stanęło w miejscu. A teraz... co teraz?

Postanowiła nie zaprzętać tym sobie głowy. W końcu był piękny październikowy dzień i miała zamiar w pełni go wykorzystać. Przysunęła się bliżej otwartego okna. Wiatr targał włosy. Zamknąwszy oczy, wdychała zapach suchych traw, bylicy i siana.

– Bardzo ciepło jak na październik.

– To dopiero początek. Babiego lata nigdy nie za wiele. Osobiście nie narzekam.

– Ja też nie – przyznała, gdy mijali pastwiska upstrzone wielkimi belami siana.

Richard skręcił w boczną drogę. Brzegi rzeki otulały krzaczaste zarośla, karłowate drzewka i wierzby.

– To tutaj. – Zatrzymał samochód. – Chyba nic się nie zmieniło.

Wysiedli. Natychmiast napłynęły wspomnienia pikników, śmiechów, rozmów z przyjaciółmi. Kate podbiegła do drzewa nad samą wodą i chwyciła za sznur.

– Nadal tu jest. – Uśmiechnęła się i szarpnęła za linę.

– Pływasz w sukience?

Prawie o niej zapomniała. Poczula nagle skrępowanie. Jeśli zdejmie ją na oczach Richarda, to tak, jakby się przed nim rozbierała. A on chwycił za sznur, rozkołysał go i poszybował nad wodą. Krzyknął wesoło, puścił linę i wpadł do rzeki.

Kate ściągnęła sukienkę przez głowę i odrzuciła ubranie pod drzewo.

– Idę! – zawołała, łapiąc za linę i odpychając się od brzegu. Rozhuštała się i z piskiem wskoczyła obok Richarda. Zimna woda przyprawiła ją o gęsią skórkę. – Jest lodowata! – oznajmiła ze śmiechem.

Angel nie marnowała ani chwili. Od razu rzuciła się do rzeki, łapczywie chlepcząc wodę. Richard przyłożył płasko dłoń do powierzchni wody i zaczął chlapać na Kate. Nie pozostała mu dłużna. Wkrótce oboje wpadli w ferwor prawdziwej bitwy wodnej.

– Poddaję się! Poddaję! – krzyknęła w końcu Kate i dopłynęła do brzegu. Wyszła na kamienistą plażę, owinęła się ręcznikiem, a potem

usiadła na trawie. Dobrze było się pośmiać.

Angel także wyszła na brzeg. Ociekała wodą, ale przynajmniej się ochłodziła. Otrząsnęła się i odbiegła penetrować okolicę. Kate patrzyła na trzciny porastające drugi brzeg oraz widoczne w oddali wzgórza.

Richard usiadł obok.

– Uwielbiam to miejsce.

– Ja też. Niemal zapomniałam, jak bardzo.

– Spędziliśmy tu mnóstwo miłych chwil. – Uśmiechnął się do niej. W jego oczach pojawiła się czułość.

Wiedziała, że Richard przypomina sobie nie tylko zabawę, ale także ich uściski i pocałunki. Odwróciła wzrok i przeniosła spojrzenie na rzekę.

Oboje milczeli. Wspomnienia przeniosły Kate do odległych, wypełnionych radością dni dzieciństwa. Byli wtedy przyjaciółmi od serca.

– Pamiętasz, jak namówiłeś mnie na ucieczkę z lekcji i pójście na ryby?

Richard zachichotał.

– Stary Reynolds był wielce niezadowolony.

– Do dziś nie chce mi się wierzyć, że znalazł kogoś na zastępstwo, a sam przyszedł aż tutaj, żeby zaciągnąć nas z powrotem do szkoły.

– Chyba stracił cierpliwość – odparł Richard. – Przecież to nie był pierwszy raz. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Wspomnienia spłynęły na Kate obfitą kaskadą.

– Dawne dobre czasy.

– Cieszę się, że wróciłaś – rzekł łagodnym tonem. – Brakowało mi towarzystwa do wędkowania i pływania.

– Mnie też Ciebie brakowało – przyznała Kate, uświadamiając sobie, jak wiele ten mężczyzna dla niej znaczyl. Potrzebowała prawdziwego przyjaciela. Zbyt wielu ich straciła.

Zapadło między nimi milczenie. Richard podparł się na wyprostowanych ramionach i zapytał:

– No więc, jak tam było?

– Cudownie... i strasznie. – Kate podciągnęła kolana pod brodę. – Pokochałam to miejsce. Alaska to jedna z najpiękniejszych krain, jakie widziałam. Są tam potężne, bezkresne łańcuchy górskie, które zdają się dotykać nieba. Lasy całkowicie różnią się od tych znanych przez nas. Niektóre świerki są ogromne, ale większość drzew iglastych jest niska i rośnie w sporym rozproszeniu. Ciągającą się po horyzont tundrę pokrywa roślinność, która jesienią wygląda jak lśniący mosiądz. Wszędzie pola jagód i ukwiecone łąki. Latem jest jasno prawie przez całą noc, a zimą światło dzienne utrzymuje się tylko przez kilka godzin. Nie

lubila tam owadów. Czasem komarów była taka chmara, że wyglądały jak obłok. A do tego meszki, równie dokuczliwe.

– Chyba by mi się tam nie spodobało. A jakie są zimy? Tak straszne, jak słyszałem?

– Gorsze – odparła ze śmiechem. – No, przynajmniej czasami. Bywają naprawdę srogie. A ziąb taki, że nawet nie jesteśmy w stanie sobie tutaj takiego wyobrazić. Jeśli nie zachowasz ostrożności, śnieżycy może cię zabić.

– Otarłaś się kiedyś o śmierć?

– Dwa razy. – Kate nie chciała o tym mówić.

Ponownie zaległa cisza. W końcu przerwał ją Richard.

– Podobno nie zamierzasz już latać.

– Tak. Co za dużo, to niezdrowo.

– Zanim... zanim wyjechałaś, byłem wobec ciebie niesprawiedliwy. Myślałem wyłącznie o sobie i o tym, czego pragnę. Ale byłem z ciebie dumny, Kate. Po prostu chciałem mieć cię tylko dla siebie.

– Teraz to bez znaczenia. Skończyłam z lataniem. – Wstała. Nie miała ochoty wdawać się w dalszą rozmowę. – Zmarzłam. Chodźmy już.

Gdy Kenny Hicks podchodził do lądowania, Paul spoglądał w dół na strumień. Las płonął jesiennymi barwami, znad sterty gałęzi za domem Patricka unosił się dym. On sam stał wraz z chłopcami wokół ogniska. Wszyscy zadarli głowy i pomachali. Paul odwzajemnił pozdrowienie, zadowolony z powrotu do domu. Układał w myślach listę zadań, które trzeba wykonać, żeby przygotować się do zimy. Nieobecność w domu sprawiała, że brakowało czasu na pracę w obejściu.

Przeniósł spojrzenie na dom Klause. Zdziwił się, że z komina nie unosi się dym. Było zimno. Przyjrzał się bacznie z nadzieją, że dostrzeże gdzieś staruszkę, ale nigdzie nie było go widać. Pewnie wybrał się do bazy Susitna.

Kenny wylądował na wodzie i dopłynął do pomostu. Paul zabrał torbę lekarską i plecak, po czym ruszył do drzwi.

– Dziękuję za transport. Widzimy się mniej więcej za tydzień?

– Jasne, że tak. – Czarny kędziór opadł Kenny'emu na czoło i przesłonił oczy. – Jeśli będę miał wtedy inny kurs, Jack na pewno kogoś po ciebie wyśle. Może Alana. Do zobaczenia.

Paul skinął głową i wysiadł. Cieszył się, że nie siedzi już w kabinie. Ten samolot był mniejszy niż maszyna Kate, ciasny i niewygodny. Paul przycisnął dłoń do krzyża. Na domiar złego czuł się niepewnie, gdy za sterami zasiadał Kenny. Był co najwyżej miernym pilotem, pozbawionym czujności i umiejętności Kate czy Mike'a. Prędzej czy później prawdopodobnie się rozbije. Paul miał tylko nadzieję, że nie będzie wtedy jego pasażerem.

Pomachał na pożegnanie Kenny'emu, który sunął już na środek potoku, a potem ruszył ścieżką do chaty. Szczekały psy. Przystanął, rozkoszując się urokiem tego miejsca. Powietrze było tu rześkie, przesycone wonią dojrzewających jagód i cedru. Patrzył na błoniebieskie niebo, które z zachodu na wschód przecinały smużki białych obłoków.

Spojrzał w górę strumienia, gdzie mieszkał Klaus. Musi do niego zajrzeć. Tylko nakarmi swoich pupili i się do niego wybierze.

Postawił bagaże na schodach ganku i poszedł przywitać się z psami. Piszczwały i szarpały się na uwięzi.

– Tęskniłaś za mną? – zapytał, poklepując Nitę.

Otarła się o nogawkę jego spodni, a on drapał ją za uszami. Gdy ją

odwiązał, dała susa w bok, badając każdy nowy zapach. Jackpot zaszczekał, a kiedy i on został uwolniony z postronka, puścił się biegiem za Nitą. Buck naprężył linę, do której był przywiązany.

– Dobrze wyglądasz, piesku.

Buck skoczył na Paula, opierając mu łapy na piersi. Ochoczo merdał ogonem.

Mężczyzna otoczył ramionami dorodnego malamute'a.

– Cieszę się, że cię widzę.

Buck wylizal się już po swoim bliskim spotkaniu z niedźwiedziem grizzly. Jedyna widoczna blizna została na boku. W tym miejscu sierść układała się inaczej, a dookoła tej łaty biegła cienka, całkowicie pozbawiona włosów obwódka.

Paul wybierał się do Klause. Psy sadziły przed nimi wielkimi susami, a gdy dobiegły do gospodarstwa Patricka, zaczęły dokazywać z psami Warrenów.

– Witaj, sąsiedzie – zawołał Patrick. – Dobrze, że już wróciłeś.

– Ja też się cieszę. Czy Klaus pojechał do bazy Susitna?

Patrick załadował na widły partię butwiejących gałęzi i wrzucił je do ogniska. Wbił narzędzie w ziemię i wsparł się na trzonku.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Byłem u niego wczoraj, nie wspominał, że się gdzieś wybiera. A co?

– Nie widziałem z góry dymu nad jego chatą, a dzień jest chłodny.

Zmartwiony Patrick zmarszczył czoło.

– Lepiej sprawdzimy.

Patrick powiedział Sassie, że idzie z Pauliem do Klause, ona zaś uparła się, że pójdzie z nimi.

– Może jest chory albo ranny. I nikt się nawet nie dowie. Niepokoję się o niego. Ostatnio nie najlepiej wyglądał.

Dotarli pod chatę sąsiada. Nigdzie nie mogli go dostrzec, a jego łódź stała zacumowana przy pomoście. Paul wszedł po schodkach i zapukał do drzwi. Patrick i Sassa stali tuż za nim. Nikt nie otwierał. Paul zapukał ponownie. I tym razem nic.

Otworzył i wszedł do środka. Od razu zauważył Klause. Leżał twarzą w dół na kuchennej podłodze. Paul podbiegł do niego i przewrócił go na plecy. Sprawdził puls, choć wiedział, że go nie wyczuje. Twarz starego Niemca miała trupi, szary kolor. Brak wyczuwalnego oddechu.

– Dobry Boże – rzekła Sassa. – Czy on umarł?

– Tak. – Paul smutno westchnął. Wiedział, że to kiedyś nastąpi, ale spełnienie się tego scenariusza było gorsze niż wyobrażenia.

Sassa przycisnęła dłonie do piersi.

– Jak długo tu leży?

– Już od jakiegoś czasu. Zaczyna być widoczne stężenie pośmiertne. –

Paul poczuł w środku ból. Widział w swoim życiu zbyt wiele śmierci, odeszło zbyt wiele bliskich mu osób. Położył dłoń na piersi starszego mężczyzny. Nikogo przy nim nie było, gdy nadszedł jego koniec. Czy i Paula spotka kiedyś taki los? – Ktoś wie, czy miał rodzinę? – zapytał.

– Nigdy o nikim nie wspominał – odparła Sassa, ocierając lzy rękawem fartucha.

Patrick podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

– Przypuszczam, że chciałby zostać pochowany tutaj, na swojej ziemi.

Sassa i Lily przygotowywały ciało do pogrzebu, a w tym czasie Patrick zbijał z desek trumnę. Paul wraz z dwoma najstarszymi synami Warrenów kopali grób. Chłopcy wybrali miejsce na niewielkim wzniesieniu. Uznali, że stamtąd Klaus będzie widział strumień.

Kiedy wszystko było gotowe, Paul udał się z Warrenami na miejsce pochówku. Sassa opiekuńczo otaczała ramionami trójkę synów, Paul i Patrick opuszczali trumnę do wykopanego grobu. Lily stanęła kilka kroków dalej, ściskając w rękach bukiet żółtych i białych astrów, ostatnich kwiatów jesieni. Oczy miała czerwone od płaczu.

Patrick zdjął kapelusz i odchrząknął. Spojrzał na grupkę żałobników.

– Czy ktoś chciałby coś powiedzieć?

Douglas wystąpił naprzód.

– Będzie mi ciebie brakowało... Klausie. – Głośno przelknął ślinę. – Nikt nie umiał tak strugać w drewnie jak ty. Dziękuję, że mnie nauczyłeś. A teraz, skoro jesteś już w niebie, możesz z pewnością nauczyć samego Jezusa. – Otarł lzy i wrócił na swoje miejsce.

Robert, który miał niespełna siedem lat, przywarł do matki, ale odezwał się ochrypłym głosem:

– Czasem wydawało mi się, że jesteś jakby trochę dziwny, jednak wiedziałem, że to dlatego, że byłeś już stary i źle się czułeś. Nigdy nie zapomnę, jak chodziliśmy razem na ryby.

Zaległo milczenie. Paul uważał, że powinien przemówić, ale nie wiedział, co powiedzieć. Jedyne, co chodziło mu po głowie, to to, że biedny Klaus umarł w samotności.

Patrick znów odchrząknął.

– Wiesz, Klaus, byłeś dobrym sąsiadem i przyjacielem. Będzie nam ciebie brakowało, myślę jednak, że teraz mieszasz się dużo lepiej. Kochałeś Boga, a zatem wiem, że jesteś z Nim. Nic już nie będzie cię trapiło, nie będzie smutków ani łez. Dziękuję ci za to, że dawałeś wspaniały przykład moim dzieciom, a także mnie i Sassie. – Spojrzał na zgromadzonych oczami pełnymi łez.

Chłopcy chlipali i wycierali nosy, Sassa płakała w chusteczkę. Lily zachowała spokój, ale zrobiła krok naprzód i rzuciła na trumnę kwiaty. Przez chwilę patrzyła w dół, potem odwróciła się i odeszła.

Patrick wcisnął z powrotem kapelusz na głowę.

– No, czas wziąć się za porządki. – Posłał żonie porozumiewawcze spojrzenie.

– No dobrze, chłopcy. Potrzebna mi pomoc w sprzątanii kurnika. – Sassa odciągnęła synów od grobu.

Patrick wziął łopatę i rzucił na trumnę pierwsze grudki ziemi. Paul z ciężkim sercem chwycił za drugą i pomógł pochować staruszka. Na koniec Patrick wbił w ziemię drewniany krzyż. Paul udał się w drogę powrotną do domu, czując w środku pustkę. Życie to wielka tajemnica. Człowiek rodzi się, żyje i umiera. Jaki ma to sens? Dusza Paula gorąco pragnęła poznać odpowiedź. Czy czynienie dobra za życia wystarczy? Paul zawsze wierzył w Boga miłosiernego, który kocha swoje dziatki. Jego miłość jest tak wielka, że złożył w ofierze własnego Syna. Paul nigdy wcześniej nie wątpił... a potem umarła Susan. Dlaczego?



Tej nocy Paul ledwo zdążył zmruzzyć oczy, gdy ze snu wyrwało go pukanie do drzwi. Zaspany, poczłapał otworzyć.

– Kto tam?

– To ja, Patrick. – Sąsiad wydawał się bardzo poruszony.

Paul otworzył drzwi.

– Wszystko w porządku? Coś się stało?

– Chodzi o Lily. Dziecko jest w drodze.

– Jesteś pewien? Myślałem, że termin wypada dopiero za miesiąc.

Patrick wzruszył ramionami.

– Zachowuje się tak samo, jak robiła to Sassa za każdym razem.

– Wejdz. Tylko się ubiorę. Zajmie mi to minutkę.

Paul pobiegł do sypialni, wciągnął na kalessony spodnie oraz założył koszulę. Wzwał buty i zawiązał sznurowadła. Jeśli lekarz Lily z Seattle się nie pomylił, dziecko przychodzi na świat kilka tygodni przed czasem. To może oznaczać problemy, zwłaszcza dla maleństwa. Panika próbowała wziąć nad nim górę.

Nie miał doświadczenia w przyjmowaniu porodów. Od czasu utraty własnego syna starał się za wszelką cenę trzymać z dala od rodzących kobiet. Liczył na to, że poród Lily obejdzie się bez komplikacji, a tym samym Sassa nie będzie potrzebowała jego pomocy w przyjęciu dzieciątka na świat.

Chwycił torbę lekarską i wyszedł za Patrickiem w ciemną noc. Latarnie rzucały cienie na zarośla. Paul był pochłonięty wyliczaniem, co może pójść źle. Dzieci urodzone przed terminem miewają czasem kłopoty z oddychaniem. Albo nie oddychają wcale. Bywa, że wcześniaki

nie mają odruchu ssania. Są podatne na choroby. Istniała długa lista innych problemów zdrowotnych, z którymi być może przyjdzie im się zmierzyć.

Wszedł za Patrickiem do domu, udając pewność, której wcale w sobie nie czuł. W środku panował zaduch i zapach gotowanej ryby.

– Jest na górze. – Patrick ruchem głowy wskazał schody.

Paul wbiegł po stopniach. Zaglądnął w pierwsze drzwi. Chłopcy z zatrwożonymi minami leżeli skuleni na łóżkach.

– Cześć, chłopcy – przywitał ich wesoło.

– Cześć – odpowiedział Douglas. – Czy Lily umrze?

– Nie, skąd taki pomysł?

– Pójdzie do nieba tak jak Klaus? – zapytał Robert.

– Nie. Po prostu urodzi dziecko. Nic się jej nie stanie, ale trochę to potrwa i będzie bolało.

– Strasznie głośno jęczała i płakała.

– To normalne. Postarajcie się nie martwić.

– Dobra. – Robert lekko się wyprostował. – Skoro tu jesteś, to już tak bardzo się nie boję.

Paul skinął głową. Zrobi, co w jego mocy, to jednak może się okazać niewystarczające. Szybkim krokiem podszedł do następnych drzwi. Ze środka dał się słyszeć jęk. Obok łóżka siedziała Sassa, trzymając córkę za rękę.

Wszedł do środka i pochylił się nad Lily.

– Cześć, sąsiadko.

Popatrzyła na niego.

– Tak się cieszę, że tu jesteś. Dziecko trochę się pospieszyło.

– Nie martw się. Na pewno wszystko jest w porządku. – Paul ze wszelkich sił starał się przemawiać uspokajającym głosem. – Kiedy zaczęły się skurcze?

Zanim Lily zdążyła się odezwać, Sassa pospieszyła z odpowiedzią:

– Zaraz po tym, jak pochowaliśmy Klause. Ale nie były silne, więc pomyślałam, że to po prostu takie wczesne bóle. Jednak nie minęły. A potem odeszły wody i zaczęło naprawdę boleć. – Sassa spojrzała na córkę, która przekręciła się na bok, trzymając się za brzuch. – Jest o wiele za wcześnie, dlatego uznaliśmy, że cię wezwiemy.

Paul skontrolował puls Lily. Przyspieszony, co w tej sytuacji było zupełnie zrozumiałe.

– Jak się czujesz?

– A jak sądzisz? – Dziewczyna przeturlała się na plecy i odgarnęła z twarzy wilgotne włosy. – Ten był naprawdę silny.

– Pozwól, że cię zbadam – powiedział, wsuwając jej termometr do ust. Wyjął z torby stetoskop i osłuchiwał serce Lily, a później dziecka. – Bije

równo i mocno. – Wyciągnął termometr. – Nie masz gorączki. – Uśmiechnął się do niej. – Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku.

– Ale termin wypada dopiero pod koniec miesiąca.

– Dzieci miewają własne pomysły. Czasem przychodzą na świat, zanim się ich spodziewamy, i radzą sobie bardzo dobrze.

Paul nie widział sensu w informowaniu jej o wszystkich możliwych komplikacjach. Lily zamknęła oczy.

– Postaraj się zrelaksować i odpoczywaj pomiędzy skurczami.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Paul położył jej rękę na brzuchu. Czuł, jak napinają się mięśnie.

– Zbliża się kolejny. – W jej głosie slychać było panikę. Dziewczyna ścisnęła matkę za rękę.

– Oddychaj powoli – polecił Paul. – Rozluźnij się.

Lily wypuściła z płuc powietrze, a następnie zrobiła głęboki, powolny wdech, a potem długi wydech.

– Są coraz... gorsze – wydyszała.

Paul nie odrywał ręki od jej brzucha.

– W porządku, ustępuje. Wkrótce będzie po nim. – Popatrzył na Sassę.

– Z jaką częstotliwością się pojawiają?

– Co dwie minuty.

– Paul, są coraz silniejsze. Naprawdę okropne – skarżyła się Lily. – Nie wiem, czy wytrzymam.

Uśmiechnął się.

– Wytrzymasz. Pamiętaj, jesteś kobietą, która może przenosić góry.

– Ale z tym nie dam rady.

Sassa ocierała rącznikiem pot z twarzy córki.

– Poradzisz sobie doskonale. Ja to wiem – zapewniła.

– Posłuchaj matki. Jesteś jedną z najsilniejszych kobiet, jakie znam. –

Zwrócił się do Sassy. – Będę potrzebował gorącej wody oraz rączniczków. Macie może koc?

– Tak. Zaraz przyniosę.

Szybkim krokiem wyszła z pokoju.

Paul spojrzął na Lily.

– Czujesz jakiś nacisk w krzyżu?

– Tak, przy dwóch ostatnich skurczach.

– Masz potrzebę parcia?

Zaprzeczyła ruchem głowy, a potem wzięła głęboki oddech, nadszedł bowiem kolejny skurcz.

– Prawdopodobnie już niedługo.

Lily złapała go za rękę.

– Boję się.

– Wiem. Ale wszystko będzie dobrze – odparł spokojnym, opanowanym tonem.

Dziewczyna ciężko dyszała.

– Ale co z dzieckiem... jest przed czasem.

– Teraz musisz skoncentrować się wyłącznie na wydaniu go na świat. Ja zajmę się resztą – zapewnił, choć nie dawały mu spokoju obawy, czy rzeczywiście uda mu się sprostać zadaniu. A jeśli dziecko nie jest jeszcze gotowe do samodzielnego życia? Czy będzie wiedział, co robić, gdyby okazało się, że niemowlę urodziło się zbyt wiele dni przed terminem? Nie potrafił uratować własnego synka ani żony. Co pozwala mu sądzić, że jest przygotowany na tę sytuację? Miał ochotę wyjść i już nie wracać.

– Pójdę umyć ręce.

W drzwiach minął Patricka. Sąsiad, marszcząc czoło, patrzył na córkę.

– Nie stanie się jej nic złego?

Paul ścisnął ramię przyjaciela.

– Będzie dobrze. – Ciągłe powtarzał te słowa, a w gruncie rzeczy sam się bał.

– A co z dzieckiem?

Paul nie zamierzał kłamać.

– Nie wiem. Trzeba poczekać i wtedy zobaczymy. To wcześniak.

Poszedł korytarzem do schodów i zbiegł na dół do kuchni, gdzie starannie umył ręce w zlewie.

Sassa przewiesiła sobie przez ramię ściereczki i ręczniki, a w rękach niosła grubą koc.

– Wrócę po wodę.

– Ja przyniosę – zaoferował się Paul.

Kobieta zaczęła wchodzić po schodach.

Paul wytarł do sucha ręce, zdjął z pieca żeliwny imbryk i podążył za Sassą na piętro. Postawił imbryk na sekretarzyku przy łóżku Lily. Pomógł dziewczynie wstać i pozwolił jej oprzeć się o siebie. W tym czasie Sassa zdjęła pościel i zastąpiła ją grubym kocem. Gdy Lily położyła się z powrotem, Paul przyłożył jej rękę do brzucha.

– Tak się cieszę, że tu jesteś – powiedziała i jęknęła. – Och, muszę przeć.

– Dobrze – rzekła Sassa, głaszcząc czoło córki. – Słuchaj swojego ciała. Ono powie ci, co robić.

Gdy skurcz minął, Paul oznajmił:

– Lily, będę musiał cię zbadać, żeby zobaczyć, gdzie jest dziecko.

Skinęła głową. Podczas badania leżała ze wzrokiem wbitym w sufit.

Paul nie widział główki, musiał zatem dotykowo określić położenie dziecka. Na razie nie przesunęło się zbyt daleko w kanale rodnym.

– Wszystko jest w porządku, jednak wydanie malucha na świat będzie

wymagało dodatkowego wysiłku. Jest w ułożeniu twarzączkowym.

– Co to znaczy? – zapytała Sassa.

– Większość dzieci rodzi się z twarzą zwróconą ku podłodze, a tu jest skierowana do sufitu. Taki poród jest trudniejszy i bardziej bolesny. Być może będę musiał przekręcić dziecko.

Po dwóch kolejnych godzinach na świat przyszedł małeńki chłopczyk. Cicho kwilił, jednak oddychał samodzielnie i miał prawidłowy kolor skóry. Paul doznał wielkiej ulgi.

– Dzięki ci, Panie – powiedziała Sassa, składając dłonie.

– To chłopczyk, Lily – poinformował Paul, zaciskając, a potem odcinając pępowinę. Osluchiwał małeńkie serduszko, skontrolował oddech. – Wygląda zdrowo. – Podał Sassie niemowlę.

Umyła je, zawinęła w powijaki, a następnie ułożyła małeństwo w ramionach jego matki.

– Jest doskonały. – Patrzyła na córkę oczami pełnymi łez. – Wszystkie dzieci są darem od Boga. Ten chłopczyk jest boskim stworzeniem.

Lily uścisnęła dłoń Sassy.

– Kocham cię.

Przeniosła uwagę na niemowlę, a potem uśmiechnęła się do Paula.

– Dziękuję za pomoc.

– Cieszę się, że mogłem się przydać. – Spojrzał na dziecko. – Przystojny chłopak.

Na widok matki i syna drgnęło mu serce, wezbrała tęsknota za własnym synkiem. Jak wyglądałoby życie, gdyby wtedy nie umarł?

– Wybrałaś dla niego imię? – zapytał Patrick.

– Zastanawiałam się. Chyba nazwę go Theodore Patrick Warren. Miałam w Seattle dobrego przyjaciela. Pracowaliśmy razem, był człowiekiem wielkiej wiary. Nazywał się Theodore. – Przeniosła spojrzenie na ojca. – A twoje imię przyniesie zaszczyt mojemu synkowi.

Patrickowi zaszklily się oczy. Pochylił się nad córką i pocałował ją w policzek.

– Kocham cię. I bez względu na to, co ktoś mógłby powiedzieć, można tylko być dumnym z takiej córki.

Uściskał ją i cicho wyszedł z pokoju.

Zbadawszy dziecko i upewniwszy się, że z Lily wszystko w porządku, Paul oznajmił:

– Czas wracać do domu, a ty odpoczywaj. Leż w łóżku co najmniej przez kilka dni, chyba że absolutnie będziesz musiała wstać. – Zamknął torbę lekarską. – Zajrzę do ciebie jutro.

Lily skinęła głową, nie patrząc na Paula. Wpatrywała się w niemowlę z łagodnym uśmiechem na twarzy. Na ten widok ścisnęło mu się gardło. Tęsknił za kimś, kogo mógłby kochać. Tęsknił za Kate.

Kate weszła do kuchni i zdjęła robocze rękawice.

– Cześć, mamo. – W powietrzu unosiły się przemieszane aromaty korzennych przypraw i słodczy. – Ładnie pachnie.

Joan zdjęła pokrywkę z kociołka do pasteryzacji. Ze środka buchnęła para. Wyjęła szczypcami gorące słoiki i ustawiła je na rozłożonych na blacie ściereczkach.

– Uwielbiam dżem z rabarbaru. – Kate ściągnęła flanelową koszulę, którą założyła na bluzkę, i odwiesiła ją na oparcie krzesła. – Rano na dworze było zimno, teraz ociekam potem.

– Właśnie za to lubię październik. Za chłodne ranki i ciepłe popołudnia.

– Chcesz powiedzieć: „upalne”. Biedna Angel leży na podwórku w cieniu wierzby płaczącej i ledwie zipie. Czasem mam wątpliwości, czy przywiezienie jej tutaj było mądre.

– Przystosuje się – stwierdziła Joan. – Obie przywykniecie. Po prostu jesteście przyzwyczajone do chłodniejszego klimatu na północy. – Odstawiła ostatni słoik na blat. – Poza tym taka pogoda się nie utrzyma. Podobno w nocy temperatura może spaść do kilku stopni poniżej zera. Martwię się, że stracimy sporą część zbioru.

– Tato jest na to przygotowany. W razie czego ma gotowy olej i paleniska.

– Przyszedł do ciebie list od Helen. Położyłam go na stoliku pomocniczym w pokoju.

Spragniona wieści z Alaski, Kate od razu poszła po kopertę. Usadowiła się na sofie i zabrała za czytanie.

Helen miała dużo do opowiedzenia. Pisała o zabawie na dorocznym festynie w Palmer. Opisała ze szczegółami burzę, która przyniosła opady śniegu w Anchorage. W sklepie o mało nie zabrakło nafty i oleju. Mąż Muriel, Terrence, ustrzelił losia w pierwszym dniu polowania, a dziecko przybiera na wadze i już przewraca się samo na brzusek. Jest radosnym chłopczykiem, a Helen jest zachwycona rolą babci.

Kate się uśmiechnęła. Jej przyjaciółka musi być najlepszą babcią na świecie. Powróciwszy do listu, przeczytała o Lily i jej dziecku. Helen cieszyła się z przyjścia na świat małej istotki, ale martwiła się o młodą mamę i piętno, które będzie towarzyszyć jej i jej synkowi. Mimo że mieszkali na odludziu, nad strumieniem, plotki na temat Lily rozniosły

się po okolicy i kpiny dotarły nawet do miasta.

W Kate weszła melancholia. To prawda, że Lily potknęła się na swej życiowej drodze, jest jednak porządną dziewczyną i z pewnością będzie dobrą matką. Kate nie mogła znieść myśli, że ludzie potrafią być tacy niesprawiedliwi. Jakby sami nigdy nie zgrzeszyli.

Zastanawiała się, jak odnajduje się w tej sytuacji Paul. Pomagał przyjąć poród. Czy zatem darzy niemowlę jakimś szczególnym uczuciem? A Lily? Czy zbliżyli się do siebie? Kate ogarnął smutek. Czy znajdzie się kiedyś ktoś dla niej? Czy kiedykolwiek zostanie matką?

Wróciła do listu.

Helen i Albert planowali powiększyć sklep. Handel się ożywił i potrzebowali więcej miejsca. Kate była ciekawa, czy wykorzystają pokoik na zapleczu, który stał się jej domem. Na tę myśl odrobinę posmutniała.

Złożyła list na pół i wsunęła go z powrotem do koperty. Zamierzała iść na górę, gdy usłyszała od frontu odgłos silnika. Wiedzioną ciekawością, wyjrzała przez okno. Richard. Co on tutaj robi? Otworzyła siatkowe drzwi i wyszła na zadaszony ganek. Mężczyzna wysiadł z samochodu, a Angel przywitała go merdaniem ogona.

Pogłaskała ją po głowie.

– Cześć, piesku. Jak się miewasz?

W odpowiedzi pies przytulił się do Richarda.

– Cześć. Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że wpadnę.

Kate wsadziła kopertę do tylnej kieszeni spodni.

– Dokąd się wybierasz?

– Wracam z pracy do domu.

– To chyba trochę nie po drodze?

Wyszczerył zęby i postawił stopę na najniższym schodku.

– W kinie grają podwójny seans. Poszłabyś?

– Jestem w proszku. Dopiero wróciłam po całym dniu pracy na dworze.

– Mamy mnóstwo czasu. Mogę pojechać do siebie, umyć się i po ciebie wrócić.

– Sama nie wiem. Tato może mnie potrzebować. W nocy ma spaść temperatura, może być nawet przymrozek. Jeśli tak się stanie, trzeba będzie rozstawić w sadzie piecyki olejowe.

– Nie wrócimy późno. Wątpię zresztą, by aż tak się ochłodziło. Nadal jest gorąco.

Richard prawdopodobnie miał rację. Ojciec wykazywał skłonność do przesadnej ostrożności, gdy chodziło o owocowe drzewa. Pomijając kaprysy pogody, Kate nie była pewna, czy ma ochotę na kino. Pływanie w upalne popołudnie to co innego, ale wyjście do kina bardziej kojarzyło się z randką.

– Grają „Bohaterów morza” razem z najnowszym filmem z Shirley Temple, „Heidi”.

– Podobno oba są dobre. – Westchnęła ciężko. – Niech będzie. O której?

– Może być za godzinę?

– W porządku.

Richard spojrzął na zegarek.

– Przyjadę po ciebie o piątej. Może zjemy gdzieś później kolację?

– Dobrze. Widzimy się za godzinę.



Kate malowała usta szminką, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód. Podeszła do okna i wyjrzała na podwórko. Richard wysiadł ze swojego pick-upa. Przywitał go ojciec Kate. Wdali się w pogawędkę. Może tato przekona Richarda do pozostania na miejscu i pomocy w razie nagłego ochłodzenia. On tymczasem poklepał młodego mężczyznę po ramieniu, a sam udał się do stodoły. Richard był już prawie przy ganku.

Skontrolowała swoje odbicie w lustrze, przeczesła szczotką krótkie włosy i zeszła na dół. Angel dreptała przy nodze. Zastała przyjaciela gawędzącego z mamą w saloniku.

– Co za punktualność – powiedziała.

Popatrzył na nią. Dostrzegła w jego oczach podziw. Pożałowała, że przyjęła zaproszenie. Richard może coś roić sobie w głowie.

– Kate, prześlicznie wyglądasz. – Matka zaplotła ręce na brzuchu i się jej przyglądała. – Podobno wybieracie się do kina.

Siląc się na nonszalancki ton, odparła:

– Wyświetlają parę dobrych filmów, pomyśleliśmy więc: czemu nie?

Uśmiechnęła się do Richarda, mając nadzieję, że nie zauważy w jego oczach żadnych rozbudzonych oczekiwań. Na szczęście widziała tam jedynie wesołość.

– Gotowa? – zapytał.

– Tak jest. – Wzięła sweter z szafy przy drzwiach. – Nie wrócimy późno – poinformowała mamę i ruszyła do wyjścia. Angel potruchtała za nią. Kate pogłaskała psa. – Przykro mi, nie tym razem.

Richard przepuścił Kate w drzwiach.

– Dobranoc, pani Evans.

Przez całą drogę do miasta Kate zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, przyjmując zaproszenie Richarda. A jeśli liczył na coś więcej niż przyjaźń?

Wydawało się, że tylko ona się zadręcza. Richard zachowywał się swobodnie, rozprawiał o błahych sprawach. Gdy dotarli pod kino, jej

rozterki osłabły. Może zostaną po prostu przyjaciółmi.

Dołączyli do kolejki czekających pod kinem ludzi. Wtedy Kate zauważyła państwa Parkinsów z kościoła. Jęknęła, wiedząc, że pani Parkins wyciągnie pochopne wnioski co do niej i Richarda. Kobieta podeszła do nich ze słodziutkim uśmiechem na twarzy.

– Kate, Richard. Cudownie widzieć was razem.

– Dobry wieczór pani – odparł Richard.

– Dobry wieczór.

Kate słyszała ekscytację w głosie kobiety. Na pewno rozpowie, komu się da, że widziała ich razem w kinie. Gorączkowo szukała w głowie jakiegoś wytłumaczenia, dlaczego pojawiła się tu z Richardem.

– Kate i ja wprost przepadamy za filmami. w których gra Shirley Temple – oznajmił Richard. – Postanowiliśmy jako starzy przyjaciele obejrzeć razem ten najnowszy. – Uśmiechnął się. – Przyjaźnimy się kopę lat.

– Ach, tak, tak. Oczywiście. – Pani Parkins cofnęła się o krok. – Miłego seansu. – Oddaliła się w stronę męża.

Kate zasloniła ręką usta i zachichotała.

– Dziękuję, Richardzie. Jestem ci wdzięczna.

– Nie ma sprawy.

Zapłacił za bilety i przepuścił Kate w drzwiach kina. Weszła do holu. Uwielbiała tę atmosferę. Przypominała jej o sobotnich seansach, na których bywała tu w dzieciństwie.

– Pamiętasz, jak przychodziliśmy tu w soboty na popołudniowe seanse?

– No pewnie. Nieme filmy. Nigdy nie nadążałem z czytaniem. – Pochylił się ku niej. – Ale lubiłem, jak ty czytałaś mi napisy.

– Lubieś też podjadać.

– Nadal smakują mi batony hershey – odparł. Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Chyba kupię sobie jednego, zanim wejdziemy do sali. Jesteś głodna?

– Trochę. – Kate podeszła do baru z przekąskami i sprawdzała, co jest do wyboru. – Wpadły mi w oko cukierki milk duds.

Richard stanął przy kontuarze.

– Poproszę paczkę milk dudsów, dwa batony hershey i torebkę popcornu. – Spojrzał na Kate. – Chcesz coś do picia?

– Może colę.

– I dwie cole.

Richard podał drobne.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają – zauważyła Kate, kiedy zbliżali się do wejścia do sali.

– Co masz na myśli? – zapytał, wpychając słodkie batoniki do kieszeni

koszuli, a drugą ręką przyciskając do piersi torebkę z prażoną kukurydzą i jednocześnie trzymając w niej napój.

– Uwielbiasz jeść! – Zaśmiała się. – Później niczego w siebie nie wciśniesz.

– Chcesz się założyć? – prowokował.

Gdy Kate zajęła w końcu miejsce na widowni, czuła się odprężona i szczęśliwa. Nie pamiętała, kiedy ostatnio robiła coś równie nieskomplikowanego jak wyjście do kina. Życie na Alasce z jego radościami i smutkami wydawało się jej teraz bardzo odległe.



Po ekscytującym zakończeniu „Bohaterów morza” ekran pociemniał i po chwili zapaliły się światła w auditorium. Richard i Kate wyszli do holu.

– Dobry film – skomentowała Kate.

– Oba były dobre.

– A kreskówka? Nie przepadasz za kaczołem Donaldem?

– Absolutnie go uwielbiam. – Richard otoczył towarzyszkę ramieniem i drocząc się, przytulił ją do siebie.

Na zewnątrz zimne wieczorne powietrze szczypało w twarz. Chłód zapadł nad doliną w pośpiechu, kryształki lodu na jezdni skrzyły się w światłach reflektorów.

Kate szczerzej otuliła się swetrem.

– Zimno. Za zimno. – Zbiegła ze schodów. – Muszę wracać do domu.

Richard pobiegł pierwszy i otworzył dla Kate drzwi samochodu, usiadł za kierownicą i włączył silnik. W pośpiechu wracali do domu.

– Spokojnie – powiedział. – Nie jest aż tak zimno. Na pewno nic się nie stało.

– Mam nadzieję, że tacie ktoś pomaga – rzekła, spoglądając na rzędy mijanych drzew. Światła auta ślizgały się po sadach. W większości z nich były rozstawione płonące piecyki.

Gdy skręcili na podjazd, Kate zauważyła między drzewami mamę i tatę.

– Zatrzymaj się tu – poprosiła.

Samochód jeszcze się toczył, a ona już otworzyła drzwi i z niego wyskoczyła. Richard zostawił włączone światła, żeby oświetlać drogę biegnącej do rodziców Kate.

– Jest bardzo źle?

– Panujemy nad sytuacją – odparł ojciec. – Martwimy się tylko o późne jabłka. Mogłabyś wziąć kilka blaszanek i ustawić je między jabłoniemi?

– Oczywiście.

Kate podbiegła do samochodu ojca i chwyciła kubelki. Richard wziął dwie bańki nafty i poszedł za nią.

– Należę paliwa.

– Dziękuję.

Kate ustawiła kubelek pośrodku rzędu. Żalowała, że włożyła wizytowe pantofle; trudno się w nich chodziło. Richard wlał naftę, Kate ją podpałiła. Płomień oświetlił mu twarz.

– Dziękuję za dzisiejszy wieczór, choć nie był to najlepszy moment na wyjście do miasta.

– Nie powinienem był cię prosić, skoro występowało ryzyko przymrozku.

– Chciałam pójść.

Uśmiechnął się.

– No dobrze. W takim razie uratujmy jak najwięcej jabłek.

Uwijając się jak w ukropie, Kate i Richard zabezpieczyli jeden rząd jabłoni i przenieśli się do następnego. Dwaj wynajęci robotnicy rozstawiali ogrzewanie kilka akrów dalej. Bill i Joan połączyli siły w sadzie obok. Praca zajęła im ponad godzinę. Gdy skończyli, Kate była wyczerpana. Stała podparta pod boki i patrzyła na włości. Sady wyglądały upiornie w migoczących płomykach i snujących się w ich blasku dymach.

Do Kate podszedł ojciec.

– Dobra robota.

Wsparka się na jego ramieniu, zadowolona z tej bliskości. Czuli się przy nim bezpieczni.

– Czy jabłkom nic się nie stanie?

– Poczekaj, zaraz ci powiem.

Zerwał z drzewa owoc i naciął go szczyrykiem. Przyglądał mu się uważnie.

– To wygląda w porządku, tylko trochę zmarzło pod skórką. Ale chłód nie uszkodził miąższu. – Podszedł do drugiego drzewa i powtórzył czynność. – Tutaj tak samo.

Kate usiadła na bagażniku małej ciężarówki. Było jej gorąco pomimo panującego na dworze chłodu. Odetchnęła z ulgą. W powietrzu zawisł obłok pary.

– Gdzie Angel?

– Uznaliśmy, że lepiej zostawić ją w domu. – Ojciec oparł się o bok ciężarówki. – Dziękuję za pomoc. – Zdjął kapelusz, obrócił go w rękach i ponownie wcisnął go sobie na głowę. – Myślę, że szkód nie będzie.

– Nie powinnam była ruszać się z miejsca.

– Skąd mogłaś wiedzieć? Pracowałaś cały dzień. Dlaczego nie miałabyś pójść się odrobinę rozerwać? Nie zapewnialiśmy ci tu żadnych

atrakcji.

Richard usiadł obok Kate.

– To moja wina. Ja ją namówiłem. Wiedziałem, że zanosi się na spadek temperatury.

– Przynajmniej nam pomogłeś. Bardzo się przydałeś.

Richard skinął głową.

– Jak coś, zawsze jestem pod ręką.

Popatrzył na Kate. Jego spojrzenie sugerowało, że będzie na zawołanie także gdyby i ona go potrzebowała. Żartobliwie trąciła go w ramię, wdzięczna za jego przyjaźń. Wyjazd na Alaskę był słuszny. Pragnęła przeżyć przygodę, teraz jednak nadszedł czas, by nauczyć się czerpać satysfakcję z prostego życia.

Paul postawił na kuchennym stole karton ze środkami medycznymi oraz torbę lekarską. Musiał przygotować się do następnej podróży i uzupełnić brakujące rzeczy. Przejrzał ekwipunek, sprawdził, co się kończy, a potem dokonał przeglądu pudła i dołożył do torby nici chirurgiczne, gazę jałową, dwie butelki aspiryny, wymienił stłuczony termometr, dodał też butelkę morfiny, która była potrzebna przy najgorszych urazach. Carlowi Gladwellowi by nie pomogła.

Paulowi stanął przed oczami obraz zakrwawionego mężczyzny. Ciekawe, jak poradzili sobie jego najbliżsi. Najprawdopodobniej żona z dziećmi przeprowadziła się z powrotem do miasta albo zamieszkała u rodziny.

Wsunął do wewnętrznej kieszeni torby butelkę z alkoholem, a później dorzucił plaster. Zamknął torbę i odstawił ją na sekretarzyk w sypialni. Będzie pod ręką, gdyby wezwano go do nagłego wypadku. Planował wyruszyć do potrzebujących pod koniec tygodnia. Usłyszał szczekanie i wyrzwał przez okno. Podwórzem szła Lily, która zatrzymała się przy psach. Niosła w chuście Theodore'a. Zwierzęta obwąchiwały dziecko. Teddy, jak nazywała go Lily, przyglądał się im, podnosząc i opuszczając główkę. Był za mały, żeby trzymać ją wyprostowaną przez cały czas.

Dziewczyna zbliżyła się do chaty. Paul otworzył drzwi i wyszedł na ganek.

– Witaj. Co cię sprowadza?

– Jest słonecznie i dość ciepło, pomyślałam więc, że wyjdziemy z Teddym na słońce i pooddychamy świeżym powietrzem. – Poglaskała niemal lysą główkę niemowlęcia. – Lubi przebywać na dworze. – Podniosła wzrok na Paula. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Nie. Właśnie uzupełniałem braki w torbie lekarskiej. Jak maluch?

– Sam zobacz. – Lily weszła po schodach, wyjęła pulchne maleństwo z chusty i podała je sąsiadowi. – Mogłabym napić się wody? Wyszło mi w ustach.

– Proszę bardzo.

Tuląc dziecko do piersi, Paul odsunął się na bok, żeby przepuścić Lily. Wszedł za nią do środka i zamknął drzwi. Podniósł niemowlę i się do niego uśmiechnął.

– Duży z ciebie chłopczyk – powiedział, po czym zwrócił się do Lily. – Jest silny. Próbuje już podnosić główkę. – Broda Theodore'a opadła na

pierś. – No, powiedzmy.

– Potrafi utrzymać ją najwyżej przez kilka sekund – wyjaśniła Lily, wyjmując z kredensu kubek i napełniając go wodą z ręcznej pompy.

Malec błysnął bezzębny uśmiechem.

– O, i umie się już uśmiechać? – Paul delikatnie kołysał dziecko. – Masz przedwcześnie rozwiniętego synka.

– Pewnie nawet nie wie, że to teraz robi. – Lily z miłością spojrziała na maleństwo. – Choć mama by się z tobą zgodziła. Twierdzi, że jest bardzo bystry, że to widać. Moim zdaniem jest po prostu rozkoszny i uroczy. – Wypiła łyk wody z kubka. – Większość czasu przesypia.

Paul z uśmiechem na twarzy delikatnie huśtał niemowlę.

– Jest do ciebie podobny.

Ze ściśniętym sercem podrzucił lekko malucha. Nie było mu dane trzymać w ramionach własnego syna. Jego płuca nigdy nie nabrały powietrza. Gdyby żył, miałby teraz sześć lat. Do Paula wróciły wspomnienia tego, co sobie wyobrażał, gdy Susan była w ciąży – że nauczy synka polować i łowić ryby. Że może malec pójdzie w ślady swojego taty i zostanie kiedyś lekarzem. A potem marzenia rozpadły się w pył.

– Zabiorę go na ryby, jak będzie starszy – powiedział do Lily.

– Czemu nie? – odparła ze śmiechem. – Ale do tego jeszcze daleko.

Paul przyglądał się Theodore'owi. Czulby się prawie tak, jakby zajmował się własnym synem. Mógłby pomagać Lily i być dla niego wujem Paulem. Na tę myśl na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Lily pogładziła niemowlę po policzku.

– Mnie wydaje się raczej podobny do swojego ojca.

Paul podał jej dziecko.

– Miewasz od niego jakies wieści?

– Nie.

– Trudno uwierzyć, że mężczyzna kompletnie nie interesuje się własnym synem.

Wzruszywszy ramionami, Lily odebrała Theodore'a z rąk Paula i przytuliła go do siebie.

– Już mnie to nie obchodzi. – Delikatnie poklepała malca po plecach. – Jesteśmy tylko ja i Teddy. Nikogo nie potrzebujemy. Teraz nie zechce mnie żaden mężczyzna.

A potem, zachowując się tak, jakby wcale nie poruszali tego drażliwego tematu, powiedziała:

– Mama prosiła zapytać, czy chciałbyś pojechać jutro do Anchorage. Ja i Teddy wybieramy się z tatą na zakupy.

– Niedawno tam byłem, ale nie miałbym nic przeciwko zmianie otoczenia. Zmieścimy się?

– Tato kupił już większość zaopatrzenia na zimę, więc powinno być miejsca w sam raz.

– W porządku. O której wyruszacie?

– O świcie. Tam i z powrotem to kawał drogi. – Otworzyła drzwi i wyszła na dwór. – To będzie pierwsza podróż Teddy’ego do Anchorage. Ciekawe, czy spodoba mu się w lodzi. – Pocałowała małeństwo w czubek główki, a następnie ułożyła je w chuście. – Mam nadzieję, że pogoda się nie zepsuje. – Schodząc po stopniach, rzuciła okiem na błękitne niebo. – Do jutra.



Paul czekał na pomoście, a Lily sadowiła się na środkowej ławce łodzi. Chuchał w dłonie. Było zimno, zastanawiał się, czy to dobry pomysł wychodzić na dwór z dzieckiem w taką pogodę. Zachował swoje troski dla siebie. Bądź co bądź to nie jego sprawa.

Patrick zapalił silnik, Paul odwiązał cumę i usiadł na ławce z przodu. Lekki wietrzyk, który zaczął być odczuwalny, gdy łódź ruszyła z miejsca, wzmagął doznanie chłodu.

– Mam nadzieję, że się ociepli.

– Na pewno – odparł Patrick. – Dopiero świta. Kiedy wstanie słońce, ogrzeje powietrze. – Patrzył na głęboki błękit porannego nieba. – Dzień jest piękny.

Lily wcisnęła niemowlę pod kurtkę i od czasu do czasu coś do niego gruchała.

– Oby nie zerwał się wiatr, gdy dotrzemy do zatoki. Czasem strasznie tam zacina.

– Będzie dobrze – zapewnił Patrick, opierając rękę na rumplu i patrząc przed siebie na wodę.

– Martwię się tylko o małego. Może trzeba było zostać w domu.

– Skoro ma żyć w tym klimacie, musi być wytrzymały. Równie dobrze może zacząć hartować się od dziś. – Patrick skierował łódź na rzekę Susitna. Spojrzał na córkę. – Pogoda będzie dobra. Obiecuję. W przeciwnym razie lupaloby mnie w kościach. – Dodał gazu. – A czuję się dość zwawo, zwłaszcza jak na dziadka. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Płynęli w stronę zatoki. Mróz oszronił brzegi rzeki, na gałęziach drzew polyskiwały złociste, żółte i czerwone liście.

– To chyba już ostatnia podróż w tym roku – zauważył Patrick. – Wkrótce wszystko skuje lód.

Paul spoglądał przed siebie.

– Mam nadzieję, że zobaczymy jakąś dziką faunę. Wieloryby, lwy

morskie, wydry.

– Ja też – odparła Lily i spojrziała na rozjaśniające się niebo. – I z chęcią wystawiłabym twarz do słońca.

Patrick zachichotał.

– Jest rześko.

Zmarszczył czoło, skupiony na rzece. Po latach spędzonych w alaskijskim klimacie miał ogorzałą cerę.

Paulowi podobał się ten surowy wygląd przyjaciela. Życiowe doświadczenie wryło bruzdy na jego twarzy. Paul ufał mu bardziej niż jakimkolwiek innemu mieszkańcowi tych terenów. Miał niewielu przyjaciół, co zupełnie mu odpowiadało, za to prawdziwych i oddanych.

Zbliżali się do ujścia Susitny do Zatoki Cooka. W miejscu, gdzie rzeka wpadała do zatoki, woda była wzburzona, a łódź podskakiwała na falach. Gdy wypłynęli na rozległe wody, wszystko się uspokoiło i już tylko łagodnie kołysali się na powierzchni. Wzeszło słońce, wciąż jednak było za wcześnie, by poczuć ciepło promieni.

Paul opatulił się kurtką i schował ręce w kieszeniach. Wypatrywał śladów obecności morskich zwierząt. Kiedy jego wzrok padł na górę Susitna, dostrzegł kształt Śpiącej Damy. Jak zwykle przypomniawszy mu się Susan, która niegdyś tak samo spoglądała w niebo z zadartą głową. Tym razem ból po stracie wydał mu się mniej dotkliwy. Czyżby pomału jego tęsknota słabła? Ta myśl przyniosła zarazem otuchę i lęk. Nie chciał zapomnieć.

Wiatr się nie wzmagał. Jedyną fauną, jaką napotkali po drodze, były wylegające się na portowych bojach lwy morskie.

W Anchorage Patrick poszedł załatwiać swoje sprawy. Chciał dotrzeć do domu przed zmrokiem, nie było więc czasu na próżnowanie.

Przed południem wstąpili na lunch. Lily kołysała w ramionach Theodore'a, siedząc w restauracyjnej łoży naprzeciwko swojego ojca i Paula. Dziecko grymasiło.

– Proszę, pozwól mi zjeść, a potem cię nakarmię – zwróciła się do maleństwa.

Patrick przeglądał kartę dań, a gdy do stolika podeszła kelnerka, powiedział:

– Chyba dzisiaj zaszaleję. Poproszę kurczaka z knedelkami, a na deser ciasto bakaliowe.

Lily przełożyła synka na drugie ramię, ale ten marudził coraz głośniej.

– Proszę kanapkę z sałatką jajeczną i szarlotkę.

Kelnerka zanotowała zamówienie i zwróciła się do Paula. Nie mógł się zdecydować.

– Hmm... wezmę chyba plaster szynki z fasolką po bretońsku. – Z

trzaskiem zamknął menu. – I może ciasto cytrynowe na deser? – Uśmiechnął się do kelnerki.

– Poprosimy jeszcze o kawę. Musimy się rozgrzać – dodał Patrick.

Kwilenie dziecka przeszło w lament i wycie. Lily kolysała je w ramionach, to jednak nie skutkowało.

– Jest głodny. Muszę go nakarmić. – Rozejrzała się w poszukiwaniu odosobnionego kąta.

– Może w toalecie? – Jej ojciec wskazał głową drzwi w głębi sali.

– Wolałabym nie.

– Nie widzę innego wyjścia. – Patrick oparł ręce o blat stołu. – Może nakarmisz go tylko trochę, żeby się uspokoił.

– No dobrze. Niedługo wrócę.

Zanim Lily zniknęła z płaczącym Theodorem za drzwiami toalety, niektórzy klienci oglądali się na nią z irytacją.

– Zdążę zmieścić wszystko z talerza, zanim Lily skończy karmić. Mały ma wilczy apetyt. – Patrick zdjął kapelusz i położył obok siebie na lawce. Jego wesoly nastrój przygasł. Zerknął w stronę toalety. – Dobra mama z tej naszej Lily. Przykro mi, że ma przed sobą tak wyboistą drogę. Nielatwo być matką, zwłaszcza kiedy nie ma się męża. Ludzie się odwracają.

– Przywykną.

– Ten maluch jest wyjątkowy... – Patrickowi zaszkliły się oczy. – Niczym nie zawinił, żeby go gorzej traktowano.

Paul pokiwał głową.

– Ludzie, którzy go odrzucają, i tak nie byłiby dla niego żadnym wsparciem. – Wyciągnął rękę i poklepał przyjaciela po ramieniu. – Wszystko się ułoży. Jesteście z Sassą dobrymi rodzicami i będziecie wspaniałymi dziadkami. Mały wyrośnie na porządnego człowieka.

Patrick kiwnął głową, wyjął z tylnej kieszeni chusteczkę i wydmuchał nos.

– Bez względu na to, co ludzie gadają, Lily to dobra dziewczyna.

– Oczywiście. I pewnego dnia zjawi się mężczyzna, który ją pokocha i będzie wspaniałym mężem dla niej i równie wspaniałym ojcem dla jej dziecka.

Kelnerka przyniosła kawę i filiżanki. Napelniła je i odeszła.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz. – Patrick wypił łyk. – A tymczasem Sassa jest zachwycona rolą babci. – Zdobył się na uśmiech.

Mężczyźni zjadali już z talerzy ostatki, gdy z łazienki wychynęła Lily.

– Przepraszam, że tak długo to trwało, ale był naprawdę głodny.

Usiadła z dzieckiem przytulonym do ramienia.

– Zjedz sobie spokojnie, ja go potrzymam – zaproponował Paul, zgarniając z talerzyka ostatni kęs cytrynowego ciasta. Odsunął talerz i

wyciągnął ręce po Theodore'a.

– Dziękuję.

Dziewczyna położyła Paulowi na ramieniu pieluszkę i podała mu niemowlę. Mężczyzna usiadł wygodnie z sennym chłopcem, poklepując go po plecach, a Lily rzuciła się na jedzenie.

– Dziękuję, Paul. Umieram z głodu. Będziesz kiedyś dobrym tatą.

Paul wątpił, by kiedykolwiek znalazł osobę, z którą chciałby dzielić życie, ale zachował te przemyślenia dla siebie.

– Lubię się nim zajmować.

Theodore'owi się odbiło, z buzi wyciekła odrobina pokarmu. Paul wytarł mleko i powrócił do poklepywania malca po plecach. Gdy Lily skończyła jeść, podał jej syna i wszyscy udali się do sklepu z obuwiem. Chłopcy potrzebowali zimowych butów. Patrick wybrał każdemu po parze.

– Muszę zajrzeć w jeszcze jedno miejsce – oznajmił. – Potrzebuję kilku rzeczy ze sklepu wielobranżowego. I bardzo bym nie chciał, żeby ominęło mnie spotkanie z Albertem i Helen. Mam nadzieję, że zastanę ich oboje.

– Poniść Theodore'a? – zwrócił się Paul do Lily.

– Tak, dziękuję.

Wziął od Lily śpiące niemowlę i położył je sobie na ramieniu. Lubił jego bliskość i cichutkie dźwięki, jakie wydawało. Czuli się niemal jak ojciec.

– Szkoda, że nie ma czasu na zagranie partyjki warcabów z Albertem – powiedział Patrick.

Kiedy weszli do sklepu, Paul od razu zauważył Alberta. Patrick ruszył prosto w jego stronę.

– Miło cię widzieć. – Klepnął przyjaciela w plecy. – Dawno mnie tu nie było.

– Zawsze to powtarzasz. Spędzasz zbyt wiele czasu w swoim gospodarstwie.

– Lubię to miejsce.

– Liczyłem na twoją wizytę. Wprawiałem się w warcabach. – Chytrze się uśmiechnął.

– Dzisiaj nie ma czasu. Trzeba dotrzeć do domu przed zmierzchem.

– Może zostanieie do jutra? Przenocujemy was z Helen.

– Sassa by się martwiła.

Albert pokiwał głową.

– No dobrze. Ale następnym razem wygospodaruj godzinę. – Albert skierował uwagę na Lily i Theodore'a. Miał lekko zakłopotaną minę, ale się uśmiechnął. – Dobrze wyglądasz. Słyszałem o dziecku. – Przyjrzał się maleństwu. – Chłopczyk?

– Uhm. Ma na imię Theodore. Mówię na niego Teddy.

– Uroczy. – Albert zwrócił się do Paula. – A co u ciebie? Nadal leczysz ludzi?

– Tak. Wybieram się na kolejny objazd pod koniec tygodnia.

– Wciąż lubisz tę pracę?

– Uwielbiam – przyznał Paul.

Albert zwrócił się do Patricka z pytaniem:

– A więc czym mogę ci służyć?

Dwaj mężczyźni oddalili się w głąb sklepu. Lily wzięła na ręce syna i oglądała regały z artykułami gospodarstwa domowego. Wyglądała tam jak prawdziwa gospodyni. Paul chciał do niej dołączyć, lecz w tym samym momencie wyrosła przed nim Helen.

– Paul, cóż za miłe spotkanie. Zastanawiałam się, kiedy do nas zajrzysz. Miałaś jakieś wieści od Kate?

– Nie. I wątpię, by coś się w tej kwestii zmieniło.

Nie chciał rozmawiać o Kate.

– Spodziewałam się listu od niej, jednak jak na razie nie przyszedł.

Obejrzała się przez ramię na Lily, po czym łapiąc Paula za ramię, odciągnęła go w boczną alejkę.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale... martwiłam się – westchnęła.

– Czy mogę jakoś temu zaradzić?

Jej spojrzenie złagodniało i dodała szeptem:

– Martwiłam się o Lily. Jak sobie daje radę?

Paul poczuł irytację. Dla czego ludziom wydaje się, że niezamężna kobieta koniecznie musi być od razu w tarapatkach?

– Znakomicie. Dziecko zdrowe, a Lily jest wspaniałą matką. Poza tym rodzice pomagają jej najlepiej jak potrafią.

– Czy ojciec dziecka zaoferował jakąś pomoc?

– Nie. Z tego, co mówi Lily wynika, że się nimi nie interesuje.

– Naprawdę? – Helen zrobiła wielkie oczy. – Spodziewałby się człowiek, że mężczyzna będzie troszczyć się o własnego potomka.

– Lily się z tym pogodziła. I myślę, że to wyłącznie jej sprawa.

Ton Paula zabrzmiał ostro. Helen go zaskoczyła. Nigdy nie sprawiała wrażenia osoby, która wtyka nos w cudze życie.

Z twarzy kobiety odpłynął kolor. Wyglądała na bardzo zawstydzoną.

– Masz rację. Przepraszam. Nie powinnam się wtrącać. W każdym razie gdybyśmy mogli z Albertem jakoś pomóc, proszę, daj nam znać.

– Oczywiście.

Jedynie, czego w tej chwili pragnął, to stąd wyjść. Czuł wstręt do plotek i choć był pewien, że Helen kierowały dobre intencje, uraziło go takie sondowanie. Wiedział, że kolejnym tematem będzie Kate, a tego by nie zniósł.

Od chwili, gdy wsiadła do pociągu, czuł się tak, jakby odessano mu z płuc cały tlen. Już nigdy nie będzie takim człowiekiem jak dawniej. Każdego dnia modlił się o jej powrót.

– Tak. Wybieram się na kolejny objazd pod koniec tygodnia.

– Wciąż lubisz tę pracę?

– Uwielbiam – przyznał Paul.

Albert zwrócił się do Patricka z pytaniem:

– A więc czym mogę ci służyć?

Dwaj mężczyźni oddalili się w głąb sklepu. Lily wzięła na ręce syna i oglądała regały z artykułami gospodarstwa domowego. Wyglądała tam jak prawdziwa gospodyni. Paul chciał do niej dołączyć, lecz w tym samym momencie wyrosła przed nim Helen.

– Paul, cóż za miłe spotkanie. Zastanawiałam się, kiedy do nas zajrzysz. Miałaś jakieś wieści od Kate?

– Nie. I wątpię, by coś się w tej kwestii zmieniło.

Nie chciał rozmawiać o Kate.

– Spodziewałam się listu od niej, jednak jak na razie nie przyszedł.

Obejrzała się przez ramię na Lily, po czym łapiąc Paula za ramię, odciągnęła go w boczną alejkę.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale... martwiłam się – westchnęła.

– Czy mogę jakoś temu zaradzić?

Jej spojrzenie złagodniało i dodała szeptem:

– Martwiłam się o Lily. Jak sobie daje radę?

Paul poczuł irytację. Dla czego ludziom wydaje się, że niezamężna kobieta koniecznie musi być od razu w tarapatkach?

– Znakomicie. Dziecko zdrowe, a Lily jest wspianałą matką. Poza tym rodzice pomagają jej najlepiej jak potrafią.

– Czy ojciec dziecka zaoferował jakąś pomoc?

– Nie. Z tego, co mówi Lily wynika, że się nimi nie interesuje.

– Naprawdę? – Helen zrobiła wielkie oczy. – Spodziewałby się człowiek, że mężczyzna będzie troszczyć się o własnego potomka.

– Lily się z tym pogodziła. I myślę, że to wyłącznie jej sprawa.

Ton Paula zabrzmiał ostro. Helen go zaskoczyła. Nigdy nie sprawiała wrażenia osoby, która wtyka nos w cudze życie.

Z twarzy kobiety odpłynął kolor. Wyglądała na bardzo zawstydzoną.

– Masz rację. Przepraszam. Nie powinnam się wtrącać. W każdym razie gdybyśmy mogli z Albertem jakoś pomóc, proszę, daj nam znać.

– Oczywiście.

Jedyne, czego w tej chwili pragnął, to stąd wyjść. Czuł wstręt do plotek i choć był pewien, że Helen kierowały dobre intencje, uraziło go takie sondowanie. Wiedział, że kolejnym tematem będzie Kate, a tego by nie zniósł.

Od chwili, gdy wsiadła do pociągu, czuł się tak, jakby odessano mu z płuc cały tlen. Już nigdy nie będzie takim człowiekiem jak dawniej. Każdego dnia modlił się o jej powrót.

Kate wciągała na siebie sweter, zbiegając po stopniach. Wpadła do kuchni, gdzie matka kończyła zmywać po śniadaniu.

– Zrobiłabym to za ciebie.

– Nie bądź niemądra. Nie było tego wiele.

– Wobec tego pozmywam jutro. Obiecuję. – Rozejrzała się. – Wiesz, gdzie jest Angel?

– Och, wyszła rano z twoim ojcem. Zakolegowali się – odparła z uśmiechem Joan. – Dokąd to się wybierasz?

– Muszę pojechać do miasta – odparła. – Mogłabym wziąć samochód?

– Możesz z niego korzystać, kiedy chcesz. Przecież wiesz.

– Dziękuję. – Kate cmoknęła ją w policzek. – Jesteś najlepszą mamą pod słońcem. Potrzebujesz czegoś ze sklepu?

– Majonezu. I kolejnego tuzina litrowych słoików. – Zajrzała do lodówki. – Myślałam, że mam pełny słoik majonezu, ale chyba pamięć mnie zawodzi. – Pokazała niemal opróżniony pojemniczek. – Potrzebuję więcej na sałatkę ziemniaczaną na jutrzejszą zabawę.

– Już się cieszę na jutrzejszy dzień. Spodziewasz się wielu ludzi?

– Niemal wszystkich, których znam. Pamiętasz zapewne, jak wygląda u nas koniec sezonu.

– O tak. Mojej pierwszej jesieni na Alasce okropnie tęskniłam za domem. Myślałam o was wszystkich i wyobrażałam sobie jesienny ruch na farmie. Momentami wydawało mi się wręcz, że czuję zapach cydru. – Uśmiechnęła się. – Cieszyłam się, że jestem na Alasce, lecz jednocześnie chciałam być tutaj z tobą, tatą i naszymi przyjaciółmi. Dobrze, że w tym roku mogę uczestniczyć w zabawie na zakończenie sezonu.

– Zawsze robimy cydr jako jedni z ostatnich, więc wszyscy z okolicznych farm postanowili zebrać się u nas – Joan westchnęła. – Czeka nas sporo pracy.

– Pomogę, jak tylko wrócę. Nie zabawię długo.

– Po co wybierasz się do miasta?

– Potrzebuję papeterii, prawie skończył mi się papier. Moja znajoma urodziła dziecko, chciałabym jej powinszować. – Kate nie miała ochoty wyjaśniać sytuacji Lily. Zrobiła krok ku drzwiom.

– Kto urodził dziecko? – zapytała Joan, wycierając blat.

– Lily. Dostarczałam do jej domu pocztę.

– Pamiętam, jak o niej wspominałaś. To miła wiadomość. Nie

wiedziała, że wyszła za mąż.

Kate nie sprostowała. Wzięła kluczyki do samochodu, które leżały na stoliku w jadalni.

– Niedługo wracam.

Wybiegła na dwór i wsiadła za kierownicę chryslera rodziców. Silnik natychmiast zapalił. Jej ojciec był pedantem w kwestii właściwego dbania o pojazd. Z równą pieczołowitością dbał o swój samolot. Kate wycofała auto na podjeździe i zjechała po zboczu wzgórza do głównej drogi.

Dzień był pogodny, słoneczny, opuściła więc szyby i wystawiła łokieć przez okno. Po jasnoniebieskim niebie przesuwały się białe obłoki, które przypominały jej watę cukrową. Popatrzyła na pasmo gór i poczuła ukłucie tęsknoty za dziką Alaską. Tamtejsze góry zdawały się zniecaćka wyrastać z wnętrza ziemi.

Nad suchą szosą unosił się kurz i wpadał przez okno. Kate czuła w ustach jego drobinki. Na Alasce powietrze byłoby chłodne i pachniałoby fermentującymi jagodami oraz wilgotną ziemią. Być może śnieg nawiany przez przedwczesną o tej porze roku zadymkę spowijałby ziemię białym kobiercem. Gdy się tam osiedliła, tęskniła za Yakimą, a przede wszystkim za chłodnymi jesiennymi porankami i ciepłymi popołudniami. Ogarnęła ją smutek. Miała teraz jakby dwa domy. Mieszkając w jednym, tęskniła za drugim. Targało nią uczucie melancholii. Czy kiedykolwiek wreszcie się czymś zadowoli?

Z radością chłonęła brązowe zbocza wzgórz. Uwielbiała na nie patrzeć – były aksamitne, nagrzane słońcem. Jeszcze trochę czasu i znów poczuje się tu jak w domu.

Zatrzymała wóz pod sklepem, przed którym piętrzyły się w koszu dynie. Witryny były zalepione plakatami reklamującymi wyprzedaż cukru, mąki i przypraw korzennych. Weszła do środka i się rozejrzała. Gdzie jest dział papierniczy?

Za kasą stała rudowłosa kobieta, której Kate nigdy wcześniej nie widziała. Uśmiechnęła się, a wtedy piegi na jej nosie i policzkach jakby się rozciągnęły.

– Czym mogę służyć?

– Szukam papeterii. Och, i potrzebne mi jeszcze weki oraz majonez.

Dziewczyna weszła między regały.

– Materiały piśmiennicze są tam na końcu. – Wskazała półki przy ścianie w głębi sklepu. – Majonez w rzędzie obok, a słoiki tutaj. – Odwróciła się w stronę alejki za swoimi plecami.

– Dziękuję.

Kate udała się na tył sklepu, zastanawiając się, co należy napisać do kobiety z nieślubnym dzieckiem. Wyobrażała sobie, że niektórzy pewnie surowo osądzili Lily, ale była przekonana, że dziewczyna pogodzi się ze

swoim losem i będzie czerpać radość z macierzyństwa. Życie obok rodziców, przy lesie nad strumieniem, ułatwi jej to zadanie.

A potem przed oczami Kate stanęła twarz Paula, pogrążając ją w myślach o zaprzepaszczonych nadziejach i marzeniach. Kiedyś roila sobie, że będą razem wychowywać dzieci na farmie. Rana w sercu była głęboka. Czy już nigdy nie przestanie go kochać?

Gdy zbliżała się do działu z papierem, ołówkami i piórami, zauważyła znajomo wyglądającego mężczyznę. Ciemne włosy, muskularne ciało i postura kogoś jej przypominały. Odwrócił się, a wtedy Kate zadrżało serce. To był brat Alison, Charles Gibson.

Spoglądające z odrazą niebieskie oczy przewiercały ją na wylot. Usta się zacisnęły.

– Co tutaj robisz? Sądzilem, że przeprowadziłaś się na Alaskę.

– Tak, ale wróciłam.

Co innego mogła powiedzieć? Właśnie takich spotkań się obawiała. Rodzina Alison ją nienawidziła. Po katastrofie nawet nie chcieli z nią rozmawiać. W takim małym miasteczku jak Yakima szanse napotczenia się na nich były spore.

Charles skrzyżował ramiona i nie przestawał piorunować jej wzrokiem.

– Może należałoby rozważyć powrót.

Kate głośno przełknęła ślinę. Brakowało jej słów.

– Wiem, jak się czujesz...

– Nie masz pojęcia, jak się czuję.

– Bardzo żaluję.

– Żal niczego nie zmieni.

Jeszcze przez kilka sekund świdrował ją gniewnym wzrokiem, po czym odwrócił się do niej plecami i odszedł.

Kate przytłoczył ciężar winy i wstydu. Charles miał rację. Przepraszanie niczego nie załatwi. Nie wskrzesi Alison. Kate rozumiała, że Bóg jej wybaczył, ale najwyraźniej niektórzy ludzie nigdy nie będą do tego zdolni.

Stanęła twarzą do kasjerki. Rudowłosa dziewczyna patrzyła na nią tak, jakby zorientowała się, z kim ma do czynienia, i chciała pozbyć się jej ze sklepu.

Kate wyszła bez słowa. Była urażona i zagniewana. Kiedy to się skończy?

W drodze powrotnej do domu nie widziała błękitu nieba ani ozłoconych wzgórz. Miała przed oczami jedynie odrazę w spojrzeniu Charlesa. Błyskawicznie przeniosła się myślami do tamtego wypadku. Lodowata woda, ciało Alison wyciągane z wraku. Poczula się tak, jakby ktoś zawiesił jej u szyi wielki kamień wstydu. I ów wstyd nienawistnie

zaglądał jej w oczy, tak jak Charles.

Zanim skręciła na podjazd przed domem, zdołała zapanować nad łzami. Weszła od razu na piętro. Zauważyła kątem oka matkę, ale udała, że jej nie widzi. W zaciszu własnego pokoju rzuciła się na łóżko i dała upust rozpacz. Ciałem wstrząsał głęboki szloch. *Boże, tak bardzo żałuję. Proszę, uwolnij mnie od tego. Nie wiem, co robić.*

Usłyszała, jak otwierają się drzwi pokoju. Wiedziała, że to mama. Nie podniosła głowy. Łóżko delikatnie się ugięło. Kate poczuła na plecach dotyk dłoni. Przycisnęła policzek do bawełnianej narzuty i zamknęła oczy.

– Co się stało? – zapytała matka ciepłym, troskliwym tonem.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Przeturlała się na bok i otarła łzy. Joan podała jej wyjętą z rękawa chusteczkę. Kate cicho wydmuchała nos.

– Nie kupiłam majonezu ani słoików. Przepraszam.

– Nieważne. Ojciec może po nie pojechać. W tej chwili martwię się o ciebie.

Kate usiadła.

– Natknęłam się w sklepie na Charlesa Gibsona. – Ponownie wydmuchała nos. – On mnie nienawidzi.

Spojrzenie Joan zdradzało smutek. Przyciągnęła do siebie córkę i otoczyła ją ramionami.

– Bardzo ci współczuję, Kate. Ale nie masz wpływu na to, co on czuje. Pozwolił, by zatrula go gorzyc.

Kate osuszyła ostatnie łzy. Nie znosiła płakać, szczególnie w obecności ludzi, nawet jeśli była to jej własna mama.

– Nie wiem, co począć. To mała mięscina. Przy każdym wyjściu z domu mam duże szanse spotkać jego samego albo jego rodziców. Właśnie tego nie mogłam tu znieść. Co robić?

Joan zastanawiała się przez chwilę, a potem rzekła dobrotliwie:

– Może czas z nimi porozmawiać.

– Próbowałam. Pamiętasz? Nie chcieli mnie nawet widzieć.

– To było dawno temu. Od tego czasu wiele mogło się zmienić.

– Dla Charlesa najwyraźniej nie.

– Jest młody.

Kate roztrząsała w myślach sugestię mamy.

– Może zdołałabym porozmawiać z państwem Gibson. Ale co bym im powiedziała?

– Pomódl się. Bóg ci podpowie.

Kiwnęła głową. Myśl o spotkaniu z Gibsonami ją paraliżowała, rozumiała jednak, że to słuszny krok.

– Zadzwońię do nich.

Joan uśmiechnęła się do broduśnie.

– Uważam, że to doskonały pomysł. – Wstała. – Kolacja czeka. Zejdź na dół, kiedy będziesz gotowa.

Kate usiadła przy stole, ale nie miała apetytu. Na myśl o czekającej ją rozmowie skręcało ją w żołądku. Pozmywawszy po kolacji naczynia, wykręciła numer centrali telefonicznej i poprosiła o połączenie z domem państwa Gibsonów. Pociły się jej dłonie, serce waliło jak młotem. Gdy usłyszała w słuchawce głos mamy Alison, poczuła pustkę w głowie. Miała ochotę się rozłączyć. W końcu drżącym głosem powiedziała:

– Dobry wieczór, pani Gibson, mówi Kate Evans.

– O. – Nastąpiła długa pauza. – Witaj, Katharine. W czym mogę ci pomóc?

Jej ton nie brzmiał wrogo, ale też nie było w nim życzliwości.

– Miałam nadzieję, że mogłabym państwa odwiedzić i porozmawiać z panią oraz panem Gibsonem.

Znów długie milczenie. Kate wstrzymała oddech. Wreszcie pani Gibson odparła:

– Nie widzę przeszkód. Kiedy chciałabyś do nas zajrzeć?

– Kiedy tylko państwu odpowiada.

– Muszę porozmawiać z Williamem. Mogę oddzwonić?

– Oczywiście. Jestem u rodziców.

– A zatem dobrze. Odezwę się i dam znać.

– Dziękuję.

Pani Gibson powiedziała „do widzenia” i zakończyła połączenie, zanim Kate zdążyła zareagować.

Kate odłożyła słuchawkę na widelki i odwróciła się do matki.

– Zgodziła się. Ma oddzwonić i poinformować mnie, kiedy chce się spotkać.

– Doskonale. Tato i ja możemy ci towarzyszyć, oczywiście jeżeli chcesz.

– Nie. Muszę załatwić to sama – odparła i uśmiechnęła się do mamy. – Ale dziękuję.



Lauraine Gibson zadzwoniła następnego dnia rano i zaproponowała spotkanie o drugiej po południu. Kate pracowała z mamą ramię w ramię przy przygotowaniach do wieczornego przyjęcia, ale myślami była przy Gibsonach. Nie potrafiła skupić się na niczym innym prócz tego, co należałoby im powiedzieć i jak oni na to zareagują. Strach zniweczył całą przyjemność oraz radość ze zbliżającej się zabawy. Kate bez przerwy spoglądała na zegar. Czas włókił się niemiłosiernie. W końcu wybiło wpół

do drugiej. Przerwała pracę i poszła się odświeżyć. Starannie wybrała sukienkę. Ważne, żeby pani Gibson zaaprobowała strój. Zrezygnowała z makijażu oraz perfum, na wypadek gdyby państwo Gibsonowie uznali je za duży nietakt. Uściskała mamę i wyruszyła do miasta.

Serce nie potrafiło wpaść w równy rytm. Dłonie miała wilgotne, wyschło jej w ustach. Na szczytach gór tkwiły białe obłoki. Kate przyglądała się im, próbując uporządkować myśli.

Gibsonowie mieszkali w przytulnej okolicy. Kate dobrze ją pamiętała. Wjechała na podjazd, zgasila silnik i patrzyła na dom – niewielki, piętrowy, obłożony deskami. Wszystko wyglądało jak zawsze – starannie utrzymane rabaty kwiatowe i duży orzech na podwórku przed domem. Jej wzrok powędrował ku oknu pod dachem. Pokój Alison. Przyplłynęły falą wspomnienia nocnych pogaduszek, nauki tanecznych kroków, wspólnego słuchania ulubionych piosenek w radiu.

Mocno chwyciła kierownicę i wsparła na niej głowę. *Boże, dopomóż mi.* Wyprostowała się, ściągnęła łopatkę. Minęło dziewięć lat. Czas wziąć się z przeszłością za bary.

Otworzyła drzwi i wysiadła. Chłodny wiatr zaplątał się we włosy, które przesloniły jej oczy. Odgarnęła kosmyki z twarzy, dla uspokojenia wzięła głęboki oddech i podeszła pod wejście. Chwilę stała bez ruchu, aż w końcu zapukała.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Lauraine Gibson stała z ręką na klamce.

– Katharine. Przyszedł punktualnie.

Ciemne włosy kobiety zaczynały siwieć, zaś smutek zgasił blask w brązowych oczach.

– Dzień dobry – przywitała się. – Dziękuję, że zechcieli mnie państwo przyjąć.

Pani Gibson szerzej otworzyła drzwi.

– Wejdz.

Oczom Kate ukazały się prowadzące na piętro schody. Przypomniała sobie, jak wbiegała po nich pędem do zacisza pokoju Alison. Po prawej stronie był salonik. Wyglądał tak samo, jak go zapamiętała. Rozłożysta jasnobrązowa sofa w kwiatowe esy-floresy stała w głębi pod ścianą, a dwa fotele obite tą samą tkaniną zajmowały miejsce przed wykuszem z oknem. Półkę nad kominkiem pomalowano na lśniąca biel, ale stał na niej ten sam stary zegar z drewna egzotycznego. Wahadło cichym tykaniem odmierzało czas. Pani Gibson zawsze dbała o świeże kwiaty w mieszkaniu. Ustawiony na stoliku wazon z czerwonymi różami ożywił pokój.

– Usiądź, proszę. Napijesz się czegoś?

– Chętnie, dziękuję – odparła Kate. Język wiązał jej w wyschniętych

ustach.

Mama Alison zniknęła w kuchni. Kate czekała, ściskając dłonie między kolanami. Zastanawiała się, czy zjawi się również pan Gibson.

Pani Gibson powróciła z tacą ze szklankami i talerzykiem wypełnionym ciasteczkami.

– O ile dobrze pamiętam, lubisz lemoniadę.

– Tak, dziękuję. – Kate wypila łyk napoju..

– Ciasteczko? Z jabłkami i rodzynkami.

Kate ścisnął się żołądek. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było ciasteczko, nie śmiała jednak odmówić i przyjęła poczęstunek.

Do pokoju wszedł William Gibson. Wydawał się niższy, niż zapamiętała.

– Kate – powiedział.

– Dzień dobry, panie Gibson. – Wstała. – Dziękuję za spotkanie.

Mężczyzna usiadł na sofie. Dołączyła do niego żona. Nie oparła się o poduszki, tylko przycupnęła na brzeżku wyprostowana jak struna. Jej czoło przecinała bruzda.

– O czym chciałaś porozmawiać, Kate? – odezwał się pan Gibson tonem uprzejmym, wycutym z wszelkich emocji.

Kate z powrotem usiadła.

– Spotkałam wczoraj w sklepie Charlesa.

– Tak, wspominał.

– Jest zagniewany i ma do tego prawo. Pomyślałam, że może dobrze byłoby porozmawiać... o tym, co się wydarzyło. – Kate spojrzała na szklankę i podniosła ją do ust. – Bo nigdy nie rozmawialiśmy.

Wytarła w sukienkę spoconą dłoń.

– Tamtego dnia... wszystko stało się przeze mnie. To moja wina. Poprosiłam Alison, by ze mną poleciała. A kiedy zobaczyłam mgłę, powinnam była trzymać się z daleka od jeziora. Wydawało mi się... – Dzielnie walczyła ze łzami. Widok wilgotnych oczu pani Gibson i jej ręki ściskającej kurczowo dłoń męża tylko pogarszał sytuację. – Wydawało mi się, że nic nie może się stać. Że jestem wystarczająco dobrą pilotką. Okazało się, że tak nie było. Staralam się wylądować, ale wszystko mi się pomieszało i przechyliłyśmy się na bok.

Kate nie umiała dłużej pohamować płaczu.

– Próbowałam ją ocalić.

Pani Gibson przyłożyła do oczu chusteczkę.

– Naprawdę próbowałam. Żałuję, że to nie ja zginęłam zamiast niej. – Kate nie panowała nad szlochem. – Gdy wybierałyśmy się tamtego dnia na wycieczkę, nie przyszło mi do głowy, że może wydarzyć się coś złego. Alison była moją najlepszą przyjaciółką. Kochałam ją. – Nagle uszła z niej cała energia. – Tęsknię za nią... codziennie.

Pani Gibson popatrzyła na męża, a potem znów na Kate.

– Wiemy. I rozumiemy, że zdarzył się wypadek, straszny wypadek.

Pan Gibson wstał i podszedł do okna. Z rękami w kieszeniach wyjrzał na zewnątrz.

– Kiedy dotarła do nas wiadomość, nie byliśmy w stanie sobie wyobrazić, że nie ma już naszej Alison. – Zadrżał mu głos. – Musieliśmy rzucić na kogoś winę. – Spojrzał na Kate. – Wyładowaliśmy naszą rozpacz na tobie.

– Najmocniej cię przepraszamy – rzekła pani Gibson. – Postąpiliśmy niesprawiedliwie. Byłaś wtedy jeszcze niemal dzieckiem. Powinniśmy byli z tobą porozmawiać. Tylko nie wiedzieliśmy jak. A wraz z upływem czasu stawało się to coraz trudniejsze, więc... po prostu daliśmy sobie spokój. – Zwróciła się do Kate. – Teraz rozumiemy, jak wielki popełniliśmy błąd.

Ciężar, który Kate dźwigała od tak dawna, nagle zelżał.

– Potraficie mi państwo wybaczyć?

Pani Gibson wyciągnęła ręce i ujęła obie jej dłonie.

– Już dawno ci wybaczyliśmy, Katie. Z całego serca żałujemy, że się do ciebie nie odezwaliśmy. Trudno nam było rozmawiać o Alison. A gdy patrzyśmy na ciebie, widzimy ją.

Poklepała Kate po dłoni.

Kate absolutnie nie spodziewała się takiej wielkoduszności i miłości.

– Nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję. Jestem ogromnie wdzięczna. Bałam się tej rozmowy. – Przypomniała sobie spotkanie z Charlesem. – A Charles? On mnie nienawidzi.

Pani Gibson pokiwała głową.

– Jemu trudniej się z tym uporać. Jest młody. Ale w końcu na pewno to w sobie przerobi.

Pan Gibson zajął miejsce obok żony.

– Słyszeliśmy o twoim przyjacielu, pilocie... ogromnie współczujemy.

Kate poczuła gulę w gardle.

– Mieliśmy się pobrać.

– Och, Katie... – powiedziała pani Gibson.

– Zamierzasz wrócić na północ? – zapytał pan Gibson.

– Nie. Zostaję tu na stałe. Nie będę więcej latać. To nie dla mnie.

– Wiesz, Alison uwielbiała latać – rzekła z uśmiechem Lauraine. – Uważała, że jesteś wspaniałą pilotką. Była z ciebie bardzo dumna.

– Alison była najlepszą przyjaciółką pod słońcem.

Pani Gibson zwróciła na Kate życzliwe spojrzenie.

– Nie chciałaby, żebyś zerwała z lataniem. Zawsze powtarzała, że jej zdaniem jesteś po części ptakiem. – Oczywiście kobiety pojaśniały i od razu wydała się młodsza. – Nie rezygnuj z czegoś, co kochasz z powodu

strachu czy poczucia winy.

– To nie jest powód. Po prostu uważam, że to niemądre. Nadszedł czas się ustatkować, zacząć prowadzić normalne życie, może założyć rodzinę.

– Nigdy nie byłaś taka, jak inni. I to właśnie kochała w tobie Alison. Nie sądzę, by było ci pisane zwyczajne życie. Bóg nie do tego cię stworzył.

Kate połykała lzy. Wiedziała, że porzucenie latania oznacza rezygnację z części siebie. Ale być może nadszedł czas na odnalezienie nowej Kate.

Myśli Kate obracały się wokół wszystkiego, co wydarzyło się tego popołudnia. Kamień spadł jej z serca, czuła się radośniej. Państwo Gibsonowie nie czuli do niej nienawiści. A Charles... cóż, mogła jedynie mieć nadzieję i modlić się, że pewnego dnia jej przebaczy. Z Bożą pomocą wszystko jest możliwe. Miała tego świadomość. Dlaczego zatem raz po raz musiała przekonywać się o tym od nowa?

Na samą myśl o wszechmocnym Stwórcy Kate zadźwięczały w uszach słowa pani Gibson, które wypowiedziała na temat Kate i latania. Czy było jej przeznaczone zostać kobietą, która rzuciła wyzwanie alaskijskiej dziczy? Która przemierza to terytorium wzdłuż i wszerz? Czy właśnie to Bóg ma dla niej w zanadru? I czy ta osoba jeszcze w ogóle istnieje?

Przetoczyła się przez nią fala lęku i rozczarowania. Skoro nie może być, kim była, to kim się stanie? Bała się ponownie latać. Gdy pomyślała sobie, jak siada za stery samolotu, przeszły ją ciarki strachu. Próbowała wyobrazić sobie siebie, jak unosi się nad zamarznąłą tundrą. Nie. Już do tego nie wróci. Zresztą jaki miałoby to sens? Kto przy zdrowych zmysłach prowadzi takie życie?

Kate naszło wspomnienie spokojnych niebieskich oczu Mike'a, jego beztróskiego sposobu bycia, miłości do latania. Brakowało jej jego obecności. Gdyby tak mogła z nim porozmawiać. On by wiedział, co powinna zrobić. Przypomniła sobie ich pierwszy wspólny lot i lunch, który zjedli razem na plaży w Homer. Powiedział jej wtedy, żeby wracała do domu, że praca pilota na Alasce jest zbyt niebezpieczna. A mimo to została i wiedziała, że szanował ją za tę decyzję.

Wyobraziła sobie jego niewymuszony uśmiech, oczy zawsze patrzące na nią z czułością. Ból ścisnął gardło. Dlaczego zginął? Był dobrym człowiekiem, radosnym, pełnym werwy. Nie zasługiwał na śmierć. Kate przeszył gniew. *Boże, dlaczego? Mogłeś temu zapobiec.*

Wiedziała, że nie pyta się Boga o sprawy, które jedynie On rozumie. Nic się w ten sposób nie wskóra. Nie ma wytłumaczenia dla takich tragedii jak katastrofa Mike'a.

Powinien był posłuchać swojej własnej rady i przestać latać. Kate usiłowała przedstawić go sobie w innej roli, ale nie potrafiła. Jego przeznaczeniem było latanie. Tylko czy ona sama nie była przekonana, że też została do tego stworzona?

Skręciła na podjazd. Kury rozpieczęły się na wszystkie strony.

Rodzice siedzieli na ganku przed domem. Wiedziała, że się modlili i że są ciekawi, jak przebiegło spotkanie, ona jednak nie była jeszcze gotowa o tym rozmawiać. Nosila ten ciężar tak długo, że wszystko wydawało się jej teraz nierealne. Potrzebowała czasu do namysłu i delektowania się tą nową sytuacją.

Wysiadła z samochodu, zatrzasnęła drzwi i ruszyła ścieżką do domu. Wchodząc po stopniach ganku, marzyła, by można było jakoś uniknąć tej rozmowy.

– Cześć – powiedziała.

Ojciec się do niej uśmiechnął.

– Jak poszło?

Mama wstała.

– Przynieść ci mrożonej herbaty?

– Nie, dziękuję.

Kate usiadła na fotelu bujanym. Splotła dłonie na kolanach, zamknęła oczy i odchyliła głowę. Lekki wiatr schłodził popołudniowe powietrze i niósł woń fermentujących jabłek.

Matka usadowiła się na krześle.

– Nie poddawaj się, skarbie. Jestem w pełni przekonana, że Gibsonowie...

– W zasadzie wszystko jest w porządku. Państwo Gibson byli sympatyczni, miłosiernie przyjęli moje przeprosiny. Powiedzieli, że już dawno mi wybaczyli, i wyrazili żal, że się ze mną wcześniej nie skontaktowali.

– Och, to cudownie!

– Dobrze nam się rozmawiało – przyznała Kate z łagodnym uśmiechem. – Wspominaliśmy Alison i dawne czasy.

Oblizła wyschnięte usta i pożałowała, że odmówiła wypicia schłodzonej herbaty.

– Ogromnie się cieszę. – Joan dotknęła ramienia córki. – Z twojej miny wynioskowałam... cóż... nie wyglądasz na szczęśliwą. Jeszcze coś cię trapi?

Kate westchnęła.

– Pogubiłam się. Nie wiem, co robić.

– A propos czego, Katie? – Ojciec pochylił się do przodu i wsparł ręce na udach. – Jak możemy ci pomóc?

Kate nie potrafiła nawet wyrazić, co czuje. Odgarnęła włosy z twarzy i popatrzyła na rodziców. Byli mądrzy i ją kochali. Może właśnie oni będą potrafili jej pomóc.

– Gdy wyjechałam na Alaskę, byłam absolutnie pewna, że postąpiłam słusznie. Pragnęłam wyzwania, potrzebowałam zacząć całe życie od nowa. A potem wszystko poszło źle.

Rodzice siedzieli na ganku przed domem. Wiedziała, że się modlili i że są ciekawi, jak przebiegło spotkanie, ona jednak nie była jeszcze gotowa o tym rozmawiać. Nosila ten ciężar tak długo, że wszystko wydawało się jej teraz nierealne. Potrzebowała czasu do namysłu i delektowania się tą nową sytuacją.

Wysiadła z samochodu, zatrzasnęła drzwi i ruszyła ścieżką do domu. Wchodząc po stopniach ganku, marzyła, by można było jakoś uniknąć tej rozmowy.

– Cześć – powiedziała.

Ojciec się do niej uśmiechnął.

– Jak poszło?

Mama wstała.

– Przynieść ci mrożonej herbaty?

– Nie, dziękuję.

Kate usiadła na fotelu bujanym. Splotła dłonie na kolanach, zamknęła oczy i odchyliła głowę. Lekki wiatr schłodził popołudniowe powietrze i niósł woń fermentujących jabłek.

Matka usadowiła się na krześle.

– Nie poddawaj się, skarbie. Jestem w pełni przekonana, że Gibsonowie...

– W zasadzie wszystko jest w porządku. Państwo Gibson byli sympatyczni, miłosiernie przyjęli moje przeprosiny. Powiedzieli, że już dawno mi wybaczyli, i wyrazili żal, że się ze mną wcześniej nie skontaktowali.

– Och, to cudownie!

– Dobrze nam się rozmawiało – przyznała Kate z łagodnym uśmiechem. – Wspominaliśmy Alison i dawne czasy.

Oblizła wyschnięte usta i pożałowała, że odmówiła wypicia schłodzonej herbaty.

– Ogromnie się cieszę. – Joan dotknęła ramienia córki. – Z twojej miny wywnioskowałam... cóż... nie wyglądasz na szczęśliwą. Jeszcze coś cię trapi?

Kate westchnęła.

– Pogubiłam się. Nie wiem, co robić.

– A propos czego, Katie? – Ojciec pochylił się do przodu i wsparł ręce na udach. – Jak możemy ci pomóc?

Kate nie potrafiła nawet wyrazić, co czuje. Odgarnęła włosy z twarzy i popatrzyła na rodziców. Byli mądrzy i ją kochali. Może właśnie oni będą potrafili jej pomóc.

– Gdy wyjechałam na Alaskę, byłam absolutnie pewna, że postąpiłam słusznie. Pragnęłam wyzwania, potrzebowałam zacząć całe życie od nowa. A potem wszystko poszło źle.

– Wszystko? – Tato uniósł brew. – Coś mi się zdaje, że mnóstwo spraw ułożyło się doskonale.

Utkwiła w nim spójrzenie z nadzieją, że tato pomoże jej dostrzec to, czego sama nie była w stanie zobaczyć.

– Pamiętasz dzień, w którym dostałaś pracę na lotnisku? Zadzwońiłaś do nas, mimo że musiałaś zamawiać rozmowę międzymiastową. Byłaś tak podekscytowana, że nie zamykała ci się buzia. – Delikatnie ścisnął jej rękę. – Zrealizowałaś jedno ze swoich marzeń. A w kolejnych tygodniach i miesiącach udowodniłaś, że masz dryg i talent do latania. Ratowałaś ludziom życie i służyłaś mieszkańcom Alaski. Stawiałaś czoło wyzwaniom, na które większość ludzi nawet nie próbowałaby się poważyć. Zawarłaś trwale przyjaźnie z ludźmi, na których mogłaś polegać.

– A te wszystkie okropności? Śmierć Franka w katastrofie, a potem Mike'a...

– To te złe strony, przyznaję. Ale życie ma dla nas wszystkich w zanadrzu dobre i złe chwile. – Wyprostował się i dodał cicho: – Możesz dać za wygraną... zostać tutaj, zaszyć się w jabłoniowym sadzie. Porzucić marzenia.

– Uważasz, że nie powinnam tu zostać?

Patrzył jej prosto w oczy.

– Tak, Kate. Tak uważam. – Zerknął na Joan. – Nie myśl tylko, że cię tu nie chcemy. Jesteśmy zachwyceni, że jesteś z nami. Ale to już nie jest twoje miejsce. Teraz twoim domem jest Alaska.

Kate pokręciła głową.

– Nie. Przecież już nie latam. Nie mogę tam wrócić.

– Dlaczego?

– Spaliłabym się ze wstydu, że skapitulowałam. A z drugiej strony wszyscy, którzy wsiadają za stery samolotu, prędzej czy później giną. Ja... ja się boję. Nie mogę żyć ze świadomością, że każdy dzień może być moim ostatnim. I nie chcę nikogo więcej zabić.

Kąciki ust Billa wygięły się w uśmiechu pełnym zrozumienia.

– Nie musisz latać, uważam jednak, że rezygnując, przegapisz to, co przeznaczył ci Bóg. – Uśmiechnął się szeroko. – Latam od wielu, wielu lat i nadal żyję. – Spoważniał. – I pamiętaj, Katie, nikogo nie zabiłaś.

– Jak możesz tak mówić? Gdyby nie ja, Alison by żyła. A jej rodzice byłiby szczęśliwi. Przebaczyli mi, ale są pogrążeni w smutku. – Zerwała się i podeszła do balustrady.

– Katie – odezwała się Joan, zwracając się do córki pieszczotliwym zdrobnieniem wymyślonym przez jej ojca. – Na pewno rozumiesz, że Bóg wybaczył ci twój udział w śmierci Alison, jednak nie sądzę, byś ty sama sobie wybaczyła.

Starając się opanować drżenie brody, Kate powiedziała:

– Bo to była moja wina. – Powiodła wzrokiem po sadzie. Znalazła się w potrzasku wyrzutów sumienia i wewnętrzznego zamętu. Potrzebowała się z niego uwolnić.

– Przypisujesz sobie zbyt duży wpływ na życie drugiego człowieka.

Kate spojrzała na matkę.

– Co masz na myśli?

– To Bóg ma władzę nad życiem i śmiercią, nie my. Ty zrobiłaś wszystko, co mogłaś, żeby ocalić życie Alison. – Joan nie odrywała wzroku od twarzy córki. – Albo ufamy Bogu, albo nie.

Podeszła do Kate i ją objęła. Kate wsparła głowę na matczynym ramieniu, żalując, że nie jest już dzieckiem. Dawniej wystarczył uścisk i pocałunek, by wyleczyć najgorszą ranę. Była dorosła, a mimo to bliskość matki działała na nią kojąco. Poczula, jak topnieje jej udręka.

– Nie zabiłaś Alison wtedy nad jeziorem. Nie wiemy, dlaczego Bóg pozwolił jej umrzeć, niemniej jednak tak uczynił. – Delikatnie uściśnęła córkę. – Nie jesteś Bogiem. Kate. To On dokonał wyboru.

Kate czuła się tak, jakby w jej duszę wsączyło się światło i wydobyło z mroku prawdę.

– Kocham cię.

Przywarła do matki. Z oczu płynęły jej łzy.

– Ja też cię kocham.

Kate wypuściła mamę z objęć i cofnęła się o krok.

– Chyba się przejdę, zanim wszyscy się tu zjawią. Wiesz, muszę trochę przewietrzyć głowę. – Spojrzała na leżącą obok taty Angel. – Idziesz ze mną, piesku?

Suczka podniosła łeb, ale nie ruszyła się z miejsca. Kate do niej podeszła.

– Za gorąco, co? – Poglaskała gęstą sierść. – Rozumiem. – Wyprostowała się i zbiegła ze schodów. – Niedługo wracam.

– Nie ma pośpiechu – powiedziała Joan.

Kate udała się do sadu. Większość jabłek już zebrano. Na końcach rzędów stały skrzynki, ustawione jedna na drugiej. Część zbiorów zostanie przechowana, część wysłana na sprzedaż. Jabłka przeznaczone na cydr czekały już koło prasy.

Niewykluczone, że zabawa to dokładnie to, czego jej trzeba. Przyjdzie Richard. Była ciekawa jego zdania w kwestii powrotu na Alaskę.



Następnego ranka Kate zeszła na dół wcześniej, jeszcze zanim wszyscy wstali. Rodzice położyli się spać późno, dopiero jak goście rozjechali się

do domów. Przybyła większość farmerów z doliny. Kate miło spędziła czas. Były rozmowy, śmiech, smaczne jedzenie. Część osób przyniosła skrzypce i organki, więc nie zabrakło też tańców.

Kate znalazła sobie zajęcie przy robieniu cydru. Pracowała wespół z Richardem przy rozlewaniu soku do butelek. Wypiła go tak wiele, że czuła, jak chlupie jej w żołądku. W rezultacie zasypiała z bolącym brzuchem.

Poszła do kuchni zaparzyć kawę. Rodzice chętnie się napiją, gdy wstaną. Umyła dzbanek, napełniła go świeżą wodą, wysypała kawę, zakręciła i postawiła na nowej, elektrycznej kuchence mamy.

Usłyszała kroki. Odwróciła się i ujrzała ojca.

– Cześć, tato. Fajna była zabawa, co?

Uśmiech pogłębił zmarszczki w kącikach oczu Billa.

– Dawno się tak dobrze nie udała. – Wszedł do kuchni i wyjrzał przez okno. – Zanosi się na piękną pogodę.

– Tak. Oby nie było za gorąco. Trzeba rozlać do butelek cały cydr.

Bill oparł się o kuchenny blat.

– Nie miałabyś ochoty przelecieć się ze mną o poranku, zanim wstanie mama?

Kate przyspieszył puls.

– Raczej nie. Lepiej zostanę i pomogę w domu.

– Joan położyła się spać dopiero około pierwszej. Nie będzie na chodzie jeszcze przynajmniej przez godzinę. No chodź. Dobrze ci to zrobi.

Wyjął z tylnej kieszeni czapkę i nasunął ją sobie na głowę. Kate napotkała prowokujące spojrzenie ojca.

– Tato... boję się. Ja... chyba już nigdy nie wsiądę do samolotu.

– Oczywiście, że wsiądziesz. Przecież mnie znasz. Bardzo dbam o swoją maszynę i jestem pierwszorzędnym pilotem. – Popatrzył za okno. – Pogoda wprost wymarzona. – Milczał przez chwilę, a potem dodał: – Jeśli nie zaczniesz latać, już nigdy nie będziesz z siebie zadowolona.

Kate wiedziała, że tato ma rację, choć wolałaby, żeby było inaczej. Zerknęła na niebo, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Dobrze. Polecę.

– To ja rozumiem.

Bill objął córkę ramieniem i delikatnie ją przytulił.

Kate wpatrywała się w stojącego na lądowisku złotego stinsona taty. Z każdym krokiem przybliżającym ją do samolotu szybciej biło jej serce. Miała wilgotne dłonie, które raz po raz wycierała w luźne spodnie. Gdy stanęła przy maszynie, starała się przekonać samą siebie, że znów może latać. Miała ochotę dać dyla, jednak duma by jej na to nie pozwoliła. Poza tym zdawała sobie sprawę, że dzień próby nadejdzie prędzej czy później.

I będzie musiała się z nim zmierzyć.

– No, wsiadaj – rzekł Bill.

Kate włożyła kask i wgramoliła się do środka, siadając na małym fotelu z przodu. Było jej ciasno, żołądek kurczył się tak gwałtownie, że bała się, czy przypadkiem nie podjedzie jej do gardła cały wypity poprzedniego wieczoru sok.

– W porządku? – zapytał ojciec.

Kiwnęła głową, jednak zaraz sprostowała:

– Nie, właściwie nie.

– Zobaczysz, kiedy znajdziemy się w górze, od razu będzie lepiej.

– No to startujmy.

Silila się na beztrojski ton.

Bill kołował na pas startowy. Maszyna podskakiwała na nierównościach gruntu.

– Gotowa?

Skinęła głową.

Ruszyli naprzód, coraz bardziej się rozpędzając. Kate kurczowo zacisnęła palce na krawędzi siedzenia. Przemknął jej przed oczami obraz pierwszego w życiu lotu. Była przerażona, tak samo jak teraz.

Chciała krzyknąć do ojca, żeby się zatrzymał, lecz w tym samym momencie poczuła, jak maszyna odrywa się od ziemi. Żołądek ciążył ku dołowi. Gdy wzniesli się ponad drzewa, o mało nie zemdląła.

– No i jak? – zapytał ojciec, rzucając jej przelotne spojrzenie.

Popatrzyła w dół i poczuła wzbierającą w niej radość. Jest w powietrzu! Świat w dole wyglądał jak gigantyczna patchworkowa narzuta. Uwielbiała latać. Wzbili się wyżej i polecili ku pobliskim wzgórzom.

– Pięknie! – zawołała Kate, przekrzykując ryk silnika. – Kocham to. – Uśmiechnęła się i pochyliła do ojca, by ścisnąć go za ramię. – Dziękuję, tato.

Bill promieniał.

– Wiedziałem, że jeśli tylko zdołam namówić cię na lot, będzie dobrze.

– Przeleciał nad rzędami jabłoni. – Dokąd zmierzamy?

Kate знаła kierunek, tylko czy była w stanie podjąć to wyzwanie?

– Nad jezioro Rimrock?

Ojciec wybałuszył oczy.

– Jesteś pewna?

– Nie. Ale muszę to zrobić.

– Dobrze. Niech będzie jezioro Rimrock.

– Jest tam gdzie wylądować?

– Wydaje mi się, że od południa jest otwarta przestrzeń. – Przechylił samolot i skręcił w stronę gór.

Kate chłonęła wzrokiem krajobraz i zachodziła w głowę, jak w ogóle mogła wyobrazić sobie rezygnację z latania. Wiedziała, że gdyby Mike mógł ją teraz zobaczyć, nie posiadałby się z radości.

Gdy zbliżyli się do jeziora, myśli Kate zaczęły krążyć wokół wypadku. Tym razem zamiast odpychać od siebie wspomnienia, pozwoliła im swobodnie płynąć. Potrzebowała przypomnieć sobie każdy szczegół.

Dzień był taki jak ten, tylko nieco chłodniejszy. Śmiały się z Alison i rozmawiały o jej nowym chłopaku. Życie było pełne przygód i obietnic.

Kate spojrzała w dół na skrzący się błękit wody. Jesienią jezioro częściowo wysychało, miejscami widać było dno. Od czasu katastrofy wydawało się jej ciemne i zimne. Tego dnia Kate widziała je jakby od nowa – niebieska woda, refleksy słońca na powierzchni. Sosnowy las porastał zbocza aż do samego lustra wody, tworząc ciemnozieloną ramę dla kryształowo czystej toni.

Bill obniżył lot nad drzewami, a dostrzegliśmy otwarty teren, przeleciał nisko nad ziemią. Kate wiedziała, że sprawdza w ten sposób, czy nie ma tam głębokich kolein ani gałęzi lub kamieni, które mogłyby przysporzyć kłopotów.

– Wygląda w porządku. Lądujemy?

Kate była w stanie jedynie skinąć głową, ponieważ głos uwiązł jej w gardle.

Przy lądowaniu trochę trzęsło, więc Kate kurczowo chwyciła się fotela. Potem się rozluźniła. Wszystko przebiegło sprawnie.

Po zgaszeniu silnika wysiadła i poszła nad brzeg. Ciągnęło ją do tego górskiego jeziora. Stała tam przez długą chwilę, przyglądając się jego tafli, wsłuchując w śpiew ptaków i popiskiwanie wiewiórek. Usłyszała skrzeczący głos jastrzębia i dostrzegła drapieżnika szybującego nad drzewami. To miejsce zupełnie nie budziło grozy. Woda lśniła w promieniach słońca niczym tysiące skrzących się kryształów. Kate poczuła obok obecność ojca.

– Ostatni raz byłam tu w dniu wypadku.

– Tamten dzień był straszny – powiedział Bill, wpatrzony w błękit nieba. – A dzisiaj jest inaczej.

Uśmiechnęła się do niego.

– Tak. Jest inaczej.

Oddychała pełną piersią, delektując się zapachem sosen. Czuła bliskość Alison. Wiedziała, że przyjaciółka mocno objęłaby ją ramionami i zapytała, co się stało. Dlaczego Kate nie lata? Roześmiałyby się i by ją prowokowała. Na ustach Kate błąkał się uśmiech. Z Alison zawsze można było boki zrywać. Ciężar winy, od którego zaczęła się uwalniać poprzedniego dnia, teraz całkowicie zsunął się jej z barków.

To był wypadek. Kate w niczym nie zawiniła. A kiedy spadły do

jeziora, za wszelką cenę starała się uratować najdroższą przyjaciółkę.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie ciepły uśmiech Alison, mając świadomość, że gdyby przyjaciółka mogła ją teraz zobaczyć, śmiałaby się i gratulowała Kate odzyskania zdrowego rozsądku.

Ni z tego, ni z owego Kate zrozumiała, co musi zrobić. Z największą wyrazistością. Bóg nakreślił dla niej plan i ów plan nie polegał na życiu w strachu ani ukrywaniu się na farmie w Yakimie.

Miała nadzieję, że Jack nie sprzedał samolotu.

W drodze powrotnej na farmę Kate prowadziła z ojcem ożywioną rozmowę, chociaż w głowie kłębiło się mnóstwo pytań i pomysłów. Nie podzieliła się swoimi refleksjami na temat tego, co powinna zrobić ze swoim życiem. Chciała o tym porozmawiać, zależało jej jednak także na obecności mamy. Potrzebowała zasięgnąć opinii ich obojga.

Zastanawiała się, czy trudno będzie ponownie urządzić się na Alasce. Trzeba odbudować zaufanie. Jack może nie zechce przyjąć jej z powrotem.

– Jesteś jakaś rozkojarzona – zauważył ojciec. – Wszystko w porządku?

– Tak. Rozmyślałam.

Bill uniósł brew, marszcząc czoło.

– Zechcesz wtajemniczyć mnie w swoje przemyślenia?

– Jeszcze nie rozważyłam wszystkiego do końca, ale tak, chcę z tobą porozmawiać... i z mamą.

– Naprawdę?

Przytaknęła z uśmiechem.

– Czuję się doskonale, już dawno nie miałam się tak dobrze.

Z zadowoloną miną patrzyła na pola, pofalowane wzgórza rozpościerające się aż po złociste równiny. Wyobraziła sobie alaskijską tundrę. Gdyby nie przysypał jej śnieg, lśniłaby złotem przetykanym ciepłymi oranżami i czerwieniami. Zapragnęła tam być.

Te rozmyślenia przywołały na powrót niepokój, czy Jack zdążył sprzedać jej samolot, czy nie. A jeśli już to zrobił? *Uspokój się. Na razie nie zapadły żadne decyzje*, napominała samą siebie. Czeką ją jeszcze rozmowa z rodzicami, choć nie miała wątpliwości, jak będzie brzmiała ich odpowiedź.

Samolot zbliżał się do lądowiska.

– Nie przypuszczałem, że zajmie nam to tyle czasu – powiedział ojciec.

– Twoja mama dostaje pewnie białej gorączki. – Uśmiechnął się. – Nie znosi, kiedy robię takie wypadki na hoku i informuję ją dopiero po powrocie.

– Zdążyła przywyknąć – zachichotała Kate. – Zawsze taki byłeś. Wątpię, czy w ogóle jest zła.

Gdy wylądowali, Kate wysiadła pierwsza. Z północy nadciągały ciemne chmury, zerwał się wiatr, unosząc z ziemi kurz i żwir.

– Przywiążmy samolot i okryjmy go plandeką – powiedział Bill. –

Zdaje się, że nadciąga solidna burza.

Nim skończyli zabezpieczać maszynę, chmury zakryły słońce, ochłodziło się, a porywy wiatru bardzo przybrały na sile.

– Pójdę wydoić krowę. Później nie będzie mi się chciało wyściubiać nosa z domu.

Ojciec oddalił się w stronę obory.

– Ja zajmę się kurami – oznajmiła Kate i dogoniła tatę.

Bill doił krowę, Kate karmiła i poila kury, a także szukała jajek. Kury zwykle niosły się o świcie, ale zawsze zdarzały się jakieś spóźnialskie. Tym razem znalazła cztery jajka. Z dwoma w każdej ręce Kate zmierzała wraz z ojcem do domu. Chmury kotłowały się na niebie, a gałęzie drzew huštały na wietrze. Bill uważnie obserwował niebo.

– Zapowiada się tęga burza.

Wbiegł po schodach ganku i przytrzymał otwarte drzwi dla córki. Zatrzymała się przed wejściem.

– Zostanę chwilę na dworze. Uwielbiam porywisty wiatr. Może będą też błyskawice i grzmoty.

– Dobrze. Ja pójdę wziąć prysznic. Ta bezczelna krowa dwa razy pacnęła mnie ogonem. – Przyjrzał się Kate. – Na pewno wszystko w porządku?

– Na pewno.

Z uśmiechem podała ojcu jajka.

– No dobrze.

Wziął jajka, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Kate oparła się o balustradę i spoglądała na rzędy jabłoni. Będzie tęskniła za tym miejscem, ale większą tęsknotę budziła w niej Alaska.

Spadły pierwsze krople. Kate wychyliła się, by łapać je otwartą dłonią, wdychając zapach deszczu. Wyschnięta ziemia chłoneła wodę, rośliny zdawały się wyciągać ku wilgoci. Kate też miała ochotę wyjść na deszcz. Zamiast tego odwróciła się w stronę domu. Czas porozmawiać z rodzicami.

Pierwszą rzeczą, na którą padł jej wzrok, był głęboki kocioł na kuchence. Widziała połyskujące srebrne pokrywki, które wystawały ponad bulgoczącą wodą. Matka wzięła do ręki słoik wypełniony złocistym płynem i przetarla go wilgotną ściereczką.

– Cześć, Kate. Podobno miło spędziłaś z tatą czas.

– Tak. Jezioro Rimrock to przepiękne miejsce. – W Kate wezbrało odzyskane na nowo poczucie wolności. Od czasu katastrofy nie była w stanie myśleć o jeziorze bez przytłaczającego poczucia wstydu i smutku. – Nie byłam w tamtych okolicach od wypadku, musiałam wrócić. – Zamknęła na chwilę oczy i wyobraziła sobie górskie jezioro. – Myślę, że zaprowadził mnie tam Bóg. Pogodziłam się z tym, co się stało. Znów czuję

się wolna.

Joan odstawiła słoik. Błyszczały jej oczy.

– Och, Kate, jakże się cieszę, że to słyszę. Tak długo się o to modliłam. – Przyciągnęła córkę do piersi. Tuląc ją do siebie, gładziła jej włosy.

Rozradowana Kate lgnęła do matki.

– Jestem szczęśliwa, mam – rzekła. – Naprawdę szczęśliwa. – W końcu oderwała się od Joan. – Zapomniałam, jakie to uczucie. Nie zdawałam sobie sprawy z krępujących mnie więzów, póki nie zostały rozsupleane. – Założyła ramiona na piersi. – W każdym razie muszę porozmawiać z tobą i tatą.

– Zejdzie tu za kilka minut. Myje się. – Matka wyciągnęła z kotła kolejny słoik. – Skończę tylko tę partię i możemy usiąść w saloniku, i porozmawiać.



Kate usadowiła się w głębokim fotelu naprzeciwko rodziców, którzy siedzieli ramię w ramię na sofie. Czuła w sobie spokój. Jej wzrok spoczął na ojcu.

– Przede wszystkim dziękuję, tato, że namówiłeś mnie dzisiaj na lot. Potrzebowałam kogoś, kto mnie zmobilizuje.

– Sądziłem, że nie będzie to trudne – odparł i puścił do niej oko.

– Kiedy byłam nad jeziorem, przemówił do mnie Bóg. – Machnęła ręką. – Wiem, że brzmi to dziwnie, ale mocno odczuwałam Jego obecność i myślę, że już wiem, jakie ma wobec mnie plany.

Złożyła dłonie.

– Zastanawiałam się nad tym, co mówiliście o Panu Bogu i o tym, że to On kieruje naszym życiem. I przyznaję wam rację. Ufam mu bardziej niż komukolwiek. To On mnie prowadzi, w życiu i w śmierci. A kiedy byłam u rodziców Alison, pani Gibson powiedziała, że jej zdaniem Alison nie chciałaby, żebym zrezygnowała z marzeń o lataniu na tych trudnych terenach. I że moja miłość do lotnictwa została mi dana przez Boga, a porzucenie tej pasji byłoby błędem.

Ojciec kiwał głową ze znaczącym uśmiechem na ustach. Wiatr uderzył w szyby, jakby na wiat.

– Już się nie boję. – Patrzyła na swoje złożone na kolanach dłonie. – Myślę, że powinnam wrócić na Alaskę. – Podniosła wzrok na rodziców. – Co o tym sądzicie? Wiem, co mówiliście wcześniej, ale czy nie zmieniliście zdania?

Oboje się uśmiechnęli, chociaż Kate dostrzegła w oczach mamy cień smutku. Mimo że decyzja była słuszna, pożegnanie będzie niełatwe.

Rodzice popatrzyli na siebie nawzajem. Bill wziął Joan za rękę.

– Rozmawialiśmy o tym. I zgadzamy się z tobą. Twoje miejsce jest na Alasce.

Joan polykała lzy.

– Cudownie, gdy jesteś w domu, i trudno przyjdzie nam się z tobą rozstać, ale chcę, żebyś była szczęśliwa. I skoro wiąże się to z potrzebą życia na Alasce, powinnaś tam wrócić.

Kate czuła, jak spływa na nią rodzicielska miłość.

– Jesteście najwspanialsii na świecie. – Wstała i uściskała ich oboje. – Kocham was. – Odsunęła się o krok. – Będziecie mnie odwiedzać i ja też będę do was przylatywać. – Ruszyła do kuchni. – Idę zadzwonić do Jacka. Pokryję koszty rozmowy.

– Do Jacka? – zdziwił się Bill.

– Zostawiłam mu mój samolot. Muszę dopilnować, żeby go nie sprzedał. I umówić się na naprawę.



Upewniwszy się, że samolot wciąż na nią czeka, Kate miała do wykonania jeszcze jedno zadanie. Trzeba rozmówić się z Richardem. Umówili się na spotkanie w barze z napojami. Zjawiła się tam przed czasem i usiadła przy stoliku w głębi, jak najdalej od drzwi. Zamówiła colę i sączyła napój, gdy w drzwiach stanął Richard. Pomachał do niej i zmierzał prosto w jej stronę.

– Wszystko w porządku? Przez telefon wydawałaś się jakby zdenerwowana.

– Tak, w porządku. – Kate wiedziała, że Richard nie będzie zachwycony, słysząc to, co ma mu do powiedzenia. Nie chciała znów go ranić, ale nie było sposobu, żeby tego uniknąć. – Chcesz coś zjeść albo...

Nim dokończyła pytanie, do stolika podeszła ładna młoda kelnerka o ciemnych włosach i ciemnoniebieskich oczach, trzymając w ręku bloczek i ołówek.

– Czy coś panu podać?

Uśmiechnęła się łagodnie do Richarda. Spojrzał na nią przez ramię.

– Oczywiście. Może koktajl czekoladowy?

– Coś jeszcze?

Jej niebieskie oczy zdradzały wyjątkowe zainteresowanie osobą Richarda. Kate miała nadzieję, że się nie myli. Jej przyjaciel zasługiwał na kogoś specjalnego. A kelnerka wyglądała na miłą dziewczynę.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Tak. Poproszę jeszcze burgera.

– Jak ma być wysmażony?

– Lekko. I bez cebuli.

– Zaraz podam.

Odeszła z uśmiechem na ustach. Po drodze rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na Richarda. Kate uśmiechnęła się do siebie w duchu. Wszystko wskazywało na to, że jej towarzysz zdecydowanie wpadł kelnerce w oko.

– No więc cóż to takiego niecierpiącego zwłoki? – zapytał, opierając się o stół.

Kate dostrzegala w jego oczach niepokój. Głośno westchnęła.

– Oho, będą zmartwienia.

– Nie... nie do końca. Muszę ci tylko coś powiedzieć... wracam na Alaskę.

Richard przymknął oczy, a po chwili spojrzal jej prosto w twarz.

– Tego się spodziewałem. – Splótł dłonie na stole. – Było to jedynie kwestią czasu. – Próbował się uśmiechnąć. – Będziesz pracowała jako pilotka?

– Uhm.

– A więc pokonałaś strach?

– Tak, prawie. Nadal się trochę denerwuję. Ale to normalne.

Czuła, że powinna coś dodać, ale miała pustkę w głowie. Richard tylko kiwnął głową.

– Cóż, jesteś dobrą pilotką. – Kelnerka przyniosła koktajl i posłała mu promienny uśmiech. – Dziękuję – powiedział, mieszając słomką gęsty napój. – Chociaż bardzo nie chcę, żebyś wyjechała, myślę, że tam jest twoje miejsce.

Kate chętnie by go ucałowała, nie chciała jednak jeszcze bardziej komplikować pożegnania.

– Jestem ci wdzięczna za te słowa. Dobry z ciebie przyjaciel, Richardzie.

Zdobył się na uśmiech.

– Tak... Gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała... czegokolwiek, dzwoń. Okej?

– Okej.

Kate chwyciła go za rękę. Ponieważ nie było już nic więcej do dodania, po prostu ścisnęła mu dłoń.

– No i o mnie nie zapomnij.

– Nie zapomnę.

Listopad był już za pasem, pogoda zaczynała stwarzać zagrożenie dla podróży, zatem Kate nie śmiała dłużej zwlekać. Po tygodniu ona, tato i Angel byli już w drodze na północ. W rozmowie z Jackiem nie

sprecyzowała swoich zamiarów, wiedział jednak, że Kate przyjeżdża i chce zatrzymać samolot. Liczyła na to, że będzie potrzebował pilota.

Czas się dłużył, ale drogi ubywało. Kate chciała powrócić do tego, co dobrze знаła – na Alaskę, do przyjaciół, do latania. Albert i Helen zaproponowali jej mieszkanie, będzie zatem mogła zadomowić się od razu, jak gdyby nigdy nie wyjeżdżała. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie wszystko pójdzie jak po maśle. Trzeba będzie od nowa dowieść swoich umiejętności, zwłaszcza przed Jackiem. Miała świadomość, że Jack uważa ją za mięczaka, który łatwo się poddaje. Z pewnością nie ułatwi jej życia. Będzie ją testował. To znaczy, jeśli w ogóle zaoferuje jej pracę. Wszystko zależy od tego, czy potrzebuje pilota czy nie.

– A więc jakie masz plany? – zapytał ojciec.

– Przede wszystkim muszę pogadać z Jackiem. Zorientować się, czy jest dla mnie miejsce.

– Och, na pewno. Zna się na pilotach, a ty jesteś dobra.

– Obyś się nie mylił.

– A później?

– Wprowadzę się do mojego mieszkanka i miejmy nadzieję, że będę znów rozwozić pocztę, odwiedzę Patricka, Sassę i dzieciaki. No i oczywiście Paula. Muszę zawieźć mu skrzynkę jabłek. Ucieszy się. Zawsze mówił, jak bardzo brakuje mu świeżych jabłek.

Zadrżała na myśl o zobaczeniu się z Paulem. Jak zareaguje na jego widok? Miała dość oleju w głowie, by nie robić sobie zbyt dużych nadziei. Jeśli dopisze jej szczęście, połączy ją z Paulem taka przyjaźń, jaka łączyła ją z Richardem.

– Nie mogę się doczekać wyprawy do Kotzebue. Okropnie tęsknię za Joem, Neną i ich dziećmi. Może uda mi się wkrótce złapać jakiś kurs w tamte strony.

Bill pokiwał głową.

– Ucieszą się z twojego przyjazdu. – Spojrzał w dół, gdy przelatywali nad Seward. – Już niedaleko. Dobrze, że nie zwlekaliśmy z wylotem. Nadciąga, zdaje się, załamanie pogody.

Kate skierowała spojrzenie na północny zachód. Ciemne chmury tworzyły grubą warstwę. Patrzyła na poszarpane szczyty wznoszące się za niewielkim miasteczkiem, położonym między górami a oceanem.

Wkrótce dotrą do Anchorage. Serce zabiło jej szybciej. Uświadomiła sobie, że kurczowo zaciska dłonie. Bała się. A jeżeli nie uda jej się powrócić do dawnego życia? A jeżeli stchórzy i okaże się, że nerwy nie pozwalają jej latać na tym dzikim terytorium? Zamknęła oczy i modliła się o spokój i Bożą pomoc.

– Czy robię słusznie? – zwróciła się do ojca z pytaniem.

– Ciut za późno na wątpliwości.

Wzruszyła ramionami.

– Upłynęło trochę czasu, a poza tym nie będę miała Mike'a do pomocy. Zawsze mogłam na niego liczyć. Nie będzie już tak jak dawniej.

– Oczywiście, że nie. Ale masz tu dużo przyjaciół, którzy się o ciebie troszczą. Będą cię wspierać. Poradzisz sobie.

Kate chciała mu wierzyć, ale był w końcu jej ojcem. Kochał ją, to zaś mogło zniekształcać jego perspektywę.

– Mam nadzieję.

– A co z Paulem? Myślałem, że go kochałaś.

– Bo tak było. – Nie chciała rozmawiać o swoich uczuciach wobec Paula. – Teraz jesteśmy po prostu przyjaciółmi. Sytuacja się zmieniła. Mam nadzieję, że znów będziemy razem podróżować – odparła swobodnym tonem, ale na myśl o spotkaniu z dawnym ukochanym czuła wszystko, tylko nie bez troskę.

Gdy ich oczom ukazało się Anchorage, mieszanina ekscytacji i trwogi sprawiła, że żołądek Kate wywrócił się na lewą stronę. Rozpoczyna się nowe życie. Jeśli Jack jest w pracy, będzie musiała niezwłocznie stanąć z nim twarzą w twarz.

Wiatr kołysał samolotem i miotał śniegiem w szyby.

– Zdaje się, że dotarliśmy w ostatnim momencie – powiedział ojciec.

Po wylądowaniu Kate przez chwilę nie ruszała się z miejsca. Tato dodał jej otuchy uśmiechem i słowami:

– Przestań się martwić. Doskonale dasz sobie radę.

– Lepiej od razu porozmawiam z Jackiem, żeby mieć to już z głowy.

Wysiadła ze stinsona taty i zauważyła swoją bellankę. Wydawało się, że jest w dobrym stanie. Szła po lotnisku, nie spuszczać z niej wzroku. Opóźniając spotkanie z Jackiem o kilka kolejnych minut, okrążyła samolot i powiodła ręką po skrzydłach i kadłubie. Z ekscytacji w jej żyłach zaczęła szybciej krążyć krew. Maszyna wyglądała nienagannie. Jack doskonale spisał się z naprawą. Weszła do środka i przejrzała swoje rzeczy. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu – sprzęt i całe wyposażenie. Jakby na nią czekało.

Zasypał ją grad wspomnień. Przypomniała sobie Mike'a i ich wspólne przygody. Tworzyli zgrany zespół. Łzy zapiekły pod powiekami, ale zdołała je powstrzymać.

– No, Mike, wróciłam.

Zauważyła Jacka przez okno bellanki. Człapał w jej stronę. Wyglądał tak jak zawsze, z tą różnicą, że przybyło mu parę kilogramów, co tylko podkreślało jego krępa budowę. Szedł jakby wzburzony. Jak zwykle miał przyklejone do ust cygaro.

Kate wysiadła i czekała, gotowa do konfrontacji. Jack skinął głową Billowi, po czym zwrócił się do Kate. Nie wyciągnął ręki na powitanie.

Rzucił tylko:

– Więc wróciłaś.

– Tak.

Szukała w sobie odwagi. Popatrzyła na ojca, w którego oczach czaił się szelmowski błysk. Nie mogła zrozumieć, co go tak bawi.

– Tym razem zostajesz tu na dobre?

Wyjął z ust cygaro i dmuchnął jej dymem w twarz.

– Mam zamiar tutaj osiąść. – Doszła do wniosku, że od razu zapyta go o zatrudnienie. – Muszę znaleźć pracę. Potrzebujesz pilota?

Jack zmrużył oczy.

– A można na ciebie liczyć? Nie zwiejesz?

– Powiedziała ci, że przyjechałam na stałe.

Obejrzał się na biuro.

– Mam gościa, który chce się tu przenieść z Ketchikan. Doświadczony pilot.

– Czyli masz Kenny'ego, Alana i tego nowego pilota. I na tym koniec?

Przez chwilę milczał.

– Sam też latam, kiedy mogę.

– Oboje doskonale wiemy, że prowadzenie tego interesu wymaga od ciebie siedzenia na miejscu przez większość czasu. Więc ty wypadasz z gry. – Kate spojrzała na ojca, który dodał jej animuszu szybkim skinieniem głowy. – Jestem dobrą pilotką. A ty mnie potrzebujesz.

Jack pociągnął cygaro. Obserwował unoszący się dym, a potem jego wzrok spoczął na byłej pracownicy.

– Niech będzie. Ale nie dzielimy się pół na pół. Dostajesz trzydzieści procent i kwita.

Kate skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie ma mowy. Albo dajesz mi pięćdziesiąt procent albo poszukam sobie innego lotniska.

– Czterdzieści.

Potrząsnęła głową. Nie miała zamiaru kłaść uszu po sobie. Poczulby wtedy jeszcze większą władzę.

Jack rzucił jej wściekłe spojrzenie.

– Niech będzie. Pięćdziesiąt procent. Ale latasz, gdzie każę i kiedy każę. I jeszcze wiesz mi za naprawę.

Nie czekał na odpowiedź, tylko odwrócił się na pięcie i odmaszerował wielkimi susami.

Kate z trudem pohamowała okrzyk radości. Uściskała ojca.

– Cóż, wygląda na to, że wróciłam do pracy.

Choć sprawiała wrażenie pewnej siebie, nie dawały jej spokoju obawy, że nawali. A jeśli powinie się jej noga już na samym początku?

Paul zamachnął się siekierą i uderzył nią w świerkowy kloc. Drewno pękło z trzaskiem, rozłupując się na dwie części. Cisnął je na stertę i postawił na pniu kolejny kawałek. Zimny listopadowy wiatr porwał dym z komina i ponióśł go ku ziemi, otulając Paula kłębiącym się obłokiem. Lubił zapach palącego się drewna. Lubił też pewność, że obfite zapasy opału pozwolą mu przetrwać w ciepłe zbliżającą się wielkimi krokami zimę. Do Święta Dziękczynienia pozostało zaledwie kilka tygodni.

Okres świąteczny zawsze przynosił ze sobą bolesne uczucie samotności. Paul cieszył się, gdy nadchodził Nowy Rok i miał już te uroczyste dni za sobą.

Jego rodzina zbierze się na wspólne fetowanie. Będą rozmawiać na jego temat i zastanawiać się, dlaczego się tak izoluje. A tak naprawdę wcale tego nie robił. Myśłami i sercem będzie z nimi. Kiedy przybył na Alaskę, był zadowolony, że może zdystansować się do wspomnień, oskarżeń. Gdyby wtedy należał na przyjęcie Susan do szpitala...

Minęło tak wiele czasu. Powoli zaczynał kusić go pomysł spędzenia czasu z rodziną. Powinien odwiedzić matkę. Nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie stąpać po tym ziemskim padole. Przecież nie jest już młoda. Zobaczenie się z rodziną sprawiłoby mu przyjemność. *W przyszłym roku*, obiecywał sobie.

Jego myśłi popłynęły ku Kate. Może powinien do niej napisać. Miał nadzieję, że jest szczęśliwa. W normalnych okolicznościach byłaby zajęta przygotowaniami do zbliżających się świąt, ale od śmierci Mike'a minęło zaledwie parę miesięcy. Wątpił, by była już w stanie porzucić żalobę, która bez dwóch zdań położyłaby się cieniem na radosnym nastroju. Był ciekaw, czy udało się jej pokonać lęk przed lataniem.

Oby tak. Pragnął jej bezpieczeństwa, jednak pomysł rezygnacji z latania sprawiał wrażenie chybionego. Nigdy nie byłaby w pełni szczęśliwa. Wyeliminowanie tego elementu z jej życia wydawało się prawdziwą tragedią.

Marzył o jej powrocie. Przemknęła mu nawet przez głowę myśl, by za nią pojechać. Nie. To kiepski pomysł. Dobrze o tym wiedział. Przecież Kate jest w żalobie. A nawet jeśli nie, to i tak nie będzie go chciała po tym, co jej zrobił.

Ustawił kolejny kloc drewna i spojrzął na zasnuęte szarością niebo, zastanawiając się, czy przed końcem dnia ziemię przysypie śnieg.

Pomimo chłodu na dworze było mu za gorąco, zdjął więc kurtkę i położył ją na stosie drewna.

Otarł czoło, ponownie zamachnął się siekierą i rozłupał na dwie części spory kawał świerka. Odrzucił mniejszy fragment, większy rozrąbał na pół i także cisnął na stertę.

– Widzę, że ciężko pracujesz. – Usłyszał głos Lily.

Obejrzał się przez ramię. Stała, tuląc dziecko w ramionach.

– Cześć. Nie widziałem cię. – Postawił siekierę na ziemi i oparł się o trzonek. – Jak się miewacie z Theodoreem?

– Dobrze.

Podszedł do nich.

– Miło, że zajrzałaś. Przyda mi się przerwa. – Poklepał malca po brzuszku. – Co słyhać, mistrzu?

W odpowiedzi maluch obdarzył go bezzębnym uśmiechem. Lily wyciągnęła syna w stronę Paula.

– Chcesz go potrzymać?

– Oczywiście. – Odebrał chłopczyka z jej rąk i podniósł go na wysokość swojej twarzy. – Halo. – Theodore na niego popatrzył, a brązowe oczy zrobiły zeza. Paul się zaśmiał. – Założę się, że będzie wniebowzięty, kiedy przestanie widzieć wszystko podwójnie. – Dziecko uśmiechnęło się radośnie, a pulchne czerwone policzki jeszcze bardziej się zaokrągliły. – Śmiesznie wyglądam, tak? – Paul podrzucił malca i ponownie złapał w objęcia. – Apetyt chyba ci dopisuje.

Lily parsknęła śmiechem.

– Ciągłe jest głodny. Robi się tłusciutki, jednak mama mówi, że to dobrze. – Gdy patrzyła na chłopczyka, jej oczy płonęły miłością. – Mogę patrzeć na niego bez ustanku.

Z północy zawiął silny wiatr. Paul przytulił Theodore'a.

– Zimno. – Zerknął na niebo. – I chyba nawet zanoszą się na śnieg.

– Niedługo sypnie. Czuję.

– Wejdiesz do domu, żeby się rozgrzać? Mam kawę.

– Z przyjemnością. – Lily skuliła się pod kurtką. – Zmarzłam, ale jemu najwyraźniej jest ciepło.

– Dzieci są wytrzymałsze, niż nam się wydaje. – Przyłożył policzek do buzi chłopca. – Jemu też zimno. – Spoglądając na młodą sąsiadkę, dodał: – Upiekłem rano babeczki z żurawiną. Są niezłe, choć zakrawa to na samochwalstwo.

– Uwielbiam babeczki. I też jestem ciągle głodna. Ostatnimi czasy mogę jeść bez końca. Będę tyła razem z Teddym.

– Karmisz dwie osoby. To normalne, że masz większy apetyt.

Podszedł do ganku.

– W takim razie zjem dwie babeczki.

Paul czuł jakąś beztroskę. Otworzył drzwi chaty i przepuścił Lily przodem. Podał jej Theodore'a.

– Kawa jeszcze gorąca.

Napełnił dwa kubki ciemnym naparem. Dziewczyna usiadła na krześle przy stole i ułożyła sobie dziecko na kolanach. Wielkie brązowe oczy malca błędziły po wnętrzu domu. Paul zastanawiał się, jak to jest, gdy ogląda się świat po raz pierwszy, nie zna się smutku ani lęku. Zażęknął za taką niewinnością.

Postawił przed Lily kubek z kawą oraz kanekę z mlekiem, z duchówki nad piecem wyjął talerz z babeczkami i postawił go na stole.

– Wyglądają apetycznie.

Lily kołysała Teddy'ego na kolanach i bawiła się z nim w koci, koci, łapci. Maluch śmiał się z zachwytu za każdym razem, kiedy stykały się ze sobą jego pulchne rączki.

– Jest silny jak na swój wiek – zauważył Paul. – Powiedziałbym, że szybko się rozwija, nawet podnosi już główkę i się śmieje. Bystrzak z niego – pochwalił. – Ani się obejrzyś, jak będzie wyciągał cię na ryby.

Lily uśmiechnęła się półgębkiem.

– Ach, wy, mężczyźni. Nie potraficie myśleć o niczym innym?

– Czas szybko płynie. Sama zobaczysz. Jest sporo osób, które mogą nauczyć go wędkować. A do tego twój tato może pokazać mu, jak się poluje i powozi psim zaprzęgiem.

– Sama mogę to zrobić. – Lily zadarła brodę i rzuciła wyzywające spojrzenie. – To, że zostałam matką, wcale nie znaczy, że wszystko musi się zmienić. Mam zamiar nadal łowić ryby, polować i jeździć zaprzęgiem.

– No tak, oczywiście. Nie miałem zamiaru...

– Mam po dziurki w nosie zakładania przez wszystkich naokoło, że poprzestanę na roli gospodyni domowej. Muszę podolać wszystkiemu, być i ojcem, i matką. Teddy będzie tego potrzebował.

– Lily, nie będziesz przez całe życie sama.

– A kto mnie teraz zechce? – W jej oczach błysnęły łzy. Poprawiła sobie dziecko na kolanach i otoczyła je ramionami. – Poradzimy sobie we dwoje... tylko ja i Teddy.

Paul usiadł po drugiej stronie stołu z kubkiem kawy w dłoni. Nie był pewien, co odpowiedzieć, więc się z nią zgodził.

– Masz rację. Przepraszam. Czasem zapominam, jak bardzo jesteś niezależna. Pewnego dnia wyrośnie z niego postawny mężczyzna. Pewnie bez trudu pokieruje dużym zaprzęgiem. – Paul wypił łyk kawy i się skrzywił. – Za długo stała na piecu. Trochę gorzka.

– Mnie smakuje. – Lily skosztowała babeczki. – Mmm... dobra.

– Wziąłem przepis od twojej mamy. A przecież wszyscy wiedzą, że jest najlepszą kucharką w całej okolicy – dodał z filuternym uśmiechem.

Ponownie zamoczył usta w kawie, rozmyślając nad determinacją Lily, żeby być samowystarczalną i wieść samotne życie. Znał ten stan aż za dobrze i nie widział w nim nic przyjemnego. Jej też się nie spodoba. Zdawał sobie sprawę, że ludzie surowo ją ocenią. Większość mężczyzn nawet na nią nie spojrzy ze względu na okoliczności. Ale z pewnością zjawi się kiedyś jakiś szlachetny człowiek, który doceni, jakim skarbem będą dla niego ci dwoje.

– Ktoś się pojawi. Nie martw się.

– Wcale się nie martwię. – Pocałowała Teddy'ego w czubek głowy. – Dziękuję, że mam jego. – Maluch złapał Lily za palec i usiłował wepchnąć go sobie do buzi.

Popatrzyła na Paula.

– Myślałam o jego ojcu. Może teraz, kiedy Teddy jest już na świecie, zmieni zdanie. Zastanawiam się, czy nie powinnam do niego napisać.

Paul wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

– Cóż... gdybym był na jego miejscu, chciałbym wiedzieć o dziecku.

– On jest zupełnie inny niż ty. Nie sądzę, by cokolwiek go to obchodziło, ale wydaje mi się, że wypadałoby go powiadomić, że ma syna. Napiszę list i wyślę najbliższym samolotem pocztowym.

– Dobrze. Chyba tak należy zrobić. Może jeszcze cię zaskoczy.

– Nie będę wstrzymywać oddechu. Nie znasz go. Myśli tylko o sobie. I prawdopodobnie uzna, że dziecko to tylko kłopot.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale jakim sposobem związałaś się z tego rodzaju człowiekiem?

Lily spojrzała za okno.

– Na początku wydawał się miły, zachowywał się tak, jakby mu na mnie zależało. Byłam sama i samotna. I głupia. Zobaczył we mnie naiwną gąskę, dziewczynę ze wsi, którą można oszukać.

Paul pokiwał głową. Spotkał w życiu takich mężczyzn. Chciał jakoś pomóc Lily.

– Cóż, gdybyś czegoś potrzebowała, jestem do usług.

– Teraz już za późno. Szkoda, że nie przekonałaś mnie, żebym została tutaj, nad strumieniem, a nie szukała guza czy rozrywki w Seattle. Tu jest moje miejsce i Teddy'ego. Tu są nasze korzenie.

Świdrowała Paula wzrokiem.

– Nie zrozum mnie źle. Jesteś dobrym sąsiadem i przyjacielem, ale trochę mnie przypominasz. Pewnego dnia zjawilesz się tutaj jak grom z jasnego nieba, bez żadnych wyjaśnień. Z dalekiej Kalifornii. Wiem, że zostawiłeś tam coś albo kogoś. Może czas zmierzyć się z tym, przed czym uciekłeś.

Paul wstał z miejsca i podszedł do okna. Popatrzył na wirujące w powietrzu płatki śniegu.

- Będę wiedział, gdy nadejdzie czas powrotu do domu. Jeszcze nie nadszedł.

Kate stawiała długie kroki i wymachiwała rękami, zmierzając prosto do sklepu. Prószyący śnieg i zimny, szczypiący w twarz wiatr dodawały jej energii. Cudownie być znów w Anchorage.

– Ej, zwolnij trochę – zawołał ojciec.

Obejrzała się za siebie i zmusiła do nieco spokojniejszego tempa.

– Przepraszam. Wyobrażałam sobie to spotkanie od samego wylotu z Yakimy. Nie mogę się doczekać powitania z Helen i Albertem. Mam nadzieję, że Muriel też tam będzie.

Bill się uśmiechnął i wziął ją pod ramię.

– Ja też jestem przejęty.

Gdy znaleźli się pod sklepem, Kate pozwoliła tacie otworzyć drzwi. Angel wyrwała do przodu jako pierwsza. Wydawało się, że jest równie podekscytowana powrotem do domu, jak Kate. Dźwięk dzwonka przy drzwiach wywołał lawinę wspomnień.

– Już idę! – zawołała Helen z głębi sklepu.

Kate czekała, emocje rosły. Chwilę później spomiędzy rzędów zastawionych konserwami półek wyłoniła się Helen. Jej wzrok padł na Kate.

– Dobry Boże! – Przycisnęła dłonie do policzków. – Spodziewaliśmy się ciebie dopiero jutro. – Podbiegła do Kate i zamknęła ją w ramionach. – Błogosławiony dzień! – Kiedy cofnęła się o krok, zauważyła Billa. – Jakże miło cię widzieć. – Serdecznie go uściskała.

– To dla mnie wielka radość znów się tu znaleźć. Przepraszam za wcześniejsze najście, ale pogarszała się pogoda, dlatego krócej spaliśmy i dłużej lecieliśmy, mając nadzieję, że dotrzemy tu przed śnieżycą.

– Tak się cieszę, że już jesteście. Okropnie dłużyło mi się to czekanie. – Pochyliła się i poglaskała Angel. – A ty wyglądasz wprost przepięknie. – Objęła psa za szyję i uściskała.

– Gdzie Albert? – zapytała Kate.

– Poszedł do domu dolożyć do ognia. Spada temperatura i uznaliśmy, że trzeba wrzucić więcej szczap, by nie wychłodziło się w domu. Lada chwila powinien być z powrotem.

Helen przyglądała się Kate, wzięwszy się pod boki.

– Wyglądasz naprawdę przesłicznie, moja droga, taka opalona i krzepka.

Kate zerknęła na ojca.

– Mama i tato mnie rozpieszczali, ale spędzałam sporo czasu, pracując na słońcu.

– Bardzo nam pomagała.

– Wyobrażam sobie. – Wzrok Helen przesunął się w stronę drzwi. – O, jest i Albert.

Zabrząca dzwonek. Kate odwróciła się akurat w chwili, gdy przestępował próg.

– Kate, cóż za niespodzianka! – Ruszył prosto ku niej. – Gdybym wiedział, zabrałbym po drodze Muriel z małym.

Kate objęła serdecznego przyjaciela.

– Tak się cieszę, że cię widzę i że znów tutaj jestem. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Muriel i jej synka.

– Załatwi to jeden szybki telefon. Muriel przybiegnie tu jak na skrzydłach.

Albert uściskał rękę Billa.

– Witaj. I dziękuję, że przywiozłeś nam Kate.

– Tutaj jest jej miejsce – odparł Bill.

– Zatelefonuję do Muriel – oznajmiła Helen i się oddaliła.

Albert poklepał Angel.

– Miło znów cię widzieć. – Spojrzał na Kate. – Wygląda na szczęśliwą.

– Bo tak jest. Doskonale wiedziała, gdzie wylądowaliśmy. Podbiegła do drzwi, kręcąc młynka ogonem jak szalona.

Kate się uśmiechnęła, o mało nie pękając z radości.

– To co, wracasz do pracy u Jacka? – zapytał Albert.

– Na to wygląda. Dał mi tę samą robotę, co poprzednio. Nie byłam pewna, czy się zgodzi, ale przyda mu się jeszcze jeden pilot, zaczynam więc od jutra.

– Nie odpoczniesz nawet jeden dzień? – zapytała Helen.

– Bardzo bym chciała, choć wolałabym nie dawać Jackowi pretekstu do zrezygnowania z moich usług. Poza tym nie potrzebuję zbyt wiele czasu, żeby się zadomowić. Wystarczy tylko rozpakować parę bagaży.

– A ja muszę wracać na południe – powiedział Bill. – Chciałbym dotrzeć do stanu Waszyngton przed atakiem zimy. – Wyjrzał za okno. – Mam nadzieję, że wiatr szybko przegoni te śniegowe chmury.

– Prawdziwej śnieżycy to raczej z tego nie będzie. Ale w ostatnich dwóch tygodniach już nas parę razy zasypało. – Albert potarł nos. – Angel. – Przypuszczam, że ucieszysz się na widok śniegu.

– Uwielbia śnieg. W Yakimie też czasem pada, ale to nie to samo.

Niebieskie oczy Helen płonęły jakąś skrywaną radością.

– Twoje warunki mieszkaniowe mogą cię nieco zaskoczyć.

Helen miała tajemniczą minę, mimo to wydawało się, że za chwilę nie wytrzyma i wyjawia sekret.

– Tak? Myślałam, że zostanę tutaj, przynajmniej przez jakiś czas. Postanowiliście ruszyć z remontem?

– Nie jesteście jeszcze gotowi i oczywiście możesz u nas zostać, jeśli chcesz, myślę jednak, że prawdopodobnie zechcesz zmienić lokum.

– Tu będzie mi dobrze, dopóki nie będziecie potrzebowali mojego pokoju.

Helen się rozpromieniła, idąc w stronę kasy. Otworzyła szufladę i wyjęła z niej wypchaną kopertę.

– To przyszło do ciebie dwa dni temu. Powiadomilibyśmy cię, ale zdążyłaś wyjechać już z Yakimy.

Wręczyła Kate kopertę.

Ze środka wysunął się jakiś dokument. Był to testament Mike'a. Kate natychmiast napłynęły do oczu łzy. Przebiegła zamglonym wzrokiem po papierze, jednak nie była w stanie niczego przeczytać.

– Co to jest? – zapytała Helen i Alberta.

– Testament Mike'a i akt własności domu. Zapisał go sobie.

Kate nie posiadała się ze zdumienia.

– Dał mi swój dom?

– Uhm.

Albert otoczył Kate ramieniem i przytulił ją do swego boku.

– Mecenas prowadzący te sprawy działał nieco opieszale, zwlekał z przygotowaniem dokumentów. Domyślałam się też, że były jakieś kwestie sporne ze strony braci Mike'a, ale jak się okazuje, dom należy do ciebie. – Wyjął z szuflady komplet kluczy i wręczył je Kate.

– Jesteś właścicielką nieruchomości nieobciążonej hipoteką ani żadnymi innymi długami.

Kate przycisnęła dokumenty do piersi.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Zamknęła oczy. Po policzkach płynęły łzy. To miał być ich wspólny dom, nie jej.



Bill został na kolejne dwa dni, żeby pomóc Kate w przeprowadzce, ale potem musiał wracać na południe. Kate nie znosiła pożegnań, a to wydawało się bardziej definitywne niż wszystkie inne. Przywarła do ojca.

– Postaram się przylecieć wiosną w odwiedziny. Powiedz mamie, że ją kocham.

– Powiem.

Wsiadł do samolotu i zajął miejsce za sterami. Kate odsunęła się i obserwowała, jak startuje. Wykonywał manewry pod gęstą warstwą

chmur. Kate modliła się o dobrą pogodę.

Jack dał jej tydzień wolnego na zadowolenie się w nowym miejscu. Zupełnie nie jak Jack. Czyżby zaczynał łagodnieć? Byłoby miło.

Przez kilka miesięcy dom stał pusty i wymagał ogarnięcia. Kate wprowadziła też kilka osobistych akcentów – trochę świeżej farby, dywan na środku pokoju dziennego, koronkowa serwetka na każdym stoliku, tu i ówdzie kilka obrazków.

Poprzedniego wieczoru zaprosiła na kolację Townsów, a także Muriel z mężem i malutkim synkiem. Po raz pierwszy w życiu samodzielnie podejmowała gości i przygotowała posiłek dla kilku osób. Wszyscy wydawali się zadowoleni, a jedzenie też całkiem dobrze się udało.

Dom po wyjściu gości opustoszał. Potrzeba będzie czasu, żeby przywyknąć. W każdej chwili spodziewała się zobaczyć Mike'a. W którąkolwiek stronę się obróciła, wydawało się, że on tam będzie.

Odkurzyła fotografię rodziców i postawiła ją na półce obok zdjęcia Mike'a. Wzięła je do ręki. Stał przy swoim samolocie. Poczula ból w sercu. Może nie darzyła go romantyczną miłością, ale był jednym z najwspanialszych ludzi, jakich w życiu poznała, i jej najdroższym przyjacielem. Nigdy nie przestanie za nim tęsknić.

Odstawiła fotografię na miejsce i rozejrzała się po pokoju. Przypomniała sobie swoją pierwszą wizytę w tym domu. Mike ugotował spaghetti i grali w karty.

Zabrzączał telefon, wrywając ją z zadumy. To telefon Mike'a. Nie, teraz jest jej. Odebrała. Na drugim końcu linii był Jack.

– Hej, Kate, to ty? Mam dla ciebie kurs. Jak szybko możesz być gotowa?

– Zaraz. Już jadę.

Jack nie odpowiedział, tylko się rozłączył. Kate patrzyła na telefon.

– Wszystko wróciło do normy.

Uśmiechnęła się do Angel, odkładając słuchawkę.

– Jesteś gotowa do lotu?

Pies wstał i zaczął merdać ogonem.

Myśli Kate pomknęły do czekającego ją lotu. Dokąd wyśle ją Jack? Ścisnęła ją trwoga, ale powtarzała sobie, że wszystko będzie dobrze. Nic się jej nie stanie.

Gdy weszła do biura, zastała Jacka zgarbionego nad mapą. Podniósł wzrok i odchylił się na krześle. Jego spojrzenie padło na Angel.

– Nadal masz tego psa?

– Jesteśmy współniczkami.

Nie tracąc czasu, Jack wydał zlecenie:

– Przylatuje dwóch myśliwych. Trzeba podrzucić ich do Kotzebue.

Możesz ich tam odstawić?

– Pewnie. Żaden problem. Będzie okazja zobaczyć się z przyjaciółmi.

którzy tam mieszkają.

– Nie znajdziesz czasu na byczenie się u przyjaciół. Ci dwaj, których tam zawozisz, polują na niedźwiedzie polarne. Oni wyruszą na zamarznąłą zatokę, a ja mam dla ciebie w tym czasie inne kursy.

Kate poczuła jeszcze większy ucisk w żołądku.

– Mam ich wysadzić na lodzie?

– Nie. Tylko dowieźć do Kotzebue. Stamtąd pojedą saniami. A ty w międzyczasie odbierzesz przesyłkę w Fairbanks i dostarczysz ją do Talkeetna.

– W porządku – odparła Kate, choć była wielkim kłębkim nerwów. To jej pierwsza podróż, a trasa w dodatku niełatwa. Zresztą ominie ją Święto Dziękczynienia z Townsami. No ale na tym polegała praca pilota na Alasce. Nie mogła przejmować się świętami. Wyjrzała za okno.

– Przynajmniej jest bezchmurne niebo.

– Na razie.

Jack przygryzał końcówkę cygara. Zmierzył ją poważnym wzrokiem z marsem na czole.

– Pamiętaj, żeby zabrać ze sobą sprzęt ratunkowy. Nigdy nie wiadomo, czego się tam spodziewać.

Kate odniosła wrażenie, że słyszy w głosie Jacka troskę. To była nowość.

– Jasne. Zawsze go wożę. Kiedy mają się tu zjawić moi pasażerowie?

Zerknął na zegar ścienny.

– Za około pół godziny.



Nim Stanley Greenwood i jego kumpel Ralph Donaldson przybyli na lotnisko, Kate i Angel czekały już, gotowe do lotu. Samolot był zapakowany i ogrzany. Obaj mężczyźni wydawali się sympatyczni. Stanley był wysoki, szczupły i miał niesamowicie jasne włosy. Zachowywał większą rezerwę niż jego przysadzisty kolega Ralph, który okazał się rozmowny i towarzyski.

Pomagając Kate załadować sprzęt, myśliwi przekomarzali się i robili zakłady, który z nich ustrzeli niedźwiedzia. Angel usadowiła się z przodu, gotowa do startu. Gdy byli już w powietrzu, Ralph zapytał:

– Od jak dawna latasz?

– Od dziecka – odpowiedziała, przekrzykując silnik.

– To ty jesteś tą pilotką, o której wszyscy mówią? – ciągnął Ralph.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie było mnie tutaj przez parę miesięcy, odwiedzałam rodzinę w Yakimie w stanie Waszyngton. – Spojrzała na

rozmówcę. – A co mówią ludzie?

Ralph zachowywał się tak, jakby żałował, że poruszył ten temat. Umknął wzrokiem, a potem rzekł:

– No... że miałaś trudny okres w życiu, w jednym roku straciłaś samolot, a potem narzeczonego.

– Tak, to o mnie.

Zacisnęła usta, zdecydowana nie pokazywać po sobie żadnych emocji.

– Ale słyszałem też, że cholernie dobrze latasz. – Uśmiechnęła się. – Cieszę się, że wróciłaś do pracy.

– Ja też. – Poglaskała Angel po głowie i karku. – Czy to trochę nie za wcześnie na wyprawę na niedźwiedzie polarne?

– Trochę tak, ale nasz znajomy Seth twierdzi, że jest już lód, a ja mam wielką chrapkę na upolowanie wielkiego białego misia. Polowałem już na wszystko z wyjątkiem niedźwiedzi.

Kate pokiwała głową. Choć już tyle razy wozila myśliwych, wciąż nie rozumiała, co nimi powoduje. Polowanie dla zdobycia pożywienia to jedno, ale wielu myśliwym zależało wyłącznie na trofeach albo przechwalaniu się niezwykłymi przygodami.

Dobra pogoda utrzymała się do samego Kotzebue. Pomimo to górskie prądy rzuciły samolotem, a niskie temperatury przysparzały Kate dodatkowej pracy. Dni były krótkie, zatem sprowadzenie maszyny na ziemię przed zmrokiem już samo w sobie stanowiło wyzwanie. Odczuwała zmęczenie, jeszcze zanim dostrzegła w dole Kotzebue, ale podróż pomogła jej odbudować wiarę w siebie. Gdy podchodzili do lądowania, słońce chyliło się nisko nad zachodnim horyzontem, barwiąc niebo odcieniami przejrzałej brzoskwini.

Joe rozstawił ognie, ułatwiając Kate lądowanie. Gładko posadziła samolot i skręciła na wykarczowany teren. Nena wyszła z chaty stojącej na skraju pasa startowego. Z kaptura parki wychyliła się jej uśmiechnięta twarz.

Angel wyskoczyła natychmiast, jak tylko Kate otworzyła drzwi. Ralph i Stanley zabrali swoje bagaże i strzelby, a następnie zeszli po drabince. Kate za nimi.

Nena powitała ją szerokim uśmiechem i otwartymi ramionami.

– Tęskniłam za tobą. Cieszę się, że wróciłaś.

Kate uściskała przyjaciółkę.

– Ja też się cieszę. Jak dobrze cię widzieć.

Nena przyglądała się Kate.

– Jesteś prawie brązowa. – Uśmiechnęła się radośnie. – Tak jak ja.

– W Yakimie było ciepło.

– Nie pogardziłabym ciepłymi dniami.

Kate skierowała uwagę na swoich pasażerów.

– Wróćę po was za tydzień. Spotkajmy się tu przed brzaskiem. Jeśli będziecie potrzebowali się ze mną skontaktować, znajdziecie mnie w sklepie wielobranżowym u Turchików.

– W porządku – powiedział Ralph. – Dziękujemy za podwiezienie.

Stanley pomachał jej na do widzenia i obaj mężczyźni oddalili się w stronę miasta.

Kate spuściła paliwo, Nena pomogła jej przywiązać samolot i okryć go plandeką. Przyjaciółki wzięły się pod ręce i ruszyły do miasteczka.

– Joe gotuje. Mam nadzieję, że będzie jadalne.

– A są jakieś wątpliwości?

– Owszem. – Nena zachichotała.

Gdy Kate przestąpiła próg domu Turchików, trójka dzieci obsypała ją oraz Angel uściskami. Żywiolowo okazywały swoją radość z wizyty i głośno dopytywały się, gdzie była. Kiedy zaspokoili ich pierwszą ciekawość, nie było końca następnym pytaniom o to, jak wygląda miejsce zwane Yakima. Peter i Nick pobiegli po wyrzeźbione w drewnie figurki, żeby się nimi przed nią pochwalić. Popatrzyła za znikającymi w głębi domu chłopcami.

– Urosli, odkąd ich ostatnio widziałam.

Nena skinęła głową.

– Tak. Za szybko. Nie nadążam z szyciem.

Z kuchni wyszedł Joe.

– Kate! Co za radość! – Uściskał ją. – Jak długo zostaniesz?

– Rano lecę do Fairbanks, a stamtąd do Talkeetna.

– Szkoda, że nie zabawisz u nas dłużej. – W głosie Neny słychać było nutkę rozczarowania.

– Za tydzień wróćę po moich pasażerów.

– Od razu jesteś taka zajęta.

– To moja praca – odparła z uśmiechem. – I jestem zadowolona, że do niej wróciłam.

Na kolację zjedli rozgotowane mięso karibu i domowy chleb, a potem Joe usiadł z dziećmi na podłodze i opowiedział starą eskimoską przypowieść. Kate uwielbiała słuchać tych jego historii. Zawsze było przy tym sporo śmiechu, bowiem Joe z ożywieniem gestykułował i modulował głos.

Później Kate bawiła się z dziećmi w berka. Zabawie towarzyszyły piski i chichoty. Ze śmiechu złapała ją kolka. Potem nadszedł czas kładzenia się do łóżek. Każde z dzieci dostało buziaka na dobranoc, po czym wszystkie zniknęły w sypialni.

Wyczerpawszy całe zasoby energii, Kate z wdzięcznością wsunęła się między ułożone na macie koce i zamknęła oczy. Dopóki nie zasnęła, rozmyślała, jakie to szczęście znów być na Alasce.

Rano obudziła ją Nena i po zjedzonym w pośpiechu śniadaniu Kate wyruszyła do Fairbanks. Leciały z Angel nad zamrażającą tundrą tylko we dwie. Nerwy Kate wreszcie się wyciszyły.

Nie wydarzy się nic złego.

Sześć dni później Kate znów zbliżała się do Kotzebue. Tym razem pogoda jej nie sprzyjała. Na wschód od morza kłębiły się czarne chmury, wiatr wzbijał tumany śniegu i kryształków lodu. Temperatura spadła poniżej zera. Kate zdawała sobie sprawę, że zdążyła w ostatniej chwili. Nadciągała nie tyle zwykła burza, co prawdziwa nawałnica. Kate miała nadzieję, że Ralph i Stanley siedzą bezpiecznie w domu znajomego i rano będą gotowi do odlotu. W przeciwnym razie może grozić im poważne niebezpieczeństwo.

Joe wyszedł na samolot. Przywiązał go, a w tym czasie Kate spuściła paliwo. Wspólnymi siłami przykryli kadłub brezentem. Wiatr miotał im w twarz czymś ostrym, jakby odpryskami lodu.

– Joe, czy mężczyźni, których tu przywiozłam tydzień temu, zajrzeli do sklepu? – zawołała, przekrzykując zawrodozenie wiatru.

– Nie. Wyjechali stąd z Sethem, ale wiem, że jeszcze nie wrócili. Rano był u nas jego ojciec. – Oslaniając oczy, spojrzął na zamrażającą zatokę. – Lepiej, żeby lada chwila się zjawili. To groźna śnieżycza.

Kate omiotła wzrokiem morze lodu. Nagle przegniotło ją uczucie nieuchronnego nieszczęścia. Jeśli mężczyźni utknęli gdzieś w tej zawierusze, mogą nie przeżyć.

Ponieważ śnieżycza przybierała na sile, Kate dziękowała Bogu, że znalazła schronienie w domu Turchików, ale nie mogła uspokoić myśli. Krążyły wokół Ralpha, Stanleya i Setha. Wciąż nie było od nich żadnych wieści.

Po wspólnym posiłku Kate pomogła Nenie sprzątnąć ze stołu i pozmywać naczynia. Bezlitosne wycie wiatru działało jej na nerwy. Jak mógłby przeżyć ktoś, kto utknąłby w takiej zadymce? Myśliwi zabrali ze sobą ciężki brezentowy namiot, mieli też przenośne paleniska, które pozwalały im się ogrzać, jednak Kate nie potrafiła sobie wyobrazić, by jakikolwiek namiot wytrzymał taką wichurę.

Posprzątawszy w kuchni, próbowała usiąść na miejscu. Nic z tego. Chodziła tam i z powrotem po pokoju.

Wreszcie Joe powiedział:

– Kate, usiądź. Zamartwianie się nic nie da.

– Nie mogę przestać myśleć o tych mężczyźnach. Przecież oni zginą.

– Seth wie, jak przetrwać w takich warunkach. Kiedy zobaczył, co się

święci, pewnie zbudował schron ze śniegu. Mają żywność i ogień. Przeżyją. – Joe wziął Mary na kolana. – Wszystko w rękach Boga. Nic nie możemy zrobić.

Pokiwała głową. Miał rację.

Wicher wyl przez całą noc, Kate prawie nie spała. Kilkakrotnie wstawała z łóżka i wyglądała przez maleńkie okno wychodzące na ulicę. Pod budynkami piętrzyły się warstwy śniegu. Myślami była przy swoich pasażerach, błagała Boga o miłosierdzie.

Następnego dnia zamieć nadal smagała miasteczko. Nikt nie wychodził. Nikt nie wchodził. Ulice były opustoszałe.

Trzeciego dnia wiatr się uspokoił. Kate krążyła nerwowo po mieszkaniu Turchików, a w tym czasie Joe udał się do domu Setha, sprawdzić, czy wrócił ze swoimi znajomymi. Nie przyniósł dobrych wieści. Przepadli bez śladu.

– Jak myślisz, gdzie oni są? – zapytała Kate.

Joe spoglądał na skutą lodem zatokę.

– Gdzieś tam, prawdopodobnie na północy.

– Sądziś, że przeżyli?

Wzruszył ramionami.

– Może. Seth to bystry, stanowczy człowiek.

Kate wyszła na dwór. Wiatr nadal dął, ale najgorsze już minęło. Z nieba prószył lekki śnieżek. Podmuchy porywały dym z kominów i spychały go ku ziemi. Zwisający z okna kawałek brezentu trzepotał. Kate wróciła do środka.

Nena podpiekała w piecu kromki chleba.

– Napijesz się kawy?

– Z chęcią. Dziękuję.

Kate chciała odszukać mężczyzn. Popatrzyła na Joego.

– Jak myślisz, już po śnieżycy?

Pokręcił przecząco głową.

– To tylko przerwa. Znow uderzy.

– Skąd wiesz?

– Nie raz to widziałem. Po prostu wiem.

Stała przy oknie. Ktoś musi odnaleźć tych myśliwych. Ich życie może wisieć na włosku.

– Ile czasu do ponownego ataku nawałnicy?

Wzruszył ramionami.

– Może pięć minut, może parę godzin.

Była jedyną osobą, która mogła pomóc. Jeśli po nich nie polecą, zginą. A jeśli polecą... sama może nie przeżyć. Czy ma sens poświęcanie własnego życia dla trzech w zasadzie obcych mężczyzn?

Właśnie tego się bała – że zabraknie jej odwagi, by zrobić to, co

należy. Pomaganie ludziom w niebezpieczeństwie to część jej pracy. Gdy zaciągała się do tej roboty, zawarła pakt ze sobą i swoimi pasażerami – liczyli na nią.

Spojrzała na Joego i Nene.

– Lecę po nich.

Naciągnęła na siebie kurtkę.

– Nie. Zostajesz. To zbyt niebezpieczne. – Nena zastąpiła Kate drogę. –

Polecisz, kiedy przejdzie burza.

– Muszę teraz. Jeżeli będę zwlekać, pewnie przyplącą to życiem.

Joe pokręcił głową.

– Może już się to stało. Poświęcanie jeszcze jednego życia nikomu nie pomoże.

Kate założyła rękawice.

– Lecę. – Otworzyła drzwi. Angel wyszła na dwór. – Przepraszam, piesku, nie tym razem. – Zaprowadziła suczkę do domu. – Wróć. Obiecuję.

Przypomniawszy sobie słowa matki, że to Bóg jest Panem życia i śmierci, Kate zamknęła za sobą drzwi. Szybkim krokiem poszła do samolotu. Pochyliła głowę, by osłonić twarz przed zimnem. Wkrótce dołączył do niej Joe, brnąc w śniegu.

– Kate, oszalałaś.

Zignorowała tę uwagę, choć pomyślała, że Joe pewnie ma rację.

Podczas gdy ona zdejmowała z maszyny plandekę, Joe rozpałał ogień. Kate zgarnęła do wiaderka rozżarzone węgle, dołożyła drewna i ustawiła kubek pod silnikiem, żeby go rozgrzać. W tym czasie Joe ogrzewał paliwo.

Kate metodycznie zeszkrobywała z samolotu lód i szron. Kiedy paliwo było już w zbiorniku, wsiadła za stery. Dygotała pomimo grubego zimowego ubrania. Joe kręcił śmigłem, ona zaś modliła się, by dało się rozruszać silnik. Przy pierwszej próbie odmówił. Spróbowała ponownie. Zarzęził. Wreszcie za trzecim razem zapalił.

Pomachała do Joego. Musi się pospieszyć przed następnym atakiem śnieżycy. Gdy kołowała na pas startowy, porywy wiatru tłukły o samolot. Czy to z jej strony głupota? Być może, ale była tu właśnie dla takich osób jak Ralph i Stanley. To dla nich wróciła na Alaskę. Nie zawiedzie ich.

Skierowała się na północny zachód, leciała nad pakiem lodowym, przeszukując białe przestworze w dole i modląc się o jakiś ślad myśliwych. Trudno będzie ich zauważyć, zwłaszcza jeśli zbudowali z lodu schronienie. Wiatr się wzmaczał, miotając samolotem. Kate wiedziała, że powinna zawrócić, ale nie potrafiła się do tego zmusić. Przecież myśliwi mogą czekać i błagać o ratunek. Stanie na wysokości zadania i nie pozwoli im umrzeć.

– Boże, potrzebna mi Twoja pomoc. Wskaż, gdzie oni są.

Śnieg sypał w szybę, przez co widoczność była dosyć słaba. Kate z trudem mogła odróżnić pak lodowy od niesionego wiatrem śniegu – wszystko zlewało się w jedną połąć bieli. Wiedziała, że jeśli warunki znacznie się pogorszą, zabraknie punktu odniesienia, a wtedy łatwo stracić orientację i zaryć w śniegu.

Proszę, pomóż mi ich znaleźć, modliła się w duchu. Kończył się jej czas. Jeżeli wkrótce nic nie wskóra, będzie zmuszona dać za wygraną.

Poleciała jeszcze dalej na północ, choć wątpiła, by zapuścili się aż tak daleko. *Jeszcze tylko kilka minut*, powtarzała sobie. W końcu mając świadomość, że śnieżycą wygrała, Kate zawróciła w stronę Kotzebue. Przygnębiona, zmagająca się z utrzymaniem samolotu na kursie przy gwałtownych porywach wiatru. Teraz czas skupić się na ratowaniu własnego życia.

Mimo wszystko nie przestawała się rozglądać. I wtem w tumanie bieli mignęło coś brązowego i czarnego. Pewnie foka albo lew morski. Kate zeszła na mniejszą wysokość i przeleciała bezpośrednio nad plamą koloru.

Na śniegu kulil się pies. Po chwili zobaczyła drugiego. Lustrowała biały krajobraz. Gdzie są ludzie? Czy żyją?

Wydawało się jej, że widzi jakiś ruch. Ktoś wymachiwał czymś niebieskim. To na pewno oni! Żyją!

Zatoczyła koło, rozglądając się za miejscem do lądowania. Lód żłobiły koleiny, a wśród tych białych odmętów nie sposób było zorientować się, na jakim podłożu się ląduje. *Boże, Ty wiesz. Dopomóż.*

Zrobiła jeszcze dwa podejścia i zauważyła coś, co wyglądało na pas gładkiego lodu. Nie zdoła tu zawrócić – gładki odcinek musi być wystarczająco długi, żeby wylądować i wystartować bez zawracania. Gdyby próbowała wykonać zwrot, boczny wiatr podniósłby skrzydło i wyrzucił samolot. Ponieważ nie było innego nadającego się miejsca, nie miała wyjścia, musiała posadzić maszynę.

Walcząc o zachowanie stateczności bellanki, schodziła coraz niżej, aż znalazła się tuż nad lodem. Prądy zstępujące uderzały w maszynę i będą utrudniały start. Prędkość wiatru wymuszała krótszy rozbieg przed oderwaniem się od podłoża, a z kolei prądy zstępujące mogą spowalniać samolot. *Zajmę się tym, gdy przyjdzie na to czas*, powiedziała sobie w duchu. W tym momencie należy skupić uwagę na wylądowaniu. I zrobić to bez zarzutu. Dziób nie może podejść za wysoko, a ogon nie może się ciągnąć. No i trzeba uważać na zwały śniegu po bokach. Miała wiatr z tyłu, znajdowała się tuż nad lodem. Czekala... a po chwili poczuła, jak płozy dotykają podłoża. Była na ziemi. Lód okazał się nierówny, wyboisty. Samolot podskakiwał i się telepał. Modliła się, żeby wkrótce

stanął i żeby zostało wystarczająco dużo miejsca na start. Zanim zdążyła dojsc do drzwi, Stanley, Ralph i Seth zmierzali już w jej stronę, taszcząc ze sobą ekwipunek. Wygramoliła się i wyszła im na spotkanie.

Ralph się do niej uśmiechnął.

– No, no, co za radość dla oczu. Młoda damo, to się nazywa hart ducha.

Kate nie miała czasu na przyjmowanie wyrazów wdzięczności. Musiała załadować wszystkich do samolotu i czym prędzej wracać do Kotzebue.

– Nikomu nic się nie stało?

– Nie – odpowiedział Stanley. Obejrzał się na psy. – Zostały nam tylko te dwa, pozostałe straciliśmy. Nie pomieścilibyśmy się w naszej ciasnej śnieżnej jaskini. Możemy zabrać je ze sobą?

– W porządku. Bierzcie. Ale szybko. Musimy stąd wiać.

Jakby na potwierdzenie jej słów uderzył w nich potężny podmuch wiatru.

– Szybko! – krzyknęła Kate.

Gdy pasażerowie i psy byli już na pokładzie, ustawiła się na linii startu. Nie miała zbyt dużo miejsca na rozbieg. Musi rozwinąć maksymalną prędkość, żeby poderwać maszynę i pokonać prądy zstępujące. Jeśli porywy okażą się za silne, będą hamować samolot i zabraknie mocy do wzbicia się w górę.

– Trzymajcie się. Będzie nieprzyjemnie.

Wszystko jakby przycichło. I o to chodzi. Bellanca sunęła po lodowej pustyni. Przed dziobem kłębiła się biel. Kate straciła z oczu grunt. Trzeba się poderwać. Dawaj, dawaj. Więcej mocy.

Poczuła, jak samolot staje się lżejszy. Płozy oderwały się od podłoża. Odciągnęła stery. A wtedy lód usunął się spod brzucha samolotu i znaleźli się w powietrzu.

Usłyszała za plecami okrzyki radości.

Roześmiała się. Droga do Kotzebue będzie dość burzliwa, ale Kate wiedziała, że doleca do celu. Bóg wskazał jej, gdzie znajdzie myśliwych, i to On zaprowadzi ich do domu.

Odetchnęła z ulgą. Zrobiła, co do niej należało. I nikogo nie zawiodła.

Ranek był idealny – bezchmurna pogoda, lekki wietrzyk, krajobraz skrzący się w słońcu nieskazitelną bielą. To był jej pierwszy kurs pocztowy od powrotu na Alaskę. Z radością odnawiała kontakty ze spotykanymi na trasie ludźmi. Cieszyli się, że wróciła, chętnie opowiadali o swoich najnowszych przygodach, przedstawiali nowo narodzone dzieci i częstowali wypiekami.

Następnym przystankiem był Bear Creek. Lecąc tam, czuła, jak na jej dobry nastrój zaczyna kłaść się cieniem niepokój. Nie potrafiła przewidzieć, jak zareaguje na widok Paula. Nie widziała go od swojego powrotu. I choćby nie wiadomo jak bardzo starała się wyrzucić go z serca, nadal go kochała. Co mu powie, kiedy go zobaczy? Jak ukryje swoje uczucia?

Wkrótce nadejdzie czas, gdy zostanie wezwana, by latać z nim do osób potrzebujących lekarza. Będą zmuszeni spędzać razem długie godziny w ciasnych wnętrzach. Postanowiła nadać ich relacji niezobowiązujący charakter i ograniczyć ją do sfery zawodowej. Tak będzie prościej.

Zabrała ze sobą jabłka, które przywiozła z Yakimy, ale uznała, że jednak mu ich nie da. Dostarczy pocztę Sassie i Patrickowi, po czym uda się w drogę powrotną. W ten sposób oszczędzi sobie kłopotu.

Zastanawiała się, czy Paul kiedykolwiek się ożeni, czy postanowi spędzić życie w samotności. Na tę myśl zrobiło się jej smutno. Zasługiwał na więcej, zasługiwał na miłość. Dlaczego nie mógł zaakceptować jej taką, jaka jest? Dlaczego nie może być jego wybranką? Przeszkodą była jej pasja lotnicza. Postawił sprawę jasno – żadnego latania. Czy mogłaby zaprzestać? Czy powinna? Kate z trudem przełknęła ślinę. Dla latania zrezygnowała ze wszystkiego, a gdyby zaniechała czegoś, co kocha, żeby zadowolić mężczyznę, zrobiłaby się zgorzkniała. Jak można budować małżeństwo na takich fundamentach?

Musiałby albo przyjąć ją taką, jaka jest, albo wcale. Wiedziała, że tego nie zrobi. Trzeba pogodzić się z życiem bez niego.

Kate przestawiła tok myśli na inne tory. Jest wolna, silna i niezależna. Nie potrzebuje w życiu mężczyzny. Poradzi sobie sama, a i tak znajdzie szczęście. Podobała się jej ta wolność odpowiadania wyłącznie przed samą sobą i przed Bogiem. *Panie, należą do Ciebie i przyjmuję Twoją wolę, jakkolwiek ona będzie.*



Gdy przelatywała nad chatą Paula, zobaczyła go w otoczeniu psów. Zadarł głowę, a Kate drgnęło serce. Pragnęła się z nim spotkać, ale co mu powie? Dostrzegła Lily siedzącą na ganku z dzieckiem w ramionach. Pomimo powziętego właśnie postanowienia, obudziła się w niej zazdrość. Czyżby Paul znalazł sobie kogoś innego? Lily jest piękna i miła, ma w sobie mądrość potrzebną do życia w alaskijskiej głuszy.

Wziąwszy głęboki oddech, Kate przygotowała się do lądowania na zamrzniętym strumieniu. Zanurzyła dłoń w gęstej sierści na karku Angel.

– Jesteśmy tylko we dwie, ty i ja.

Suczka trąciła nosem jej rękę.

Teren lądowania był wolny od przeszkód, więc Kate gładko posadziła bellankę. Po doświadczeniach na lodowej pokrywie zatoki Kotzebue, wszystkie inne lądowania wydawały się pestką.

Zgaśliła silnik, przeszła na tył samolotu i otworzyła drzwi. Do środka wpadło zimne powietrze, przypominając, że choć świeci słońce, to na Alasce jest grudzień. Angel wyskoczyła z maszyny i puściła się biegiem po lodzie.

Kate sięgnęła do worka z pocztą, po czym wyciągnęła list do Patricka i Sassy i wsadziła go sobie za pazuchę. Wzięła skrzynkę przywiezionych dla Paula jabłek. *Będę miała to z głowy*, pomyślała i ruszyła do drzwi.

Sassa w grubym płaszczu założonym na długą sukienkę spieszyła jej na spotkanie, wzbijając muklukami [3] śnieżny pył. Z szerokim uśmiechem na twarzy pomachała do Kate, a potem poklepała Angel po głowie. Pies poszedł dalej, penetrując zamrznięty świat.

Gdy Sassa podeszła bliżej, Kate postawiła na ziemi skrzynkę z jabłkami. Eskimoska objęła przyjaciółkę ramionami.

– Wiedziałam, że wrócisz. – Zacieśniła uścisk. – Țęskniłam za tobą.

– Ja też za tobą Țęskniłam.

Sassa pocałowała ją w policzek, a potem się odsunęła.

– Tak wiele się wydarzyło. Zostałam babcią – oznajmiła, jakby prowokując Kate lub kogokolwiek innego do wyrażenia swojej dezaprobaty. – Musisz zobaczyć naszego małego Teddy'ego. Rozkoszny z niego chłopczyk.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. – Kate zerknęła w stronę domu Paula. Wiedziała, że jest u niego Lily z dzieckiem. – Mam dla Paula jabłka, a widziałam z góry, że odwiedziła go Lily z synkiem.

– Tak, zaniósła mu porcję świeżo upieczonych babeczek z żurawiną.

Tłumiąc zazdrość, Kate wyciągnęła kopertę.

– Mam dla ciebie list, z Homer.

– Ach, to od mojej siostry. – Rzuciwszy okiem na kopertę, Sassa oznajmiła: – A teraz przedstawię ci mojego wnuka. – Uśmiechnęła się od

ucha do ucha. – Paul i Lily z pewnością uradują się na twój widok.

Czując, jak żołądek zamienia się w kamień, Kate podniosła skrzynkę jabłek. W tej samej chwili podszedł do niej Patrick.

– Witaj, Kate – odezwał się swobodnym tonem. – Jak miło, że wróciła nasza ulubiona doręczycielka poczty. – Obdarzył ją serdecznym uśmiechem. – Tak myślałem, że długo tam nie zabawisz. Z daleka potrafisz poznać Alaskijkę z krwi i kości.

– Uważasz, że jestem prawdziwą Alaskijką? – Rozpromieniła się.

– Tak. Na sto procent.

– Zamierzam tu zostać i pewnego dnia stanę się osadniczką. Potrzebowałam trochę czasu, żeby zorientować się, gdzie jest moje miejsce na ziemi. Choć od kiedy się tu przeprowadziłam, życie dało mi w kość.

– Słyszeliśmy w zeszłym tygodniu w wiadomościach radia Mukluk, że wróciłaś do pracy. Ile czasu upłynęło od twój powrotu?

– Prawie miesiąc. Zadomowienie się w nowym miejscu zajęło mi dłuższą chwilę. Mike zapisał mi swój dom.

Patrick w zadumie pokiwał głową.

– Cały Mike.

– Jestem mu bardzo wdzięczna, choć jeszcze się przyzwyczajam. Nie zdążyłam się tam porządnie wprowadzić, a już dostałam lot do Kotzebue i Fairbanks. Dzisiaj mam pierwszy kurs pocztowy. – Spojrzała na chatę Paula. – Dobrze zobaczyć starych przyjaciół.

– No pewnie. – Patrick popatrzył na skrzynkę jabłek, którą trzymała pod pachą. – Dla kogo te jabłka?

– Dla Paula. Z sadu moich rodziców. Zawsze mówił, że brakuje mu tu świeżych jabłek, więc mu przywozłam. Na pewno podzieli się z wami i Klaussem.

Oczy Sassy przygasły.

– Och, to ty nic nie wiesz. Klaus zmarł zaraz po twoim wyjeździe.

– Nie. Nie wiedziałam.

Kate poczuła ciężar nowego smutku. *Klaus*. Nie spodziewała się jego śmierci. Jeszcze nie teraz.

– Było w jego obecności coś stałego, jakby miał trwać tu na wieki. Co się stało?

– Chyba po prostu starość – odparł Patrick. – Paul sądzi, że serce nie wytrzymało. – Mężczyzna odwrócił się w stronę domu Klaus. – Pochowaliśmy go tam na pagórku.

Wzrok Kate powędrował ku działce starego Niemca.

– Miły był z niego człowiek. Będzie mi go brakowało. – Łzy szczypały ją w oczy. Odszedł kolejny przyjaciel. – Miał rodzinę? Kogoś, kto tam teraz zamieszka?

Patrick wzruszył ramionami.

– Nic nam o tym nie wiadomo. Przypuszczam, że w końcu ktoś przejmie jego farmę... trzeba tylko poczekać, żeby przekonać się, kto.

– No, zanieśmy jabłka Paulowi i przedstawmy naszego wnuka – rzekła Sassa.

– Poniosę skrzynkę – zaproponował Patrick.

– Nie, nie trzeba.

Chciała osobiście wręczyć jabłka Paulowi. Na tę chwilę czekała z utęsknieniem, a jednocześnie się jej bała. Idąc obok Sassy, próbowała koncentrować się na pozytywnych stronach ponownego spotkania. Paul jest dobrym przyjacielem, a ona lubi z nim pracować. Tworzyli pierwszorzędny zespół. Życie będzie ciekawe i ekscytujące. Nie śmiała jednak mieć nadziei na więcej.

Starła się wyrównać oddech i uspokoić mocno bijące serce. A także ostudzić uczucia, żeby nie dać nic po sobie poznać.

W chwili, gdy wchodziła na jego podwórze, Paul rzucał psom kij, za którym natychmiast pognały. Angel dołączyła do wyścigu. Paul odwrócił się i zauważył Kate. Przez dłuższą chwilę stał, nie mówiąc ani słowa, jakby był świadkiem zmartwychwstania. Wreszcie powiedział:

– Cześć, Kate.

Jego głos brzmiał czule.

– Słyszałem, że wróciłaś na Alaskę. – Mówił tak, jakby zapierało mu dech w piersi. Na jego usta wypłynął uśmiech. – Świetnie wyglądasz.

– Dziękuję.

Wyleciało jej z głowy wszystko, co powinna powiedzieć, zwróciła się więc do Lily, która wciąż siedziała na ganku z dzieckiem na kolanach. Na widok Kate dziewczyna wstała.

– Słyszałam z dobrego źródła... – Kate zerknęła kątem oka na Sassę – ...że masz pięknego syna.

Podeszła do Lily.

– Owszem.

Lily uśmiechnęła się, obrzucając Kate serdecznym, życzliwym spojrzeniem.

– Tak się ucieszyłam na wieść, że wróciłaś.

Uściskała Kate jednym ramieniem.

Kate przyglądała się dziecku. Ciemne włosy okalały okrągłą buzię, z której patrzyły wielkie brązowe oczy.

– Jest słodki – rzekła i pochyliła się nad malcem. – Witaj, mały mężczyzno. – Uśmiechnął się i zaczął wymachiwać rączkami, jakby chciał jej dotknąć.

– Chciałabyś go potrzymać?

– A mogę?

Kate odstawiła skrzynkę jabłek na schody ganku, po czym wzięła od Lily chłopczyka. Nie trzymała w życiu wielu małych dzieci i nie bardzo wiedziała, jak się do tego zabrać.

– Trzeba podtrzymywać mu główkę?

– Nie, jest silny jak na swój wiek – odparła Sassa z dumą w głosie.

Paul obserwował tę scenę z nietęgą miną, jakby nie miał pojęcia, co ze sobą zrobić ani co powiedzieć, a zarazem bardzo chciał się odezwać. Kate poświęcała całą uwagę dziecku. Też nie miała pomysłu, jak się zachować. Theodore się jej przyglądał.

– Jesteś strasznym słodziakiem, tak, tak – gruchała.

Malec odwdzięczył się bezzębny uśmiechem. Instynktownie przytuliła go do piersi i pocałowała w policzek, który był mięciutki jak płatek róży.

– Jest cudowny.

Kołysząc go w ramionach, zatęskniła za dniem, kiedy będzie miała własne dziecko.

– Jestem wzruszona – powiedziała do Lily, przekazując jej synka. I mówiła szczerze.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że własne dziecko da mi tyle szczęścia – wyznała Lily, tuląc Teddy'ego. – Choć to nie same przyjemności. Jest też mnóstwo pracy.

W tym momencie Theodore'owi uląła się część ostatniego posiłku. Splywała Lily po kurtce. Odsunęła od siebie malucha.

– No właśnie, o tym mówię. – Zachichotała. – Cóż, chodźmy do domu doprowadzić się do porządku. – Odwróciła się do Kate. – Dobrze, że wróciłaś.

– Dziękuję. Wkrótce zobaczymy się ponownie.

Patrick też ruszył ścieżką w stronę domu.

– Muszę narębać drewna. Ladna pogoda długo się nie utrzyma. Do zobaczenia, Kate.

Ponieważ Sassa wcale za nim nie poszła, zatrzymał się i powiedział:

– Przydałaby mi się pomoc... przy noszeniu drewna na opał.

– Już idę. – Kobieta posłała Kate uśmiech. – Miło znów cię widzieć.

Podążyła za mężem.

Paul podszedł do ganku.

– Hm, co tam masz? – Ruchem głowy wskazał skrzynkę.

– Jabłka... z sadu rodziców. Przywiozłam je dla ciebie. Zebrane kilka tygodni temu, ale smakują jak prosto z drzewa.

Podala mu skrzynkę. Wziął do ręki jabłko i podsunął sobie pod nos, wdychając jego aromat.

– Pachnie niebiańsko – rzekł z uśmiechem. – Dziękuję, że o mnie pomyślałaś.

Zawsze o tobie myślę.

– Nie ma za co. Przypomniało mi się, jak mówiłeś, że brakuje ci tu świeżych jabłek. – Wzruszyła ramionami. – Ponieważ wiedziałam, że przylecę w te strony, stwierdziłam, że ci trochę przywiozę.

– Cieszę się, że znów tu jesteś. Masz czas usiąść na chwilę? Może zjesz ze mną jabłko?

Częstując ją owocem, sprawiał wrażenie niespokojnego, jakby się bał, że Kate ucieknie. Z trudem zachowywała pozory opanowania.

– Jasne. Mam kilka minut.

Usiedli na stopniach ganku, chrupiąc jabłka i obserwując psie harce. Dobrze było tak siedzieć razem obok siebie. Oboje milczeli przez dłuższą chwilę. Kate nie wiedziała, co powiedzieć, i domyślała się, że Paul też ma kłopot ze znalezieniem odpowiedniego tematu. W końcu zapytał:

– A więc... zamieszkałaś u Townsów?

– Nie. – Zawahała się. Z niezrozumiałych dla niej samej powodów nie chciała, żeby Paul wiedział, że mieszka teraz w domu Mike'a. On jednak czekał na odpowiedź. – Mike, zanim zginął, zapisał mi w testamencie swój dom. Tam mieszkam.

– A więc masz własny dom. Wspaniale. Piękny gest ze strony Mike'a. – Brązowe oczy Paula patrzyły na nią z czułością. – Straszne, że w ten sposób zginął. Naprawdę współczuję.

– Tęsknię za nim. Ale to był ten rodzaj śmierci, który sam by wybrał, gdyby miał na to jakikolwiek wpływ.

Paul pokiwał głową, w jego oczach pojawił się przelotny cień bólu. Kate zastanawiała się, o czym on teraz myśli. Oraz jak zmienić temat rozmowy.

– Lily dobrze wygląda, dziecko też.

– Nieźle sobie radzą. To prawdziwe błogosławieństwo mieć taką serdeczną i kochającą rodzinę. Lily jest silną kobietą. Nie pozwoli, by jej i dziecku działa się jakaś krzywda.

Kate nie miała zamiaru drążyć, ale nie zdołała powstrzymać się przed pytaniem:

– A jak ty się na to wszystko zapatrujesz?

Posłał jej zdziwione spojrzenie, a potem kącik jego ust wygiął się w górę, zaś oczy rozjaśnił figlarny błysk.

– Chodzi ci o to, czy jest między nami jakaś szczególna więź?

Zakłopotana, wzruszyła ramionami.

– Po prostu wyglądacie na zażyłych przyjaciół.

– I nimi jesteście... nic poza tym.

A więc nie kochał Lily! Kate zdawała sobie sprawę, że to jeszcze nie otwiera im drzwi – przecież nadal była pilotką – niemniej jednak rozbłysła w niej iskierka nadziei. Ugryzła jabłko. Paul nie był związany z

Lily. Był wolny, mógł robić, co chce. Problem w tym, że ona nie figurowała na jego liście pragnień – nie owijał niczego w bawełnę.

– Skoro wróciłaś, to może moglibyśmy znów razem podróżować.

Brakuje mi naszych wspólnych lotów.

Pochylił się ku niej. Nieznacznie.

Kate przebiegł dreszcz.

– Chętnie. Zamierzam pomagać najlepiej jak potrafię, po to tu jestem.

Wspólna praca to zawsze lepsze niż nic. A spędzanie czasu w towarzystwie kogoś takiego jak Paul umili jej życie.

Silna i wolna, przypomniała sobie. Powinna być wdzięczna losowi. Realizuje swoje marzenie. Dlaczego zatem czuła niedosyt?

Dokończyła jabłko, wstała i cisnęła ogryzek w krzaki.

– Muszę wracać do pracy – rzekła. – Mam przystanek w bazie Susitna.

– Odprowadzę cię do samolotu.

– Chodź, Angel, czas ruszać w drogę – zawołała do psa, żalując, że nie może zostać dłużej.

Pies przybiegł truchtem, wyminął Paula i Kate i pognął dalej do strumienia. Suczka nie zapomniała drogi.

Szli zaśnieszoną ścieżką. Paul podtrzymywał Kate, żeby się nie pośliznęła. Podobało się jej to uczucie, że ktoś dba o jej bezpieczeństwo. Była zachwycona także dotykiem jego dłoni.

Paul podeszedł z nią do samolotu.

– Zakręć śmigłem.

– Dziękuję.

Zrobiła krok w stronę drzwi.

– Kate. Zaczekaj. – Delikatnie odwrócił ją ku sobie. – Cieszę się, że wróciłaś.

Czy to, co widziała w jego oczach, to miłość czy zwykła sympatia?

– Ja także jestem zadowolona. – Zdobyła się na drżący uśmiech.

– Kate... ja... nie wiem, jak to wyrazić. Wiem, że nie mam prawa. Wszystko zepsułem. – Spojrzał na samolot, a potem zwrócił na nią żarliwe spojrzenie. – Odrzuciłem cię. Próbowałem zdusić w sobie miłość. Byłem okrutny. Czy zdołasz mi wybaczyć?

Serce wzięło górę nad umysłem. Jedyne, czego była w tej chwili pewna, to to, że pragnie znaleźć się w jego ramionach, powiedzieć mu, że go kocha.

– Po tysiącokroć żałowałem, że nie udało mi się znaleźć sposobu, by cię zatrzymać, że nie powiedziałem ci, co naprawdę czuję. Chciałem za tobą pojechać, ale wydawało się to niestosowne. – Paul ujął jej twarz w dłoń. – Wiem, że nie minęło wcale dużo czasu od śmierci Mike'a i że jestem bardzo bezpośredni, wręcz bezceremonialny, jednak nie mogę dłużej czekać. Chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham.

Kate przykryła dłońmi ręce Paula.

– Ja też cię kocham. Nigdy nie przestałam.

Wyraz czułości i oddania w jego oczach przekształcił się w żar. Pocałował ją, delikatnie smakując jej usta. A później zawładnęły nimi namiętność i pożądanie, przed którymi tak długo się wzbraniali. Przywarli do siebie w uścisku.

Kate niechętnie odsunęła się od Paula.

– Nadal jestem pilotką. To się nie zmieni.

Pokiwał głową.

– Wiem. Ale w końcu zrozumiałem, że łatwiej podjąć w życiu ryzyko, niż żyć bez ciebie. – Znów ją pocałował. – Byłem głupcem, sądząc, że mógłbym zaznać szczęścia bez ciebie.

– To nie będzie łatwe. Mam niebezpieczną pracę, która zajmuje mi mnóstwo czasu i...

– Podobnie jak ja. – Uśmiechnął się. – Jakos się z tym uporamy... razem.

Porwał Kate w ramiona. Przytuliła policzek do jego piersi, wsłuchując się w bicie jego serca i wdychając zapach flaneli oraz ciężkiej pracy.

Znajdą rozwiązanie.

PODZIĘKOWANIA

Stworzenie książki wymaga więcej niż tylko jednego autora. Jest owocem połączonych wysiłków wielu osób. Wyrażam swoją wdzięczność tym wszystkim, którzy wsparli mnie w tym projekcie.

Zwykle „dziękuję” nie wystarcza, żeby wyrazić moje uznanie dla Gayle Ranney, mistrzyni pilotażu z Alaski. Poświęciłaś swój czas i podzieliłaś się swoim doświadczeniem, by mogły powstać w tej książce sceny latania. Towarzyszyłaś mi, dzieląc się specjalistyczną wiedzą i praktycznymi umiejętnościami, żebym mogła powołać do życia pilotów oraz ich podniebne przygody.

Składam podziękowania członkom mojej rodziny, którzy są Alaskanami i którzy kochają to jedno z najwspanialszych boskich dzieł stworzenia – mojej matce Elsie, siostrze Myrnie, bratu Bruce’owi oraz kuzynostwu: Billy’emu, Kenny’emu i Sue. Wasze doświadczenia i miłość do Alaski wzbogaciły tę książkę i ożywiły w niej wiele scen.

Jestem winna wielkie podziękowania Markowi i Cheryl Barrett z Barret Orchards w Yakimie. Byli łaskawi usiąść ze mną i odpowiedzieć na pytanie, jak to jest być sadownikiem i hodować jabłonie. A zapewne znają się na rzeczy – rodzina Barrettów uprawia ziemię w dolinie od 1908 roku.

Okazałabym brak rozsądku, gdybym napisała książkę bez współudziału mojej grupy krytyków – Ann Shorey, Judy Gann oraz Sarah Sundin. Jesteście wspaniałe. Znalazłyście czas, zupełnie go nie mając, urządziłyście burzę mózgow, gdy potrzebowałam Waszej kreatywności, wyszukałyście i obnażyłyście moje pomyłki, wydobyłyście z mojego pisarstwa blask. Dziękuję.

Dziękuję Kelli Standish z PulsePoint Design za wniesienie oryginalnych pomysłów przy tworzeniu fantastycznej strony internetowej, na której mogę prezentować swoje książki oraz dzielić się z czytelnikami swoimi przemyśleniami. Nie ma drugiej takiej osoby jak Ty. Serdeczne dzięki za dążenie do perfekcji oraz służenie z wielkim oddaniem pisarzom tego świata, który walczą o uznanie.

Bardzo wiele zawdzięczam mojemu zespołowi z wydawnictwa Revell. To dla mnie zaszczyt należeć do grona Waszych autorów. Dziękuję Lonnie Hull DuPont, Barb Barnes, Michele Misiak, Cheryl Van Aniel oraz wszystkim zakulisowym osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki. Wasza ciężka praca i wskazówki pomogły mi wzbić się na

wyżyny moich umiejętności.

I dziękuję Wendy Lawton, mojej agentce. Nie wyobrażam sobie swojej pisarskiej drogi bez Ciebie. Kiedy potrzebuję Twojego zmysłu do interesów, zawsze służysz mi pomocą. Kiedy dopada mnie przygnębienie, podnosisz mnie na duchu. A Twoja wiara we mnie pomaga mi nie zbaczać z kursu. Nie wiem, jak zdołam Ci się odwdziaczyć.

- [1] Amerykańska pilotka, dziennikarka i poetka. Jako pierwsza kobieta samotnie przeleciała nad Atlantykiem. Zaginęła w 1937 roku po 40 dniach podróży, która była próbą okrążenia kuli ziemskiej wzdłuż równika. Nigdy nie odnaleziono jej samolotu. Została uznana za zmarłą w 1939 roku (przyp. red.).
- [2] Koh 3,2
- [3] Mukłuki – miękkie buty, tradycyjnie wykonywane ze skóry reniferów (karibu) lub foczej skóry, noszone przez rdzennych mieszkańców Arktyki (przyp. red.).